

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



STEFAN ŻEROMSKI

**TRYLOGIA
NADMORSKA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WISŁA

NOWY ŁĄD

Suchy wiatr spalił już wielkie śniegi. Gorący podmuch wyniósł je w przezrocyste niebios. Płyną teraz w widnokręgach dalekich złote zarazem i białe, śniade i rumiane, puszyste i bujające jak włosy czteroletniej dziewczynki. Po śnieżnym panowaniu w głębokich lasach jeszcze się nie wyprostowały zeschnię trawy i zmartwiałe byliny. Leżą wygniecione przez ucisk zasp, na płask rozpostarte po ziemi, oczywiste uprzytomnienie ciężaru zlodowaciałych pokładów. Blask słońca wszystko z martwych wskrzeszający tu i tam na nie przypada - poprzedzany przez fioletowe cienie śniatów bukowych i pniów świerka, jakby łaski pełne spojrzenie poprzez palce przesłaniające boskie oczy. Gdziekolwiek wśród rudych porostów strumyczek wiosenny w nizinę się przesącza, tam żółtą smugą rodzina jaskrów wytryska. Spomiędzy zeschniętych badyłów lśni tu i owdzie przyłasczka podobna do barwy kwietniowych niebios. Ledwie dosłyszalny szmer wiosennej wody podnosić się zdaje, przypominać i uwydatniać tajemniczy zapach ziół ledwie rodzących się w owej chwili. Jak czarodziejskie młodości natchnienie, jaśnieją w dalekiej puszczy sosnowej brzozy owiane nie roztulonymi listkami. Spojrzenie w każdą stronę jest odkryciem cudu i zwiastowaniem o nim czującej duszy. Każde takie powzięcie pełną miarę zapomnienia się od szczęścia podnosi do warg zeschniętych, do gardła ściśniętego od łez. Na wzór rozkwitającej przyłasczki serce wita się z niebiosami jak za dziecięcych dni, jak przed straszliwą zimą doświadczeń. Polotny wiatr wywiewa z niego i zabiera na błogosławione swe skrzydła nieprzewyciężoną noc udręczenia. Daleko, dokąd wzrok nie sięga, za błękitnymi mgłami śni swe przedwiośnie długa, szeroka, nieprzemierzona, nieobeszła, nieogarniona ziemia. Trawi swój pokarm i napój wysysa. Drży w wiosennym oparze. Zapadły się w jej głębokość tysiące tysięcy ciał przychodniów z dalekich stron - zza siedmiu gór, zza dziewięciu rzek. Tysiące tysięcy nóg deptały ją i tratowały, przemierzyły jej kręte, wąskie i mylne drożyny - brnęły w błotach, zarabiały się w piaskach i więzły w glinach - tłukły się i zbijały o jej kamienie, idąc naprzód i w tył, wciąż w siną dal - od zaoranych do rozgrodzonych jej granic. Brali ją w posiadanie chciwymi oczami, przezywali jej niedolę zelżywym słowem, przywłaszczali sobie jej odwieczną biedę nigdy tutaj nie słyszanyimi nazwami. Setki tysięcy zwierzyły jej ostatni swój jęk i ostatnie miłosne słowo, gdy upadłszy nisko leżały krzyżem na męczennicy - gdy gruntowały najdokładniejszą, nieomylną, własną miarą głęboką otchłań cierpienia.

Wchłoneła ich jako swoją zdobycz wojenną chciwa z głodu ziemia niewoli. Zapuszczają się teraz wylękle nici młodocianych korzeni w jej głębinę i pełnymi łaski zwojami oplatają ta-

jemnicę straszliwą. Kwiaty wiosenne nie znające nigdy o niczym pamięci, po to tylko potrzebne, żeby wiekuiste na nic nikomu piękno kształtować - pić poczynają soki zdrowe i wydychać woń czarodziejską z tajemnicy straszliwej. Jak przez kwiat wiosny, który litości nie zna, żalu nie czuje - płynąć poczyną zdrowie duszy poprzez siły cielesne pokolenia nowego. Potępione przez nie zostanie, zapomniane, wzgardzone, nastąpięte stopą nieszczędną truchło zapadłe w ziemię, gnój podglebny, próchnica wołająca o lemiesz i kilof.

Przypływ i odpływ oceanu nie jest tak nieprzewyciężony, toń jego nie jest tak niezgruntowana, jak wielką była otchłań hańby i przepaść cierpienia zalewająca tę ziemię. Bezdenny ciężar martwego oceanu sto lat ta ziemia dźwigała na sobie. Aż oto anioł straszliwy poruszył go do dna - począł kołysać, rozdzielać, rozkładać na ludy wolne, na ludy w sobie samych zaślepione, od pychy swej oszalałe. Pchnięte skrzydłem anielskim pociągnęły głuche wody na wschód - na zachód. Poznały ziemię słoneczne, lądy szczęśliwe, ciężar przypływu cierpienia. Zrozumiały ludy wyniosłe męczarnię niewolnicy milczącej. W słońcu wiosny odsłaniać się począł wielki, zapomniany, nowy ląd.

Stare nawroty wód wyżłobionymi dążąc szlakami jeszcze się po nim tarzają. Jeden z nawrotów wydarł milion młodzieńców kwitnących i mężów potężnych ze środka miast i siół - pod znakiem odwiecznego tyrana postawił ich pierś przeciw piersi w bratobójczym boju na ojczystej równinie lub wymiółł w góry Kaukazu, w doliny Azji, ponad przepaście morza. Drugi - bezimiennych trupów polskich setki tysięcy rozrzucił, rozmiółł, rozwlóklł po obliczu ziemi - u wrót fortecy Verdun, która na swej bramie wyryła napis równie niezłomny jak ona: *S'ensevelir sous tes ruines plutot que se soumettre*, na drogach Francji, Belgii, Serbii, Rumunii, w błotach Rygi, w lasach Litwy, w górach Albanii, w dolinach Macedonii, nad krwawą rzeką Isonzo, w przepaściach Tyrolu i w piaskach Palestyny. Trzeci - ze skłębionych odmętów swej burzy, z łona tego trzęsienia ziemi, które własną jego naturę przewróciło na nice, wydaje milion zrabowanych dusz, milion serc i milion prawic męskich, które orla wolności przyciskają do piersi spalonych tęsknotą. Czwarty - z najgłębszej, najurodzajniejszej gleby wyłamał pół miliona pracowników, ażeby z nich uczynić sanskryckie *dwipada*, pociągowego dwunoga, starogreckie *andrapodon*, bydlę robocze z ludzkimi nogami, rzymskie *mancipium*, czyli to, co się ręką w jarzmo ima. Inny - pokonał dzieci w kołyskach, wytracił chorobami podrosłe, nauczył pokolenie odziewać się mrozem i deszczem, opasywać głodem, podpierać na drogach swej ojczyzny krzywdą i zniewagą.

Lecz każda noc, która kona, odsłania coraz dalsze zarysy nowego lądu. Każdy dzień, który się z nocy rodzi, ukazuje przestrzeń coraz dalszą...

Bądź pozdrowiona, przynajdroższa ziemię nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyż była pod otchłaniami wód niewoli. Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki wieków świętą! Bądź pozdrowiona w sercu pokolenia, co się jeszcze morduje i cierpi - oraz w sercu przyszłych, szczęśliwych i radosnych!

WISŁA

I

Poczęcie Wisły dokonywuje się wśród świstu-poświstu wiatrów południa i wiatrów zachodu, przypadających na jasne mgły w kwiecistych tatrzańskich dolinach i na wilgotne obłoki ledwie powstałe spomiędzy koron sosnowych w szerokiej puszczy Beskidu.

W łonie chmury czarującej, której kształt nieprzerwanie nowy już się nigdy nie powtórzy, a piękność jedyna już nigdy drugi raz nie przeplynie w niebiosach, staje się. Wisły istnienie. Nadranna rosa wiosny, ciepły letni deszcz, różany szron jesieni i szadź okrywająca martwymi kolcami bezlistne drzewa, długotrwałe zimowe ulewy, ślepa zawieja i grad wszystko wyniszczający wciąż odnawiają nieprzeliczone jej źródła.

Ze śniegowic klinem wciosanych w szczeliny skalne między trzonami szczytów podniebnych, na których roztrzaskuje się wściekły huragan, wyją furie burzy ciężarne w zasypany śniegu i kamienie gradowe - sączą się w żleby zawałone mokrymi piargami wysokie wody do stawów. Ze skalnych jezior, zawieszonych jakoby lutnie zawsze nowe pieśni samogrające, z kotlin wysiedzianych u podnóża krzesanic przez cielska lodowców, które odeszły były przed szesnastoma tysiącami lat w północne strony - uciekają strumienie wieczyste żwawe wylomami w morenach przez milion lat uzgarnianych.

Z pieczar drażonych przez kamienne pokłady wskutek wzdrygnięcia bezdennej wapiennej skaliny, gdzie czarne powierzchnie jezior podziemnych trwają nieruchomo w mroku przegniady nie rozdartym spojrzeniem oczu istoty żyjącej - skradają się wody czarne chodnikami wykapanymi w granicie lub wyżartymi w wapieniu do przepaści głębokiej, którą biały ich wodospad napelnia powabem niewysłowionym.

Z łąnów leśnych, sianych wytrwale przez zamierzchłość stuleci po garbach nieprzebytych wzgórz Śląska, z trzęsawisk torfowych, ponad którymi najobfitszy mży deszcz, spośród gnatów korzennych wieloramiennego buka i dębu-niepołoma, z pościeli mchów otulających stopy jodeł i świerków, z zagaja młodej olszyny, paproci i podbiałów - ściekowiskiem wykapu ze smereku wylewa się Czarna Wisła.

Głębokimi wąwozy, po wielkich złomach kamieni i kłodach zwałonych drzew, na dnie pełnym grubego żwiru, w cieniu gałęzi i bujnych traw, z hukiem i gwałtem pieni się Biała Wisła.

Czarne i białe ramię, dwa potoki, spadają z wyniosłości, aby włączywszy się toczyć zakolem - zakolem, w głębokich parowach, wśród gór i lasów, wspólne wiślańskie fale.

Niezliczone dzikie strumienie jak włókna i nici oplotły i przepoiły rozległy Śląska kraj, ażeby jego wodne zasoby Wiśle darować.

Sidla i węzowiska ich sięgają do źródeł Olzy i Ostrawicy w Odrze tonących, podobnie jak szlak graniczny naszej mowy chwiejąc się i zaplatając od przemocy tonie w obcym zalewie. Szumne, przezroczyście, zielone i fioletowe strumienie południa wielkich Tatr, które nałęczą cudną opasą i wchłania w siebie Poprad pienisty, obfitowody, wierny szlak Spisza - w Wiśle ujście znajdują.

Leśny San darowuje północy to, co by Dniestr na południe wyniósł.

Błękitny, unicki Bug, bystra podlaska Narew podbierają skarb wodny górnej Prypeci.

Ssące włókna Wisły sięgają do wód Odry, do wód Dniestru, do wód Dniepru i do wód Niemna.

Jedne z nich, jako całkowite rzeki, wytryskują z wapieniów Pienin, ze wzgórz krakowskich - inne sączą się ze żwirowisk i wywierzysk, rozmywających zbocza płaskowzgórz i pagórków, albo przezczystymi baniami nieprzerwanie pulsują kędyś w równinie barwistej łąki, ażeby później toczyć się przez nią niedostrzegalnym ponikiem w nakryciu liści wikłów i kaliny, w łożysku wysłanym niezapominajkami.

Z nizinnych błot, z rudawic, płytkich jezior i stawisk ciągną ze wszech stron ku Wiśle wody ociążałe, osnute rzeszą porostów, w miękkości jedwabistych moczarów, wśród tataraku i trzciny, w cieniu wierzb i olch pochyłych.

Bujają nad nimi błękitne ważki, wielobarwne motyle i słupy komarów; najżywszą melodię życia wydzwania chyże skrzydło dzikiej kaczki; w wysokości obłoków zanosi się dudnienie lotu bekasa; przerywa jasne powietrze pokrzyk czajki, a po chwiejnych trzcinach unoszą się z miejsca na miejsce stada szpaków gwarliwych.

Wszystkie wody wiślańskie - przaśne i słodkie, zaprawne wysaną z głębin ziemi solą lub siarką, żelazem lub przeróżnymi szczaw odmianami - spływają od wielkich gór, co zostały za nimi w oddali jak gdyby obłoki znieruchomiałe, błękitne i liliowe, z różanego powietrza utworzone o poranku, a o zachodzie szkarłatne - po jedno skłonie północnym w zamglone polskie równiny.

Wyszedłszy z lasów i spomiędzy gór skręca się Wisła na wschód wielkim łukiem, wije wśród pagórków, uroczych skał z wapienia i pól krakowskich, dążąc w swój żłób pozadunajcowy, trzy razy szerszy, niżby wymagała obfitość jej wodnego zasobu - leżący w piaszczystych wybrzeżach, między pszennymi glinami sandomierskiej i lubelskiej ziemi.

Wymija przedtem skałę Wawelu, którego początek nieznany jest i tajemny jako tej rzeki początek - gniazdo mocy i sławy - gruz władzy przed wiekami wygasłej - ślad wielkości, niby piszczele szkieletu świadczące o życiu, które niegdyś je odziewało.

Opuściwszy prawisłisko lubelskie, po rozdarciu przed laty nieprzejrzanymi kredowego kazimierskiego progu, płynie ku mazowszańskim polom między wzgórzami Janowca i Puław.

Wznoszą się nad jej wartem wzorzyste dąbrowy, zaścielające płaskowzgórza i zbocza wygrzane w słońcu, koralowe od berberysu, pachnące jałowcem i macierzanką.

Tarniny i dzikie róże zwieszają się tam nad ścianami białych wąwozów, w których głębi dwukolejowe, wąskie drożyny chyłkiem zdążają do widnych, białych mieszkań wspaniałego ludu. Sady rumiane od jabłek i rdzawe od śliwek splatają jakoby wieniec nieskończony wzdłuż siół. Stoją tam nad wiślaną wstęgą olbrzymie czartoryskie topole i wielkie Puław drzewa, które miały to szczęście, iż pod ich cieniem wszystka się ojczyzna chroniła w złe swe godziny.

Szeroko rozlała się Wisła wyminawszy trupie mury tyrańskiej twierdzy Dęblina, w poprzek wielomilowych piaszczystych przestworów, w których jednostajnej, mglistej głuszy śpią za-

grzebane pod działkami ziemniaków i owsa, lichego żyta i tatarski - maciejowickie i wawerskie, raszyńskie i grochowskie pola.

Rozciągają się nad jej połyskliwą falą wilgotne łągi, bogatym rokrocznie utłuszczane namulaniem i same się białą koniczyną zasiewające, a wielkie białodrzewy i grube pnie wierzbowe, zielonymi koronami prętów wciąż na nowo młodocianych zawsze ozdobne, ciągną szeregiem lub kępami wzdłuż jej strumieni i pętlic, gdy stare porzucając szlaki szuka sobie przejść nowych między łachami piasków, stokroć przesypanych z miejsca na miejsce.

Pieni się gościniec główny wielkiej rzeki w wiązadłach mostów z kamienia i żelaza u stop miasta Warszawy - cytadeli ziemskiego okręgu - stolicy wolności świata, gdzie przez stulecie tkwiło kowadło wbite w ziemię głęboko młotami kowali wprawnych w sztuce ciemiewstwa, na którym nieubłagana a niewidzialna zemsta losu kuła zarazem kajdany dla ludów uciemiężonych i idej zakutych w dyby - mrowisko prac zawsze spiskowych, gdzie się ukrywał, wił i prężył olbrzymi zamysł wysiłu wielkiego plemienia, sztuką w chwili nieszczęśliwej w żelazne potrzaski schwytny.

Długimi smugami, wolnymi zakręty i liczną odnogą siecią, wśród bezpłodnych haków, kęp okrytych chrustem i ostrowów z dawna zarosłych dębem i topolą, a w głębokim rozsianych korycie, odchodzi w dal połyskliwe zwierciadło wodne, ażeby opłynąć Modlin, trzecią pieczęć niewoli, przemocą tyrańską wyciśniętą na ziemi polskiej.

Przeglądają się w głębinie Wisły stare miasta o sławie zagastej i Toruń wieczyście sławny, gdyż w jego murach stała kolebka genialnego dziecięcia Polski, odkrywcy, co powziął najprzenikliwszą, najsubtelniejszą i najśmielszą myśl o wszechświecie i obrocie niebieskich ciał. Dalej, ujęta w tamy, przy brzegach wklęsłych zaopatrzona w ochronne nasypy, przy wypukłych - w groble poprzeczne, wtłoczona w łożysko rokrocznie prostowane i pogłębiane, żywi Wisła posłusznie siedem portów handlowych i płynnie równo a cicho.

Między Gniewem i Tczewem jednolita jej masa rozdziela się na trzy ramiona. Jedno z nich, Nogat, niegdyś samoistna w Żuławach struga a od szesnastego stulecia pierwszorzędne wielkiej rzeki ramię - odchodzi w złowrogi cień Malborka i w dalekie, zimne morze.

Dwa inne rzyną na wskroś urodzajne namuły z polskich wydarte i uniesione gleb.

Wisła Śmiała, przedarłszy w połowie dziewiętnastego stulecia podczas wielkiego zatoru wydmy piaszczyste, wlewa się mnóstwem ujść w najgłębszą zatokę Bałtyku mieszając słodkie polskie wody ze słonym nurtem, głębią morza idącym z oceanu.

Złote wiślane smugi niosą się daleko w zielonawy przestwór morza, w błękitnawy jego widnokrąg, co z niebiosami nieskończonymi się spaja.

W niebiosach znowu, tam skąd przysła, odchodzi Wisła.

A nim zaginie w niedocieczonej morza tajemnicy, wykreśla kierunek westchnieniu polskiemu, tęsknej żrenicy pokazuje cel, wspomina szlak zaginiony, zapomniany, wzgardzony, jakoby ślad bruzdy pośród morskiego odmetu wyoranej przez sztukę Jana z Kolna, najdzielniejszego żeglarza Bałtyku i najśmielszego syna Polski, co w piętnastym stuleciu na ubogim statku wareskim pierwszy z ludzi europejskich na gruncie Ameryki stopę postawił, opłynął wybrzeża Labradoru i odkrył cieśninę Anianu.

II

Niegdyś, w otchłani czasów, w prawiekach, po odejściu na północ skandynawskich lodowców, z obszarów leśnych i przez leśne obszary samowładnie i samowolnie toczyć się poczęły wiślane fale.

Któż wie, jaki człowiek, przychodzień z suchych zachodu stron w krainy uwolnione od lodów, pierwszy ją ujrzał lasy dzielącą - brał w posiadanie oczyma mętne i dzikie jej piany, nazywał swoją w mowie i pieśni - kto pierwszy brodził po jej wybrzeżu i w czólnie z drzewnej kory przeprowiał się na jej brzeg drugi?

Kości jego potomków śpią dotąd wzdłuż rozległej doliny, po słonecznych pagórkach krakowskiej, sandomierskiej i lubelskiej ziemi, pod piaszczystymi wzgórzami Mazowsza i w nizinach dolnego biegu, złożone w skrzyniach kamiennych, nakrytych płasko łupanym gładem, stopami na wschód słońca zwrócone.

Broń i narzędzia z gładzonego krzemienia, głębokie, kuliste lub wysmukłe naczynie z gliny, w którym żal i trwoga potomnych przy wezglowiu zmarłego stawiała bogu niewiadomemu obiatę, na zawsze zostały w tych ziemiach.

Czarne ślady okrągłych popielisk, przesiąknięte krwią, resztkami pożywienia, nawozem i okruczem naczynia, pełne kości zwierząt, węgla i popiołu, wielkie i głębokie donice tłustego łu w jasnożółtej, zwiewnej glinie lubelskiej osadzone znaczą ślad domostw prawiecznego sioła. Garbata jabłoń i rozłożysta czereśnia dzisiejszego sioła obfity wydaje owoc, nie będąc w stanie przez wieków tyle wyssać soków żywota z popieliska naddziadów.

Gliniane zaś naczynie mieszkańca dzisiejszego sioła uboższe jest i brzydsze niż owo spoczywające w ziemi od siedmiu tysięcy lat.

Tają się w łonie tych ziem wielkie cmentarze, pełne naczynia z brązu i - późniejsze - z żelaza, pełne mis i urn, świadcząc o kulcie innym i nowym obyczajowi.

Stoją wzdłuż szlaku małopolskiej Wisły wyniosłe kopce, mogiły-grodziska, strome podwaliny drewnianych zamków, warstwami szkliwa jak zbroją z wierzchu nakryte.

Baśń lotna i zwiewna jak nadrzeczna mgła, a nigdy nie wyczerpana i niezmienna jako jej wody, jedna jedyna dobrze wie i pamięta o rycerzach, co na te szklane góry wdzierali się z miłości lub nienawiści, walczyli i konali.

W gałęziach Wisły, wśród sieci jej bujnych, górskich ruczajów, odwiecznego traktu łączącego ciepłe morza Południa z chłodnym morzem Bałtyku, ponad brzegami Bugu łączącego zachód z Wołyniem i Dniepru źródłami, na północnej Tatr i Karpat pochylni, między szerokim wielkiej rzeki łożyskiem i nieprzebytymi Polesia błotami, leżała dziedzina, która była gniazdem słowiańskiego plemienia i słowiańskiej mowy.

Tutaj się wykołysało leśne pradziadowisko Słowian rodu, skąd szczepy jego wyszły na wschód i południe, na zachód i nad morze.

Kopce pełne szkieletów świadczą o najściu i podboju Gotów, dokonanym na tej ludności prastarej,

Inna niż ongi, przemysłnym, greckim i rzymskim kształtem kuta broń lub ozdoba kobieca mówią o wędrownych kupców z radosnych krajów Południa poprzez puszcze i wąwozy gór, wzdłuż wiślanego rozdołu i grodów Krakowa oraz Kalisza.

Pieczara pustelnicza świętego Świerada przy ujściu bujnych Dunajca wód, schronienie niewygasła otoczona klechdą, gdzie w zaraniu jedenastego stulecia przebywał ów człowieczy cud, apostoł słowiański wyrosły spośród owoczesnego chłopstwa polskiego „jako róża spośród cierni”, anachoreta, który przez trzy dni tygodnia nic nie jadł, a na post wielki idąc w głębszą puszcę brał ze sobą na czterdzieści dni czterdzieści orzechów - w ciągu dnia modlił się lub brał siekiere i rąbał lasy dookoła pustelni - zamiast łoża miał pień, płotem z ostrej trzciny otoczony, aby go kłuła, gdyby się we śnie na bok przechylił - na głowę zasie kładł koronę drewnianą obwieszoną głazami, aby go biły po czaszce, gdyby znużona przechyliła się w którą bądź stronę.

Gruzy Tyńca zadumane, prastare a na stokroć starszych wzniesione popiołach, dla dzisiejszych ludzi niepojęte gruzy, co się stały tak niezłomnymi, iż czas, nędza i zapomnienie już ich bardziej zniweczyć nie mogą.

Dziurami okien, jak ślepe oczy, patrzą w nurt żywej wody, co u stóp skały białej wieczystą swą toczy beztroskę, przynosi z dala i unosi w siną krainę niewyczerpane swoje wesele - i patrzą w otchłań zamartwych czasów, nie docieczoną dla nikogo na ziemi, w zdarzenia, z których pozostał taki jedynie ślad jak ślad jastrzębia, który w powietrzu przepłynął, śniady na ziemię rzucił cień rozpostartych skrzydeł i odleciał - powieść o wiarołomnym władcy, o księżęciu na Wiślech...

Przed secinami lat sadzone drzewa i winny szczep na słonecznych Sandomierza pagórkach, w miejscach, gdzie dzisiejsza bieda i dzisiejsza ciemnota rozpościera panowanie wokół romańskiego piękna świętego Jakuba.

Wiślica, Kazimierz - murowane legendy o wielkim niegdyś wśród nas marzycielu, o mocnym władcy, o potężnym rozumie i niezłomnej woli.

Wały ściskające Wisły koryto, z rozkazu wiecznotrwałego króla sypane, początek pracy, do której potomność nie dołożyła prawie nic.

Na prost Solca kościółek Piotrawina z kamieniem po prawej stronie ołtarza, niemożliwym do odczytania, niemy, tajemniczy świadek zatargu śmiałej potęgi z Piastowego wyrosłej łona z niszczącą zewnętrzną mocą... Wzdłuż zakrętów i poszarpanych Wisły osypisk, które odsłaniają tysiącletnie dzieje przemian tej gleby, na przestrzeni stu pięćdziesięciu mil usiadły wsie niezliczone.

Wciąż kwietniowe swe suknie wdziewają ich sady, wciąż stada ptactwa rzucają je pod jesień i wracają na te same drzewa, pola i łąki pod wiosnę, wciąż nowe szemranie liści, budzące radość i miłość, młodociane wita pokolenia.

Nieprzeliczone pokłady zwłok i kości naddziadów przesycają niestrudzenie gliny i piaski, żywią wielowieczne lipy i brzozy, otulające pradawne mury, skarpy i wieże kościołów.

Gdy śniegi, spalone na wielkogórach marcowym halnym wiatrem, ruszają z posady zlepy szkliwa igieł lodowych, szrony podwodne, progi lodowe, przywierające do iłłów dennych i grubą skorupą okuwające kamienie - nabrzmiewają od wirów spienionych szumne skalne potoki i podgórskie ruczaje.

Z pędem ciec poczyna „krakowska” kra głównym rzeki korytem, wypełnionym po brzegi.
Lody okrywające szerokie Wisły rozlewisko kruszeją i pękają.
Pędzące wody coraz wyżej wynoszą na sobie zmurszałą skorupę lodową, podbitą tłoką rozmokłej śnieżycy, aż wszystka zrywa się z miejsca do biegu.
Słychać wówczas trask i szum taflí, które druzgocą się wzajem, widać wywracanie się ich w spak i na nice, zanurzanie jednych przez drugie, gonitwy i walki płyt wegnanych przez wart pędzący na miejsca płytkie, gdzie tworzą zwały i pokłady rozległe.
Masa wód wyrzuca się z brzegów i zalewa niziny. Po wtóre, gdy jasne słońce i ciepłe dżdże napelnia mleczem kłósy pszeniczne, żytnie i jęczmienne, ledwie z szypulek wychodzące, gdy wielobarwną rozkoszą oczu okryją się bezgranicza łągów nad Wieprzem, nad Narwią i Bugiem, gdy wonią bzów i kwiatów napelni się powietrze, a czarująca słowicza pieśń w jasną noc księżycową przerzuca dźwięki z olszyn do olszyn i z brzegu na brzeg wiślany - wznoszą się znowu i szaleją bujnie świętojańskie wody.
Zwarte lasanki czereśni pod Janowcem, rubinowe od owocu stoją w nurtach zmaconych, przez parki starych pałaców i przez wyhodowane ogrody dworów płyną szumne popławy, na pniach i gałęziach wieszają się pokosy zmulonego siana i kępy wyrwane zbóż.
Wielkimi, płaskimi taflami osuwa się i wjeżdża w pędzący odmęt namuł tysiącletni, najurodzajniejszy, w oczach na pienne mleko się rozpuszcza i ginie w toni, ażeby ułożyć się kędyś daleko jako haik jałowy, łącha bezpłodna, której nagość ledwie przesłania chwiejna wiklina.
Zapadł się w Wisłę i zginął w niej wysoki przedmostowy szaniec Sokolnickiego w Ostrówku, aż do głębi rowów swoich i wałów przepojony beczenną polską krwią i wieczną sławą. Popłynął z wodą.
Ucieka coraz wyżej z urodzajnego wadołu wioska za wioską na jałowe wydmy Mazowsza. Drzewa, obciążone nadmiarem śliw, grusz i jabłek, rozdziera i unosi bystra woda.
Można widzieć, jak mrowie ludzkie, przez trwogę z setki nizinnych siól przygnane w ostatnim terminie podnoszenia się fal, buduje samoswoją tamę lewego brzegu, ostatkiem sił zwozi, znosi i sypie piasek i żwir, zasłaniając rodzime niziny.
I można widzieć, jak rybak beztroskliwy, siedząc we widłach głowicy wierzby rosochatej, łapie podrywką okonie i płocie, pluskające się żwawo w łanie przebogatej, dorodnej pszenicy, po bujne a ledwie rozwinięte kłósy zalanej zmulonymi mętami.
Skoro sroga górską zima zapelniać pocznie strumienie zielonawymi igłami lodu, okryje głązy i żwiry ich dna seledynowym kożuchem szkliwa, a fale przepelni miazgą kryształów śryzu, wkrótce i na dníe wielkiej rzeki tworzy się masa lodowa kilkustopowej grubości, przyrastająca do brył iłu dennego, okuwająca podwodne kamienie i pnie gnijącej prądowiny.
Gdy zaś i niziny obejmie ostry polski mróz i zewnętrzne zwierciadło rzeki ścina się w skorupę, podwodne sowy lodowe wstają z dna dźwigając w szponach swych ciężkie nieraz kamienie, które w sobie zamknęły, łączą się z lodem powierzchni i zmarzają w jedną warstwę niezłomną.
Wówczas staje Wisła na przeciąg siedemdziesięciu pięciu dni.
Lis sandomierski bezkarnie przebywa granicę dzielącą Kongresówkę od Galicji, nawet zając trwożliwy staje się natrętnym cudzoziemcem i bezczelnie wkracza w Poznańskie, a srogi wiatr nocny te same przez stulecia polskie zasypr przerzuca tam i sam, zanosząc słupy graniczne i zamazując na nich rozmaite obcojęzyczne napisy.

Lecz gdy w południowych, krakowskich stronach przygrzewać pocnie dłużej słońce bardziej radosne, a na północnej, zimnej połaci Wisły wciąż jeszcze stoją lody grube, w powyginanym jej korycie nowa się wszczyna burza.

Samowładnie wężowaty kierunek brzegów i swawola samicy głównego wartu, mnóstwo martwych odnóg, płytkich, stojących jeziorzysk poprzegradzanych łachami, wciąż na nowo tworzące się drogi wodne i strumienie, niezmierna nierówność dna, gdzie obok mielizn czyhają studnie i jamy bezdenne, wywiercone przez wiry, sprawiają, iż tafle kry pędzonej nurtem wzburzonym, wepchnięte pod nakrywę lodową, napierano jedne przez drugie, zaorują się w muły i piachy, wgniatają na się i szybko tworzą wielki poprzeczny wał, zatamowujący odpływ niewyczerpanego potoku wód.

Góra lodowa rośnie wszertz i na wysokość, a sięga nieraz na kilkanaście wiorst w głąb rzeki. Wielkim wybuchem rzuca się zastawiona Wisła poza swe szerokie łozysko, zrywa brzegi, wlewa na niziny z dzikim pędem, zasypując je piaskiem i zanosząc mułem.

Mnóstwo siedzib ludzkich staje pod wodą.

Ucieka wieśniak na dach domostwa - belki stodół i zabudowań, sterty zboża i stogi siana płyną wśród kry tańczącej na fali.

Spustoszenie i niedola zalega wielkie przestwory.

Hula i bawi się Wisła jak przed tysiącami lat, jak wówczas, gdy pierwszy przychodziień z suchych zachodu stron ujrzał ją lasy dzielącą...

Dopiero na równinie poznańskiej ustaje Wisły szaleństwo.

Od trzynastego wieku ujmowana w tamy, płynie uspokojona w poprzek tej ziemi spokoju, ziemi milczenia i ziemi pracy.

W tamecznym jej nurcie kryje się zasób niezmierzonej siły, tak samo niewidzialny, jak niewidzialną jest potęga ukryta w łonie poznańskiego odłamu naszego rodu.

Równe i niepowabne stały się tam jej bujne i pięknie bezładne wybrzeża, jak równa i nisko ku ziemi nachylona jest myśl i praca tamecznych ludzi.

Trzysta kilkadziesiąt parowych pomp i wiatraków pracuje nad uregulowaniem szumnych wód, nad pogłębianiem dna i usuwaniem zatorów.

Na setkę kilometrów rozwinął się ku zachodowi brzeg morski od ujścia Wisły po Jezioro Łebskie i Gardzieńskie, dziedzinę Słowińców nad ujściem Łeby i Łupawy.

Przerzynają ten łąd wartkie strumienie, a w głębi sosnowych lasów błyszczą jasne jeziora.

Wzgórza i łąki szerokie zniżają się ku piaszczystemu wybrzeżu, gdzie szaleją straszliwe jesienne wichury nadmorskie i huczą śnieżne burze.

Na piaszczystych wydmach helskiego międzymorza stoją chaty ze słomianą strzechą, mieszkanie ludu rybackiego, który naszą mówi mową i naszą śpiewa pieśń.

Opuściła go Rzeczpospolita i opuścili go panowie, Na tym morskim pustkowiu został sam jeden, został tam, gdzie były jego praszczury.

Odwala pługiem wilgotne skiby ziemi i słucha świstu wichru, w którym ongi ponad Pucką Zatoką trzepał się znak: ręka po ramię, trzymająca miecz, lub orzeł biały w czerwonym polu.

Patrzy sam jeden w te sine, dalekie wody, po których pływały okręty w Gdańsku Sobiesławowiczów zbijane, flota gardziny Krzywoustego w dwunastym wieku, idąca na wyprawę wojenną do Darni, statki Zygmunta Augusta i Władysława Czwartego, wypuszczane z fortecy w Pucku.

Kiedy w te niziny zstąpili ludzie polskiego szczepu, wie tylko pieśń, gadka ludowa, którą usłyszał był i zapisał w zaraniu dwunastego stulecia wielka nasz pisarz narodowy, zwany Gallusem, Sallustiusz państwowej Bolesławów potęgi:

Inni niegdyś nam słoń rybą truli zdrowie,

Na cuchnących swych wozach dowożąc ją zgrają,

Teraz po nią na miejsce trafiają synowie

I w znak życia skaczące u stóp ryby drgają.

Gdy ojców mniej pochopnych hamowały grody, Synów morskie spiętrzone nie zastraszą wody, Za jeleniem lub dzikiem w trop chodziły sfory, Ci polują na skarby z morza i potwory.

III

Wielki przestwór, blisko dwieście tysięcy kilometrów kwadratowych, leżący w niżowym Europie łądzie, zajmuje Wisły dorzecze.

Ponad brzegami jej dopływów ciągną się ziemie tłuste - proszowskie i kujawskie, urodzajne - lubelskie i sandomierskie, ziemie chude - kieleckie i radomskie, płone - mazowieckie i piotrkowskie, leżą błota i wydmy piasków bezpłodnych.

Ponad brzegami jej dopływów orze i sieje, kosi i żnie jeden jedyny lud.

Nad niemym głosem jej strumieni rozbrzmiewa żywy gwar mowy tej samej przez tysiąc lat, tej samej ponad głównym ich nurtem a nad wszystkimi źródłami, tej samej w górach Śląska, w skałach Tatr, nad ssącymi włóknami, które sięgają do źródeł Odry, Dniepru i Niemna, tej samej w dolinach i na płaszczynach, tej samej nad Nogatem i nad Wisłą Śmiałą - i ponad morzem.

Bo i tam, daleko w morzu, o cztery wiorsty od paszczy głównego ujścia, gdzie wynurzają się wciąż nowe wyspy, z naszych przyniesione małopolskich, mazowieckich i wielkopolskich brzegów, do których to wysp zawijają okręty - wzdłuż martwych łożysk w piaszczystych mieliznach i nowych bystrzyn wyoranych w ziemi, ten, kto splata faszyny, kto przerzuca namuł, tapla się w błocie i tworzy groble urodzajnej Żuław krainy, kto najcięższe, najbardziej nie udźwignione z miejsca na miejsce przenosi - naszą mówi mową. Świadectwa i pomniki pracy tego ludu leżą przed oczyma świata, stoją rozsypane jak długa i szeroka ta ziemia.

Naród polski nie prowadził nigdy wojen zaborczych.

Zasłaniał w ciągu wielu stuleci wolność i dobro Europy od barbarzyńców nawały.

Jeżeli szedł na wschód, to nie po dobro cudze, lecz po to, żeby ziemie niczyje, dzikie pola, w pustynię zamieniane raz wraz przez tatarskie zagony, wciąż na nowo zaorywać i zasiewać, uzbrajać w zamki, zakładać miasta i sioła, wznosić kościoły i szkoły.

Językiem cywilizacji na wschodzie był język polski, jak świadczą chociażby dzieje Akademii Kijowsko-Mohilańskiej.

Kształci się dotąd Kijów na księgozbiorach Porycka i Wilna, a Petersburg na księgozbiorze Załuskich.

Naród polski ma w swym dorobku przywilej: *Neminem nobilem captivabimus*, który o dwa stulecia wyprzedziła jedynie wielkiej Anglii *Magna Charta*. Dopiero po upływie dwustu lat od daty polskiego przywileju Anglia posiadała *Habeas corpus*.

Litwa przez unię horodelską dobrowolnie przyłączyła się do Polski.

Stany pruskie wypowiedziały posłuszeństwo Krzyżakom i szukały łączności z narodem polskim.

Inflanty uczyniły to samo.

W wieku szesnastym, gdy ludy zamierały w systematach absolutyzmu, Polska każdego monarchę wstępującego na tron zobowiązywała do przysięgi, iż przestrzegać będzie praw narodu.

Polska uznawała wszystkie wyznania za równouprawnione, otwierała swe granice i gościnny dom dla zbiegów z całego świata, gdy w Europie płonęły stosy herezjarchów i wyznawców wolności sumienia.

W jej to miastach, dzisiaj zbiedniałych i zapomnianych, w wiejskich domostwach otoczonych niewygasłą legendą, w świątyniach, których ruiny jeszcze bieleją tam i sam w lasach i na pagórkach, wyhodowały się kultury religijne zachwycające po dziś dzień duszę nowoczesnego człowieka swą szlachetnością głęboką i nieskalanym dotrzymaniem słowa głoszone i prawdziwie, zaświadczone pięknem żywota wyznawców.

Polska była ogrójcem, gdzie wykwitły najbardziej czyste kwiaty miłości ojczyzny, najżywsza żądza pracy dla bliźnich, dla dalekiej przyszłości, dla szczęścia potomnych, dla wszechdzieci plemienia nie narodzonych jeszcze, pracy tak bezinteresownej i ofiarnej, iż stała i niewątpliwą za nią nagrodą było więzienie, wygnanie i nieślakana, samotna śmierć.

Naród polski ma w swej przeszłości szarżę najbardziej zdumiewającą, szalone a owocne: pod Kircholmem, pod Kłuszynem, pod Wiedniem, pod Somo-Sierrą, pod Dębem Wielkim.

W swym przyczajonym ogromie dzisiejszym ma on najgłębszą ze wszystkich narodów świata tęsknotę do wielkiej szarży swego ducha.

Nie pragnie on i nie pożąda niczyjej roli ani domu, ani siły, ani szczęścia, ani sławy.

Pragnie on tylko pracy na swojej własnej roli, szczęścia w swym własnym domu, rozwinięcia swej własnej siły i czci dla swojej sławy.

Wyspana i wypoczęta jego moc skupia się teraz i zrasta w jedne jedyną energię wysiłu, którą był w swym lochu nadwiślańskim wysiedział, wyczekał, wytworzył niestrudzonymi myślami, wymarzył i wyśnił na bezczynność skazany Walgierz Udały.

Jakież słowo zdoła wyrazić dzieje zakucia w dyby żywego narodu, dzieje klęski rozszarpania żywej, jednej jedynej mowy i obyczaju, i dzieje stu kilkudziesięciu lat istnienia w niewoli?

Jak rzeka Wisła, był polski lud czyjś i niczyj, nie swój, bezpieczny, beзуzyteczny.

Nie tworzyły mu ongi prawa narodziny króla, lecz gdy dla ratowania swego bytu takie prawo, na wzór innych, na swe barki dobrowolnie chciał włożyć, usiłowano go unicestwić i zniweczyć w samej istocie bytowania na ziemi.

Lecz on wtedy stuletnie swe życie w przedziwny, jedyny na ziemi sposób stworzył dla siebie. W jamie czasu, ciemnej i długiej jak więzienny loch, ciągnął i stwierdzał swe stuletnie bezkrólewie z ducha, rozpleniał i zasilął swą jedyną na ziemi, tajną, trójjedyną, zawsze tę samą Rzeczpospolitą. Wgryzała się w jego ręce i nogi rdza łańcuchów,gniło tam i sam ciało i wyginały się kości, biły weń młoty i kusiło go odstępstwo - sypała piasek w oczy straszliwa ohyda niesławy i nieskończona długość cierpienia.

Stało się w istocie, iż odszczepy narodu, jak dawno przepowiedział w chwili jasnowidzenia prorok nieulekły - „w obcy się naród, który nas nienawidzi, obróciły”.

Bo oto - nie ma stu lat - jak stwierdza w *Uwagach* swych Hugo Kołłątaj, dostrzegacz pilny i świadek żarliwy, we wszystkich świątyniach miasta Wrocławia wygłaszano kazania jednej niedzieli po polsku, drugiej po niemiecku - a na zachód od tego miasta, daleko, bo aż po kraj łuzycycki, można było rozmówić się z wiejską ludnością łamanym polskim językiem.

Gdyby się tam dziś znalazł w pustyni otaczającej grobowce książąt Piastowskich, w obrębie katedry biskupstwa, które jedno z trzech w swoim polskim królestwie fundował król Krzywousty - jakżeby przeszedł przez to miasto ze swym sercem płonącym, wśród „obcego narodu, który nas nienawidzi”?

Lecz wielkie dzieło budowniczych i pracowników istoty, zakresu, bezgranicza bytu narodu polskiego: Chrobrego, Krzywoustego, Śmiałego, Kazimierza, Stefana, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Kościuszki, Mickiewicza - po tyłu zamachach, ciosach i klęskach sioły niepokonane, rozrośnięte a młode na nowo.

Wiedza i praca poznańska, jak hak dźwigający, czeka na chwilę, ażeby zarzucić się na ogniwa wielkiego królewskiego łańcucha.

Miłość i entuzjazm, dwa ziarna cudowne wyhodowane w moskiewskiej niewoli, czekają na chwilę siewu w wyhodowane, lecz bezduszne skiby Galicji.

Tęsknią do siebie te same cnoty kresowe - śląskie i polsko-litewskie.

Czekają jałowe wydmy, błota i ugory, martwe pagóry i wyboiste drogi, puste szkoły i nędzne chałupy, na wiedzę, doświadczenie i energię emigrantów.

O Wisło, Wisło!

Żywa pieśń ładu polskiego, nigdy nie przerwana wieści o tym, co się dokonało za dni, które leżą w zamierzchłej dali czasów - i wieczny pozwie ku przyszłości bez końca!

Podniosło się nad wszystkimi twymi wodami, gdziekolwiek brzmi polska mowa, jedno westchnienie i w poprzek rozdzielonych krain jako żywiący wiatr przepływa.

Przed tysiącami lat złożył szczęśliwy los u wezłowia Wisły, tam gdzie się jej spławność zaczyna, w Śląsko-Krakowskim Zagłębiu, skarby węgla, których przez pół tysiąca lat nie wy-czerpie najbardziej wytężona i najbardziej obfita praca całego plemienia.

Pożąda pracy polski lud!

Jego pot przez tysiąc lat przepoił powierzchnię ziemi i przesiąkł aż do skarbu w głębinie.

Polskiego ludu to skarb.

Węgiel, sól, nafta.

Ujmie nareszcie brzegi wiślane plemię w jedno zrośnięte.

Obwałuje je wreszcie niezłomnymi tamami, zabezpieczy na zawsze złotodajne niziny, wielkimi pracami wymiecie nierówności dna, rozległe mielizny, bruzdy i wzgórza, fałdy i jamy ze stromymi ścianami, studnie kilkusetmetrowej głębiny wywiercone przez nagłe wiry.

Powiększy i unormuje głębokość żeglowną, ułatwi ruch lodów.

Zaginie w Wiśle odwieczna, bezpłodna łacha i odwieczny, rokroczny zator - czterokrotna co roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczycielsko i obłądnie chodząca masa wód.

Podjęte znowu zostanie dzieło Wielkiego Kazimierza.

Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy szkut i komięg, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska.

Przyszłe życie Polski otrzyma za cenę pracy plemienia dwie potęgi: bezmiar węgla, dostawiany do miast i wsi przez rzekę posłusznie pracującą w ciągu stuleci.

Rozrosną się od tysięcy fabryk stare grody: Kraków, Sandomierz, Warszawa, Płock, Toruń, Gdańsk.

Nienastarczona a niewyczerpana masa węglowa narzuci pracę pokoleniom, wyżywi i zbogaci prowincje.

Stanie Warszawa na linii skrzyżowania kolei z Londynu do Kalkuty, z Paryża do Władywostoku, z Gdańska do Triestu.

W obrębie miasta, w jego łonie olbrzymim leżeć będzie czcigodne pole wolskie i czcigodne pole grochowskie - cytadela, szkoła marzeń o Polsce wolnej - i Wilanów, pamiątka po wodzu, który uczył wspierać po polsku sąsiada w niedoli.

U bram miasta znajdzie się czcigodne pole raszyńskie i czcigodne pole wawelskie.

Na placu Saskim, tam gdzie Wilczek i Ślaski rzucali w twarz tyranowi moskiewskiemu najprawowitsze i najszlachetniejsze wyzwanie na pojedynek, przesywając swe nieulekłe serca rycerskie szpadami w obronie honoru swego i narodu - wolny lud strąci dzwonnice, która Polsce wieczną niewolę wydzwaniać miała, i zetnie złote kopuły cerkwi, które jej w oczy wieczną sromotą przyświecać miały.

Kadłub cerkiewny, dzieło arcyzmu, zdobiony cennymi Wasniecowa freskami, zostać powinien, gdyż nie popełnia Polak barbarzyństwa.

Na znak skwitowania i wyrównania rachunków ten kadłub zawrze w sobie cywilny skarbiec narodu.

Tam, pod strażą żołnierską a na oczach pokoleń, spocząć powinien Szczerbiec Chrobrego i korona odebrana z Petersburga, serce Kościuszki przeniesione z Rapperswilu, buława Czarnieckiego, którą pod Łowiczom w roku 1806 Jan Henryk Dąbrowski otrzymał, sztandary spod Byczyny, spod Wiednia, spod Raławic, spod Raszyna, spod Stoczka, spod Małogoszcza - rękawica Żółkiewskiego, szable wodzów i postronki, na których zawisł Traugutt z towarzyszami.

WIATR OD MORZA

OFIAROWUJĘ TEN UTWÓR
MONICE
Z GORĄCYM ŻYCZENIEM, AŻEBY
GDY DOROŚNIE
NIE ZNALAZŁA JUŻ ŚLADÓW SMĘTKA
NA ULUBIONYM JEJ WYBRZEŻU

NAPAD JUTÓW

Ujrzeli nareszcie bielejące brzegi. Wśród nocy ciemnej śnili o tym widoku na dnie dwuzagłowych statków obitych skórą fok i białych niedźwiedzi, jeleni, odyńców i byków - pośród tarcic napuszczonych smołą, gdy woda zamarzająca igłami kłuła golenie, a wicher morski zapierał oddech w gardzielach. W kolisku rozbestwionej burzy, gdy nagłe ryki i ponure łoskoty wybiegały z przepaści między wyniosłymi bałwanami, jak gdyby łono ziemi, pod niewolą wiekuistą wód głębiny zawarte, przychodziło do głosu, śniła im się - której jeszcze nie deptali - garbata i od lasów rozchwianych falująca susza.

Gdy wały niezmierne, chytrze jak rozjuszone i z zemsty oszalałe zwierzęta, szły z nieskończonej oddali, ażeby pod burty z nagłą się podsadzać i na płask rozpościerać czarne żagle po przepaścistej wodzie, nie drżało serce wojowników i ręka ich nie popuściła szuta, liny przywiązanej do żagla. Gdy wyspy trzęsły się w posadach od uderzeń jakoby młota stołomów, gdy huk i świst powietrza płoszył sen z oczu ludzi pod niskimi powałami w ciemnych izbach rybackich, najezdniczy drzemali spokojnie na dnie łodzi, ukołysani od rzutów z góry na dół, od smaku soli i zapachu smoły. Uszy ich ogłuszone od huków zaczynały słyszeć teraz na nowo - oczy przyuczone do barwy trupiobladej fali wchłaniały z niewysłowioną rozkoszą stałe smugi ziemi nad kątowiskiem zatoki - płuca ich, przywykłe do wchłaniania olbrzymiego powietrza w morskich przestworzach, oddychały z ulgą w niemych okręgach małego morza. Radosny okrzyk fruwał teraz z łodzi do łodzi jak złowieszczą rybitwa. Pokazały się dalekie, płaskie doliny, żółte smugi urwisk wysokich, góry piaskowe, strome gliny, które odziewa porost prastarego lasu - i białe, gołe cyple wchodzące daleko w wody.

Chytrze chwytając w szaty żagli wiatry sprzeczne, szerokie i ciasne, na każdy nastawione podmuch, i ze wszech sił pracując paczynami, dotarli do lodu, co opancerza baki i niskie piachów osady. Dzioby korabiów worały się między lody, które rozgarnęła na strony słodka woda strumienia z lądu idącego zakosem - i w zatory strzyży poskładanej przez północną flagę. Wydzwignąwszy czoła łodzi na lodozwały brzegowe, przywiązali je mocno do obmarznionych pniów nadbrzeżnych linami z kręconego rzemienia. Wdziali hełmy wysokie. Porwali ze

swych statków długie topory, przypasali naostrzone miecze, zawściągnęli pasy czerwonych puklerzów i ku lądowi pobiegli.

Dźwięczał nareszcie pod ich zdobywczym sandałem lód zasklepiający niziny! Pięta uderzała o grudę calizny! W prawo i w lewo słały się gliny rozmazane przez zawieje i pluty, oślinione przez piany bałwanów, a w czasie upału zeszcły w twarde skorupy. Badyle porostów i korzenie żarnowca wymarznęte do ziemi, krzaki głogu dzikiego, iwiny i terek plątały się pod stopą pędzącą. Wysoko nad odpłuczyska poziomem wznosiły się brzegi barwione żółtymi i śniadymi wstęgami uwarstwień. Strome pęknięcia rozdierały tam, w górze, jednolitą wyniosłości caliznę. Pieczary i jamy, które morze w ciągu stuleci wyjadło, otwierały się w brzegów martwicy jako gościnne koleby. Na szczycie góry, tak wyniosłym, że szum morza do połowy osłabły ku niemu przypada, szamotały się w wichrze barwne sosny. Czerwone ich pnie były strzeliste i gładkie, czuby ubarwione najczarowniejszą zielenią. Zdawało się pędzącym wzgórze, że te puszczy czatownice i wysłanki cichych lasów śpiących w spokoju lądowej zimy podają hasła na trwogę, że swe korzenie chcą wysiepać znad przepaści i że krzyk niemy szamoce się i wrywa ku swoim w ich splątanych gałęziach.

Gdy napastnicy gromadą dzikich i ponurych atletów na stromy wierzchołek wypadli, szukali na wsze strony oczyma mieszkań ludzkich. Nienawidzili osiedzicieli tej strony, zanim ujrzeli dym ich ogniska. Nienawidzili ich pracy i ich snu pod odymionymi belkami i pod szerniałym sosrębem, który praszczurów dzieciństwo, życie i zgon zamierzchły pamięta. Nienawidzili ich pokory i wybiegających z pokory względem ludzi - podstępów nieskończonych względem zwierząt, ryb, ptaków i owadów.

Ujrzeli widne z dala na cyplu Oksywia grodzisko. Czuli pod zdyszczanymi żebrami ssanie żądzy. Jak rude orły wlepili oczy chciwe rzezi i zwycięstwa w strzelisty widok zamku, w drewniane wieże i strzechy, ostrokoły, ościenie i zasięki sterczące na kępy krawędziach, ponad morzem zielonym i ponad szeroko rozpostartym na tyłach moczarem. Oto pochwycili nareszcie oczyma cel swej drogi dalekiej poprzez wichry, mróz, deszcz i przez niezliczone morskie denegi. Otrók posłuszny, huragan zdradziecko wegnany i zagarnięty w żagle, przypchnął ich do przyciesi i dachów, które niewolnicza praca ścięła w boru, obrobiła i ku obronie dźwignęła. Jaskrawa północy gwiazda wskazywała im w mroku szlak prosty na morzu do tego urwiska klęski niechybnej leśnych łążęgów, rolników, pastuchów i rybaków. Sprzymierzeńcy oceanu dzikiego już widzieli w pospólnym marzeniu wielobarwny ogień szybujący chorągwanymi przeguby ponad krzepią Oksywia.

Zapraǳnęli wraz wszyscy rozkoszy morderstwa i widoku męki pobitych, gdy można będzie ze śmiechem polować na uciekającą trzodę mieszkańców, dopadać mieczem dziadów struchlałych, jak prosięta zakłuwać dzieci, ciosem skracać płacz matek szpetnych, a hoże wlec za włosy - gdy na ofiarę północnym bogom będzie można zarznąć dziesiątą część jeńców, a złupiwszy wszystko, odpłynąć w łunie wspaniałego pożaru domostw i lasów, wśród pieśni tryumfalnej, ku innym, nowym, nieznanym wybrzeżom. Popadli w niszczycielskie rozjuszenie. Dali się porwać furii krwiożerczego instynktu. Panczerze z błota walki krwią obmywać! Wrywać szponami wnętrzości z brzuchów nożem rozdartych! Wykłuwać starannie źrenice omdlałe, z lęku oślepte, błagalne! Odłamywać żebra aż do bioder jako badyle, ażeby rana piersi tworzyła podobiznę rozpostartych skrzydeł orła! Mieczem płać przyłbice i żywcem skalpy zdierać z czaszek wojenników pojmanyh! Oстрыm toporem odcinać prawice wzniesione do walki jako odszczepy drzewa w boru! Oszczepem z wątłego drzewa wiążę o grocie

zatrutym otwierać rany kwitnące jak róże! Słuchać dzikiego pisku niedorosłych dziewcząt na ziemię między zdobywców rzuconych! Spać głucho w zapachu krwi gorącej, co zaleje podłogi A skrzepnie pod progami zdobytego grodziszcza, spać głucho na jęczących łonach kobiet z powiazanymi rękami!

Gdy ze wzgórza w płaską dolinę runęli i przebiegli pażycę szeroką moczarem czarnym i grzęskim zalaną, rozległa się w ich szeregach saga skalda młodego.

Wrzało w tej piersi męstwo nieustraszone wszego wojska i pasja wszystkich wikingów, szukająca niebezpieczeństw najazdu i podboju, zwycięstw w śmiertelnych zapasach i samej nawet klęski. Pieniła się w jego pieśni nieposkromiona siła, dziko wyła rozpacz pokonanych i bezmyślnie szalała radość. Wyrywało się z jego pieśni ponad wszystko dumne piękno łamania wszelkiego zakazu, niweczenia przeszkody, imania nieulekłą prawicą wszystkiego, co istnieje. Słyszeli wszyscy w tej pieśni pochwałę wilka idącego po strawę na pole ludzkiej walki i pochwałę ptaka kruka, który za zdobywcami polata na pobojuwiska pełne trupów bezwładnych, bezsilnych i śmiesznych.

Porywał, podniecał, unosił i gnał znowu pędzących Jutów, ni to bat świszczący, śpiew skalda młodego. Wiekuista młodość i zawsze ta sama a nigdy nie ubywająca żądza w nim płonęła. Słyszeli z zewnątrz przylatującą a wewnątrz siebie samych na wezwanie zaczajoną furie, ażeby służyć wiernie rzemiosłu swemu, morderstwu, ażeby zwyciężać ludzi dla samego zwycięstwa, a klęskę dla samej klęski ponosić. Pili z tej pieśni nie napój, lecz samo nigdy nienasycone pragnienie widoku wiekuistej walki człowieka z człowiekiem.

Przyskoczywszy zaś do samego płaskowzgórza, stromymi taflami zlatującego w piany morza, ujrzeni ludzi zaczajonych nad urwiskiem. Wódz Rorik, utworzywszy w oczach Słowian równy zastęp ze swych wojowników na płaskim brzegu, kazał na wroga uderzyć. Leżąc na skraju góry w zaszczytce swych tarcz skórą obciążonych, obrońcy rzucili na zdobywców olbrzymie głazy, śniaty drzewa, wylewali wrzącą smołę i ukrop. Pod zasłoną puklerzów Jutowie ustąpili aż do rzeczki. Wtedy obrońcy, rozwarłszy bramy grodziszcza i wiszące mosty spuściwszy, rzucili się w pogoń za nimi. Lecz tu w gwałtownym natarciu pobici zostali na głowę.

Wtedy to jeden z Kaszubów wystąpił przed szeregi i wyzywał Jutów do walki jednego przeciw jednemu. Był to wróż czy czarownik, osobliwy wśród innych ze względu na wzrost i budowę ciała. Włosy jego były w warkocz splecione. Na sobie miał białe skóry wyprawne, pancerz na piersi z rogów kopyt końskich jako łuska karaceny naszytych, a w rękę młot olbrzymi, kamienny. Wódz Rorik przystał na spotkanie z umową, że skutkiem zwycięstwa Słowianina będzie odstąpienie od zamku, a w razie zwycięstwa rycerza Jutów nastąpi oddanie grodu. Na spotkanie kaszubskie wyszedł najmężniejszy, najdzielniejszy, niezwyciężony młodzieniec Oleg, bohater.

Słowiański wróż czy czarownik podbiegł ku niemu, podniósł swój młot kamienny i od jednego ciosu zabił Dana. Słowianie przyczajeni na wałach grodziszcza - gdzie za nasypami ludzką rzuconymi ręką tała się woda wyniesiona aż do połowy urwiska - wydali okrzyk radości. Jutowie stojący na brzegu wokół wielkiej łodzi Rorika wydali okrzyk zgrozy i zemsty. Wśród wrzawy dwu wojsk, wywisk i zniewag czarownik przechadzał się tryumfując. Wówczas z zastępów Rorika wystąpi inny wojownik, Fortinbras znający czary. Wróż słowiański wyciągnął ręce i skinął przytakująco. Począł przed wojskiem swym tańczyć radośnie, tupać i skakać na miejscu, klaskając w dłonie. Wśród uwagi dwu hufców i wielkiej ciszy tam na górze

i tu w dole, wojownicy rzucili się na siebie. Obaj potężni i obaj znający czary, rozdarli swe tarcze, zmiądzżyli szyszaki, zadali sobie nawzajem ciosy tak śmiertelne, że wkrótce obadwaj ranami okryci i krwią brocząc z głuchym łoskotem na ziemię runęli.

Wtedy wódz Rorik dał znak do zdradzieckiej napaści. Syk młeczów normandzkich z pochew wyrwanych zagłuszył morskie szelesty. Blask młeczów waregskich jak błyskawica zamigotał. Mieliz morscy rycerze, których dzień upływał wśród boju a sen wśród gromu i błyskawic, których jedynym zajęciem była żegluga, wojna i rabunek, dochować wiary prostakom zgarbionym w pracy około zasiewów, doglądania żniwa i omłotu prosa, zabiegów około zbiórki jagód, orzechów i grzybów, otrząsania po lesie dzikich jabłek i gruszek, warzenia potrawy z tłuczonego owsa i leśnego miodu, podbierania jaj przelotnego ptactwa i łowienia ryby?

Drużyna Rorika pomknęła na wroga, gołą dłonią czepiając się kolców głogu i igieł tarniny, ostrych bylin charszczu ostrego i kłaczów takrocznego żarnowca. Wtargnąwszy na wał sypały junacy rzucili się w pław przez podmarzniętą kałużę rowu wydzwigniętego na połowę wysokości urwiska. Kto z niej wybrnąć i piąć się zaczął ku ścianom, węglom i zaworom grodu, wszczepiał okrwawione palce w śliską powłokę prostopadłej szklanej góry, co wokół zamku z morskiego wypalona piasku podtrzymywała przyciesi szerokie i strome częstokół. Krew wikingów kapąła w wody rowu, na lodowisko fosy, ciekła długimi smugami po okrągłych bokach szklanej góry. Chmury strzał leciały z łuków słowiańskich na twarde szyszaki. Ciała nieulekłych bersekierów zlatywały w otchlisko, gdzie kipi ciemne morze ze wściekłą potęgą, gdzie się ciska na hardy przylądek i gdzie czuby pian po zimnej chlaszcząc glinie wyśpiwują nieulekłych chwałę.

SMĘTEK

Od majowego z południa powiewu morze stawało się bławe niby oczy kobiece. Wody jego snuły się same w sobie i bezwładem fal, ciężarem opadania wygładzały piaski wybrzeża porwane od lodów. Gorący oddech dalekich stron południa kołysał się w gęsiach tych i przybijał do wyziębłych brzegów. Piaski były nieustępliwe, niemal twarde jak skrzy żale kamienne. Miękką kidzena, zielonawa powłoka zwiedłych wodorostów, wypchnięta z toni rozpościerała się na wzór kobierca, żeby snadź ostre kamyki z głębokiego wymiecione odmetu bosej stopy nie skrzywdziły. Równe, powłóczyste, ciężkie morze, na rewach i mieliznach żółte, na głębinach ciemnomodre, w cieniu obłoków zielone, przeistaczało się w przystań cichą, w rozkosz spojrzenia. Wysnuwało się z błękitu niewidzialne dotychczas, dalekie, jasne pasmo międzymorza. Naprzeciwko niego miłościwym łukiem zaznaczał się szlak mierzei jeszcze minie j znaczny - ni to plama podłużna w źrenicy - łąd, który wielka rzeka z ziem swoich przez wieki wieków wynosi. Zataczały się ku sobie w źrenicy patrzącej te dwie krzywe linie, jak gdyby rześa górna i rześa dolna nad okiem niewysłowionej piękności. I otwierało się ku wiosennemu słońcu oko morza wiosenne, nieobjęte, nienapatrzone, samo w sobie doskonałe. Błękit niebieski i światło niebieskie przeniknęły wody i ziemie dalekie czyniąc z nich jedyną istotą piękności. Nad ziemią sunęły białe i śniade obłoki. Gdy obłok płynął nad kolebskimi wzgórzami, wąty cień przesuwiał się po zieleni lasów.

Tam, między jedną a drugą duną gajem sosnowym obrosłą, otwierała się cicha dolina. A za doliną wznosiła się duna osobna, którą od podnóża do szczytu pokrył żarnowiec sam jedyny. Witeczki jego, z korzeni twardych jak róg pędzące nagimi różgami, nie miały jeszcze liści. Sam jeno jasnożółty, płomiennobarwny kwiat od korzenia do najwyższego pędu je okrył. I wszystka góra od podnóża do okrągłego, najwyższego wierzchołka stała jako jeden krzak ognisty, jasnożółta, na wzór słońca płomieniejąc. Zapach traw młodych niósł się z poprzecznych łąk między górami, gdzie Kaczy Strumień po kamieniach z lasów spada, ażeby potem cichym błędzikiem zataczać się między wierzbami i niepostrzeżenie w żółtych piaskach przelewać swe leśne wody. Daleki odgłos morza uderzał w ciche doliny między górami. Jakby usiłując naśladować piękność i nieskończoną melodię morskiego szumu, zanosily się od śpiewu słowiki i kosy, przelewając melodie w melodie swoje. A jak gdyby na skutek śpiewu kosów i słowików, wzruszała się śniada i żółta ziemia, gliny i piaski, a z łona jej wonne konwalie tryskały.

Czarny łowiec, który jako skald z orszakami Normanów przybiegł był na tę ziemię, błąkał się w tych oto stronach. Mieszkał wśród tego plemienia. Na koźle lub dziku przebiegał niezbrodzone puszcze, polując na dzieciobójczynię. Widywali go drwale pod Budowom i pastarze pod Rzuszczem, gdy przychodził do ogniska w nocy, prosząc o pozwolenie upieczenia sarniego uda w głowniach sosnowych. Na przesmykach i polanach niezmiernych puszczeń mi-

dzy Odrą i Wisłą, ponad wysokobrzeżnymi jeziorami, z których stężyczyńskiej głębiny czarownym węzom obok Babidołu Radunia się snuje, gdziekolwiek na wschód i zachód od Wieżycy mowa jednaka brzmiała pod dymem bud leśnych i checz na polanach, trwoga padała na ludzi przed czarnym myśliwym. Nadano mu wszędy Smętka imię. Tropił bowiem chytrze młode dziewczyny ponad brzegami głębokich strumieni i nie przepuścił ani jednej, gdy się wśród bólu strasznego i w trwodze większej od bólu ślaniała u stromych urwisk czarnego jeziora, szukając dogodnego odmętu, ażeby z kamieniem nieudźwignionym u kruchej szyjeczki cisnąć weń płód zrodzony sekretnie, wbrew prawom i na przekór ustawom, świadectwo hańby niezmytej, zbrodni największej, owoc miłości niezwalczonej i nieodpartej męskiej przemocy.

Chodził ślad w ślad - smętny tropiciel - za ojcobójcami gryzącymi w sobie na miejscach samotnych wiekuiście nie do zgryzienia zabójczy jad wspomnień o ciosie. Rozżarzał aż do szaleństwa oczywistości pamięć uczynku, podpowiadał fenomeny wydarzenia, po stokroć, po tysiąckroć przyprowadzał widzenie sprawy w to samo miejsce, w tę samą godzinę i wtedy sekretnym kluczem otwierał w duszy przeklęte drzwi jaskini nieposkromionej żalości, w której się wieczny ogień pali.

Stawał niewidoczny, a obecny - sam - nad legowiskiem synobójców. Na nowo rozdmuchiwał swym mieszkim węgle piekielnego gniewu, od długości czasu perzyną okryte, przygasłe. Podnosił na nowo rękę, która w furii zamordowała, i łagodnie naciskał powieki, żeby oczy płakały straszliwszym ponad wszystko, sennym płakaniem nad zaklęszą, ohydną ziemią, w której leży syn sekretnie ojcowską ręką zabity.

Rozsyłał z krzaków bzu, gdzie przebywały, podwładne mu krośnięta, karzełki na pół łokcia wysokie, z wielkimi głowami, czerwonymi nosy i w modrym obleczeniu, ażeby po nocy przy blasku księżycy zamieniały w kołyskach dzieci, podrzucając swe własne potwory matkom, co się wymykały skrycie poza węgły checz dla tajemnej, pokiężycowej rozpusty.

Sam zaś podrzucał mory w ciała bladoliczych dziewcząt, które odtąd przy świetle księżycy wałęsać się musiały, błąkać się po brzegach wód, po dachach i płotach, po stajniach końskich i oborach krów, po zaroślach tarniny, męczyć siebie i męczyć ciężkimi ponocnymi morzyskami ludzi, zwierzęta i rośliny. Sunęły tedy pod powiekami zdrowych i tęgich młokosów jako ciała nadobne, omdlałe z żądz, jako rozkoszne nagie omony, widziadła wyciągające kusicielskie objęcia. Nie było ustawy, nie było zakazu, nie było prawa, które by przed ich pięknnością zaporę postawić mogło. Mocniejsze było niezwalczone widzenie ich urody niż sam lęk przede śmiercią.

Podchodził skrycie pod progi i nastawiał miski z jedzeniem zaprawionym diablím pomiotem, ażeby baby chutliwe zjadały zadaną strawę i przeistaczały się w czarownice. Gdy zaś którą tak podstępnie zawładnął, gnał ją z checzy do checzy, by urzekała ludzi i zwierzęta, szkodziła na zdrowiu maleńkim dzieciom i uwodziła niewinnych młodzianków. Gdy księżyc ubywający odchodził w gorzki nocny mrok, w głuchą nicość, gdy wichher jesienny jęczał w gałęziach drzew prastarych, siadał przy posłaniach kobiet schorzałych, ciężarnych, nie mogących spać, u łoża matek, co potraciły małe dziateczki wskutek zamachów przedziwnych i ciosów bezlitosnych tajnych chorób, rzucając z głębi nocy bez końca, nocy boleści, na ich łona łkające - wciąż nowe, nieudźwignione ciężary.

Jako chłopiec przecudnooki, jako knop pięknołicy przewijał się przed oczyma, w myślach i w pożądaniu, które nigdy nie gaśnie, rozkwitających dziewcząt i kwitnących kobiet, wabiąc je

w tajne skrytki sekretnej miłości, ukazując poza wszystkimi ustawami świata i związkami rodu kwieciste i woniejące schadzki zacisze. Oplatały się wokół niego wszystkimi pomyśleniami, wszystkim czuciem, zachceniem i przyzwoleniem, zaprzedawały mu się po dniu i w nocy ciągłym uśmiechem, szukały go niechcący przez sen nagim ramieniem, wzdychającymi piersiami i bezwładem nóg rozchylonych. Gdy księżyc w pełni swym czarodziejskim światłem przenikał mgły wiotkie jezior i głębie lasów, gdzie mieszka trwoga - gdy daleki śpiew słowicy napelniał bugaje, piękne jego przezgrzechy kusiły do marzeń o zakazanej miłości wszystkie serca kobiece, straszły je widokiem szybkiego ubywania młodości, przygasania czaru, odchodzenia raz na zawsze miłosego wdzięku - ukazywały niebezpieczeństwo zaniebdania w rzeczy szczęścia i ze wszech sił, wszelkimi sztukami pobudzały żądzę.

Popędzał straszidła w skórze jeżowej, żeby o ciemnej nocy wpadały z sieni do niskich, czarnych izb, żeby naciskały odymione belki aż do trzaskania: trzask - trzask - trzask, żeby ciężkimi kopytami tupwały po powale: tup - tup - tup - żeby chodziły popod okna i czały się za węglami: szur - szur - szur - żeby, gdy spać nie można, zaglądały do pieca i wymiatały na ziemię rozżarzone węgielki. Nasyczał się wówczas trwogą padającą na wycieńczone połoźnice, na młode mężatki, którym mężowie zgniłą jakowąś niemoc wtrącili do wnętrza, od czego gasły z dnia na dzień, z nocy na noc - na samotne dziewczyny za czymś własnym wciąż wzdychające w zaduchu kominów rozpalonych i wśród męczarni nocy nieskończonej.

Wcielał swych wupich, strzygoniów w ciała ludzkie i posyłał ich na chybił-trafił to tu, to tam między naród człowieczy. Wybierał między dziewczętami na chybił-trafił to tę, to ową i czynił z niej stworę wieszczą, upiora, który po śmierci cielesnej nie sztywnieje, lecz czerwony jest i miękki jak człowiek za życia. Patrzył z pociechą, jak rój wupich i wieszczych wyciąga ze świata i wlecze na cenkwiszcze rodzeństwo, braci, siostry, najbliższych krewnych i przyjaciół, aż do najdalszego pokolenia, dopóki przerażeni ludzie nie wywleką trupa z mogiły, gdzie leży z otwartymi oczami, łypiąc chytrą źrenicą, z koszulą i wszelkim ruchnem po pas zżartym z głodu - ażeby mu głowę odrąbać wielkim toporem. Sam zaś najchętniej przemieniał się w stolema, wielkoluda, który stojąc na Zamczatej Górze ponad Żarnowskim Jeziorom, ciska olbrzymi głaz o ćwierć mili w ludzkie siedziby. Nosił na łańcuchu niezmierną skałę z dalekich gór na drodze do Cząstkowa z zamiarem, żeby ją cisnąć w Gdańska bramy - gdyby go-ba! na tej to drodze pianie kura nie zastało. Tak tedy cisnął skrzyżał na lewą stronę drogi między chojaki - i uciekł. Stojąc kędyś na kępie Oksywia miotał głazy w radłowskie góry, lecz chybiwszy trafił w morze, gdzie dotąd leżą w pobliżu brzegu, izby się na nich rybackie łodzie roztrącały. Mieszkał zaś to tu, to tam, w żarnikach zaklętych - na granicy między Lebkową a Kortoszeną, w Glinicy pode wsią Korne lub w wielkim zamkowiszczu pod Gniewinem. Do ludzi ponad jeziorami, którzy starym obyczajem siedzieli w wysokich nad wodą paliszczach, przybywał w gości niosąc im pokusę, spustoszenie siły, złe i strach. Do dzikich i śmiałych karczowników, którzy z prapradziadowską brązową lub z cudzoziemską żelazną siekierą w dłoni rzucali się w tajne ostępy, ażeby je trzebić, a na polanach wyluskiwać z ziemi kamienie, wyrywać pniaki, równać i do góry spodem lenną glebę odwracać - ażeby ziarno prosa i owsa zasiewać - przychodził jako kupiec, obcokrajowy „gość”, czarno odziany w niewidziane i niesłychane suknie z tkaniny. Okryci dwiema skórami, zdartymi z zabitego barana, które łykiem lipy zeszywali, otwartymi z boków i z dziurą u góry dla wdziewania przez głowę, patrzyli jako na niezwalczoną pokusę, gdy się mienił przed mmi. Mienił się zaś i przewijał jak kuna, jak kraska, jak wiwilga, jak węgorz w głębinie od lśniącego chiń-

skiego atlasu, którego używanie śmiercią było przez bogdychanów karane, a wartość ze złotem się równała poza chińskim murem. Lśnił od zielonego aksamitu, którego ojczyzną były Indie - od jedwabnego adamaszku z Damaszku i Babilonu rodem.

Stowarzyszał się z łowcami idącymi pod wrzesień ponurą i niezbadaną bytowską puszczą na rykowiska jeleni. Gdy trwożne łanie zbijały się w gromadki po osiem i dziesięć, kryjąc się w zaroślach przed krasnym trzydziestoletnim rogaczem ozdobionym koroną rogów rzeźbionych, co biegał wokół z nozdrzami spuszczone ku ziemi - czarny łowiec z rozkoszą śledził igrzysko. Zaczajony w zaroślach pękał ze śmiechu, gdy dwa najcięższe byki, walcząc samowtór o prawo dostępu do stadka cichych i nadobnych łań, spuściwszy łby, z szaloną wściekłością wieńcami na się trzaskały. Radował się doskonale, gdy każdy z zapaśników odtrącał ciosy przeciwnika z niewidzianą zręcznością, a uderzał w odwet z furią niesłychaną gałęziami ocznymi, ażeby wroga rozedrzeć. A rozkosz widza dosięgała zenitu, śmiech jego brzmiał na całą puszcę jakoby hukanie puchacza i jakoby pisk kani, skoro walczący rywale tak splątywali się wśród uderzeń wieńcami, iż żadna już na ziemi siła nie mogłaby rozwikłać i rozłączyć obłych odrośli pokrytych zahaczeniami drobnych pereł. Stojąc tak pod cieniem milczących dębów, bez możliwości schylania pysków do trawy, która u kolan ich pachniała, połyskiwali na się ocznymi świecami miotającymi nienawiść za dnia i w nocy, walczyli rykiem, aż póki wycieńczenie zupełne po dniach i tygodniach nie zważyło obudwu zalotników na ziemię i śmierć straszliwa z miłości i głodu nie zakończyła ich boju.

Czarny łowiec wdierał się z towarzyszami w najgłębsze mateczniki, gdzie w mroku leśnym śniły wody posepnych wdzydzkich, sumińskich i kruszyńskich jezior, nad których brzegami, wśród ostrowów i długich zalewisk idących w kraj - w niskich zaroślach przebywały rogacze oczekujące na stwardnienie wieńców, karmiąc się bukwią i żołądziami, wrzosem, mchem i zieleniną pędów. Łanie, przewodniczki stada, i młode jelenki, które jeszcze nie widywały ludzi, nie uczuwały lęku na widok dwunogów o bladych twarzach. Zbliżały się ufnie i z ciekawością, spoglądając na przybyszów naiwnymi cud-oczyma. Dopiero gdy ostro zacięte pocioski nie chybiającą rzucone prawicą gasiły ich ufne oczy wykluwając jasne płomienie podłużnych źrenic, a okrutna sulica przebijała grotem na wylot serce przeczyste, rzucały się znad Czarnej Wody do ucieczki zarówno stare, samotnie żyjące wielkorogi, jak białoplamiste cielęta i tkliwe matki, które zwykły na mocy wrodzonego im geniuszu bohaterstwo za potomstwo umierać. Gdy stado uchodziło co siły z rodzinnej ostoi, czarny łowiec pędził za nim na czele szczwaczów spuszczać srogie psy ze smyczy. Zawziętość jego rosła w biegu, gdy pędzący myśliwce mijali wzgórza i doliny, okrążali jeziora, w skok przebiegali lasy, przepływały rzeki i przesadzali strumienie. Ludzie przeistaczali się w psy zaciekle, a psy zapożyły wściekłości od ludzi. Jedni i drudzy nie pierwiej spoczywali, aż dymiące od żaru jelita i krwawe narogi wydarli z rozszarpanego brzucha wielkiego jelenia, a czarny łowiec potężnymi rękami wyszarpał serce łani, ażeby patrzeć w nie ze wzgardą, miłością do potomstwa nawet po skonie bijące.

Zimową porą, w tęgie mrozy, gdy stada turów po czterdzieści i pięćdziesiąt w gromadzie wychodziły z mokradeł na miejsca suche i bardziej wyniosłe, ażeby szukać paszy pod śniegiem, wygryzać korzonki roślin, głodzić pąkowie jesionów, korę i gałązki drzew liściastych - czarny łowiec sunął z cicha na łyżach za towarzyszami wyprawy, dla podpatrywania potężnych łowów zimowych. Czając się za pniakami lub ukryci w widłach i wśród konarów dębów i buków, trzymali kusze w pogotowiu. Otrók wstępował w strzemię kuszy ze drżeniem

serca, wciągał korbą lub hakiem cięciwę grubą na palec, skreconą z jelit baranich czy splątanego rzemienia, zakładał ją na chwyt i trzymał łoże w pogotowiu do strzału. Szły bowiem stadem niemalym płowe brodacze i potężne krowy, wstrząsając grzywami i wietrząc nieprzyjaciela. Ze drzeniem kładła dłoń łowcy bełt o grocie w widły rozdartym na osadzie kuszy i brała na oko cisowe łoże samostrzału. Gdy gruby byk, przodownik stada, zbliżył się na dwieście kroków, chciwe palce pociągały za spust kuszy i miotały w ślepią ukryte pod grzywą, w schylone łby i garb karków niechybny pocisk, który deskę na wylot przebijał. Trafione szeregiem pocisków zwierzęta tarzały się po ziemi, krwią zalewając jasne śniegi, albo z bólu szalone gnały oślep ku kryjóvkom człowieczym.

Lecz sława podniecała junaków do walki sam na sam ze starym turońcem, czterdziestoletnim pojedynkiem, w samotności zdziczałym, który sunął osobno, nie znosząc obok siebie tworów żywych. Samotrzcę wychodziły na byka młokosy z napiętymi kuszami, z oszczepem i zegadłem. Patrzyli spokojnie, gdy ryczał na smugu jasnobury a ciemny po boku, do graba i buka podobny, jak dąb obwieszony kudłami. Czekali w milczeniu, cierpliwie, gdy się jurzył, darł ziemię kopytem, a schylał w zagaju łeb gruby i rogi skrzywione nastawiał. Patrzyli spokojnie na brodę zwisającą z podgarla, jak trzęsa się w furii, na grzywę, co na piersiach, na łbie, na ramionach jeżyła się wściekle. Patrzyli, jak ciapał zuchwami i czarnego zadzierał ogona. Podnosili wraz kusze i wytrwale zmierzwszy miotali wraz groty ze świstem cięciwy w złe ślepią. A gdy runął z kopyta i gnał z rykiem w nich prosto, przecwałem, uchylali się skokiem za drzewa. Miotali weń oszczep z żelaznym na końcu dziirytem. Podbiegając doń z boku, uderzali go po łbie maczugą nabijaną krzemieniem. Gdy prawego doścignął w podskokach i zajechał po kozuchu porożem, gdy go wrzucił na siebie, w powietrzu zawinął, o siebie roztrącił z wysoka, gdy tratować go zaczął kopytem, kopać racią poślednią, podrzucać i znowu kości łamać deptaniem, a rogiem, rozdarszy mu wnętrze, wywłóczyć jelita - jęk puszczyć przeszywał. Lewy rzucał się skokiem, do boku turowi przylegał, szpony dłoni zapuszczał mu w kudły na karku garbatym, z nim razem pomykał w podskokach, lewą dłonią dziesięćkroć bił w serce zegadłem. Włócił go turoń przy sobie po chrustach i dołach, o pnie buków rozbijał. Trzeci stał mu na drodze z rogacina w grudę ziemi zabitą. Przyczajony za ostrzem niezłomnym, przyklekły, na skok czekał szalony, ostatni. Zjuszony od walki, narzucał się mężnie tur z wyższa. I wbijało się ostrze rogacze we włochatą pierś zwierza. Krew bujnymi wybuchy zalewała one śniegi, a wielkimi soplami oblepiała mu brodę prastarą. Wówczas lewy ostatnie po rękojeść zatapiał zegadło.

Chwiał się turoń na widłach rogatych, motał głową w szaleństwie. Nie mogąc racicami ziemi dostać, nabijał się na ożóg coraz głębiej całym cielaka ciężarem. Ślepią mu bielmem zachodziły. Umierał.

Z głębokich ostępów Smętek wychodził w puszcę ciepłą, pomiędzy bartniki, i zasiewał wśród nich niezgodę, kłótnię, swar, bitwę na śmierć, ucząc ich swoimi sposoby łamać prawa łączące ich od prawieku w społeczność. Przybywał jako bartnik wędrowny z obcej i dalekiej strony, posiadający jak się patrzy dłuto bartnicze, leziwo splecione z lipowego łyka, uzysk do siadania na bartnej sośnie i lęgło kształtu podkowy. Nikt z najwprawniejszych lepiej od niego nie pachał dookoła drzewa, nikt zmyślniej nie tworzył strzemion, w które nogą wstępując bartnik wznosi się w górę, nikt wprawniej nie zwisał na wbitym chmalu, nie zakładał kurzyńska, nie wyrabiał doskonalej czterostopowej dzielni w stuletniej sośnicy - nie umiał celniej wygotować oka i snozy dla wejścia i wylotu pszczelnego owadu. Lecz nikt też, oprócz niego,

nie śmiał i nie umiał złośliwiej ośmieszać prawa o nałożonych klejmach prastarych, herbach bartniczych, z ojca na syna nauką i zwyczajem idących a rytych na wypracowanych podkładach. Kędy ten przeszedł prastarymi barciami, niszczyli sobie nawzajem znaki klejmowe, kradli robotę woskową, tajemnie psuli farbę dzieni, palili barci i mordowali same nawet czci-godne, pracowite roje.

Zadziwiająca to była sprawa - zdumienie prastarych wodzów rodowych - iż ów z końca świata przybłęda znajdował zawsze i wszędzie sojusznika w młodzieży. Umiał w szczególniejszy sposób trafić do ucha nadchodzącego po starym pokolenia. W ogień by byli szli za nim, gdy ich podszczywał przeciwko starych powadze, przeciw prawom, zasadom, uchwałom, obyczajom, mądrym przepisom i wypróbowanym, stokroć sprawdzonym, zestarzałym przesądom. Nie było pomysłu przewrotności, którego by nie wmówił młodzieńcom. Nie było bluźnierstwa, świętokradztwa, głupstwa, którego by za nim nie powtarzali z zaciekłym uniesieniem, twierząc, że to jest właśnie odrodzenie, nowina wyzwalająca ze starej zgnilizny. Uczył tych młodych bartników nowych sposobów omamiania bezgrzesznej pszczoły, pokazywał, jak wyrąbywać dzienie z kłód i umieszczać je na jasnych, miodem płynących łąkach w postaci stojaków lub leżaków. Uczył, jak na łakomego niedźwiedzia zastawiać dzwon, czyli samobitnię - gruby i ciężki kloc uwieszony na dębowej wici w tym miejscu, którędy niedźwiedź jedynie może się ku barci podbierać. Zaczajony z towarzyszymi w gęstwinie, tarzał się ze śmiechu po ziemi, gdy niedźwiedź, wlaższy na drzewo i chcąc zatwor odemknąć odpychał kloc łapą jak najdalej, a to ciężkie drewno, wracając na swe miejsce z chyżością wzmożoną ku środkowi, waliło go po łbie i po łapach. Zabawa się zwiększała, gdy zwierz nie znający praw wychylenia i powrotu wahadła w ruch puszczonego pod działaniem siły ciężkości, walczył z natrętnym klocem coraz zacieklej, uparciej, gniewniej, odpychał go precz coraz mocniej i dalej, wreszcie z całej siły od siebie, a martwa kłoda, zapożyczwszy właśnie tyleż złości i potęgi ciosu od rabusia, ile on jej wyładowywał, coraz mocniej go prała w łeb, w kufę, w zębce wyszczerzone i w jarzące się ślepie. Aż nie mogąc pokonać szatańskiego prawa mechaniki, ze zwieruszonym mózgiem, wybitymi zębami i oślepiony na dobre, walił się łbem na dół nie skosztowawszy miodu.

Niemniej zabawne widowisko czynił bartnik Smętek zastawiając na niedźwiedzia kolebkę, to znaczy kosz lipowy, umocowany na silnym i sprężystym drągu, przygiętym tak do barci, ażeby kobiałka znajdowała się tuż przy zatworze. Niedźwiedź dolazłszy do barci siadał z uciechą w napotkanej, wygodnej koszałce, lecz skoro tylko zatwór odrzucił, drąg siłą sprężystości swej unosił go wysoko w górę i daleko od drzewa. Ponieważ grunt dookoła barci nabity był kołami zaostrozonymi, sterczącymi złowrogo, niedźwiedź nie widząc nigdzie miejsca do skoku siedział bezradnie, zawieszony wysoko w powietrzu, zastanawiając się nad łotrostwem bartniczym, aż go młodzieńcy uzbrojeni w ostre dzidy wydobywali z koszałki.

Smętek czynił to wszystko, ażeby między starszyzną i młodzieżą wytworzyć przepaść, ośmieszyć starych, którzy z rogaczem wychodzili starym obyczajem na śmiertelny bój z misiem - ażeby rozdać pychę młokosów, złość i mściwość starców, ażeby zasiać burzę w rodach, która częstokroć na synobójstwie lub ojcobójstwie się kończyła. Sam szedł dalej.

W wielkich lasach pod cieniem niebotycznych drzew śniły błękitne powierzchnie wód, a beztrwożne ryby, jeszcze nie zaznawszy, co może znaczyć złowieszczy ponad brzegiem kształt dwunoga, wesoło płały w toni, nim śmiercionośne doświadczenie strach i popłoch przed tym cieniem jako instynkt wrodzony potomnym przekazało. W strugach i potokach leśnych

na nieprzemierzonych niecieczach i zasiałkach Noteci, gdzie drzewa z korzeniami wyrwane i w poprzek strychu wodnego rzucone - stawiska wieczne i nieprzerwane stworzyły, towarzystwa bobrów budowały pracowicie swe wymyślne żeromienia. Smętek podchodził, czaił się i podpatrywał ich pracę, ażeby je chwycić w żelaza i niewody. Nad nim zaś plamisty ostrowidz, ryś, przytulony do konara i upodobniony do pstrej kory drzewa, czyhał na wędrowne sarny i łanie jeleni pielęgnujące swe małe. Ciszę głuchą tych łowów przerywało ciapanie odyńców żrących żołądź i bukiew w oparzeliskach i gozdach.

Podczas wietrznych dni marca zjawiał się w postaci wędrownego otroka na piaszczystym międzymorzu, gdy cały lud rybacki z żonami, dziećmi i niedorosłkami uroczyście wyciągnął na strąd z toni wielki niewód kołowrotny. Ciągnął i on linę zarzuciwszy szlę przez ramię i podnosił wraz z innymi okrzyk radosny, gdy dwudziestofuntowe łososie rzucały się w ciężkim matni brzemieniu. Zajadlej niż ktokolwiek dobijał karkulicami wielkie ryby skaczące po piasku wybrzeża. Lecz gdy prastarym obyczajem następował podział rybitwy na parły: rybak dorosły - cały part, niewiasta dostawiająca sieci - pół partu, dorosły chłopiec i dorosłe dziewczę - ćwierć partu, a dziecina - pół ćwierci, wdowy zaś, chorzy i starcy, którzy żadnego w połowie nie brali udziału również ich część połowu - otrok przychodni podnosił głowę, wyśmiewał stare, dziwaczne prawo i zwał je krzywdą tęgich chłopów, którzy całą rzecz wykonali. Podniecał chciwość ich, dziedziców toni na Wielkim i na Małym Morzu, ażeby dla siebie samych całki połów zagarniali.

Czerwcowe i lipcowe noce trawił z rybakami na czólnie w odległości morza dla połowu wielkich storni i mniejszych gładys, bańtek. Zapuszczał wraz z innymi włók z matnią po gruncie chodzącą. Gdy ciemne żagle leniwie zwisały, a w gwiazdzistym niebie pawłoki nieruchome chmurek tkwiły niezmiennie jak gdyby ucieleśnienia tchnień górnego powiewu, mówił tym zasłuchanym prostakom, ciemnym zjadaczom ryby, co życie trawia na swym jałowym, przez burze potarganym przylądku, o dalekich ziemiach, cesarstwach, ludach czarnych i żółtych. Mówił im o straszliwych oceanach, cichych fiordach, niebotycznych górach, na których wieczny lód leży i śnią czarujące, modrowode jeziora - o gorących pustyniach, poprzez które brną karawany dwugarbnych zwierząt deptąc kości zasypane przez piaski latające. Mówił im o prastarych, wielkich miastach, o wojskach zakutych w żelazo, o bitwach tak straszliwych, iż rzeki krwi z nich wypływają w niziny - o bogach wszechpotężnych i królach usiłujących boską władzę pozyskać.

Lecz oni, poczytując te gadaniny za baśnie wymyślone przez łgorza i mało sobie ważąc bogów albo i królów dalekich, pustynie i góry, dwugarbne zwierzęta i bitwy - pytali, co jest za tymi oto zamglonymi cyplami, co jest tam, za ostatnią smugą ziemi, czego już w najczystszy dzień jesieni oko ująć nie zdoła. Mówił im tedy o precudnym ostrowisku Rany, które kredowymi ścianami spada w błękitny morza. Mówił im o Stopnicy kamiennej, górze podziurawionej przez ptactwo, które sobie w niej gniazda wykuwa: - białogłowe mewy, jaskółki i morskie wrony, normandzkie kaczki i rybne orlice. Opowiadał, iż tam, jak daleko wzrok zasięgnie, bałwani się wokół ptactwo i wszędy stoi w oczach ni to chmura - w uszach zaś trwa nieustanny pokrzyk, klangor, pisk i szelest ptasi jak gdyby odgłos morskiego przypływu. Tam to, wśród rojów pierzastych, na półwyspie witowskim, w dąbrowie świętej, od wieków stoi chram boga Swantowita, czterogłowego syna słonecznego. Ten ci to bóg daje przepowiednie, czy w listopadzie obfity będzie połów śledzi u brzegów, i głosi wyrocznie, kiedy z przystani na zbój szczęśliwy należy wypadać.

Rozповідаł, iż tam daleko, za tamtą oto mgłą nadwodną leżą miasta prastare: Stargard w ziemi Wągrów, Weligrad i Raróg, prześwietny Wolin pełen Jutów, Słowian ze wschodu, modlących się żarliwie i czołem bijących przed złotolitymi ikonostasy, i rozmaitych barbarzyńców z południa świata. Tam leżą miasta: Dymin, Kamin, Szczecin, Kołobrzeg... Mówił im, iż za górami, za lasami, w południowej stronie urodzajnej Polan krainy, skąd przywożą zawsze sól i chleb biały, stoją wzdłuż rzeki Wisły świątynie bogini Izydy i cerkwy bożyszczka Mithry, wzniesione przez rycerzy z południa przybyłych. Naszeptywał im wraz, tym pracowitym i ciemnym nędzarzom, dobre, przyjacielskie rady, żeby samym te wszystkie cuda zobaczyć. Gdy burza zimowa na haki ich brzegu wyrzuci korab przejeżdżających barbarzyńców - rozbitków nie ratować, a jeśli wywłóczyć na strąd, to po to, żeby ich dobić, obedrzeć i wraz z ciężkim głazem u szyi na niezgłębione zepchnąć przepadlisko morza - samym sudno opanować, szaty jego potargane naprawić, dziury w kadłubie załatać, smołą zalepić, oręż przysposobić i na zbój morski biec.

Gdy się najstraszliwsza z burz zimowych rozpęta, zachodnim wichrem gnana na piaski wysokie Helu, wzdęte morze w prysk pójdzie, stanie się jak żelazo i jak żelazo zbieleje - bałwan wielkości Jastrzębiej Góry za bałwanem pobiegnie poprzez cieśniny trójwyspu - gdy siła niepojęta ode dna wody zacznie wymiatać, bełty zwierchnie ponad brzegi podnosić, piaski denne wygarniać, skretem wiry zawijać nad niedosięglymi zdradami - wtedy właśnie cichaczem wyjechać. Płyną ze wschodu na zachód, od Nowgorodu do Stargardu i z Wolina do Gdańska kupieckie okręty pełne cudnych futer, srebrzystych i białych, niebieskich i czarnych kozuchów owczych, miodu, wosku, chmielu, wina, czarujących wyrobów ze złota i srebra, z żelaza i brązu, broni dziwnej i pieniędzy okrągłych, z rytym po dwu stronach obrazem - pełne koni i zwierząt - pełne na j cudnie j szych kobiet - na sprzedaż. Po nocy, w ślepią wichurę i nieszczędną ulewę na pokład się wdrzeć, straż milczkiem zasieć i wykluć, płócienne skrzydła i szaty zdziurawić, żeby korab nie uszedł, i do swego brzegu wielki kadłub przyciągnąć.

Gdy rankiem w milczeniu rozmyślający wracali, żegnał ich skinieniem głowy, pewien, że nie zapomną nauki. Szedł do rozkopujących ławice piaszkowe i brodzących wśród mielizn, żeby na bryłę bladego jantaru natrafić. Ludzie obleczeni w skóry brnęli po pas i po szyję z sieciami w kształcie czerpaków, łowiąc morską kidzenę, żeby ją pilnie przepatrywać, czy wśród traw i porostów nie widać cennej zdobyczy. Trafiali bowiem na różnoforemne, płaskie i podłużne bryły, wielkie jak dwie pięści dorosłego mężczyzny, a nawet na olbrzymie, o stopie średnicy - na okazy doskonałej formy, kształtu i rozmiarów dojrzałej gruszki-panny, lub na kule podobne do kropel stężyłych na wzór owocu morela. Jedne z tych znalezisk miały na sobie powłokę, chropawy nalot z piasku czy gliny, przywarły na głucho, który dla przejrzystości wewnętrznej stanowił szatę złotawą - inne były całkiem nagie, jakby odłamane od znacznie większej calizny, a w złamaniu swym gładkie i aż do dna czyste, dające się przejrzeć na wylot. Barwa tych dziwotwornych darów morza była przeróżna: wiśniowa jak przeczysty miód młody albo niemal czarna jako miód prastary - żółta niby wosk lub bława jako obar żywy, ciekący z sosen na wiosnę. Niektóre odszczepy i ułamki były w kolorze zamglone, mleczne, zielonkawe, brunatne - niektóre zaś miały w sobie niby naśladownictwo kłębow dymu. Jeszcze inne w nieskałanym swym przezroczu tały nikle, białawe żyłeczki, przypominające do złudzenia w szczególnym zmniejszeniu odnóżki i prążki kapuścianego liścia.

Smętek, dostawszy w swe ręce te lekkie kamienie, siadał na brzegu i przepatrywał ich wnętrza. Zawierały w swej głębi krynicznej komary, muchy, mole, skrzydełka ważek, nogi pajęcz-

ków, mrówki, maleńkie nie widziane chrząszczyki, ćmy, szczątki kory i gałązek, kwiatuszki, okruchy szyszek, igły przedziwnych sosen, jakich już nie posiada ta ziemia nigdzie na całym swoim obszarze, kępki mchu, krople wody, ziarenka piaskowe. Nabywca uśmiechał się patrząc w całkowitą postać łątki nadwodnej, tak nikłą i małą, iż w przezroczystym bursztynie na wskroś przezroczyste było jej subtelne ciało, niczym obszar powietrza określony pewnym kształtem nadobnym. Dumął, iż oto od prawieku, od zamierzchłych dni tego globu mu-
mia jej istnieje i istnieć będzie, łamliwa tak i krucha - aż do skończenia świata. Przemieniły miejsca swego pobytu łańcuchy gór, oceany i morza - przesunęły się do innych okolic moreny wiecznymi borami okryte - pędziły z gór w niziny rzeki nie istniejące już dzisiaj - przesunęły się wybrzeża potężne - lodowce pełzały w ciągu lat tysięcy w nize dalekie - a mała wa-
żka przetrwała. Bystre potoki niosły bryłę bursztynu, tłukąc ją o głązy chropawe, obrabiając w kształt kuli, nurzając ją w glinach i ilach, każąc jej zwiedzać pokłady szlamów głębokich, płukać się w głębiach morza, ocierać o paszcze potworów i kołysać wiekami w burzach wielkiego Bałtyku. Mała bryła bursztynu szła może w popławach Prawisły, gdy ku zachodowi zmierzała, Odrą będąc zarazem i Wisłą, w żłobowisku ku Morzu Niemieckiemu zwróconym, które w miejscu Łaby dzisiejszej wywalało się w morze.

Mała bryła bursztynu kapała się może w falach tych wielkich wód pradawnych, które przebiegały niezmierne polskie lasy i pola, rozdoły i niziny - w jeziorach podłużnych niby rzeki urwane, bez początku i końca, gdzie reszty przedwiecznych wisł zostały. Mała bryła bursztynu wyciekła z łona sosny nie znanej nam i obcej, obok której rosły palmy wszelkiego rodzaju i kształtu, słodkie kasztany, eukaliptus i magnolia, dęby, jałowce i buki.

Gdy ciepła ojczyzna bursztynowej sosny z jej morzami zastygła, zziębła i wymarzała pod lodowcem straszliwej grubości, on tylko sam ocalał, żywy płyn drzewa dawno zmarłego. Do obcej ziemi i do cudzych brzegów przybijał teraz oto rozbitek ze światów słonecznych, pogrzebionych na wieki. Smętek pozdrawiał wiecznotrwałość łątki małej. Lubował się postacią towarzyski w nieskończonym trwaniu. Żałował jej, iż - tak urocza i zwiewna - nie ma prawa do ruchu, prawa do rozpostarcia skrzydełek, ażeby z więzienia wyfrunąć i na równi z nim samym przestwory wieczności przemierzać. Pocieszał ją jednak pewnym sekretnym wskazaniem. Mówił jej, iż w ludzkim pleminiu, co się za potężne poczytuje nad wyraz, mocarz niejedyn - sam syn Kambizesa, król nad króle, Cyrus Wielki, który potęgę Persów ufundował i nad całą Azją skinienie swoje rozpostarł - sam król Dawid, pastuch i monarcha, znawca serca ludzi i wieszczbiarz - sam margraf Gero, nieubłagany plemion tępicieł i budowniczy nowej potęgi na gruzach - oddałby połowę państwa i połowę życia, gdyby mógł patrzeć tak oto w kształt najdroższy, nawet zagasty i znieruchomiały - ten umiłowanej małżonki Kassadany, a tamten w postać syna, przełożonego w miłości ojcowskiej ponad zdobycz i władzę, ponad złoty tron i prawo przemocy nad ludami - umiłowanego bardziej niż życie. Któryż z mocarzów nie odrzuciłby berła i korony, byleby mieć przed źrenicą cień nieruchomy skarbu duszy swojej, zamurowany a widoczny w przezroczystym polu czterech ścianek czarodziejskiego bursztynu?

Smętek zachwycał się nieskazitelnością pewnych rodzajów jantaru, która była tak niedościgła jak czystość wody morskiej w dalekich okręgach żywiołu - jak jasność słoneczna - która była tak nieposzlakowana jak miłość siostry rodzonej dla rodzonego brata, jak miłość sióstr Heliad dla Faetona rażonego piorunem. Sami to bowiem bogowie litością zdjęci przemienili siostry lamentujące po stracie w topole, a strumienie ich łez w sok płynny, z którego bursztyn się rodzi.

Ważąc na dłoni czulej ten obraz miłości serca siostry dla brata, Smętek kiwając głową pocieszał zewłok łątki małej, iż jeśli nie ona sama, to ten wiążący ją przedziwny kamień Bałtyku, ta niby to martwa bryła jest istotą żyjącą i czułą posiada duszę. Uśmiechał się, wrzucając do sakwy swej ten kamień bez wagi, ten martwy złom, obdarzony - jak mniemał grecki filozof - sercem czującym. Ścisnął w dłoni swej tajemniczy kamień Bałtyku, nie życząc sobie, ażeby ludzie posiadli go i poznali sekret jego duszy, nieznanego elektron bytu. Nabywał za drogie pieniądze ten widomy znak zniszczonych łądów i zaginionych potoków wody, pamiątkę czasów, o których sama baśń zgasła, oczywisty i dotykalny plód tamtej ziemi - *genitum terrae* - którego nazwę oni po swojemu, w prostactwie swym, na swe własne słowo - jantary - przerobili. Jako kupiec z greckiej czy italskiej krainy Południa obdarzał tych ludzi narzędziem morderczym z brązu, połyskującą mieszaniną miedzi i cyny, do którego oczy ich śmiały się z radosnym pożądaniem. Płacił im również pieniądzem srebrnym, obrączkowym, z rytym obrazem wozu czterokonnego albo czoła okrętu, z postacią Janusa, Aretuzy, Mitrydatesa z Pontu, Jowisza, Apollina, Herkulesa. Pieniądze te chciwie chwyтали i pracownicy, pod sekretem przed czymkolwiek spojrzaniem zakopywali wnet w ziemię. A gdy pieniądze na miejscu jantaru w ziemi ukryli, poświęcali je czartu na przechowanie. Tedy strzegł pilnie srebrnych denarów, a ciemnymi nocami przesuszał je i przepalał. Kto zaś z ludzi ujrzał ogień przepalających się skarbów, rzucał nożem albo kryciem z prawej nogi, gdyż wtedy zostawały tuż pod wierzchem. Inaczej na siedem sążni zapadały się w ziemię i sam jeno czart mógł wiedzieć, gdzie się znajdują.

Teraz, w tym przecudnym dniu wiosny Smętek sam jeden wędrował. Brodził po kolana w trawach, w kwiatach się nurzał. Minał dolinę między dwiema siostrzanymi wydmami. Wszedł na wyniosły szczyt radłowski, gdzie jeszcze ziemia wywrócona leżała na prastarym cerkwi-sku przy poszukiwaniu przez najeźdźców skarbu praszczurów. Zstąpił w dolinę zmierzając ku morzu. Rosła tam iwa nad ponikiem, który z boku góry wyciekał pojąc brzozy, jaskry i sitowie. Smętek uciął pławinę wierzby młodocianej, oprawił ją, starannie ostukał i wykręcił fujarkę sponad sęczków przyciętych. Zagrał samemu sobie śpiewankę wiośnianą.

Słońce nappełniło to najpiękniejsze uroczysko ziemi światłem zyciodajnym i nienagannymi cieniami polotnych obłoków. Równa łąka dna doliny zasłała. Przykre góry ze wszech stron ją obiegły, a las ciemny, prastary rozpostarł się na górach. Tysiąc ptaków śpiewał w gajach, a nad trawami niby fruujące kwiaty polatywał tysiąc wielobarwnych motylów. Smętek miał za sobą żółtą górę żarnowca, płonąca jak gdyby stos ognisty - przed sobą, jakby w objęciu dwu wyniosłych pagórów, miał lazurowe wody morza. Śmiały się migotliwym lśnieniem, mełgały się iskrami żywymi te fiołkowe przepaście.

Pochwycony przez melodię szczęśliwą, która z jego ligawki jak śpiew ze słowiczej gardzieli wionęła, zakołysał się, zaniósł od melodyjnego płasania. Zatańczył. Od pobraża do pobraża lasu z prawej i lasu z lewej, w poprzek niewysłowionej doliny unasał się w dźwiękach szczęśliwej piosenki, na sprężystych i giętkich kolanach.

Zakołysały się nie od poddmuchu wietrzyków, lecz od toniki jego uniesionej melodii drzewa prastare - dęby i buki, graby i lipy - słały się w ślad jego płasów poszumy sosen zielonych. Zakołysały się złote głowy brzozy białych, stojących rzędem na leśnym skraju, osnute zwieszonymi baziami. Pochylały się za nim główiny różane i niebieskie młodocianych kwiatów i wysmukłych ziół. Rojem pofrunęły żółte i błękitne, białe i wielobarwne motyle. Tam się w swym locie rzucały ciężkie pszczoły, dźwigając w wolach przelotowych brzemiona wonie-

jącej żywicy i pyłów zlizanych na dnie kwiatnych kielichów, których subtelne narządy zdruzgotały nogami, gdzie doskonale piękny rzut jego stopy migał nad zielenią trawy rosą zmoczoną. Zatoczył nad nim strzeliście krąg doskonale okrągły - świszczący w czystym lazurze jastrząb płomykowany brunatno, który właśnie opił się był ciepłej krwi i nazarł drgających piersi gołębicy, a teraz czuł szczęście siły niezwyciężonej, potęgę zasilonej dumy i moc szerezenia śmiercionośnego postrachu, łaskę panowania i prawo swe święte do mordy, dane mu w lenno z wyższa - jako wzmożoną doskonałość szponów i czarownic lekką, weselną moc skrzydeł. Wysunął się z pachnącego bugaju wilk rudy, który był właśnie dopadł kotnej zajęczycy ociążał w ucieczce i pochłonił ją wraz z płodem, w smaku rozkosznym, drgającym od żaru matczyngo łona. Syk uwielbienia posyłały mu ze swych dziupli jarzębate sowy, morderczynie makolągów, dzierlatek, strzyżyków i sikorek. Wykrzykiwały na cześć jego tańca zgiełkliwe pochwały krasnopióre żolny, które w lot zabijają lekkoskrzydłe motyle i ociążałe żuki. Szybowały za nim jaskółki loty niedościgłymi dla spojrzenia, naśladowującymi jego tańiec, wesoło i wśród świegotu pożerając niewidzialny świat muszek i nikłych komarów. Wysunął się z nory lis rdzawy, który miękкими krokami zaniósł był dzieciom matkę kuropatwę i potłukł ciepłe jej jaja. Wypełzła ze swej szczeliny śmiercionośna żmija, która dopiero co naciśnęła pęcherz podzębny o różane, opalone ciało i z rozkoszą przedziwną nasaczyła jadu w ranę nóżki dziewczyneczki radosnej, zrywającej żółte kaczeńce w tym czarującym rozdole. Płowa łasica wymknęła się na światło z wypróchniałego pnia wierzby, gdzie potargala piersi i przegryzła gardziółko świętobliwego skowronka, schwytanego w nieomylnie pazury, gdy po ukończeniu natchnionej pieśni w niebiesiech przypadł do grudki zimnej ziemi, ciałeczkiem jego przygrzanej, aby uciszyć serce rozkoszą wznoszenia hymnu ponad miarę strudzone. Brunatny niedźwiedź bartnik podźwignął się na swych szerokich podstawach, stanął pionowo i na wzór Smętka zatańczył doświadczać wysokiej a rozkosznej złudy i najżywszej swojej radości, jakby w tej właśnie chwili pod osłoną gęstego kozucha, wpośród dzikiej podniety załamania się w jego skórze zajadłych żadeł i kolców, wydierał całkowitą barć, mieszał prawą łapą miód, wosk i rojące się pszczoły, a chciwie żywą, gorącą masę połykał.

Wzrok Smętka, tak straszliwie płomienny i zapamiętały, jakby w nim zawarła się w tej chwili moc wszystkich drapieżnych zwierząt, mordujących ptaków, zabójczych gadów, skorupiaków i ryb, jadowitych komarów, trujących jagód, roślin i grzybów w jedno zestrzelona, potęga trucicieli i morderców, gdy zdobycz swą rozszarpują, zabijają ukąszeniem, ciosem, podstępem lub zdradzieckim czyhaniem - miotał się w górę i na strony, po powierzchni ziemi i morza, padał w głąb utwierdzenia i w nadobłoczne wyżyny. Zewsząd niósł się ku niemu poklask tajemniczy, sekretna pochwała, hymn jednej jedynej zgody, zarazem czucia, myśli, żądzy wysiłku i dokonania w skutku śmiercionośnym. Łamanie stawów, chleptanie krwi, rozkosz, gdy od zadanego ciosu lub jadu serce drży, szamoce się i przestaje uderzać, wzrok zagasa i moc życia się kończy - owiewało jego słuch we wszechistnienie wydany. Płaz jego stał się arcydoskonały w obliczu dokonywującej się śmierci. Lędźwie jego same się niosły wśród kwiatów zdeptanych.

Ruch jego każdy był celowo nieomylny, jako rzut skrzydła jastrzębia rylcem doskonałości we wklęsłych cyrklowany niebiosach - jako uderzenie płetwy rekina w morzu - jako przebiegłe stąpanie gromady wilków, gdy na czyjaś nagłą śmierć dybiąc następny wkracza w ślady poprzednika tak umiejętnie iż tylko jednego trop zostaje - jako świadomie trafne lisa pomknięcie i jako prześliczne wywijanie się skrętów żmii.

DRANG NACH OSTEN

Długie i straszliwe wojny przepowiadało ukazanie się spienionego odyńca o białych kłach, który wychodził ze świętego jeziora, ażeby tarzać się w trzęsawiskach nadbrzeżnych.

Gdy od chłeptania i rzutów w kąpieli bryzgało bagno Doleńskiego Jeziora, którego wody przed każdą wojną obtoczyły się w powłokę krwi i popiołu - gdy kobiety, pełzając po ziemi, z trwogą i wśród szlochów rozchyłały badyle trzciny i pędy sitowia, aby spojrzeć własnymi oczyma na dokładny obraz i wierną podobiznę, na tę okrutną zapowiedź wojny, Smętek cichymi i podstępными krokami okrążał jezioro, naciągał lekki łuk z gibkiego pędu jałowca i puszczał strzałę z trzciny, ażeby wściekłego dzika niechybnymi ciosy rozjątrzać i poganiać. Okrutna świnią, ze strzałami tkwiącymi w bokach i grzbiecie, parszcząc dźwigała się z wyleżanych kałuży, szła na oślep w inne, żeby ćpać napotkaną strawę, lochać się, babrać i nurzać, zmieniać miejsce zniszczenia i z radosnym chrząkaniem na odpoczynek się walić.

Powziąwszy od kobiet swych wieść o wyjściu wieprza wojny z niewidzialnych legowisk, wojownicy plemion weleckich - Ratary, Doleńcy, Chyżani, ci znad morza od Trawny, znad Warny, zza Pieny, znad Wkry - oraz inni między Łabą i Odram - znad Winawy, Sprewy, Hoboli - wreszcie inni, dalecy - Byeńcy i Moraczany, Lutycy z lasów, Sosny i Dęby, Lipy i Lubuszanie od puszczy i błot, gdzie Warta do Odry potoki swoje wlewa, Łużycanie z południa i Obodryty z północy wyprawiali posłów do świątyni Swarozycy w Radgaście.

Był bowiem gród pewien w ziemi Katarów - Radgast - trójkątny, z trzema bramami, otoczony ze wszech stron borem wielkim, nie tykanym przez ludzi od wieków i głęboko czczonym. Dwie bramy świątyni stały otworem dla wszystkich pątników, trzecia, najmniejsza, wychodziła na ścieżkę wiodącą ku jezioru bliskiemu i straszliwemu nad wyraz. Nic nie było wewnątrz, jeno cerkwa z drzewa wystawiona przemyślnie, podtrzymywana u przyciesi rogami zwierząt dzikich. W głębi stał posąg Swarozycy ozdobiony złotem, o łożu szkarłatem pokrytym. Bożyszczę trzymało w lewej ręce topór dwusieczny, na głowie jego siedział ptak z rozpuszczonymi skrzydłami - na piersiach wyobrażone było godło narodowe: czarna tura głowa. Dookoła posagu stały święte chorągwie Weletów, godła i znaki plemion podległych wielkiemu wiecowi, wisiały zbroje, tarcze, miecze i kopie, rogi wojenne i wielki róg ofiarny. Ściany i słupy pokryte były rytymi w drzewie podobiznami zwierząt i ptaków o zabarwieniu jaskrawym, tworzącym obraz prastarych walk, prac, wierzeń, podań, wspomnień, przesądów klechd, zabobonów. Pod dachem czerwonej barwy, wysokim, spadzistym, gołębie przelatywały swobodnie z miejsca na miejsce, z jednego krańca świątyni na drugi. Jaskółki gnieździły się bez trwogi w załamaniach belek i krokwi, w wieńcach węglów i rysiów, ponad tkaninami zrabowanymi na wyprawach dalekich, a nawet lepiły swe gniazda u samych ust słonecznego bożycy, którego drewniane piersi wolno im było kalać smugami wydzielin. Wiatr niósł podczas zawiei tumany śniegu ku ścianom. Czasu letniej spiekoty do wnętrza pogrążonego w tajem-

niczym półcieniu poprzez szpary wstępowało światło przyćmione, wyróżniając na ciemnym tle występy belek, trzony, słupów, zarysy wiązań i tajemniczą twarz świętej kłody.

A gdy którekolwiek z plemion weleckich miało rozpocząć jedną z zaczepnych czy obronnych wojen z Jutami czy Sasami, przede wszystkim pytało o wyrok Swaróżyca Radgasta w ziemi Katarów.

Po złożeniu ofiary z pachnących kwiatów, z róż, ruty, barwinku, rozmarynu - z wieńców, z owoców - ze zwierząt, ptactwa, a częstokroć krwawej ofiary z ludzi, z książąt, z biskupów na wojnie pojmanych - kapłan ustanowiony dla obsługi świętego miejsca, biało odziany, z włosami w warkocz długi zaplecionymi, wróż główny, koniędz, który sam jeden miał prawo zasiadać wobec bożyszczka, gdy wszyscy inni przychodnie stać musieli - zakopywał losy w ziemi.

Wymawiając zaklęcia tajemnicze, pośpiewując niewiadome dla nikogo strofy pieśni, wróże podwładni wykopywali z przerażeniem losy i przypatrywali je pilnie, ażeby coś niecoś pewnego o rzeczach tajemnych można było orzec. Po wtóre przykrywali losy darnią zieloną oraz zatykali w miejscu przed chramem trzy pary włóczni w jednakowym oddaleniu jedna od drugiej. Do każdej pary przywiązywali trzecią kopię na poprzek.

Koniędz najwyższy, odmówiwszy modlitwę sekretną, a spaliwszy kadzidło z wonności i jantaru, rozchyłał w najpokorniejszej postawie barwiste zasłony i wyprowadzał z ciemnej sieni kontyny wielkiego czarnego rumaka, który za wyrocznię był poczytywany. Trzymając wodze uźdźienicy wróż wiódł ogiera świętego do kopii zagradzających dziedzinę.

Jeżeli koń przeskakując przez kopie poprzeczne podejmował najprzód prawą a potem lewą nogę, poczytywano to za szczęśliwą oznakę i wróżono radośnie o pomyślności wyprawy.

Jeżeli choć raz jeden lewą nogę najprzód wyrzucił, odrzucono sam nawet zamiar przedsięwzięcia. Porównanie orzeczeń losów zakopanych w ziemi z zapowiedzią wysnutą z kroków wieszczego rumaka dawało ostateczną wyrocznię. Tłum ojczyców nisko nachylony, przypadający do ziemi, ażeby przed osądem bóstwa czołem uderzać, odchodził z otuchą lub w głębokiej rozterce. Gdy wyrok boga wróżył wyprawę szczęśliwą, drużyny plemienne, pilnujące każda swojej chorągwi, godeł i znaków, wynosiły z bożnicy *insignia* i powierzały je wojskom na wyprawę idącym.

Ileż to razy w ciągu stuleci przed wielkimi wojnami święty koń najprzód prawą nogę wyrzucał! Ileż to razy wielka rzeka słowiańska, Łaba, zakrwawiła się od zwycięstw Obodrytów w zapamiętałych bitwach z nienawistnymi Sasami!

Ileż to razy plemię chobrych Wągrów w walkach z Danami, Normanami, Jutami na lądzie, na lodowiskach zatok i przesmyków, na łodziach piratów roznosiło postrach słowiański w dalekie półwyspy, mierzeje i ostrowiska!

Ileż to razy potężne związki Weletów wypadały z lasów swych, znad jeziora, z drewnianych grodów, z morskich zatok, przystani, wysepek, aby na lądzie i morzu mordować, palić i niszczyć!

Ileż to razy Ranowie ze swych białych przylądków i półwyspów - Mnichów, Jasmund, Witów, Wałów, Chełm i Zudar - z cienia świętej puszczy w Arkonie skaczą w setki korabiów, ażeby siwe morze na wschód, zachód i północ przemierzać!

Ileż to razy róg Swaróżyca rozlegał się po tamtej, lewej, załabskiej stronie dla obrony krain osadzonych przez cesarza Karzela!

Ileż to razy za czasów Pobożnego Ludwika płonęły nowo-założone przez Sasów w słowiańskich lasach grody, twierdze, warownie, zamki, biskupie katedry, klasztory, księża parafie, puszczane z dymem przez zatwardziałe pogaństwo Lutyków!

Obodryci w długich, w ciągu stulecia toczonych zmaganiach z Sasami, zaprawieni do krwawej wyprawy, idą przeciwko niemieckiemu Ludwikowi, napadają na Hamburg, ażeby ujście Łaby ogarnąć.

Walecznie bronią się przeciwko zamachowi saskiego grafa Ottona, stróża nad Łabą, przekraczają tę rzekę, wpadają do Turyngii i straszliwie ją niszczą.

Gdy na tron cesarski wstąpił Ptasznik, zaciekły wróg słowiańskiego rodu, niezwalczony napastnik, po wielokroć skrwawiły się jego legiony w lasach prawego brzegu, po wielokroć znajdowały zgubę w głębokich jeziorach, u brzegu bystrych rzek, w bagien topielach.

Gdy graf Bernhard zażądał daniny od całego wieceu Weletów, ci wspólnie z innymi plemionami twierdzą jego obiegi i zburzyli, załogę wysiekli, a miasto puścili z dymem. Wówczas wszystkie słowiańskie plemiona porwały się do powstania.

Za wielkiego Ottona comes Herman Billung i krwi słowiańskiej nigdy nie syty margraf Gero od nowa podnieśli przeciwko Niemcom oręż wszystkich związkowców. Gero, do szczętu rozbity, musiał za Łabę uciekać. Porywają się do boju wszyscy - Obodryci, Welety, Doleńcy, Sosny i Lipy, wszystkie rody aż po Odrę, w obronie posad ojczystych, z wyjątkiem wyspiarzy Ranów.

We dwa lata później Ratary wynoszą z cerkwy wojenne chorągwie i na długie lata biorą na się przewodnictwo w najzaciętszych bojach, w krwawych walkach z Niemcami. Wokół Doleńskiego Jeziora i świętego Swarozycza lasu toczy się w ciągu lat szeregu bój bez końca.

Za Drugiego Ottona nowe powstanie słowiańskie ogarnie przestwór cały od Łaby aż do Odry. Przerzuciwszy się na lewy brzeg wielkiej rzeki ogarnie Turyngię i Saksy. Po wielokroć na nowo wybudowane kościoły i klasztory zostały przez Słowian na nowo zburzone, a ziemia miejsca, gdzie groziły, zaorana pługiem. Władze świeckie i kościelne wymordowano do nogi. Pogaństwo z całą potęgą odżyło. Róg Swarozycza rozlegał się nad rzeką Solawą. Powstańcy gnali Niemców przed sobą jako płochę, rozpierzchłe jelenie. Trzydzieści legionów słowiańskich, pieszych i konnych, czyli z górą sześćdziesiąt tysięcy ludzi, pod przewodem chorągwi świętych i przy odgłosie rogów wyniesionych z Radgasta przekroczyło Łabę i na wybrzeżu rzeki Tongery do krwawej stanęło bitwy.

Niemcy pod wodzą arcybiskupa Gizilera nie zdołali zbuntowanych pokonać. Panowanie niemieckie między Odrą i Łabą na długie lata runęło. Chrześcijaństwo znikło. Cześć bogów i gminna swoboda na nowo odżyła. W ciągu wielu lat, gdy Otto Drugi poszedł w kraje Południa i krwawe boje tam toczył, Obodryci i Lutycy czynią nieustanne na Saksy wyprawy.

Za małoletniego Ottona i za rządów jego matki Teofanu, w ciągu szesnastu lat Obodryci i Lutycy znad rzeki Łaby, którą obsadzili jako swoją bojową granicę, przedsiębiorą nieustanne napaści. I nadaremnie Niemcy usiłują odebrać choć część tego, co czasu wielkiego powstania za Ottona Drugiego między Odrą i Solawą stracili.

Ileż to razy w ciągu stulecia przed wielkimi wojnami święty koń najprzód lewą nogę wyrzucał! Gdy na tron cesarski wstąpił Ptasznik, zaciekły wróg słowiańskiego rodu, niezwalczony napastnik - Merseburg, Kwedlinburg i wiele innych miast w Turyngii i Saksonii murem otoczył, niezdobytym dla kuszy. Na przedmieściach merseburskich udzielił przytułku wszystkim złodziejom i rozbójnikom, osiedlił ich w podegradziu i uzbroił, z jedynym warunkiem, ażeby w każdej chwili byli gotowi do zbójckiej na Słowian wyprawy. A wywiczyszy łotrów legiony Ptasznik podjął wojnę krzyżową przeciwko Stodoranom. Staczając z nimi krwawe boje na rozlewiskach Hobdi, oblegał gród ich Branibor. Napadł na ziemię Głomaczów, a po zdo-

byciu ich miasta zwanego Grona wydał je na łup swym żołnierzom. Wszyscy dorośli, zostali wymordowani do nogi, a niedorośli poszły w niewolę. Za czasów plemiennego powstania związku Weletów legat cesarski Bernhard z grafem Thietmarem obiegli warownię słowiańską Łączyn nad Łabą. Słowianie, w wielkich masach zgromadzeni w pobliżu, uderzyli na Niemców. Poległych na placu bitwy liczono już wielu, gdy graf Thietmar na czele jazdy z boku uderzył i odciał dostęp do twierdzy. Wepchnięta w jezioro piechota słowiańska zginęła, a tylko część jazdy ratowała się ucieczką. Wiarołomni Niemcy zgwaścili umowę, na której zasadzie łączyńska załoga im się poddała. Wszyscy wojownicy, na śmierć skazani, wymordowani zostali, kobiety, dzieci, służba i całe mienie stały się łupem niemieckim.

Kłęska związku Weletów pod Łączynem, gdzie Słowian miało zginąć sto dwadzieścia tysięcy, podjudziła Ptasznika do nowych napaści.

Wyruszywszy przeciw Łużyczanom grody ich rzucił na pastwę płomieni. Wsie wyludnił. Bezkarne ludzi zabijał, osady palił, kobiety i dzieci uprowadzał w niewolę, ludność całą z ojczyzny wywłóczył i Żydom sprzedawał na handel niewolnikiem.

W pustych i na poły dzikich połabskich wybrzeżach syn Ptaszników, Otto Pierwszy, wojenną swoją siedzibę na podwalinach Dziewina w Magdeburgu fundował.

Przed żelaznymi jego oczyma otwierało się kraiszczce słowiańskie bez granic, pełne ludzi i skarbów. Lud to był dorodny, krótkogłowy, orlonosy i czarnolicy, szczupły i smagły, kobiety kształtne, z pięknym twarzy zarysem, o drobnej ręce i nodze. Skarby były nieprzemierzone w roli, lasach, w wodzie i pod ziemią. Na tę równinę słowiańską wyszły długogłowe, białowłose z odcieniem czerwonym, bladookie z wyrazem srogości, wielkolice Sasy, o dłoni i stopie wielkiej, o ciałach tłustych, białych, poruszających się zwolna, żarłoczne na mięso i ser, skłonne do opilstwa i okrutne, z krzyżem, mieczem i powrozem, ażeby w pocie czoła nad ujarzmieniem pracować, potoki krwi wylać, ludy całe do nogi wyciąć, wygnać, wygubić, świat zbrodniami napełnić. Comes Herman Billing - mianowany dziedzicznym księciem saskim, comes Gero legatem serbskiego pogranicza od gór Harcu do rzeki Solawy. Wszystko, co było na wschodzie, miało odtąd przyrastać do dziedzictwa tych dwu władców. Tam to powstały dwie marki niemieckie: północna i wschodnia.

Na świątynię Radgasta w ziemi Ratarów i na wieszczego konia w świątyni zawziął się legat. Z Luneburga, stolicy swojej, Herman Billing rozpoczął grę z Lutykami, z Obodrytami, pełną oszukaństw i podejść. Nieprześlągana nienawiść pobudzała go do okrucieństwa środków zagłady.

Margraf Gero zaprosi do siebie na ucztę trzydziestu władców słowiańskich, a po uczcie wszystkich trzydziestu każe wymordować. Wsparty przez Karola lotaryńskiego, cesarskiego zięcia, niespodzianie na Wkranów uderzy, rozbije ich i zabierze łupy olbrzymie.

Nad rzeką Raksą zwycięży książąt obodryckich, Nakuna i Stojgniewa. Gdy książę Stojgniew na polu bitwy poległ, głowę jego wystawią na pokaz, a dookoła niej siedmuset wojowników wziętych w niewolę mordują.

W walkach bez końca ulegli Niemcom Milczanie. Pamięta wieść, iż na górze Lubin zgromadzili się serbscy królowie, żeby radzić o walce z Niemcami. Uradzili, żeby się rzucić do boju. Rzucili się do boju i wszyscy poległi. Serbowie złożyli ich w ziemi ze czią wielką na górze Lubin, każdego w złotej koronie pod jednym wielkim kamieniem. Mówi wieść, iż dotąd leżą pod wielkim kamieniem złote korony królewskie. Gdy Łużyczanie pokonani zostali, stanęła otworem południowa granica lutyckich powiatów. Tędy teraz iść będą z Magdeburga Niemców zastępy niszczące.

Biskupstwa życzańskie i miśnieńskie, czasu wielkiego Słowian rokосу do gruntu zniszczone, odbudowały się znowu. Powstały nowe kościoły i klasztory, pełne zakonnic i mnichów. Za mnichami i księżmi ciągnęły z Niemiec szeregi służby biskupiej, poborcy podatków kościelnych i dziesięciny, szli koloniści pod zastoną zbrojnych szeregów knechtów okutych w żelazo. Zaczęto się na nowo wydzieranie Słowianom własności na ziemi wykarczowanej przez nich i w puszczy wyoranej, zaczęły się na nowo sądy prawem gorącym. Obok nauki o miłości Boga i miłości bliźniego, o posłuszeństwie cesarzowi, comesowi i biskupowi stanął znowu za plecami szpieg i stanęła na placu szubienica. Kapłani z krzyżem w ręku wkraczali w ciemne lasy nad Sprewą, nad Hobolą, nad Winiewą, poprzedzając szeregi niemiłosiernych morderców. Misjonarze szli na czele zdrajców i katów, słodka wieść o miłości i odpuszczeniu winy łączyła się z nauką o prawie zdzierstwa, wywłaszczenia, wygnania i karze śmierci za uchybienie samowoli zdobywców. W miastach niemieckich, które na gruzach lub przyciesiach dawnych grodów słowiańskich powstały, królowie, książęta i wielkorządcy nadawali klasztorom i kościołom dziedziny wydarte pokonanym. Chłopi i czynszownicy osób prywatnych, niewolnicy, dwunogie pociągowe zwierzęta bez prawa do niczego, poganie nędzni i wzgardzeni szli na handel w dalekie kraje Afryki i Wschodu albo jak przepłoszone stado jeleni uciekali dalej a dalej we wschodnie lasy, kryli się przed najeźdźcą w niedostępnych kniejach i w bagnach, których koń zgruntować nie mógł i wiosła nie imaly. Inni, ograbieni ze wszystkiego, przyciśnięci przez posuchy, nieurodzaj, głód, nędzę, ciągnęli do nowozałożonych miast, gdzie na błotnistych przedmieściach i w najuboższych izbach wolno im było walczyć jak najciężej o kawałek chleba, ażeby w twardej biedzie, ucisku, wzgardzie i ciemnocie zapomnieć z czasem o rodzie swym i języku.

Na miejscach pustych osiadali przybysze z zachodu i budowali nowe miasta, nowe wsi, chrzcząc je swoimi nazwami. Dopóki Słowianie byli poganami, traktowano ich jako barbarzyńców, niegodnych obcowania z chrześcijanami. Skoro przyjmowali chrzest, i to nie było dostateczne do porównania ich w prawie z Sasami. Musieli zostać Niemcami z mowy, obyczajów i ducha, musieli iść po społu z legionami łotrów na wyprawy przeciwko swojemu rodowi, ażeby wzgardy uniknąć. Awanturnicy z całego świata biegli na ziemię słowiańską i zdobywali ją na modłę rozbójników. W czasie wyprawy rabowali i kradli bezkarnie, a gdy nastawał czas tak zwanego pokoju, bili się pomiędzy sobą i rozbijali po drogach. Metodą ich życia był rabunek, wypędzenie z ziemi, wydarcie mienia, zamordowanie, z którego za małą opłatą pieniężną łatwo było uniewinnienie wykupić.

Gdy margraf Gero Łużyczanów ujarzmił, spotkał na swej drodze po raz pierwszy nowego nieprzyjaciela, Mieszka, skławańskiego władacza. Pokonał go i do uznania cesarskiego zwierzchnictwa oraz do płacenia daniny aż po Wartę przymusił. Ale pierwszy to raz saskie niewyciężone legiony spotkały za lasami już przemierzonymi potęgę nieznaną. Wychylała się z ciemnego, tajemniczego Wschodu, oparta o nieprzejrzane, niewiadome i niezliczone w lasach polany, zagrodzona niezbrodzonymi błotami, osnuta siecią rzek głębokich. Te nowe, nieznanne ludy trzymał w żelaznej dłoni książę mężny, genialny i nad wszelki wyraz przebiegły.

Cesarzowi i jego margrafom, biskupom i opatom, którzy w świat Słowian nieśli chrześcijaństwo, a pod pozorem i za pośrednictwem chrześcijaństwa niemieckie ujarzmienie i wytępienie, zastawił drogę i wyrwał z ręki krzyż. Sam chrześcijaństwo przyjął. Nie od nich, lecz z pomocą pobratymca.

Udawał, iż nie śmie w kierei wejść do domu, w którym się znajdował margraf Hodo, udawał, iż nie śmie na miejscu dosiedzieć, ilekroć on powstawał. Ale niepostrzeżenie, cichcem ujmował pod swą władzę ludy Kaszubów od Wisły do Żarnowskiego Jeziora i od ujścia Piaśnicy aż do Odry wylewu. Pod pozorem szerzenia chrześcijaństwa, na wzór Niemców, cały prawie brzeg tej rzeki zagarnął. Gdy zaś margraf Hodo z grafem Zygfydem na Walbeku napadli nań niespodzianie, potulny lennik sprzął ich u Cedna nad Odrą za ujściem Warty, zmiażdżył na drzazgi, iż wszyscy niemieccy rycerze trupem na placu polegli, a sami tylko wodzowie Zygfyd i Hodo z podartymi chorągwiami uciekli.

Młodzieńcze ludy prawego Odry wybrzeża, zastawione mieczem i za tarczą polańskiego gardziny, otrzymały możność życia i swobodnego rozwoju, prawo spajania się w jedno słowiańskie ciało społeczne z nowym państwem potężnym, które pod imieniem Polski zajaśnieć pod słońcem miało.

Trzydzieści lat przepracował jako hołdownik cesarzów Ottonów, poniżał się i udawał wasalą, ażeby pod swe państwo przyciesi położyć. Za pomocą Kościoła złączył się z krajami Południa i kształtował swą społeczność na modłę Zachodu. Powiększał dziedzinę, wyrывая Niemcom spod ręki pobratymcze plemiona. Dla zbytu produktów rolnych dobijał się swobodnej na morzu żeglugi.

Wielkiemu synowi tę przede śmiercią główną naukę naszeptął: wyrывать pobratymców pomorskich z rąk niemieckiego siepacza. Toteż gdy młody lew na świat wyszedł, przyłączył do Polski Pomorze i wziął Gdańsk pod swą władzę. Zagarnął pas ziemi po prawej Wisły stronie aż po linię południową Drużny, po rzekę Dzierzgonię, Żuławę Kwidzyńską i Zantyrską aż po Gdańska Mierzeję.

ŚMIERĆ ŚWIĘTEGO WOJCIECHA

Nad nieskończoną puszcza kwietniowe płynęły obłoki, gdy trzech wędrowcy: Wojtech zwany Adalbertem, Radzym zwany Gaudentym i kleryk Bogusza zwany Benedyktem, wybrnąwszy nareszcie z kniei, ujrzeni przed sobą rzekę. Minąwszy setki leśnych, górskich i nizinnych okolic, płynęła niezmierna, od wód wiosennych wezbrana, zalewając brzeg niski i zmulonymi piany kásając wysokie ostrego łądu urwiska. Nie mogła zmieścić się w łożu mocnym, obrośłym bezbrzeżnymi lasami, toteż prawa jej Nogać odpadła we wschodnie niziny i tworzyła nieprzebyte strumienie i mokradła, jeziorzyska i błota, oblegające wielkim opłazem szeroki gościniec. Widzieli przed sobą jak gdyby Noteć drugą, którą właśnie wyminęli przesmykiem suchym koło Tum. Stali w miejscu, nie wiedząc, w którą iść stronę.

Lecz oto los zdecydował o dalszej podróży: ujrzeni tratwę rybacką zbitą z kłoców jodłowych, przypartą do spychów wysokiego pobraża. Na bocznym poganiaczu tej pławaczki drzemał człowiek. Zagadnęli go mową słowiańską, czyby ich nie powiódł w dół rzeki.

Chętnie przystał.

Rzekł im tą samą słowiańską mową, iż właśnie na Wiśle tej siecią i paczyną na życie zarabia. Wstąpili tedy do jego krypy prostaczej.

Młody rybak ujął w dłonie długie łopaty wiosłowe, odepchnął od brzegu stateczek swój i powiózł ich wartem skłębionym ponad wydartym w toni spodem.

Widzieli przed sobą po prawej i po lewej ręce lasy wielkodrzewne, prastare, zielone od koron sosnowych. Puszcze te młodziuchna wiosna baziami brzoź i rozkwitającego białodrzewia przetykała. Ukazywały się przed ich oczyma i nikły w smugach rozlewisk olbrzymie gnaty dębów i lip, odarte jeszcze z liści - rude polany, obłyśiałe pagórki i ledwie zieleniejące mokradła. Korytem, przed wiekami wyrwanym w środowisku tych puszczy i łąk leśnych, ponosiły ich wody pieniste w zamgloną odległość. Wysoko nad lasami płynęły obłoki wiosenne, z których jedne były pozłociste, inne jako śnieg białe, a inne o barwie niebiosów. Wędrowcy mknęli w swą drogę nie wiedząc, dokąd ich fale zaniosą. Płynęli na podobieństwo obłoków. Dusze ich były nietutejsze, lecz tameczne, nie przyrośnięte do ziemi jako lasy, lecz na wzór obłoków podlegające prawom, żywotowi i podmuchom nieba. Mieli poza sobą wielką i głuchą samotność swoją, każdy inną, każdy odmienną, każdy inaczej dotkliwą - jakoby trzy więzienne cele.

Podniosła się dusza ich i stała się na tym czólnie jedną rzekomo duszą we trzech osobach.

Zaśpiewali wszyscy wraz psalm radosny.

Kolana ich ugięły się i upadły na dyle tratwy wodą zalane, a oczy utonęły w niebie zasłanym wiosennymi obłoki. Zaśmiały się od tamtejszej, niebiańskiej radości usta najstarszego z pątników, a słowo główne wymknęło się z nich:

- „Przybliżając się do mnie w dzień, któregoś cię wzywał, mówiłeś: Nie bój się!”

Obok rudła z nieruchomymi w dłoniach wiosłami stał młodociany przewoźnik. Czarne jego źrenice wlepione były w przybyszów z obcej ziemi, a wzrok z jednego na drugiego przechodząc pytał się:

„Cóż to za ludzie?”

Oczy te, oczy wieczne, niby haki wędy zarzucały się w tonie oczu najstarszego z wędrowców, ażeby z głębi ich rybę tajemnicy wyłowić.

„Ktoś ty jest?” - pytały oczy podstępnego dociekania. Lecz źrenice tamtego, zasłonięte mgłą niebiańską, nieodgadnione były jak sama toń firmamentu. I Smętek przewożący apostoła poczuł złowrogi gniew w przepaści istoty swojej.

- „Przybliżając się do mnie w dzień, któregom cię wzywał, mówiłeś: Nie bój się!” - przepowiadały sobie jego wargi. - Kto jest pod utwierdzeniem, który się nie boi, skoro ja przy nim stoję!

Uderzyły w pątnika jego oczy wszystką mocą, ażeby go wewnętrznym strwożeniem, lękiem śmierci porazić. Zamierzyła się na serce pątnika wszystka wola i całkowity ogrom bezlitosnej wszechmocy zabijania ducha trwożą wobec niebytu. Alboż spotkał kiedykolwiek w drodze swojej twór żywy, który by nie mdlał wobec sekretnej wizji nieżycia? Alboż ostało się którekolwiek serce i nie wzdrygały się zawory jego komor, gdy je tknął z bezgłośnym krzykiem: - śmierć twoja! Alboż nie opierał potęgi swojej na zemdleńcu żył, na popłochu nerwów, na ucieczce rozumu w głuchą szczelinę zraty, gdy osiągnął pewnej myśli podspodniej, bezsilnej jak pisklątko pod matki skrzydłami? Alboż nie miał wzroku kota i sowy, który widział w nocy przeraźliwy skurcz i wstrętny dreszcz przede śmiercią? Skądże i dokąd szedł ten, co się ośmielał sam jeden być ogniskiem woli wszechświata, odbłaskiem i współbratem Wszechmocy - co się uśmiechał do niebios mówiąc, iż tam jest Drugi, który doń tylekroć mówił w dniu lęku: „Nie bój się!”

Nie bój się? Drzyj w rozpacz!

Nie zląkł się pątnik cichy. Wesole były jego oczy. Radował go rozmach skrzydeł chyżej, wiatroskrzydłej rybitwy, co się nad rozlewiska Wisły z morza dalekiego wybrała. Radował go ciemny i śliski grzbiet szczupaka, co bujną bryłę zielonej fali przeszył jak strzała wyrzucona z cięciwy. Radował go przeraźliwy wzrok sternika, co dierzaki wiosel w czarnych trzymał dłoniach.

Zawstydziała go radość własnej duszy, wewnętrzne dobro, nadmiar bogactwa, pełnia ducha opatrzonego szczęśliwością łaski - więc zagadał do współbrata wioślarza, pragnąc mu oddać połowę swojej radości. Zrazu używał pośrednictwa Boguszy, który pruską mowę rozumiał, sądząc, iż z krajowcem ma sprawę, lecz skoro Smętek odpowiadał zrozumiale w gwarze Słowian, mówili długo tą swojską mową, która jest na rozmaitych drogach rozmaita, jak wiosna, lato, jesień, zima, lecz jedna, ta sama i wiekuista jak powrót pór roku na północy i na południu, na wschodzie i zachodzie.

Odpowiadając na zadane pytanie o kraj ten i ludzi, mówił półnagi przewoźnik, iż tu w tych leśnych stronach dzika i niczym nie krępowana namiętność jest jedynym prawem dla ludzi, którzy kocują, brodzą po wybrzeżach wód, podchodzą pszczoły, ścigają zwierzęta, wybierają jaja ptasie, łowią ryby - którzy rozdierają radiem ziemię i sypią w bruzdy nasiona prosa, owsa i żyta, karmią się chlebem lub leśnymi jabłkami, palą lasy, topią smołę i wyławiają jantarrowe bryły. Mówił, iż nieposkromiona samowola tych, których bary są mocne, kolana bezlitosne, a broń w dalekich wypalona kuźniach niezwyciężona dla pięści bezbronnej - jest tu

prawem publicznym. Mówił również o prawach innych, odwiecznych, którymi rządzą się tu-tejsi ludzie po prawej i po lewej ręce wielkiego wód rozlewiska. Kobiety tutaj - powiadał - są jako rzeczy, które się zdobywa lub kupuje. Jeżeli zdobywca ich lub nabywca, a więc właściciel, umiera, giną na stosie wepchnięte nań przez tłum żywych, same poprzednio okręciwszy sobie powróż dookoła szyi. Żony i córki oddaje się przybywającym gościom do nocnej uciechy. Ojciec zabija nowonarodzone córki z zasady, pozostawiając jedną córkę na ród cały. Kobieta nie ma prawa do niczego, z wyjątkiem umywania nóg gościom i mężczyznom domowym oraz dotrzymywania im towarzystwa, gdy piją miód i kumys. Ludzie tutejsi za Wisłą i jej nogaciami palą wrogów schwytych podczas bitwy na wolnym ogniu albo miażdżą ich pomiędzy belkami. Starców, ujętych w niewolę podczas grabieży dziedzin sąsiednich, zabijają, małe dzieci roztrzaskują o drzewa lub zatykają na drzewca wojenne, młode dziewczęta uwieńczone kwiatami wrzucają po zgwałceniu na stopy płonące. Ludzie tutejsi za Wisłą i jej nogaciami czczą niedźwiedzie, wilki, mech leśny, a nade wszystko węże.

Czczą także ogień, wielką żółtą bryłę wykowaną przez kowala i rzuconą na niebo, żeby lepiej świeciła. Mężczyźni tutaj - powiadał - są wojownikami i myśliwcami, to znaczy, że żyją z grabieży albo ścigają zwierzęta. W czasie głodu rozcinają piersi kobiece dla wychłęptania zawartego w nich pokarmu.

A usłyszawszy, iż pątnicy idą z kraju Południa, sternik pytał z uśmiechem, czy tam w stronach słonecznych, w sercu świata, w miejscach świętych lepiej jest niż tutaj w zamglonej puszczy północnej? Czy tam okrucieństwo i barbarzyństwo już nareszcie ustało? Czy tam prawo wysnute z przewidującego rozumu, z niestrudzonego doświadczenia i z nieomyślnej cnoty stało się już świętym zakonem?

Zająknął się pątnik. Głucho się zadumał, nie umiał bowiem kłamać.

Prawo! Prawo! Prawo!

Przypomniał sobie prawo, które musiał niweczyć, i prawo, które niósł jako święte tablice, biegnąc drogami ziemi od krańca jej do krańca. Przypomniał sobie ojczyznę i obczyznę, wygnanie, ucieczki, powroty pod klątwą i znowu ucieczki. Przewinęło się przeraźliwe wspomnienie takrocnej zbrodni: Spitimir, Pobraslaw, Czaslaw wraz z ich żonami, dziećmi i krewnymi, bracia rodzeni wymordowani po walce zacieklej w obronie prawa do rodowego księstwa - na zasadzie prawa innego. Ach, z jego własnej przyczyny...

Ponieważ był poplecznikiem obcych w ojczyźnie, Niemców i Polaków - a był poplecznikiem Niemców, ponieważ usiłował wdrożyć w ojczyźnie prawo Chrystusa pochwycone przez Niemców. Był poplecznikiem Niemców, skoro wyrzekł się pokrewieństwa z księżęcą rodziną czeską i powinowactwa po babce z królewską rodziną frankońską - ponieważ dobrowolnie wyzuł się z praw do domu na Lubice, książęcego *sceptrum* nad piątą częścią czeskiej ziemi - ponieważ bosy i w szmatach ubogich wchodził do miasta, gdzie mu biskupem być kazano, ponieważ sypiał na gołej ziemi z kamieniem pod głową, sen dla modlitwy skracając, jadł mało, częste i ostre odprawując posty, a tylko w święto obiad spożywał - ponieważ trudził się ciężką ręczną pracą, odwiedzał chorych, wykupywał z rąk handlarzy jeńców polskich wojennych za każdy grosz, jaki posiadał - ponieważ wszystkiego pozbawiał się dla ubogich - ponieważ trawił życie na modlitwie, na kontemplacyjnym milczeniu, na rozmowach z ludźmi mądrymi i świętymi - ponieważ walczył ze światem o zakon Chrystusa - ponieważ chciał pojednać stronnictwa, skłonić naród swój do posłuszeństwa hierarchii Kościoła rzymskiego, Kościół czeski pojednać z Kościołem niemieckim, usunąć wstręt Czechów do Niemców...

Był obcy w ojczyźnie, cudzy, wnuk Niemkini, sojusznik wrogów, przyjaciel cesarski. Zająknął się pątnik o prawie, które cesarz Otto, pełnomocnik boży, cud świata, w młodocianych niósł rękach. Nie chciał być przecie Niemcem jak Ptasznik, ojciec i dziad, zaborcą i krzywdzicielem plemion, ten Grek marzący o wskrzeszeniu cesarstwa Augusta i Konstancyjna, ażeby myśl wykołysaną w rozmowach z Gerbertem, świętym Romualdem i świętym Brunonem wskrzesić na ziemi. Nie znosił przecie Niemców i pobyt wśród nich poczytywał za wygnanie ze słonecznych krajów auzońskich, ze stolicy swej, Rzymu. Tkwiła przecie w jego ekstatycznej duszy namiętność do pokuty i umartwienia, pasja do pielęgnowania czystej cnoty, marzenie, ażeby porzucić tron i zamknąć się w klasztorze. Pątnik znał przecie tę duszę, gdyż tylekroć słuchał jej najszczerzej spowiedzi.

Cesarz! Bruno, krewniak cesarski - Grzegorz V - wypędzony przez Krescencjusza. Krescencjusz młodszy, wódz Rzymu, wiekuisty spiskowiec przeciwko władzy Niemców nad Italią, poszukiwacz na całym świecie, aż do obozowisk polskiego Bolesława Chrobrego, wrogów swego wroga, niemieckiego cesarza - straszliwie przez Tammona skrwawiony. Trup jego kołysany wiatrem tam właśnie, w sercu Rzymu.

Jan Filagatos, umiłowany Greczyn, opat Nonantoli, arcybiskup Placencji, ambasador i nauczyciel cesarski, przyjaciel cesarzowej Teofanu, sojusznik Krescencjusza, po śmierci Jana XV wyniesiony na papieskie krzesło jako Jan XVI - „niewinny”. Trup jego wiszący na haku, tam właśnie, w sercu Rzymu! Z rozkazu cnotliwego cesarza, zwanego *mirabilia mundi*! Na rozkaz swego antagonisty, Niemca Brunona, Grzegorza V, zraniony straszliwie, z obciętymi uszami i obciętym nosem, z kikutami rąk odrąbanych po łokcie, z wyrwanym językiem i wylupionymi oczyma stawiony przed kolegium kardynałów po wywleczeniu go z więzienia... Młody papież Grzegorz stanąwszy przed swym przeciwnikiem zdziera szaty pontyfikalne z żyjącego trupa, każe nagiego wywlec na ulicę, przywiązać tyłem do osła w taki sposób, ażeby resztkami rąk musiał się trzymać ogona - każe oprowadzać po ulicach wśród rozradowanego tym widokiem, straszego motłochu. Każdy miał prawo lżyć i bić antypapieża, a on sam musiał przed straszliwą swą śmiercią obwozić na sobie napis: „Oto jest kara na tego, co chciał zagnać z tronu rzymskiego papieża”. Prawo!

Prawo namiestnika Baranka Bożego... Szepty ciche o siedemnastoletnim papieżu Janie XII, iż się zaprzedał diabłu i pił za jego zdrowie - iż grając w hazardy wzywał Junony i Wenery - iż dziecię dziesięcioletnie mianował biskupem w Todi - iż z pałacu laterańskiego uczynił dom publiczny - iż utrzymywał liczne nałożnice - iż w ciągu swego ośmioletniego pontyfikatu kazał okaleczyć, osłepić i więzić mnóstwo prałatów - iż nosił miecz, szyszak i pancierz...

Oblężenie Zamku Anioła przez zbirów cesarza i straszliwość obrony. Wielkie konwie gliniane kipiącej oliwy, ukrop, stosy młyńskich kamieni, belki i złomy muru padające na głowy i tarcze sług marzyciela, cudu świata. Kapitulacja Krescencjusza i przyjęcie jej przez młodego cesarza. Wtedy Krescencjusz wychodzi ze swej niezdobytej fortecy, ażeby wstąpić - o hańbo! o podła zdrado! - na najstraszliwszy z szafotów! Przekupstwo, zdzierstwo, rządy kobiet na dworze papieskim.

Serce zatrzęsło się od wspomnień, od ohydy. Krwawe dzieje płynęły wszędy długimi łańcuchami. Krew rodowa w oczach ściekała znowu po stopniach ojczystego zamku. Zemsta wybuchająca z dna duszy, jak wybucha ogień i dym z otworzeliska wulkanu nad lazurowym morzem, przygaszona nadludzkim wysiłkiem woli, zakazana samemu sobie, świętym znakiem odpuszczona, zalana wodą miłości.

Pokój Wrszowicom! Pokój Bolesławowi Rudemu I Pokój mordercom i miłość katom, którzy przyszli wydrzeć z kościoła cudzołożnicę, ażeby jej młodą głowę odrąbać. Wszakże i oni opuścili topory, gdy naprzeciwko nich samotny mężczyzna wyszedł. Pokój przyjaciółom - Kre-scencjuszowi i Filagatosowi Grekowi, wrogom cesarza, „niewinnym”, męczennikom!...

Lecz na popieliszczu, zalanym tak do cna wodą odpuszczenia, wałęsa się perzyna żalu i błąka się dym smutku, którego żadna już w duszy moc rozegnać nie może. Gdziekolwiek odwrócić wzrok - wszędzie nienawiść, zemsta, przemoc, zdrada, gwałt i przesywający na wskroś jak miecz - śmiech tryumfu ślepej siły. I tak oto zamknął się krąg przypomnień. Słowo odpowiedzi zamarło na ustach. Nie było co rzec młodemu przewodnikowi o świecie dalekim Południa. Ręka podniosła się sama, ażeby błogosławić żywotowi pozaludzkiego, widzialnego świata. Oczy upadły na lśniący grzbiet szczupaka, zieloną, nieprzeniknioną ciemność wodnej głębiny udający, co się czaił w przezroczystej topieli, ni to pocisk drapieżny, żądny zera i zemsty za istnienie ofiary jego żądry. I runął piękny, wysmukły szczupak, kat żywotowi swych własnych dzieci nie przepuszczający, w srebrzysty blask niewinnej ploteczki, co miłością ogarnięta, swawolnie w głębokiej, ruchomej podłodze wiślanych wód tańczyła. Ciemny obłok zasłonił oczy wędrowca, a myśl rozdwoiła się nie wiedząc, komu z tych dwojga błogosławić? Oczy uciekły od widoku morderstwa, a szukając dla siebie dziedziny i pocieszenia w niebiosach, trafiły na chyże rzuty płowych skrzydeł śnieżnogłowej i wielkodziobej rybitwy, co się nad falą wznosiła i zniżała czatując na żarłocznego szczupaka.

Przymknęły się oczy. Myśl uciekła daleko. Odetchnęła, wspominając niewinne i nie krzywdzące nikogo główki pochyłych narcyzów i sploty bławej glicynii, dobrej, niewinnej i czystej w sobie, za wysokimi murami na Awentynie, w Aleksego klasztorze. Przypomniała się w krótkim widzeniu biała głowa Soracte w lazurowym upale. - Przytulił się do nozdrzy zapach rozkwitającej topoli, od wzgórza świętej Saby niosący się drogą gliniastą, starą via Ostiensis, wygrodzoną opłótkami z tarniny.

Jakiż się to gorzki żal wywinał za cichą winnicą o pniach grubych, czcigodnych, szeregiem rosnących pod murem Serviusa Tulliusa! Ile marzeń spoczęło w tych bryłach wielkości wołu karmnego, w arkadach spojonych własnym ich ciężarem a otulonych bluszczami!

Wspomnienie ponosiło duszę wzdłuż tamtego muru, biegnącego między świętą Priską, Balbiną i Sabą wzdłuż mętnej wody Tybru aż do piramidy Cestiusza. Oczy widziały znowu ukochaną glebę ogrodu, gdzie motyka, roztrącając bryły zeschniętego wapniaka, naloty piaskowe i grudy trawertynu, dzwięczała uderzając o ruiny pogańskie. Mówiono, iż są to ruiny świątyni Diany, iż są to grobu Remusa podstawy. Któż prawdy się dowie? Dobrotliwa jagoda winnicy ciężko i sennie zwisała ponad tą ziemią zdeptaną przez niezliczone pokolenia półbogów, bohaterów i biednych, ciemnych prostaków - łagodnie dojrzewając w słońcu, które pali pożarem kamienie Termów Karakalli w nizinie za świętą Balbiną, kamienie wielkiego zburzyszcza Circus Maximus w dolinie zwanej Murcia, między Awentynu i Palatynu wzgórzami, i pada ognistym pożarem na odwieczną drogę Moletta, przecinając dwa bliźniacze awentyńskie pagórki. Wszyscy przeszli tą drogą Moletta z południowego cypla Remusa, dążąc do Rzymu, stolicy ziemskiego okręgu - przebiegli, oddalili się, znikli. Święta cisza została. Tą oto drogą Moletta przewieziono zwłoki świętego Aleksego wśród ciżby niezmiernej narodu, który nie chciał się rozejść, choć złoto i srebro na tę drogę rzucono, ażeby przejście otworzyć.

Aleksy, pojawiwszy za żonę córkę potężnego cesarza, w noc ślubną rozłączył się z żoną i leżał przed bramą kościelną tak długo, aż się serce Bogarodzicy wzruszyło. Wiatr go przynosi z Edessy do Rzymu. Ojciec go nie poznał i nie poznaje go żona...

Zatęskniło się, pożałowało za braćmi - za Janem z rodu Canapariów, dobrym i chorym - za Janem mądrym w Bogu, z rodu Campaninusów - za Teodorem, arcybiskupem Egiptu, milczącym - za Lwem, opatem. Alboż nie byli jak narcyzy i glicynie bezgrzeszni, czyści w sobie, niewinni? Alboż nie byli jako święty Aleksy? Cóż ich z czterech węglów świata do tej pustelni przygnało? Czyż nie tego samego szukali? Poślubili dobrowolnie ubóstwo na wzór Świętego, gotowi byli spać pod schodami w ojczystym domu, nieznani i wzgardzeni, wyrzekli się dóbr, władzy, sławy i możliwości używania rozkoszy. Pograżyli się w rozmyślający żywot na Awentyńskiej Górze, wędrując ku temu miejscu z Azji, Syrii, z Egiptu, z północy i zachodu Europy. A inni, goście - Grzegorz, krewny cesarzowej Teofanu, Notker, biskup leodyjski, Abbon, opat Floriaku, Majol i Odilon, Jakub z Afryki i nieszczęsny, najniezwyklejszy na ziemi Filagatos... Grecy i Syrowie, Słowianie i Niemcy, Francuzi i Włosi. Wszyscy dostojni panowie świata, książęta i wielkomożni dziedzice fortuny, władzy i szczęścia. Poszukiwacze ciszy i ubóstwa, marzenia w spokoju i badania swej duszy.

Wśród nich wszystkich jedna głowa najwyżej wzniesiona, na obraz Soracte w nieboskłonie dalekim, ukazała się w szybkim marzeniu.

Nilus!

Od wspomnienia tej twarzy uśmiech wypłynął na wargi pątnika. A uśmiech ten był odpowiedzią na pytanie Smętka żeglarza.

Niebiański uśmiech ten rozpałił nowy poddmuch wściekłego gniewu w przewoźniku.

Wydrzeć go jako ziele nienawistne!

Poddeptać go jako zmię jadowitą!

Do dzieła!

W natężonym spojrzeniu zawarło się pytanie:

„I cóż Nilus? Przemądrzały Grek, doświadczony profesor, głęboki sybaryta, przewidujący abnegat? Azaliż nie przedarł się za młodu przez wszystkie arkana i tajemnice zbytku, rozwiązłości, rozpusty? Azaliż nie poznał i nie zużył wszystkiego, co daje bogactwo, władza i przemoc? Czyliż nie wykwittem egoizmu, objawem subtelnej arystokracji, przenikliwą i ostrożną świadomością środków przedłużenia życia na ziemi jest jego wyrzeczenie się przesyty i zbytku, którym się przejadł i znudził, a poślubienie mądrego niedosytu i przezornej higieny? Cóż jest wart jego wiekiusty spokój myśliciela, lingwisty i kaligrafa, jego niewzruszona obojętność na burze świata w zaciszu pustelni - wobec skrytych męczarni, straszliwych popłochów i tortur wewnętrznych „zbrodniarza” Filagatosa albo zamysłów i pasyj Bolesława Rudego? Zimna jego dusza dba o siebie, o uratowanie, zbawienie samej siebie spośród oceanu ludzkich żądz i udręczeń. Wchłonęła w siebie niebiosy i ziemię, siebie samą ponad świat przeniosła i postawiła na miejscu wszechświata. Nilus odwrócił się od ojcobójców, którym pasja miłość i rozum wyżarła, od tyranów, którzy noszą w duszach dziedzictwo pradziadowskich i ojcowskich zbrodni, od dzieciobójczyń, które dźwigają na wątłych swych barkach gusła plemion i straszliwość wspomnienia uczynku wykonanego ich rękoma przez stulecia ciemności - od zbrodniarzy, zdrajców, katów, którym dzieła popełnione odebrały ostatniego towarzysza i ostatniego przyjaciela: sen głęboki. Nilus spokojnie zasypia w Panu, nic nie czując okrom troski około doskonałości swej duszy, okrom bezdusznego napawania się swoją cnotą jałową i na nic nikomu nie zdatną.”

Przetarł wędrowiec dłonią źrenice:

„Jakże to? Nilus?”

Starzec ów w izbie pustelniczej pod Bari, w cieniu odwiecznych dębów Valla Luce? Dzban wody i garść zeschniętej figi. Kamień w kącie izby jako poduszka pod głowę. Uboga i znoszona szmata jako odzież. Święte pismo tworzonych z trudem palimpsestów na starannie zatartych rozpuszczalnych utworach starożytnych pisarzy. Poznanie się, pozdrowienie, wejrzenie oczyma w oczy, objęcie duszy przez duszę. Rozmowy czarujące nie o tym świecie, lecz o tamtym, odnalezienie w sobie samych substancji anielskich i pobratanie się ich, zaznajomienie do najgłębszej iścizny, ażeby samowtór iść ku światłu wiecznemu. Praca nieustanna, wytrwała, w każdej minucie z tym samym podejmowana męstwem, ażeby pokonać w sobie zwierzę, rozpustnika, łotra, zbójcę, okrucieństwo, tyranie, żądze sławy i nałóg dosyту. Wysiłek wieczny, ażeby wyłamać ze siebie istotność inną, ponadzwierzęcą i ponadludzką, anielską. Wysiłek wieczny, ażeby być nieznanym, zapomnianym, być z dala od wszystkiego, co jest sławą, być pokornym, być cichym, być niczym, być sobą samym, być dobrym dla dobra, być uśmiechem i w łasce.

- O, mistrzu, o, bracie... - westchnął apostoł - *ave atque vale...*

Rozchyliły się połacie nowocerkiewskich, jemlickich i leczkowskich lasów. Wielka rzeka, wyrwawszy się ze stromych swych brzegów poszarpanych w dzikie jary, płynęła przebogata, urodzajną niziną, którą sobie sama usuła po społu z morską pracą sprzeciwu. Olbrzymie białodrzewa, wiązy, wierzby i brzozy zasłaniały widok na nieobeszłe obszary traw i kwiecica, ponad stawiskami i w błotach między Nogacją i Wisłą a między ramionami Wisły i Motławą. Gdy zaś krypa przybiła do rozdziału strumieni idących na północ, wschód i zachód, jako Stara Wisła, Szkarpa i Leniwka, przewoźnik na zachód rudło wykręcił, w rozlewną Leniwkę, i cichaczem tej wody, sitami i trzciniami zarosłym, obok Pastwy Bąsackiej i Krakowy a popod wzgórzystą Mierzeję, wysokich sosen, lip i buków pełną, popychał statek wiosłami. Widać było na zachodzie i północy tej strony wzgórz wyniosłe, ciemnym tęgoborem okryte. Ku tym to wyżynom skierował wiosłarz swą sztukę skręciwszy w łozysko rzeki, którą nazwał Motławą. Ciężko pracując wiosłami posunął się pod wodę i w oddali na tle garbatych pagórków w widłach rzecznych ukazał strzechy, drewniane tyny, ostre płoty i zamczyste brony grodziszczka, które Gdańskiem nazywał.

Trzej wysiedli ze statku i minawszy rybacką osadę, między Wisłą, Motławą i Radunią tam i sam rozrzuconą, poszli ku zaworom grodziska. Zamek stał na wyniosłych posadach, ze wszech stron otoczony obronnymi ścianami, grubo gliną umocnionymi od dołu. Głębokie rowy spleśniałą napelnioną wodą otaczały ościenie głodowe, zwodzone mosty były podźwignięte, a wrzeciędzy olbrzymich dębowych belek zaciągnięte na brony potężne. Przybysze oznajmili się strażom i wpuszczeni zostali. Znalazłszy w gdańskiej warowni, od trzech lat zdobytej przez króla Bolesława polskiego, załogę wojskową, apostoł z towarzyszami przebył tam czas niejaki.

Głosił w zamku i w rybackiej osadzie ewangelię Chrystusa. Dowódca grodu, Zmysł wojewoda z rodu małopolskich Gryfitów, dał mu żołnierzy, wiosłarzy i wielką łódź, która bożych wędrowców poza Radunię, Motławę i Wisłę na pełne morze wywiozła. Rozwinawszy żagle przez wiatr zachodni wydęte, popłynęli we wschodnią stronę. Mknęli wzdłuż Mierzei Wiślanej i Świeżej, a nocą wylądowali kędyś w kraju sambijskim, na południowym cyplu Kurońskiej Mierzei, dokąd już nie sięgało Bolesława ramię.

Z tego miejsca trzej samotnicy odesłali z podzięką statek polski i całą jego załogę, żołnierzy i flisów do gdańskiego grodziska. Zostali na piaszczystym wybrzeżu, splukiwanym przez fale.

Noc przepędzili w pustkowiu, na owym ładzie nieznanym. Rankiem spostrzegli wioślarza, który ich był w dół Wisły aż do Gdańska przeprowiał. Ten to ich przewiózł swą łodzią na wyspę śniącą wśród drzew olbrzymich w ramionach ujścia rzecznego.

Przywdziawszy strój swój biskupi apostoł i dwaj towarzysze - Radzym, Bogusza - podeszli do mieszkań człowieczych.

Lecz skoro zakołatałi we wrota osiedla, mieszkańcy tłumem wielkim wybiegli i wśród krzyku dzikiego precz ich pędzili od proga. Jeden z nich, pogański ofiarnik, uderzył biskupa w plecy włosiem i powalił na ziemię. Odszedłszy tedy z tej niegościnniej osady, przeprowili się na drugi brzeg rzeki i weszli na targowisko zwane Cholin. Tam jeden z mieszkańców zaprosił ich i do domu swego wprowadził. Na wieść o tym zgromadziła się wielka liczba ludu pruskiego natarczywie pytając:

- Kim byli? Skąd przyszli? Dlaczego wylądowali w tej stronie?

Apostoł przemawiał, a Bogusza tłumaczył na mowę tameczną, iż są Słowianami, z ziemi Polan przychodzą, którą Bolesław dla Chrystusa pozyskał. Biskup jest sługą Tego, który ziemię i niebo utworzył. Przychodzi zaś, ażeby ich wyrwać z rąk szatana.

Na te słowa tłum podniósł wielki krzyk, pełen zniewag i bluźnierstw. Wywijano maczugami ponad głową przychodniów, tupano nogami, bito pałkami w ziemię grożąc śmiercią, jeśli natychmiast tam, skąd przyszli, nie wrócą.

Kunigas Cholinu przez usta Boguszy oświadczył:

- My i cały nasz kraj mamy swoje prawo i jednym obyczajem żyjemy. Jeśli z pośpiechem nie opuścicie tej ziemi, zginiecie jutro, bo wy według innego prawa żyjecie.

Przynagleni rozkazem wodza i groźbami tłuszczy weszli do łodzi i wrócili na brzeg Świeżej Mierzei. W ciągu pięciu dni przebywali w pewnej okolicy, a na szósty dzień wczesnym rankiem odeszli stamtąd, dążąc ku Gdańskowi, w stronę południowo-zachodnią. Około południa wybrnęli z gęstego lasu i na polanie stanęli. Tam Radzym przede wszystkim odprawił nabożeństwo, a biskup Wojciech przyjął komunię.

Z głęboką wewnętrzną radością przeżywał wieczne mszy misterium. Zagłębiał się w cud wyrazów nigdy nie gasnących, które obejmują - niby ramy, okowy i zawiasy - życie i śmierć, a między życiem i śmiercią ukazują przeczysty, biały chleb miłości. Tylekroć przeżyty obrzęd mszy stał się dlań nowiną widzianą pierwszy raz, zasłyszana teraz dopiero. Jakże mu było w sercu radośnie widzieć oczyma ścieżeczkę między życiem a śmiercią, szlak między tym i tamtym światem, który się we mszy pośród mroków rysuje! Jakże niebiańską była pogoda roztoczona nad wszemi słowy, nad wewnętrzną zawartością słów, nad spokojną wiedzą w nich o śmierci! Każdy dźwięk wezwań z wyższa, który w stadach wilków, zbrojców, zdradców, tępicielei, oszustów i zbrodniarzy odnajduje tylko synów bożych i braci anielskich, a w ciałach zmazanych krwią i brudem odnajduje duszę, trafiał na miejsce przeznaczone i budził w sercu uczucie anielskie. Rozkaz podniesienia serc w górę zaiste podnosił serce do Boga. Rozkaz zapalenia w sobie płomyka modlitwy rozniecał tak żarliwą i płomienną, iż ciało odpadało z ducha na wzór szaty znoszonej i ciężkiej od brudu. Duch sam znajdował miejsce swe przed obliczem Boga, głosząc ze drzeniem, z rozkoszą wiecznie nową i zachwycającą: - Święty, Święty, Święty!

Gdy kapłan Radzym podnosił kielich ofiary w górę, biskup klęczący za nim doznał złudy niebiańskiej, która go nieziemską napełniła radością. Zdawało mu się, że kielich ten wznosi się ponad drzewa wysokie i stare, że dotyka nieprzezroczystych obłoków i błękitu nieba. Co wię-

cej - wydało mu się - a doświadczał tego dotykającym, fizycznym czuciem poderwania siłą tajną nad ziemię i podźwignienia w powietrze - iż to ten umiłowany brat, w którego żyłach ojcowska Sławników krew płynie, choć go innej matki wypiastowało łono - podnosi go niby wino świętego kielicha ofiary drżącymi rękoma, wśród płaczu i modlitwy trzyma wysoko i że go w niebiosa podaje. Słodko tak było leżeć w przestworze na drżących a nieomylnych dłoniach braterskich, wysoko-wysoko, w niebiańskim zachwycie i prosić się najzarliwszą modlitwą u Boga nieśmiertelnego, aby go już odebrał z tej ziemi, ażeby go już przyjął i wziął z braterskich rąk omdlałych i do swego łona przytulił. Kołysało się serce wzburzone na wzór gałęzi dębowych, co sploty poplątanymi zwiisały nad głowami zwiastunów.

Pośrodku polany, na wzniesieniu łagodnym stały dęby olbrzymie. Tysiącletnie ich pnie pokryte były bulwami narośli, grubymi warstwy zestarzałej kory o barwie śniedzi i szerniałego brązu, głębokimi pęknięciami, któredy przez stulecia wody niebieskie spływały ku ziemi, i gzygzakami strzeżeń ongi piorunu. Wysoko w górze te niepomiernie śniaty rozpadały się w las wideł, ogromnych konarów, gałęzi i niezliczonych wici. Wici te nie były jeszcze liśćmi okryte.

Nogi cudzoziemców brodziły w głębokiej pościeli takrocznego ulistowienia, w szelestnym puchu barwy pozłocistej, przetkanym mnóstwem żołądzi i zdrewniałych dębianek.

Nie wiedzieli wysłannicy Kościoła, iż miejsce to, na którym mszę odprawiali, było uroczyskiem poświęconym bogom tego kraju! Na wzgórze to pod cieniem dębów świętych nie wolno było nikomu, a zwłaszcza cudzoziemcowi nogi postawić.

Po ukończeniu nabożeństwa znużeni wielce posilali się bulwiastymi korzeniami roślin niektórych, przez wiosnę zbudzonych do życia, i smolnym pąkowie drzew rozkwitających. Potem w strudzeniu swym do snu się układli. Przytuleni do siebie, ogrzewając się nawzajem ciepłem cielesnym, a okrywając suchymi liśćmi od wiosennego chłodu, twardo zasnęli.

A gdy najgłębszy sen związał ich powieki, posłyszysz w sobie biskup niewymowną melodię. W lekkoskrzydłym marzeniu widzi przed sobą Smętka przewoźnika, jak o pień wielkiego dęba oparty gra jako menestrel na pięciostrunnej normandzkiej wioli. Niezwyciężona potęga tej muzyki, najwyższa, najbardziej niezmożona potęga ziemi, która na proch kruszy wołę tyrańskich mocarzy i uśmierza dzikość niemych zwierząt, ogarnęła serce. Wychynęła z nicości, rzekomo kwiat o tęgim, przenikającym, subtelnym zapachu i koronie nigdy nie widzianej.

Bojownik boży mocą wyćwiczoną swej żelaznej woli odtrącał od siebie melodię i jej ubezwładniającą woń, która tak przemyślnie a zarazem tak prosto wyjawiała zapomniane skrytości, tkwiące na początku i we środku życia, wczoraj i dzisiaj.

Chwile dawne, w czasie zamierzchłe, zaginione i do cna przepadłe w niepamięci, stawały się dzisiejszymi, o sile wyrazistości stokroć większej, niż ją wówczas posiadały. Uczucia pogubione w dzieciństwie, w młodości, na czeskich polach, błoniach i wzgórzach, w rodzinnym domu, gdy jako księżę na czternastu żupach, w państwie udzielnym, jako młodzieniec anielskiej piękności hasał w orszaku rycerzy - w Magdeburgu pod okiem Otryka, w towarzystwie Thietmara i Bruna - w obczyźnie dalekiej, gdy jako włóczęga ubogi biegł boso w świat - dogoniły go i teraz oto odnalazły. Widoki miejsc niegdy oku miłych, rodzone i obce, ponure i radosne, uśmiechy święte i bestialskie błyski oczu dzikich - skądś, z pradawna powiewy wiosnianych wietrzyków, zapachy rokicin słońcem przygrzanych, ziół rezedy - tęsknoty i pożądania, które już w otchłań wsiąkły i nicością się stały - rzeczy-sny - widzenia wypadków - bezbarwne, długie smugi - rzuty młodocianej imaginacji i popędy woli, zamurwane na za-

wsze w sylogizmach doświadczonej cnoty i niezłomnego rozumu - wszystko dawne, rozpierzchnęte, lotne, wietrzne, czego słowo nie wyrazi - zawrzało w głębiach duszy niby ukrop na ogniu. Stało się nowe, godne żalu. I to nawet - o dziwna siło! - co było niegdyś boleścią ponad miarę. Przemoc tyranów ociekających krwią ofiar i zawziętych w ślepym uporze, przemoc tłumu bardziej zacieklego w swym zwierzęcym obyczaju niż sama władca tyrania - krew braci i rodziny pod mieczami i ostrzem toporów - poniżenia, groźby, urągowiska, wyprzedzenie z ojczyzny, przymus do wiekuistej po świecie wędrówki...

Wędrówki dalekie krainą Czech, Germanii, polami słodkiej Francji do Dijon, po bratnią duszę z dalekiej Brytanii, Astryka-Anastazego - do cichego w Tours grobu świętego Marcina, który nawet diabłu gotów był odpuścić winy - do świętego Dionizego w Paryżu, do relikwii świętego Benedykta we Floriaku - dolinami gór i błoniami Italii do Rzymu, do Monte Cassino i Valla Luce - równinami Pannonii, lasami Polski... Kędyż jest koniec tej ziemi drzew, traw, rzek i pustkowiec?

Szukanie, wieczne szukanie. Nieustanne, nieustanne szukanie.

W głębi ciemnych bazylik o wnętrzu czarno-złotym, pełnym stojących aniołów - w izbach dostojnych abnegatów, gdzie nie ma nic oprócz wilgotnego muru i wyklęczanych desek podłogi - na stromych stopniach tronu cesarza - na wysokich stopniach siedziska papieża - w zamkach dzikich, skrytobójczych królów, którzy po uczcie zasypiają spokojnie nad piwnicami pełnymi ryku jeńców ich, współzawodników z wylupionymi oczami - w norach barbarzyńców - w obozowiskach wojowników okutych w żelazo - wśród zwierząt i zwierzętom podobnych osadników w nieobeszłej puszczy.

Zaniósł się wyżej, wyżej trójdzwięk wioli. Stał się wymyślny, niespodziany w swych drogach, niezrównanie piękny, okrutnie rozkazujący. Ogarnął sobą wszystkę słabość duszy, bezsilność serca, marzenia nie otamowane wołą. Pytał się jak głos człowieczy, *vox humana*, jak nieubłagany inkwizytor:

„Wędrowcze, cóż masz w ręku? Cóżeś osiągnął? - Podróżniku, szukający niebios na ziemi, czyżeś je znalazł?”

Upadła przed tym głosem boleść steranego człowieka, skarżąc się w porażce swojej:

„Nic nie mam, o okrutniku. Nagi jestem i zewsząd wygnany. Nie mogłem na ziemi odszukać Boga. Więc już chcę odejść do Boga w niebie”.

Opuścił się wtedy ton wioli nisko-nisko. Zaśmiał się chichotem przeraźliwym. Stał długo nad powalonym człowiekiem ów śmiech przeszywający ziemię, niebios a i otchłanie.

A gdy przebrzmiał ostatni z jego łoskotów, odmienił się melodia. Widać poprzez nią pola złotym zbożem zarosłe kędyś nad strumieniem Żurinem, kędyś w pobliżu góry Osek. To jedno jedyne istotą rzeczy było. Tam, za dziecięcych dni. Wszystko inne - ciemności dziedzina. Tam tylko słońce świeci, dąbrowy rozbrzmiewają od śpiewu ptaków, śmieją się ludzie. Tam tylko wre prawdziwy odgłos pracy, gwałt życia i widać cel wszystkiego. Wesele młodości, radość sił w rozkwicie wionie z roztwartych okien parnych izb, gdzie się wino przelewa, skąd słychać krzyki potężnych męskich gardzieli i śmiech radosny kobiecy. Swawolna piosenka wyfruwa przez okno uchylone. Śmieją się do rozpuku szumne, wesołe głosy z posepnego przechodnia, co czym prędzej uchodzi w swą dal wiekuiście dążąc do Boga.

Ach - wysunął się oto z przegubów, ze skrętów, wzlotów i zniżen, ze ściskających serce sideł muzyki tej kształt dziewczęcy. Nadobne niebieskie oczy wpatrują się z głębokości snu w oczy wygasłe, w oczy wypłakane nad nędzą świata, w oczy, co otchłania niebios wciągnąć w siebie

zachciały. Pytają się o cości nienasyconie ciekawego, jak wondrous na kwietnym, czeskim błoni, nad połyskującą, nad tamtą, nad jedyną wodą. Osuwa się z ramion tkanina biała, opada z bioder suknia i nagi kształt się przybliża.

„Tyżeś to, książę mój, jasny paniczu? - szepcą usta karminowe. - Dokądżeś odszedł z naszych nad Cydliną pagórków? Czemużeś nie chciał usteczek mych, pieszczot, na którym ciemnymi nocami czekała? Pamiętasz uśmiech mój, mój maleńki uśmieszek radosny, dla ciebie jedyne-go w łoskotach serca wypiastowany?”

Nadaremnie czerwone zawierać powieki! Obraz uśmiechu zabłąkanego na tamte usta różane, połysk jasnych warkoczy, które promień wiosennego słońca ozłocił - w głębinie oczu trwa, w żyłach wraz ze krwią płynie. Na falach rozkoszy muzycznej wciela się w piersi żywy, dziewczęcy głos. Radość podźwignęła ku widzeniu ramiona.

- Odejdź ode mnie! - proszą się usta spieczone. - Jestem nieszczęśliwy wędrowiec, do innego idący świata, gdzie Bóg prawdy mojej przebywa. Jestem tułacz samotny, szukający śmierci w Chrystusie.

„Czemuś mię nie chciał, władaczu młody, najpiękniejszy z królewiat ziemi?”

- Szukałem na świecie i nie mogłem znaleźć zbawienia świata. Chciałem rodzaj ludzki ramiony swymi podźwignąć ku niebu. Chciałem królestwo Boga wiecznego ściągnąć na ziemię i wśród plemion ludzkich osadzić.

„Ach! - westchnął czarujący cień. - Patrzałam tylekroć spod czarnego dachu mego rodzica, gdyś szedł zadumany nad brzegiem wody. Patrzałam poprzez strumienie łez, kiedyś na swym czarnym rumaku odjeżdżał. Kochałam cię aż do szaleństwa. Ileż to razy biegłam po śladach twych stóp w woniejące zagaja, ileż to razy szukałam cię, żeby tobie jedyne-mu oddać wszystko mój czar, gorącą nagość mego ciała, nienasyconą moją rozpustę, którą dla ciebie jedyne-go ciemnymi nocami wyśniłam. Odszedłeś, mnichu, w niebo zapatrzony!”

Zobaczył znowu najtajniejsze piekło swoje - dobrze radosne nad Cydliną, wyśnioną tylekroć, nie istniejącą już na ziemi - ziemię szczęśliwą. Wzdychały tam lepkie wiosenne listeczki brzoź i blade pędy jałowca poganiały do rozkoszy nagie ciało. Młodociana pławina kaliny, co na świat z macierzystej łodygi wybiegła i jaśniała w błękicie niebios, w zapachu konwalii, pławiła się powolnie w tańcu łagodnym - ni to dziewica niesplamiona męskim pogłaskaniem, odpinająca pierwszy raz sprzączki szaty przed namiętym wejrzeniem. Tam to ponownie szli razem po niezapomnianych przenigdy, po wyśnionych kamieniach zbocza góry w tajnik nawisłych gałęzi, w miłosną sień poziomkami i nakrapianym kosaćcem sadzoną.

- Odszedłem! - krzyczał co w piersiach tchu. - Musiałem wystąpić przeciwko zagładzie rodu ludzkiego. Szatan wystąpił przeciwko Bogu. Antychryst szedł na zniszczenie papieżstwa i cesarstwa. Koniec świata był bliski. Któż miał podjąć obronę Ukrzyżowanego? Któż miał zasłonić sobą nieszczęśliwych? Kto miał odkupić niewinnych? Oto ja sam, którym tysiące lat ludzkości na barkach dźwigał. Czyliżem mógł dopuścić, ażeby szatan zwyciężył?

Zabrzmiała nagle tonika tajna, inna, nieznaną, zasadniczą, podstawową, a przyłączyły się do niej dźwięki różnorodne, brzmiące wraz z nieopisaną potęgą. *Horror*, groza, strach - wywinęły się z pięciu strun wioli. Boleść, furia, szal - runęły jakby zjuszone plemiona na plemiona w walce śmiertelnej. Wściekłość, zemsta, morderstwo, pożoga, zwierzęcy gwałt, zdrada, podstęp, okrucieństwo - wypadły na słuchacza z tych strasznych pięciu strun. Tryumf dzikiej i ślepej siły bydłowej zatrąbił ponad jękiem - „umieram, umieram!” - ponad płaczem kobiecym i lamentem krzykliwym maleńkich dzieci. Naspął się i ocknął ze snu apostoł. Podniósł gło-

wę. Nasłuchiwał. Ustała już melodia przez wiołę wydana, lecz trwał rozruch duszy działający wewnątrz, a żywiej niż muzyka sama. Myśli i czucia były rozpięzchłe a ostre, jakby cudze, wtrącone do głębi przemocą. Można by rzec, iż zewnętrzność muzyki stała się duszy wewnętrznym muzycznym drżeniem. Tajemnica wpływu muzyki była jakby smyczkiem przebiegającym po duszy ni to po strunach. A dla tej muzyki samej duszy wszystko się stało oczywiste i bliskie. Potęga złego ukazała się przed oczyma w całej ohydzie. Zimny mróz rozsądku zwarzył wszystkie samoistne czucia. Twardy egoizm patrzył głęboko i chytrze w każdy życia uczynek. Odgięła się włodycza pycha jakoby kuma żelazna, raz na zawsze zaklepana młotem woli.

„Czemużem to ja, czemu, nie został księciem na Lubice? Gdzieżeś jest, czarny mój koniu? Czemużem się nie pomścił nad Wrszowcami, chociaż od roku krew braci za mną się dymi? Czemu nie wypędziłem zbójów tych z naszego księstwa, ja, syn księcia i wnuk księżniczki bawarskiej?

Czemuż nie szedłem z przemądrzałym Gerbertem ku stopniom papieskiego tronu, lecz szedłem samotną ścieżką Nilusa i Brunona?

Czemużem się nie stał zausznikiem i pochlebcą Ottona cesarza, lecz uciekałem przed jego łaską?

Czemużem nie poszedł w ślad Sobieborą i nie rządę duszą polskiego wodza, lecz uciekam przed jego łaską?

Czemużem nie szedł z Krescencjuszami, ażeby zepchnąć Ottona z Rzymu na zawsze i zasiąść na tronie Jana XVI?

Czemużem nie został na Awentynie, lecz tu się tułam w tych borach bez granic?

Lecz cóż bym czynił na Awentynie, gdybym tam był na nowo? Cóżem tam czynił? Azaliż nie były to czyny szalonego?

Spieszyć do spełniania cudzych rozkazów, jak inny spieszy do uczt? Im podlejsza posługa, tym ją radośniej wykonywać? Tygodniami z największą starannością kuchnie czyścić, miski i naczynie zmywać, ni to kuchcik za wszelką kuchenną posługą biegać, wodę dla braci wyciągać o świcie, nim się ocknęli, i do celek z cicha zanosić? Wieczorem, rano, w południe ciężkie wiadra dźwigać do stołu? Wypraszać u opata łaskę służenia całej społeczności zakonnej rano, w południe, wieczorem? Tak dalece nie pozwalać sobie na własną myśl, tak dalece nie mieć własnego czucia, iż publicznie głośno najtajniejsze skrytości przełożonym wyjawiać? Za jedyną czynność ducha poczytywać rozważanie istoty cnót i grzechów? Podkładać pod dom duszy swej fundament takiej pokory, iż poza nią nic już nie było prócz pustki i rumowisk? A zaś na dworze cesarza w Rzymie, w Moguncji?

Od odźwiernego do rozkazodawcy wszystkim, gdy posnęli, obuwie zbłocone myć wodą, a oczyszczone z brudu stawiać niepostrzeżenie na miejscu?

Zamiast iść drogą przezornego Gerberta, ażeby w młodzińcu budzić dążenia cesarskie, podniecać żądzę i dumę zawładnięcia i rządzenia światem - dniem i nocą z nim przebywając jako towarzysz nieodstępny i najdroższy na zamkach i w pałacach, w podziemiach bazyliki świętego Klemensa noce i dni trawiąc na czuwaniach, uczyć go jedynie swojej własnej pokory i wyrzeczenia się dóbr tego świata?

Zamiast podniety do skupienia w sobie potęgi, mocy, zamiast rozpalania w nim greckiej ambicji i rzymskiej pasji, zaszczepiać mu cnoty mądrości, sprawiedliwości, męstwa i wstrzeźliwości, cztery kwiaty duszy zakonnika?

Kochając głęboko tego czarującego młodzieńca, budzić w nim słodkimi słowy miłość nie świata, ojczyzny, wzniosłych czynów w ojczyźnie, lecz jedynie miłość ojczyzny niebieskiej? Dniem-li, nocą-li, gdy rzesza ludu dobijająca się doń dała przystęp, świątobliwymi rozmowami osaczać go, żeby sobie cesarstwa i władztwa nie miał za nic wielkiego, żeby wciąż pamiętał, jak śmiertelnym jest człowiek, jak nawet najpotężniejszy i najpiękniejszy w proch się zamieni, będzie zgnilizną i jadem robaków?

Nauczać go szerokimi i niezbitymi wywody, iż powinien, tak wysokie krzesło zajmując, zostać ubogich i sierot ojcem, wdów opiekunem, bać się Boga jako rozważnego i sprawiedliwego sędzi, miłować Go jako dobrotliwego win przebaczydciela i bacznie patrzeć, jak ciasna droga wiedzie do żywota wiecznego?

Upominać bez końca tego drogiego syna, żeby wzgardził dobrami doczesnego żywota i pragnął wieczności, szukał tego jedynie, co nie przemija - nie pokładał ufności w rzeczach tutejszych i przemijających?..."

Jak od naciśnięcia palcem struna wioli skraca się, a dźwięk z niej wydobyty staje się wyższym, tak samo od nacisku tego wewnętrznego wzburzenia myśli złowieszcze na szczyt swój wybiegły. Spojrzenie zuchwałe objęło najdalszy horyzont. „Czyliż to nie duma przygnała mnie tutaj? Czyliż nie żąda wyniesienia się ponad Otryka, Adalberta, Brunona, Romualda, ponad Lwa, Jana Kampaninosa, Jana Kanaparego, Strata, Jakuba z Afryki, ponad Nilusa, ponad świętego Aleksego?

Czyliż nie postanowienie wewnętrzne zaćmienia ich wszystkich kazało mi wybrać śmierć jako cel a opowiadanie ewangelii jako środek?

Biada mi dla wyniosłości mej!”

Jęknął nieszczęśliwy, twarzą upadając na ziemię. Bezmierność klęski przygniotła jego duszę. Lęk wobec tryumfu szatana krople potu wyciągnął na czoło. Powłoka cielesna zadrżała stając się bezsilną jako łachman. Dusza stanęła w próżni, wylękała i sama jedna, zewsząd wygoniona, jako żebrak psami wyszczuty z opłotków ludzkich w okrucieństwo pól zimy. Z upadku krzyk ludzki apostoła ocucił. Zaiste - radosne obudził w piersiach echo. Nadbiegł wielki tłum niosąc oszczepy, koły i kamienie. Otoczyli ze snu zbudzonych wielkim koliskiem. Kapłan pogański, którego brata zabili byli na wojnie Polacy, nadbiegł pierwszy i stanął na czele pościgu. Na jego skinienie tłum związał apostoła i jego towarzyszków. Poprowadzono ich na przyległe wzgórze.

W chwili tej spokój głęboki wrócił się do duszy. Wielkie męstwo, owoc dojrzały cnót uprawianych w ciągu życia długiego, ocknęło się z omdlenia. Uspokoilo się serce. Radość prosta, mocna i górna roześmiała się w piersiach, a uniesienie nieopisane zamieszkało w ciele. Gdyż w ciało postronkami związane wstępował Chrystus Pan kroczący na górę śmierci. Słowo pozdrowienia, politowania i pocieszenia, słowo modlitwy do Jedynego Współbrata w przestrzeniach i w wieczności wypełzło na wargi.

Rzeczywistością stał się sen życia całego.

Wojciech stał się Chrystusem wiszącym na krzyżu.

Usłyszał głos:

- Nie bój się!

- Daj mi być Tobą samym, a Ty bądź samym mną. Ozwie się święte echo:

- Amen.

W tłumie miotającym grudy ziemi i piasek apostoł dojrzał oczy Smętka przewoźnika.

Zrozumiał. Oczy tamtego napełniła niepewność, rozczarowanie, smęt, albowiem nie było bo jego zwycięstwo.

Krzyk ludzki stawał się coraz bardziej nienawistny. Twarze były zziębnięte, żądne zemsty. Byli to może potomkowie tych Jutów, co, na łodziach bersekierów przybywszy w te strony, spalili swe statki, ażeby nie było na czym w strony dzikie powracać. Byli może przychodniami z puszczy Wschodu...

Kapłan pogański pierwszy zaciosanym oszczepem uderzył.

Za ofiarnikiem inni cisnęli ciężkie włócznie, żerdzie przy-wleczone z daleka.

Siedem ran straszliwych poniósłszy, apostoł śmiertelny sen przyjął pod ciosami. Tłum porąbał na części jego ciało. Części rzucił do wody. Głowę odrąbaną na żerdzi zatknęto.

LOS ZBIGNIEWA

Włodzisławowic Zbigniew - serce zdradzieckie - w pustej komnacie plockiego zamku błąkał się od okna do okna. Głównie sosnowe tłały w wielkim kominie. Światło z otworów okiennych wpadające poprzez błony ze skóry baraniej, napojonej tłustością, ledwie o dniu świadczyło. Tyleż co światła ta izba, miało w sobie ludzkiego wesela zdradzieckie serce księcia. Niedawno Włodzisławowic stracił był syna jednorodzonego. W ślad za tą klęską spadły nań inne tłumem, zastępem. Daremnie się stały intrygi i podszczuwania zasiewane wśród Niemców, Czechów, Pomorzan. Daremnie paliły się i obracały w perzynę bogate grody, konali chłopci, przeklinali starcy, jęczały uprowadzone kobiety i nadaremnie poginęły dzieci mieczem przecięte, spisą przebite.

Daremnie!

Tryumfował „Żuraw” Bolesławów.

Teraz z obozów czeskiego Władysława, który jedynowładzcy krakowskiemu wrogiem być przestał, Zbigniew - brat-wróg - zwrócił się do ojczyzny z dobrej woli i upadł do nóg wrogi-wi-bratu.

- Zapogódźwa się, bracie! - wy szlochał.

I z krzywej gęby wroga-brata uśmiechnęło się doń odpuszczenie.

Samotny skazaniec siedział oto w plockim zamczysku.

Syna wspominał.

Wspominał szalone swe dzieje.

Przykładał dzień druta i noc w noc szalone swe dzieje, uczynki pełne żądzy nigdy nie sytej i pełne poczucia krzywdy, wieczyście w piersiach niegaszonego wapna - przykładał wyniosłe swoje zamysły do tej porażki zdradzieckiej, wciąż okrucieństwem ciosu jednakże zdumiewającej głupotą zamysłów, do klęski tej ponad wszystkie i wszystko: - utraty jedyne.

Uczynki, grzmotowi podobne, zawały się w ciszę pustego miejsca, co tkwiło teraz przed oczyma zawsze i otwierało się wszędzie, w myślach, w czuciach, w popędach, w nałogach: - puste miejsce po synu.

Obojętny się stał gwałt podniety, tęsknota do zgiełku bitwy, do zapachu perzyny płonących brata warowni, do krzyku jego ludzi rażonych żelazem - i obojętny się stał sam sen o nowych wybiegach.

Cichego synowskiego płaczu po nocy nic nie mogło zagłuszyć.

Nie zagłuszyłby go krzyk wszystkich synów człowieczych, gdyby ich w całym świecie do nogi wyrąbać, od Wełtawy po Jasmund i od Solawy po Dniepr u końca świata.

Na miejscu takiego krzyku, gdyby go wydrzeć z nicości, znowu by ta sama pustka zaległa. Nicość była w tym miejscu, gdzie przebywał czarujący królowie, obdarzony wszystkim nad miarę, czym niebiosy obdarzyć mogą śmiertelnych, zapowiedź wzniosła króla Polanów. Ślady

jedynie po nim przetrwały to tu, to tam, smutne świadectwa, że w istocie bytował na ziemi, potwierdzenie, że niewątpliwie tam i sam przeszedł - i dowody, że go już nie ma.

A ślady nie prowadziły nigdzie, szły wstecz, coraz mniejsze ukazując stopy - krążyły wokół, wracały do tego samego miejsca, skąd wyszły, do miejsca, gdzie była pustka. Ucisk jak góra nieudźwigniona leżał na sercu i rzekę tajnych łez wyciskał.

A rzeka ta poprzez pustkę w nicość swoją płynęła. Nie dawało pociechy leżenie krzyżem u świętej w Gnieźnie trumny i wylewanie tyłu niemęskich łez, iż od nich wokoło kamienie wilgotniały. Daremne były modły i błagania, żeby męczennik przywiódł od Krysta, żeby na krótkie mgnienie źrenicy pokazał synowe oczy, włosy, ręce i ostatni uśmiech żalсны. Nie dawały pociechy zaklinania potajemne i wzdychanie sekretne do Tryglawa, którego złoty kloc widziały własne oczy w Szczecinie. Na nic były zaklęcia do władcy, o którym zapewniali wróżbici, iż trzema państwami włada: niebieskim, ziemskim, podziemnym - ażeby zażądał, czego tylko chce, za wyprowadzenie syna na jedno mgnienie źrenicy z podziemnego państwa w to ludzkie życie, poprzez ojca źrenice. Nędzną stała się ziemia podwładna. Jałowe były księstwa z ich powiatami. Puste się stały niebiosy.

Krok zleniwiwały o grube ściany zamczyska łoskotem kołatał. Sen odleciał od powiek. Jadło się umykało od gęby. Kielich stał się obmierzły dla wargi. Sława śmieszna się stała dla serca. Czyn ohydny się stał dla ramienia.

Miecz wiekuiście krwi żądny, przedostatni towarzysz, odpadł od boku i w pogardzie zalegał. Ostatni jeno towarzysz - nędzny szloch - pobratymstwa dochował.

Zatrzymał się książę w swej błędnej drodze i szatańskie przekleństwo cisnął w swą dole.

Komornik z cicha zakolatał we drzwi pańskiego pokoju. Wstąpił za próg, bijąc czołem. Oznajmił, iż stoi w przedsionku włóczęga z lirą, wędrujący od sioła do sioła, od grodu do grodu, od zamku do zamku. Chwali się, iż prastare powieści wyśpiewać umie.

Skinał władca, żeby go wpuścić. Wszedł pieśniarz.

Czołem przed synem Włodzisławowym uderzył. Chodaki jego pyłem gościńców zasute. Łyko lipowe wżarło się w goleń szerniała: Stara opończa spłowiła na słotach i wicherze. Włosy wypełzły od mrozu i słońca letniego pożarów. Oczy jego w dal patrzą, nieprzejrzane jako błony okienne. Spyta królowie:

- Z jakiegoś kraju?

- Ze świata - rzecze.

- A dokąd idziesz?

- W świat.

- Czyjeś poddany?

- Niczyj.

- Któż ty jest, włóczęga?

- Wieszcz.

Książę przysiadł na skórkach jelenich i łosich, stosem w rogu izby zasłanych. Dał wieszczbiarzowi znak, żeby gędził.

Tamten lirę do lewego boku przycisnął, nastroił, zakręcił korbę drewnianą i jął palcami po ośmiu trzpieniach przebiegać.

Zaśpiewał ponuremu książęciu klehdę poddymną, sielską, gminną, baśń pątnicę:

- Był - wierę - za wysokimi górami, za borami, za lasami, za siedmią jezior, za siedmią rzek wielki w swojej dziedzinie, chrobry na wroga, jedynowładny władacz. W którąkolwiek stro-

nę poskoczy jego bojowy koń, wszędy mowa z jednego źródła w odmienne strugi płynąca o jego ucho uderza. Po nadjezierzu i po nadrzeczu, w wielkogórach i za górami, w głębokich borach, na wydmuchach, w kujawach, w polanach, w pustaciach, w moczarach i nad wielką morza wodą - wszędy mu się ściele własna dziedzina.

Jeśli wiosna rozpostrze na jego szlaku topiele, w których po grzywę szczerozłotem przeplatana bojowy ogier zapada, a gęste lasy zakurzą się gnuśnym tumanem, to wnet tęga zima pod złote konia podkowy - lodowe ponad głębiną mosty wykowa i z twardej grudy nad niezbrodzonym oparzeliskiem dźwięczącą drogę zbuduje, żeby mógł iść jastrzębiooki w swoją własną, jemu tylko jednemu wiadomą dal. Bo na niemieckiego idzie cesarza - rzekę Solawę pędzi przepływać - w Magdeburg polską strzałę wyrzucić!

Jednaka wszędzie podpłotna róża przy pylnych kolejach drożyn wita go w lecie - i modrą smugą len wśród traw nadobnych jego rozkochane oczy pozdrowia, kiedy w zaraniu lat zdąży zimne Kaszuby z Białą Chrobacją pobratać.

Złota wywielga, śpiewna boguwola, przekorna zofija jednako się ponad Wisłą i ponad Odrą, i ponad Bugiem jego lśniącey zbroi dziwuje - a kukułka w radosnej wiosny godzinie szczęście mu wróży, gdy wzdłuż bystrego Wagu w krasnej słowackiej dolinie sadzi na przedzie chorągwi. Kazubek z sosnowej kory, czarnej albo rumianej jagody pełen, białowłose łużyckie pachole do strzemion mu niesie - dzban gliniany zimnej wody ze źródła w ciężki czas, gdy wroga pędzi z ziemi Dziadoszan, zalęknione dziewczę na klęczkach poda.

Gdziekolwiek tętent jego pędzącego rumaka zahuczy, ta sama wszędy zostaje wieść: tędy przelatał w swym złotym szłomie - tu konia poił - tam się o drogę zapytał - tu lud pozdrowił wielki od Niemców obrońca. Na czeskim błoni, w ruskiej równinie, w suchej sosnowej nad Narwią kniei, w wąwozach ponadwiślanych i na wzniesieniach, zza których wielka pustka morza sinieje - błyszczą jego miecz, zaganiający w naród potężny pastuchów i oraczów, a warczy obuch topora zbijający z bezwoli niewolników mocarstwo.

W jego to rękach żelaznych wszystka Wisła od pierwszej do ostatniej fali wody swoje przelewa. Od jego spojrzeń morze się burzy.

Do kopyt jego bieguna posłusznie idą wody zza świata.

Łoskot po ścianach kamiennych gór się obija, gdy zastęp jego drużyny w poprzek dolinami cwałuje.

Sława jego o tron cesarza uderza.

Cesarz-pachole zstępuje z tronu i bosymi nogami przybywa do jego władztwa w ziemi dalekiej. Pokochali się obaj z cesarzem.

I mówi cesarz - „Cud świata”:

- Ciebie uczynię cesarzem po sobie, umiłowany...

Lecz odszedł tamten z niemieckiej ziemi.

Gdy nowy cesarz zasiadł na tronie, spojrzeli sobie obadwaj w źrenice.

Skoro książę skławańskie spędzi ze stolca czeskiego Rudego tyrana i sam na stolcu zasiądzie, rzuci nań cesarz przekleństwo.

Wymknęła mu się sposobność szczucia Czecha na Polanina, władania ich nienawiścią, tępienia Słowian przez Słowian. Jeden nad nimi wszystkimi!

Miecznik pokorny, co w procesji cesarskiej wielki koncerz przed majestatem piastował, miał-żeby śmiałość wszystkie ludy pokrewne zasłonić mieczem zdradziecko zwróconym i nastawionym beczelnie, ludy znad Łaby, znad Wełtawy, znad Wisły, ludy z wysp i znad morza?

Skoro cesarz swe poddane zgromadzi, nastawi Czechy, najmie Lutyki i znad Warty wyruszy, polański władca do boju nie staje.

Scytyjskim obyczajem w lasy się cofa.

W błotach się czai, zza drzew odwiecznych na drogi zwalonych, spoza zasieków w głębokim boru, z wąskich grobli na błotach, z zasadzki u brodów tysiączne wypuszcza strzały.

Uchodzi poza Łużyce, poza Śląsko, pod Poznań. Tam - jakoby o pokój uprasza niedobitki niemieckie.

Skoro zaś cesarz ciała poległych rycerzy pozbiera i z rannymi do stolicy się cofa, zdradziecki napastnik trop w trop go ściga, Odrę wpływ przejdzie, za Łabę pomknie, opanuje Łużyce, Milsko osadzi.

Idą nań w odwet - graf Gero i graf Herman - aż do Głogowa.

Z murów Głogowa patrzy polski wojennik na Niemce, jak ich pluta zalewa, niszczą choroby, mór dziesiątkuje.

Z murów Głogowa patrzy ze śmiechem, jak z jego ziemi bez boju uchodzą.

Po trzecie cesarz zgromadzi Niemce, Czechy, Bawary, Lutyki, podszczuje dalekie kijowskie Waragi - i sam na czele szyków wyruszy.

Nad Odrą stoi obrońca.

Za dnia i w nocy jego sowie oczy stróżują, kędy do brodów Niemiec się zbliża.

Dokąd sam nie dopadnie - syn, ścigły jeleń, doskoczy.

Naciąga z tamtej strony cięciwy tysiąc jego łuczników i tysiąc nieszczędnej strzały w kwiat rycerstwa wypuszcza.

Po mostach na łużyce rzuconych wraca cesarz schorzały w swe strony.

Margraf Gero i komes Burkard wiodą odwrót przez ziemię Dziadoszan.

Wonczas ze swojej zasadzki dziesiątki tysięcy strzał ciśnie i trupem bez miłosierdzia łuzyc-kie błota zaściele.

Sam ściga niedobitki niemieckie.

Syna za Łabę wyprawi, żeby kraj cesarski pustoszył.

Skoro zaś opanował Łużyce, dalej nie idzie. Warownię obok warowni przeciwko Niemcom buduje.

Na nowo porwie się cesarz.

Na Głogów!

A spod niezłomnej ściany Głogowa zboczy do Niemczy i obiegnie grodziszcze.

Cesarz dobywa grodziszcza, na jego ściany wysokie posyła Czechy, Lutyki, a księżę polskie wypada z Wrocławia i szarpie szyki cesarskie.

Aż, nie zdobywszy zamczyska, cesarz sromotnie odejdzie. Na czeskie góry odstąpi.

Wonczas księżę polańskie osiągnie krainy nad Odrą - Słupiany, Żarowiany, Łuzyczany, Milczany.

Po stokroć nawoływał Lutyki, żeby się z nim łączyli i po społu uderzali na Niemca.

Po stokroć zabiegał, żeby na przekór ich woli złączyć wszystko Słowiaństwo.

Ileż to lat miecza nie odpassał!

Ileż lat nie zsiadł z konia!

Ciężka zaduma przygniotła mu czoło bardziej niż szłom miedziany.

Któż jego szczyt podniesie?

Kto miecz podźwignie?

Zdrada mu wyrywała miecz z ręki!

Seciny lat, żywoty pokoleń, śmierć ludów widział jako tę ziemię kwitnącą, przez którą koń jego stapał.

Przyszłe wieki stały przed nim na ścieżaj jako zamek potężny w ruinie...

Wstał Zbigniew Włodzisławic z legowiska. Posępny stanął przed bardem:

- Na co mi przed oczy praszczura wywłóczysz?

Sam wiem dobrze, bajczarzu!

Śmieje się bajczarz gorzkim swoim śmiechem.

- Sam wierni Sam w sobie go noszę jako duszę swoją! On - to ja sam. Tu go noszę!

Pięścią się w piersi królewskie uderzył.

Nie słucha pieśniarz. Lirę nastroił, zakręcił korbę. Jęły jego palce po ośmiu trzpieniach przebiegać.

- Był - wierę - za wysokimi górami, za borami, za lasami, za siedmią jezior, za siedmią rzek gospodyni niełacny, książe nieposkromione, królewski nieprawy syn.

A miał zasię książe ten brata młodszego, syna słowiańskiej kniehyni.

Ten zasię był prawy królewic.

- Milcz, smerdo! - porwie się Zbigniew. Lecz nie zamilkła pieśń. Wieszczek uśmiechem wyniosłym odgarnia wojennika na stronę.

- Azaliż jednej matki wypiastrowało ich łono? Czyliż nieprawdę wieść powiada? Ciasno im też było oboma w łonie jednej ojczyzny. Skoro młodszy do Rusa, starszy do Niemca. Skoro jeden do Huna, drugi do Czecha.

Raz się jeno zgodzili, gdy starego ojca jęli na spółkę osaczać, ścigać, wygryzać.

Aż go wygnali z dziedziny.

Drugi raz się zgodzili, gdy Bolesława nieszczęśliwego sierocie, Mieszkowi-królowi, jad po społu tajemnie zadawali.

- Przepadnij!

- Prawda to jest, co pieśń głosił

Skoro prawda w pieśń się zabląka, jest jako kamień, co się w ścianę twierdzy zabląkał i na wieki w tej samej opoce zostawa.

Pieśń musi skończyć, co zaczęła.

Czyliż nie tak?

Nienawiść między dwoma braćmi zaległa, jakoby przepaść między dwiema turniami.

Każdy z nich zaklął się tą samą klątwą: jeden lub żaden!

Zajrzał starszy młodzieniaszkowi, gdy jeszcze szli po społu poprzez Noteć na Santok.

Jam pierworodny u ojca-króla, jam króli - starszy ogłasza.

Jam pierwszy i jam jedyny! - młodszy ogłasza.

Nie ma dla dwaju miejsca w ojczyźnie! - wołają oba. - Jeden musi ustąpić, przepadać, zginąć.

A każdy mówi drugiemu: - Ty ustąp, przepadnij, zgiń!

Skoro zaś żaden nie może brata własnym mieczem dosięgnąć i wskroś porazić, chce go dosięgnąć i porazić mieczem dłuższym od swego, mieczem dłoni mocniejszej - mieczem cudzym.

I zamyślił brat starszy: Sprowadzę ja na cię Czecha! A co zamyślił, pilnie wykonał. Idzie z cudzoziemską gawiedzią palić śląskie dziedziny, pustoszyć ziemię bratową, oblegać grody.

Dym długimi smugami płynie nad lasy. Jary ogień w bystrych się rzekach przegląda. A brat młodszy z końca świata, od siniego morza, zza dziewiątego jeziora, zza borów ciemnych jako późna noc, zza rzek głębokich jako ludu boleść przypadnie.

Złote szyszaki jego wojenników zabłyszcą jako zorza wschodząca między wysokimi górami - zajaśnieją jak słońce po tamtej stronie gór i spadną niby połysk piorunu w niskie morawy. Starszy brat stracił dzielnicę za to, że wrogi na ojczystą ziemię sprowadza.

Dosiądzie wówczas starszy brat najściglejszego bieguna i wbije długie ostrogi między jego żebra zdyszane.

Zapucił na gębę szyszak głęboki i cwałem wskroś ciemnej nocy poskoczy do stóp niemieckiego cesarza. Padnie do stóp majestatu i wielką go poprzysięgnie przysięgą, żeby wojsko gromadzić i na polskiego uderzyć.

Zmiłował się niemiecki cesarz nad zbiegiem.

Zgromadził wojsko niemałe i znowu na Śląsko, pod Bytom pociągnął.

Dym długimi smugami znowu płynie nad lasy. Jary ogień w bystrych się rzekach przegląda. Zahuczał Zbigniew Włodzisławic od wielkiego gniewu szalejąc:

- Alboż i ja nie jestem ze krwi Chrobrego praszczura? Alboż nie ja powinienem całą władzę puścizną? Moja jest ziemia! Tu w tej piersi nieszczęsnej serce nosiłem dziadowe! Czyny dziada w tym mieczu zakłete gnuśnieją. Moja jest ziemia dziadowa! Zabiję! Z diabłem się sprzęnę!

Diabłu duszę zaprzędam!

- Wstawajże, naga pieśni! Odpowiedz!

Dajcie odpowiedź, ludzie półnaczy Bytomia! Półnaczy ludzie Bytomia w knechty, galeą i korazuną okute, pierś o pierś uderzali. Półnaczy ludzie Bytomia brony na ścieżaj otwarli. Z drzewcem w dłoni skrwawionej szli na wytrwaną z knechtami.

I rzecze cesarz do księcia polskiego, iż skłamał! „Nieprawdą jest, jakoby ten lud można złamać”.

Każę cesarz zwinąć chorągwie i od Bytomia odstąpić. Pociągnie zaś nad Odrę, pod Głogów. Każę cesarz zakładników i syna wojewody do machin oblężniczych przywiązać i na pierwsze ciosy obrońców grodu wystawić.

Raduj się, serce potomne!

Nie oszczędzili głogowanie własnych synów. Toczyli z wałów wielkie młyńskie kamienie, a wrzącą smołą zlewali głowy braci, ukropem wyparzali synów oczy.

Patrzy polski królowie w dziwowisko, a postrach włosy mu jeży. Pada na jego czoło dostojna krew zakładnicza. A śmierć wojewodzica po nocy go ze snu zrywa.

- Szczekaj jeszcze!

- Alboż się cesarz nie uląkł widoku? Alboż spod Głogowa nie uszedł? A gdy pod Wrocław odciągał ze zbiedzonymi hufcami, rwał go jedynowładca polański pradziadowskim wzorem, szarpał go dniem-li, nocą-li, niweczył jego posiłki.

Nie masz brodu, gdzieby go nie dopadł i nie bił - nie masz błota w puszczy, gdzieby się jako wilk nie czaił i nie topił strudzonych w nagłym natarciu - nie masz kęsa chleba, którego by nie wydarł lub krwią po ostatnią skibkę nie zboczył.

Aż sam cesarz niemiecki tył podał.

A pozostawił swe wojsko skruszone na pastwę polańskiego gardziny.

Starszy brat patrzy na klęskę oczyma krwawymi. Wielką wygrane polskich zastępów za swoją wielką klęskę poczyta.

- Szczekaj jeszcze!

- Mówi pieśń: Przełożył starszy brat-wróg siodło swoje wojenne na grzbiet wypoczętego ogiera, mocno podciągnął popręgi, krótko przypasał puśliska. Daleka go czeka wyprawa. Za Santok! Za Drzeń! Za Uście! Za Nakło! Poprzez Lipy i Sosny! Poszeptał z księciem na Nakle, w pas się pokłonił wielkiemu na Kaminie księżęciu, czołem bił w ziemię przed Tryglawem w Szczecinie. Popłynął na Uznoim, Wolgast i Korenicę.

- Szczekaj jeszcze!

- Nie było już wieszczego konia w Radgaście, bo paliłby mu był kadzidło i całował kopyta. Minał już czas, gdy na ofiarę Radgastowi zabijano biskupów niemieckich. Siadł już biskup Burkard na wieszczunie nie siodłanym, nie kielznanym, nie chłostanym przenigdy - i wyjechał z kontyny. Rwał się i stawał dęba święty ogier w szaleństwie. Ale go niemiecki biskup ujeździł potężną ostrogą. Włożyli na bujną grzywę niemieckie chomąto. Opasali postronkami i splotem rzemieni. Orze już teraz ziemię niemiecką pod batem niemieckiego rataja wieszczy koń Swarozycyca.

Chwała ci, książe! Tyś to podjudził, podniecił, podburzył książątka nadmorskie, weleckie wiece i miasta, pchnął je na nowo, żeby na polską ziemię uderzyć. Po społu z Niemcami! Po społu z Czechami! Rozedrzyć Chrobrego dziedzinę. Siedliska do przyciesi wypalić, zamki nad wodami wyłamać i głównie ich rozwlec po bagnie, ludzi pokuć w płonice i kupcom na wieki w niewolę zaprzedać. Chwała ci, książe!

Chodzi Olbracht Niedźwiedź po Zaborzu, lasy depce, plemionka weleckie za gardło chwyta i dusi. Zdusi Hewelan, idzie na Sprewian, zdusi Kopanickich, idzie na Wkranów. Pociąga nozdrzami zapach poprzez puszcze, jako też to wonieją zanoteckie lipy. Miód słowiański daleki do nozdrzy Niedźwiedzia wiatr niesie. Wsie Niedźwiedź wypala, lud tępi lub ku wschodowi wypędza. Jeśli Słowianin idzie boczną drogą - na gałąź! A gdy wojna wybucha, idzie Słowianin z cesarzem Henrykiem i z cesarzem Konradem na Polskę. Daremne twoje trudy, o książe!

Rzucił się ze swego Głogowa Krzywousty wojownik, objął całe Mazowsze, zdobył, zburzył i spalił krwawe Nakło i Uście. Rozgromił liczne rzesze Pomorzan. Dosięgnął! Belgradu i bramy Kołobrzega zwycięską wyrąbał siekierą.

Przeszedł odrzańską zatokę, tamten brzeg osadził i aż do Sprewy w dziedziny Niedźwiedzia się worał. Tyś to, o książe, rozpętał!

Tysiące w ziemi polegną, tysiące pójdą w niewolę. Tyś to rozpoczął ten straszny, bezlitosny, wieloletni bój wroga-brata z Pomorzem.

Tyś wzmógł potęgę wroga-brata...

Skinął ręką królewic, żeby wieszczbiarz precz z tej izby uchodził.

A gdy się tamten ociąga, chwycił go za piersi i na ziemię obalił, żeby nogą rozdeptać jego wieszczbę przeklętą. Klasnął w ręce. Komornicy wywlekli gadacza. Lirę jego o kamienne progi strzaskali... Zapadł książe w dumanie posepne. Powrócił w krainy swej męki.

Och! Wrzącego ołowiu nakapał mu w serce włóczęga. Przeklęty widok przed oczy wystawił. Sen zniszczył.

Noc głęboka nad zamkiem zaległa. W głębi nocy, wśród ciszy, w bezsennym morzysku - wrzask trąby. Brata hasło... Tęty na moście spuszczone. Krzyk. Bitwa. Szczęk oręża. W przedsionku jęk głuchy i ciosy zabójcze. Drzwi pękły rozbite obuchem. Komornik na progu zakłuty. Latarni złowrogie połyski. Siepacze do izby wtargnęli. W przyłbicach, w kolczugach... Do broni! Miecz w rękę! Skoczyli. Za rękę! Za nogi! Na łożę!

Z rozkazu! Z rozkazu! Z rozkazu! Za zdradę królewską.

Strasznymi pchnięciami sztyletu przebili źrenice i oczy wylupili spod czoła.

Łzy czerwone na licu Zbigniewa! Po licu się toczą, po bladym. Pod rękę go wzięli siepacze w milczeniu. Troskliwie go wiodą.

Obojętni jak zima, jak burza, jak zaraza, troskliwie go ciągną z komnaty.

Stopy jego na progach pozdrawiają zwłoki wiernej czeladzi. Krew mu wierna w przedsionkach zmoczyła chodaki.

W dziedzińcu swym płockim królewic.

Wiatr szumi, Krucy kraczą. Rżą konie.

O, bracie!

Weszła stopa w strzemię konia wiernego.

Do pułsisk przytroczyli golenie.

Do łęku ręce przypasali związane.

- Bywaj, książę, z ojczyzny! - wołają.

- Do cudzych granic podążaj!

- Wolna droga przed tobą!

Jęczą mosty zwodzone, szlocha brama ojczysta, płaczą stare kamienie domowe. Poszedł w świat wierny rumak - gdzie wola. A na drodze samotnej ktoś go ujął u pyska.

Idą, idą samowtór - borem-lasem, pustkowie.

- Dokąd wieszysz? - zapyta królówie.

- W cztery strony świata... - odpowie.

- A ktoś jest ze mną ostatni?

- Wieszysz - panie!

Dmie zawieja w krwawe doły po oczach. Sieką śniegi lecące włos skudłany nad czołem. Daje puszcza policzki obmarzłymi wiechami bladym licom królewskim. Krzywa jedla go stepie uschniętymi rękami gałęzi - w pałak zgięty od wichru świerk go smaga włochatymi splawiny - buk go gnatem uschniętym w pierś uderza jak oszczep człowieczy - dąb go chwytą za gardziel w stryki wici skostniałych. Chrapie koń czując zwierza w ostępie. A w okręgach pustkowie zagra wieszysz straszną pieśń wygnanemu z ojczyzny. Śpiewa mu na pieszczalce przedziwnej o synu.

- Za tę lirę - powiada - coś połamał, tyranie, piszczel syna podjąłem i muzyczne uczyniłem narzędzie. Och, nie kłują tak igły sosnowe w rany oczu wmiecione, jako boli w serce wbita o synu śpiewanka!

Nie pomści krzywdy ojca syn wierny, wyznawca jedyny, jenże śpi pod sklepieniem ceglany-mi.

Nie udźwignie już miecza krwawego ręka syna struchlała. Nie wstąpi jego stopa junacka w strzemiona ojcowe. Z czterech tarcic dębowych zbite jego królestwo.

Z młodocianej prawicy piszczel oto, muzyczne narzędzie.

- Precz ode mnie, grzesznika, nędzny smerdo! Król jestem, król z królów! Sam chcę jechać przez pustkowie mej włości.

- O panie! Nie mogę cię odejść samego.

U twych strzemion iść muszę.

Ja jeden, towarzysz ostatni.

Muszę pieśń ci o synu do końca wyśpiewać. Posłuchaj:

.....

POKŁON HERMANA BALKA

Na czele szczupłej garstki kawalerów Zakonu Teutońskiego Panny Marii Jerozolimskiej imienia jechał Herman Balk lasów nieskończonych przestworzem. Nie chciał, by towarzysze wyprawy - Konrad Landsberg i Otto von Saleide, którzy pierwsi z południa na ziemię mazowieckie przybiegli, by późniejsi przybysze - Dietrich Bernheim marszałek - komendant Konrad Tutele, Henryk Berg z Turynгии, *Haus-Compthur* przyszlých twierdz Zakonu - szpitalnik Henryk Zeitz z Wittchendorfu, Bernard Ellenbogen i Otto Querfurt troskę jego widzieli - więc twarz zakrył przyłbicą. Nie chciał, by secina soldnerów i knechtów, towarzyszących na wyprawę rycerzom, traciła ducha, a laicy *heimliche* i bracia służący, tłum wątpliwego męstwa, lekką zbroją okryty, trwożył się jeszcze bardziej, postrzegając niepokój dowódcy.

Ukrywał tedy pod swą hartowną, mediolańską zbroją, pod czarną tuniką i białym płaszczem z czarnym krzyżem na lewym ramieniu dzieło ciężkie, pomysł i czyn zarazem ponad siły jednego człowieka.

A sam był przecie wodzem rzeszy nielicznej, rozkazodawcą nieświadomych i doradcą swym własnym w tym świecie nieznanym.

Puszcza sosnowa szumiała wokoło. Zimne jeziora: Chełba, morze błotne, Drużno jak łuk zgięte, Jeziorak w długie porozwidlany przeguby, Morąg, smugami chełbi srebrzystej na toni ciemnozielonej to tu, to tam w czarnym ostępie przywabiałały oczy.

Tajemnicze w gęstwinach rzeki - Wisła, Ossa, Wysoka, początki Pasłęki - raz wraz kładły niezbrodzone swe popławy przed bystrym konia kopytem.

A koń, co tyli świat przebiegł, co wciągał nozdrzami suchy wiatr zza palestyńskich spalonych gór przyfruwały, co szedł w orszaku cesarza Fryderyka, gdy wyklęty przez papieża Grzegorza zuchwale wkraczał w najposępniejsze pod słońcem jerozolimskie rozdoły, by samowładnie na głowę swą kłaść koronę - koń, co bił kopytem przed bramą prowadzącą do Świętego Grobu i kołysał się na wielkiego morza galerach - co w sycylijskich i lombardzkich pasł się trawach - co tropił ślad Kumanów i Pieczygniaków w nadborskiej pustaci u brzegu Ałuty i Dunaju - chrapał teraz mokrym nozdrzem i patrzył spłoszoną źrenicą w knieje głuchej północy, w cichy, senny, rozmarzający ostęp nieprzebyty pruskiego pojezierza.

Herman Balk gładził pieścizotliwie grzywę żrebca i bok jego podbudzał ostrogą. Wiódł go dalej a dalej.

Nie tu bowiem, gdzie się pienily samoswoje rzeki i gdzie jaśniały bezpańskie jeziora, był kres tej wyprawy. Nie tam, gdzie się już odcisnął ślad kopyta, był kres skoków bieguna.

Kędyś u zalewisk sinego morza i u wydm mierzei miała się dopiero wychylić zaporą dla skoków wędrownego rumaka, która na wiatr ze wschodu miała jego chrapy skierować. Nie mogły go strzymać nogaci wiślane ani nasycić i wypaść pachnącymi zioły swoimi ziemie Krystianowe biskupie ani sucha ziemia Pomorzan, którą teutońskiej wardze snadniej było zwać

Pomezanią - ani krainy lubawskie, sasińskie, gołędzińskie, warmijskie, pogodzińskie, natan-
gińskie, sambijskie i wszystkie inne, które wieczność rozpostarła między wiślaną i niemnową
żuławą. Serce nienasycone biło w piersi przybysza, gdy mierzył oczyma i skokiem rumaka te
ziemie niczyje, pustkowia, wędrowisko barbarzyńców i pogan.

Oto miał je najechać, posiąść, zdobyć i pół na pół z chytrym a żarłocznym Kunradem z Płoc-
ka podzielić. Serce łomotało w piersiach myśliwca, gdy oczy wypatrywały w matecznikach
ślady turów i łosiów, niedźwiedzi i wilków, jeleni i dzików. Serce łomotało w piersiach zdo-
bywcy, gdy wspominał i ogarniał we władzę ziemie widziane, powiaty przebyte, wody i ich
źródłiska, poniki, potoki, strumienie, rzeki, stawy i błota, wzgórza i rozdoły, puszcze i pola-
ny, dąbrowy i poręby, pola i ugory, łąki i pastwiska, bezdroża, przesmyki, przesieki, ścieżki
i drogi.

Serce biło w piersiach gospodarza, gdy mierzył i liczył, odkrywał i przewidywał bogactwa
jawne, wpadające w oczy nawet głupca, i skarby skryte przed oczyma niedołęźnych lub ciem-
nych - budulec surowy w lasach, żelazo i miedź, złoto i srebro, zbiorowiska soli twardej i roz-
puszczonej w wodzie, drogie kamienie i drogie futra zwierząt wałęsających się w lasach, cen-
ne ptactwo i wyborne ryby zapełniające stawy, jeziora, rzeki i strumienie.

Serce biło w piersiach budownika, gdy widział w olśnieniu marzeń statki pławackie na wo-
dach, ławy na potokach, mosty na rzekach i z brzegów jezior na wyspy tamy i jazy plecione
do połowu ryb z morza w górę rzeki na tarło ciągnących - drogi i płoty, budy i szopy, chaty
i wsie, brogi i gumna, targowiska, podgrodzia, miasta, grody, zamki, kościoły i wielkie kate-
dry, twierdze niezdobyte i porty jeszcze nie widziane u wybrzeży.

Mógł oto wyciągnąć rękę i zabrać!

Ogarnąć to wszystko!

Zabrać jak ziemię chełmińską, ziemię pół obiecaną, pół darowaną, żywą płotkę, zarzuconą
przez słowiańskiego rybaka na przynętę, ażeby cudzymi rękoma schwytać wielkiego szczu-
paka - Prusy nieogarnione. Herman Balk śmiał się wspominając tę dziedzinę zawartą między
Wisłą, Ossą i Drwęcą jakoby w ramie wiekuistej.

Herman Balk śmiał się wspominając ziemię michałowską, zawartą między Drwęcą, Rypnicą
i Branicą jakoby w ramie wiekuistej.

Obadwaj z Konradem margrabią Landsbergu wyrwali przecie te ziemie z ręki Konrada na Ma-
zowszu sztuką wysoką, podstępem głębokim i tak przemyślnym, iż tylko z niezwykłym
mistrzostwem robienia mieczem rycerskim, gdy walczyć wypadnie z chłopem nieokrzesanym,
ta walka złożona z samych sekretnych sztychów i zdradzieckich ciosów porównać by się dała.
Prostak słowiański, księżę grube a chytre, tyran, gwałciciel zamyślił był wypuścić szmat cheł-
miński błędnym rycerzom - niby to podarować mały splacheć swego po ojcu dziedzictwa Do-
mowi Teutońskiego Szpitala Panny Marii w Jerozolimie - w tym celu, ażeby ten Dom przesław-
ny zdobył ogromną, pustą krainę, nieogarnione Prusy, dla niego, dla słowiańskiego tyrana.

Połowę zdobyczy chytry Konrad rycerzom krzyża łaskawie chciał odstąpić.

Dom Teutoński Bogarodzicy darowiznę przyjął, ale nie po to przecie, żeby pruską krainę zdo-
bywać dla gnuśnego a przemyślnego Konrada.

Dom Teutoński Bogarodzicy postanowił zdobyć tę krainę, lecz dla siebie, dla przesławnego
Zgromadzenia braci i jego wiecznych w czasie dziedziców.

Aby zaś ta sprawa była wykonana według samego najściślejszego prawa, Mistrz Zakonu
wygotował akty darowizny ziemi pruskiej, gdy zdobytą zostanie, dla siebie i swego Domu -

najprzód od niemieckiego cesarza Fryderyka Drugiego, chociaż ten, po prawdzie, do owej dalekiej ziemi żadnego nie miał prawa - a następnie od papieża Grzegorza Dziewiątego, choć ziemia ta, po prawdzie, nie była nigdy we władaniu i nie mogła być, jak chciały akty, wzięta w przeszłości we władanie przez rzymskiego papieża.

Żeby zaś żadnej już wątpliwości i niepewności w tym dziele nie było, Mistrz Zakonu Panny Marii Jerozolimskiej wyrobił sobie od cesarza akt darowizny dla swego Domu i jego wiecznych w czasie dziedziców - i samejże ziemi chełmińskiej, której darowiznę przyjął był od mazowieckiego Konrada.

Tak to z dwu stron biorąc, Zakon brał według najściślejszego prawa. W dokumentach tych, przez kancelarię cesarza wygotowanych, przypisało się Konradowi księciu na Mazowszu trwożę przed Prusakami zamiast apetytu zdobywcy na ową pruską ziemię. Tak wypadło. Tak lepiej brzmiało. Aby zaś nikt i nigdy w czasie przeciwko temu pisanemu prawu głosu podnieść nie mógł, Zakon wykonał akty potrzebne sam i według swego rozumienia rzeczy. Gdzie należy, pokazał kopie tychże aktów, może niezupełnie takie same jak oryginały.

Oryginały bowiem gdzieś przepadły. Byli nawet ludzie, którzy składali uroczystą przysięgę, iż inne były oryginały, lecz nikt już nigdy tych pism nie zobaczył.

To była sprawa polityki Domu Panny Marii Jerozolimskiej imienia.

Mistrz Herman von Salza, ulubiony towarzysz cesarza Fryderyka Drugiego i prawa jego ręka w wielkich pod klątwą na wschód wyprawach, nieznużony sojusznik w matactwach z sułtanem i walkach z Grzegorzem Dziewiątym, gdy papież musiał z Rzymu przed sojusznikami cesarza uchodzić, pośrednik i usłużny negocjator, jedyny świadek sekretnych rozmów pojednania, komendant ośmiu wielkich twierdz cesarskich danych papieżowi w zakład pokoju - wiedział dobrze, gdzie i jak poczynać należy w rzeczach praw sekretnie po kancelariach pisanych. Lecz teraz oto wypadło w czynie zdobyć pruskie pustkowie, gdy się je posiadało na piśmie, ogarnąć je rękoma wbrew woli mieszkańców tej ziemi.

Ci nie dawali się sztuką podejść ani ująć prawem sekretnie pisany. Trzeba było na nich innego sidła zażywać. Tym sidłem miał być stryk u siodeł braci zakonnych i służebnych wiszący.

Punktem prawa miało być uderzenie miecza, który u lewego boku połyskał.

Już Herman Balk zwarł się był z wysuniętymi posterunkami pruskiego plemienia. Usadowili się bowiem pod *oppidum* Tarnowem, przezwanym Toruniem, w Rogowie, w Słomowie u Chełmży i w Starogrodzie u Chełmna. Staczał był z nimi utarczki, wypadając z zamku zbudowanego przez Konrada z Mazowsza na wprost Tarnowa, w Dębowie, na wzgórzu, po lewej stronie Wisły w lesie dębowym, z zamku przezwanego Vogelsangiem, gdzie Konrad von Landsberg, Filip z Halli i Henryk Czech pierwsze znaleźli schronienie.

Zebrawszy nieco ludzi z Niemców przybyłych na wyprawę krzyżową, Herman Balk wsiadł na łódzie w Nieszawie, przepawił się przez Wisłę i dotarł do miejsca, gdzie wznosił się jeden ze sławnych dębów prastarych, we czci u tubylców będących.

Tu Krzyżacy wysiedli, opanowali dąb święty i wokół niego obóz swój rozpostarli.

Opasawszy częstokołem wielkie drzewo i okopawszy rowami, na niezmiernych jego gałęziach zasiek uczynili obronny, z którego uderzających na okopy strzałami razili. Tam to powstało w głębokim Turnie pierwsze umocnienie krzyżackie.

Wnet pruskiego dowódcę Rogowa wzięto w niewolę i pod strachem szubienicy przymuszono do zdrady, iż był przewodnikiem przy zdobyciu drugiej twierdzy, leżącej nad wodą, poniżej biegu rzeki Wisły.

Wreszcie trzecia twierdza dostała się w ręce krzyżackie, a dowódca jej na gałęziach świętego dębu zawisł w stryku.

Teraz Herman Balk pędził dalej na północ lasem nieprzebytym, pustkowiem. Głusza sosen zielonych zamykała mu drogę, kręgiem wciąż jednakowym stojąc wkoło a wkoło.

Jednakim wciąż kształtem zagaja myliła drogę, wciągała jeźdźca i konia w kołobieg, iż sadydził skokiem po własnych swych tropach, po szlaku tego samego wciąż obwodu. Podobizną pniów czerwonych, zielenią koron wciągała pamięć w omam, w zawilóść, w błąd, w tu-man niewiedzy.

Tam i sam prawieczny dąb odtrącał od siebie miękko drzewne zwoje zieleni i na samotniku polany szczytem olbrzymim w niebiosa się wynosił.

Tam i sam grubopienne buki, jakoby w zbroje stalowe okute, zamykały wjazd i niweczyły dostęp do wnętrza i głębi.

Zastępy grabów stawiały czoło przychodniom, jako rota niezwyciężonego pogłowia.

Liście kalin, pędy leszczyny, igły jałowca zagradzały przejścia i niweczyły przesmyki.

Tajny dziw krył się w głębokości ostępów.

Niżwyciężony lęk przed dziwem w każdym momencie serca przychodniów przesywał.

Wiatr od morza szumiącego w krańcu puszczy przeciągał poprzez knieje.

Wiatr niósł im wieść daleką.

Wiatr ich w dal wołał.

Wiatr zginał wyniosłe, wielobarwne pióra na szczytach przyłbic i świstał w przeziory oczne szyszaków, owiewając spracowane głowy cudami złudzenia.

Kędyś w puszczy ujrzeni na swej drodze jeźdźca dziwnie pięknego. Człowiek ten sam był w bezdrożach. Miał na sobie kiereję ze skór rysich, na głowie jakby przyłbicę z turzej głowy wraz z rogami na czaszkę wtłoczoną, na piersiach kirys z rzemienia, naszyty żelaznymi blaszkami. Miecz miał stalowy u boku, rzemieńne buksy i grube skórznie na nogach, a do napletków przytwierdzone długie ostrogi.

Koń nieopisaney piękności grzał się i wściekał od złotych kolców pod jeźdźcom tym młodocianym.

Herman Balk skinał na swoich ujrzawszy rycerza na połowie wyżyny wzgórza łysego.

Skoczyli ku niemu *heimliche*, soldnery, knechty, ażeby go otoczyć i pojmać.

Tamten czekał bez trwogi.

Gdy go osaczyli błyskiem koncerzów - uśmiechem wyniosłym pchnął ich od siebie. Dał znak, że chce mówić z dowódcą.

Herman Balk przystał.

- Ktoś jest w mym państwie? - zapytał go pruski młodzieniec.

Zdumiał się Herman Balk niepomału, ten bowiem samotny barbarzyńca przemawiał doń w teutońskiej gwarze.

Herman Balk skłonił się słysząc, iż spotyka władzcę pogan. Wymienił z pokorą godność swoją w Zakonie, urząd land-spflegera, czyli namiestnika tej strony. Dodał, wymijając prawdę, iż szuka w tych oto lasach siedziby biskupa Krystiana, leżącej kędyś poniżej największej głębokości Wisły, na wysypisku zalewanym przez wody licznych nogaci, kędyś w osadzie Czartyrn, dawnej warowni gdańskich Pomorzan, którą to nazwę wardze teutońskiej lżej było zwać Zantyrzem. Wyznał, iż do biskupa Krystiana w Zantyrze jedzie z polecenia Zakonu.

Władzca pruski słuchał.

Nachylił się do mistrza prowincji i rzekł z cicha, żeby braci i knechtów oddalić, gdyż samotór chciałby wieść ważną rozmowę.

Herman Balk z uwagą miejsce obejrzał, a postrzegłszy, iż nie może być w pobliżu żadnej zasadzki, a zdrada jest niemożliwa, przystał na rozmowę bez świadków.

Wyjechali dwaj, sami, galopem, sadząc bachmatami w wielkich skokach na skraj wzgórza łysego. Widać było stamtąd na wschód i zachód, na północ i południe przestrzeń wielką.

- Z kimże mam szczęście mówić, o panie? - zapytał z pokorą Krzyżak.

- Jestem kunigas tej krainy. Nie sam jeden władam tutejszym obszarem, nie ja jeden nad całą pruską ziemią panuję, lecz nad tym oto przestworem, który oczy nasze ogarnąć mogą, a nasze konie mogłyby przebiec w skok aż do tchu ostatniego - ja panuję.

Po wtóre skłonił się landspfleger ziemi pruskiej przed jej panem.

- Zapytam w zamian - rzekł młodzieniec pogański - kimże jesteś w istocie, cudzoziemcze?

- Nikim. Zakonnikiem, który wypełnia śluby czystości, posłuszeństwa, ubóstwa.

- A nosisz przecie tytuł opiekuna tej strony.

- Jestem kwatermistrem Boga na tej ziemi...

- „Boga na tej ziemi”... - powtórzył tamten w zadumie. - Bogów jest dużo na ziemi. Jeżeli wszyscy bogowie wyślą kwatermistrzów swych odzianych w pancerz i zamczysty hełm; uzbrojonych w miecz i stryk na tę pruską krainę, gdzie się ona podzieje?

- Jestem kwatermistrem Boga Jedyne, Prawdy wiecznej, na krzyżu przez nieprawy świat umęczonej, Jezusa Chrystusa.

- „Jezusa Chrystusa”... - powtórzył tamten jak echo, w niezgłębionej zadumie.

Marzenie pełne zgrozy i bezdennej boleści zasłoniło jego oczy i straszny gniew, co w nich płonął. „Pamiętam...” - myślał, widząc przed sobą skałę wysoką, skałę samotną w jałowej judzkiej pustyni i Jezusa Chrystusa na skale wysokiej sam na sam z szatanem.

Otrząsnął się. Stał w strzemionach. Wyrwał z pochwy miecz i pchnął nim przed się, w powietrze.

Orle, sokole, krogulcze i kanie pióra, wetknięte między rogi głowy bawołu, która kunigasowi za przyłbicę służyła, zachwiały się ze drżeniem. Wilcze skóry jako czaprak spod jego siodła zwisające pociągnęły się ku przodowi jak żywe.

Pokonał w sobie furię. Zwabił na usta uśmiech łaskawy.

- Przychodził do tej krainy - rzekł - tak wspominają wajdelotów, tulissonów i ligastonów wywody a pienia - posłaniec od Jezusa Chrystusa.

Cichy. Pokorny. Uśmiechnięty.

Mówił do ludzi szelestną słowiańską mową wieści łaskawe wśród znaków krzyża, które i ty nosisz na lewym ramieniu, o gończe Jezusa Chrystusa. Lecz tamten broni żelaznej nie miał na sobie, ni w ręka, ni w zanadrzu.

Krzywułą wędrowca podwajał stare swe kroki.

Stał w miejscu świętym dla ludu.

Więc go lud zabił. Ten lud żąda od cudzoziemców jedynie żelaza i soli. Nie potrzebuje kwatermistrzów Jezusa Chrystusa. Ciało tamtego lud porąbał na sztuki i rzucił w wodę. Lecz zrosły się w jedno części ciała - z wyjątkiem jednej.

Kunigas nachylił się niżej i szepcąc, ze śmiechem niepowstrzymanym dodał:

- Tak jako niegdyś-niegdyś części ciała Ozirisa. Z wyjątkiem jednej... Znasz przecie, cudzoziemcze, tę baśń o bracie i małżonku Izydy, którego Set, głuchy i ślepy na dobro i piękno...

Herman Balk spojrział w oczy rozmówcy, jak na rycerza Panny Marii przystało.

- Lud ten nie życzy sobie cudzoziemskich wajdelotów. Lecz ja czekam na ich przybycie... - dorzucił pruski młodzieniec.

- Łaska twa, panie...

- Sam z dobrej woli przebiegłem z biskupem Chrystianem niemieckie kraje. Widziałem święte miasto. Czailem się w ukryciu, gdy namiestnik rzymskiego Kościoła rzucał na cesarza kłątwe, i czailem się w ukryciu, gdy zwolennicy cesarza znieważali głowę Kościoła u stóp samego ołtarza - i gdy go sromotnie wypędzili z Rzymu.

Głowa Hermana Balka zachwiała się od zdumienia.

- Rycerzu! - śmiał się pruski kunigas. - Czas już przyszedł. Trzeba nawracać, prowadzić na drogę prawdy i zbawienia to pruskie plemię.

- Ostatni czas, o panie!

- A jeśli nie zechcą wstąpić na ścieżkę zbawienia dobrowolnie, czas jest przymusić ich do tego. Zbudujesz wielkie statki i opanujesz jezioro Družno. Ochrzczisz każdego, ktokolwiek zbliży się do brzegu, a każdego, kto by do pogaństwa chciał wrócić, zmusisz do ucieczki za Pregolę, za Niemen. Biada odszczepieńcom, którzy by chcieli uwodzić dusze wiernych! Wypędzisz ich w jednej koszuli poza granice ziemi chrześcijańskiej. Biada opornym, którzy by się ochrzcić nie chcieli! Tych wytepisz do nogi mieczem i powrozem.

Zachwiała się po wtóre od zdumienia głowa wielkiego kom-tura.

- Czyliż to są ludzie? - pytał książe. - Przychodzą raz wraz tłumem pod mój warowny gród, gdy im głód doskwiera, i proszą się, żeby ich wieść na sąsiady. Idziemy tedy małym-wielkim tłumem, puszczamy z dymem osiedla lackie na zachodzie i południu, grody nad morzem - łupimy wszystko do ostatka i powracamy w te lasy z dobytkiem i kobietami. Czas już pomazać chryzmatem miłości to plemię. Trzeba je uszczęśliwić albo do nogi, do imienia wygubić. Czy może do nogi wygubić - zachowując samo tylko imię? Jak sądzisz, bracie pokorny?

- Nie wiem, o panie.

- Już mi to pruskie plemię obmierzło. Nużą mię ich długie, stare, okrutne pieśni. Drapią mię w gardzieli ich dzikie, prastare - och, stare! - wyrazy, szczypią mi wargi ich okrzyki i wzywania, którym już gdzie indziej tak długo słyszał. Dość już mam jednostajności długiego barbarzyństwa tych bydłat dwunogich.

- Czemuż to, książe? Wszakże to twoja ojczyzna.

- Tak. To moja ojczyzna. Ale, o gończe z Południa! Dusza moja łaknie postępu, nowości, odmiany jednolitych form w wielorakie. Nowości!

- Ja właśnie niosę tej stronie najradośniejszą z nowości.

- Tak. Kto raz zetknął się z waszą duszą, rycerze, z waszą duszą przemyślną, zawikłaną, która się wykołysała w palących wiatrach między Ptolomaidą i Gazą, w poświstach morza - która się kształciła na posadzkach królewskich sycylijskiego pałacu i przy wieży Dawidowej - kto się raz poznał z waszym tajnym zamysłem i sekretnym pchnięciem, wyćwiczonym w italskich spiskach, ten przecie musi znienawidzić chamstwo tutejszego pogłowia. Jestem waszym czcicielem, jerozolimscy rycerze!

Zaśmiały się od radości oczy i usta Hermana Balka. Wyciągnął do kunigasa prawicę. Ale tamten wyciągniętej dłoni nie spostrzegł. Zatoczył swym ogierem półkole jak jeździec nieporównany i wyniósł się w podskokach wyżej, wyżej, wyżej - aż na szczyt góry łysej.

- Patrz, rycerzu - mówił wskazując ręką na wschód i zachód, na północ i południe. - To miejsce nazywa się górą Kwidzynu. Tamten potok, szumiący w dole, w uroczej dolinie, wśród korzeni prastarych lip i dębów, buków i jodeł - zowie się Miłość.

Komtur położył na swych piersiach znak krzyża.

- Tam, daleko, na zachodzie słońca, wśród owych, które we mgle dostrzegasz, niezmiernych drzew płynie rozlewna woda, pienista rzeka Wisła. Za tą rzeką leży ziemia Kaszubów piękna jak młodości sen w noc wiosenną. Ziemia zarośnięta przez puszcze, w której błękitnieją jeziora, snują się rzeki i ciche potoki.

Tu na wschodzie leży ziemia rzesińska, Pomezania, Bartonnia, Natangia, zielenieją polany warmijskie i pogodzińskie.

Tu na północy - to zalewisko, które Wisła morzu wydarła, namułem swym z lądów dalekich wydartym przesyciła, a wreszcie sama przez własne swe lądy się toczy.

Tu na południu - to Mazowsze, skąd przybywasz.

- Przepiękna to ziemia- mówił Herman Balk, patrząc z zachwytem we cztery strony świata i obejmując wzrokiem widnokrąg niezmierny.

- Widzisz, jak ziemie te są puste i głuche. Ciszę tych kniej przerywa jedynie ryk lub bek dzikich zwierząt oraz okrzyk ludzi odzianych w skóry zwierząt i czujących jedynie głód, chuć i nienawiść.

A teraz patrz!

Herman Balk w olśnieniu niepojętym ujrzał, iż rozsuwają się lasy, przestrzeń znika. Zobaczył w oddali strzeliste wieże, olbrzymie mury i potężne dachy twierdzy Malborka, różowe i zamglone w zieleni pól wysłanych złotymi zbożami. Zobaczył zamczysko Sztumu między dwiema powierzchniami jezior siostrzanych. Zobaczył zamczyska Świecia i Gniewa, Postelina i Suszu, Teczewa i Grudziądza, Radzunia, Torunia, Balgi i Elbląga. Zobaczył wieszczymi oczyma Kristburg w Natangii, Bartenstein, Resel, Wissemberg w Bartonii, Brunsberg i Heilsberg w Warmii. Zobaczył miasta tulące się u podnóża zamków, siola i drogi bite, mosty na rzekach, kładki i ławy na strumieniach, wielkie katedry i wspaniałe porty u brzegów morza. Liczni rolnicy pracowali na polach w boru wykarczowanych. Rycerze, zakuci w żelazo, uzbrojeni od stóp do głów, na koniach zbroją okrytych pędzili w dal drogami bitymi. Wielkie wojenne maszyny z wolna toczyły się z zachodu na wschód po zgrzytającym żwirze pagórków. Kohorty piechoty najemnej i hufce jazdy niemieckiej lekką zbroją okryte, w kirysach tylko napierśnych, w habitach zakonnych po wierzchu, z krzyżem złamanym, o trzech ramionach, na znak, iż nie są istotnymi braćmi, z rozwiniętymi sztandarami pędziły w dal, na wschód, na wschód.

- Wszystkłą tę krainę, której krańców nie dosięgasz oczyma, której przyszlą piękność w widzeniu oglądasz, której bogactwa jak gdyby we śnie stuletnim zabierasz, dam tobie i domowi twemu, albowiem tyś jest jedynie prawym po mnie jej dziedzicem.

- O panie! - zawołał Herman Balk w uniesieniu.

- Ale musisz zsiąść z konia i upadłszy na kolana oddać mi pokłon.

Przerażenie zjeżyło włosy wodza pod hełmem i odjęło mu mowę. Patrzył ze szpar żelaznych w straszne oczy pruskiego zdrajcy. I wyczytał we wzroku tamtego, że z konia zsiąść musi i upadłszy na kolana oddać mu pokłon. We wzroku tym było coś więcej niż szalbierstwo i podrobienie dokumentów, niż zdolność do matactwa i oszustwa, do krzywoprzysięstwa i tyranii, niż zdatność do wyprowadzenia w pole wszystkich jurystów i szachrajów

świata, niż umiejętność zatarcia prawdy, wykrzywienia istoty rzeczy i pochwylenia w porę fałszu owoców.

We wzroku tym była sama w sobie, istotna, własna, zupełna dusza Hermana Balka. To jego własna dusza z zewnątrz patrzyła mu w oczy.

- Pędź stąd stado ludzkie w imię Jezusa Chrystusa, w imię dobra i cnoty, w imię przebaczenia i miłości, w imię odpuszczenia grzechu i zapomnienia winy - pal siedziby w trudzie rąk sklecone, zaorz ziemię, miejsca, gdzie stały. Niechaj nowy przychodzień osiada na popielisku. Niech stanie szubienica między lądem i morzem. Niech nie obsycha w gnuśnym spoczynku twój miecz nagi. Niech stryk twój zawsze będzie wyprężony.

Herman Balk zsiadł z konia i zgiąwszy kolana ucałował nogę władcy.

Tamten wyciągnął miecz i dotknął nim jego ramienia.

RZE • W GDAŃSKU

*„Timore Dei postposito et dyabolo suadente...”
Lites ac ies gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum.
(Motyw wyroku rzucającego ekskomunię na Krzyżaków).*

Z rozpaczą w sercu wracał na spienionym koniu rycerz Niemira od sandomierskich krain, dokąd jeździł w poselstwie, ażeby Władysława Łokietka błagać o pomoc dla Gdańska. Brandenburczycy pod starym Ottonem i Waldemarem Askańczykami zagarnęli byli podstępem górne Pomorze i miasta. Sam tylko gdański zamek w widłach Motławy i Raduni, niegdyś przez książąt gdańskich z drzewa wzniesiony, pozostał w ręku Słowiańskich, w mocy Polaków i Pomorzan. Miasto za sprawą pewnej części mieszczan, Niemców z pochodzenia, wydane zostało w moc Sasów, Ottona i Waldemara.

Lasami okrążywszy Świecie obsadzone przez brandenburską załogę i Gniew, gdyż to grodziszcze wpadło już było od dawna w ręce krzyżackie, Niemira z towarzyszymi wiadomymi przesmyki weszli w oliwskie knieje i do bram przypaść zdołali. Świętopełkowe zamczysko skąpą liczące załogę nie mogło długo się bronić, a osaczone ze wszech stron przez Brandenburów, którzy za sprawą rodu Święców posiadli Tuchełę, Świecie, Nowe i inne grody, a wszystkie drogi przecięli, nie mogło we wsiach okolicznych znaleźć żywności ani liczyć na dowóz sekretny. Władysław Łokietek zajęty wojną z Litwą i Rusią, skarb mając pusty i dla buntu wszczętego w Krakowie nie mogąc się z miejsca oddalić, udzielił dwu rycerzom na piśmie gorzkiej rady, aby Gdańska, jak mogą i zdołają, bronili.

Wróciwszy na zamek rycerze zdali sprawę. Starosta gdański, mężny Bogusza, zwołał radę rycerską i zasięgnął zdania Wilhelma, przeora gdańskich dominikanów. Przeor doradzał, żeby zamku Brandenburczykom nie wydawać, lecz zwrócić się raczej o pomoc do najbliższego sąsiada, do jedynej, mocnej potencji chrześcijańskiej w tej stronie, to jest do rycerzy malborskich. Rozpaczliwa to była rada, lecz musiała być wzięta pod rozwagę, gdy innego wyjścia nie było. Chyłkiem wysłano gońca do Elbląga. Znalazło się wśród kaszubskiej załogi grodu człeczę sposobne, obrotne, władające niemiecką mową. Dano mu pismo królewskie z wyszczególnieniem warunków, na których podstawie Krzyżacy mieli połowę gdańskiego zamku obsadzić.

Winni tedy byli przede wszystkim na piśmie dać zapewnienie, iż po wypędzeniu Brandenburów zamek opuszczają, zadawalniając się wynagrodzeniem za poniesione na tę wyprawę wydatki.

Goniec pobiegł. Prześliznął się w łodzi między nieprzyjaciół strażami i wypłynął poza Holmu osuchem w Leniwkę. Minąwszy zarośla, stawiska i nowe uprawne pola na wielkiej wyspie zantyrskiej, wskutek traktowania o sprzedaż tych posiadłości przez kujawskiego Prze-

myślawa już po prawdzie w całości do Zakonu należącej - stanął w Elblągu. Kapituła elbląska jak najchętniej przyjęła propozycję udzielenia pomocy Polakom w zamku obleżonym. Dała na piśmie żądane warunki, iż bronić będzie wojskiem swym gdańskiego zamku o własnym koszcie, a po upływie roku wystawi obrachunek i twierdzę opuści.

Wnet też wojsko krzyżackie wysłane zostało pod wodzą chełmińskiego komtura Guntera Schwartzburga. O ciemnej nocy kohorty żelazne wkroczyły w rozwarte bramy gdańskiej twierdzy, prowadząc obfite zapasy. Krzyżacy zajęli jedno zamku połowę. Drugą dzierżyli Polacy i Kaszubi,

Skoro tylko Brandenburczycy spostrzegli, iż w zamku jest krzyżacka załoga, poczęli wycofywać się z miasta. Zwolna ciągnęli na zachód rabując i łupiąc. Ażeby odwrót nieprzyjaciół przyspieszyć, starosta Bogusza, kasztelan Wojciech Wojsław i rycerz Stefan z Pruszcza podejmowała z grodu wycieczki i pędzili najeźdźców: obu margrabiów i dwu biskupów - lubuskiego Fryderyka i kamińskiego Henryka, lenników Hassona Wedla, Ebersteina, Glasenappa i innych, z północnego Pomorza na zachód. Lecz gdy z jednej z takich wypraw wracali, Krzyżacy otoczyli ich w sposób zdradziecki. Boguszę okuli w kajdany i wtrącili do lochu.

W obrębie zamku ci mniemani sojusznicy wzniesli fortalicję osobną dla siebie, z której na polsko-kaszubską połowę czynili wypadki. Wreszcie cały zamek zdobyli i ogarnęli we władanie wyłączne.

Na Boguszy do ciemnicy wtrąconym wymusili zeznanie pisane, jakoby im dobrowolnie gród wydał aż do czasu, gdy Władysław Łokietek zwróci sumy na pomoc przeciwko Brandenbrom wydane.

Wnet Krzyżacy znaczne otrzymali posiłki, stojące pod wodzą samego wielkiego komtura i zastępcy wielkiego mistrza Zakonu, pod bezpośrednimi rozkazami saskiego hrabiego Henryka von Plotzke. Ten zasiadł w zamku.

Rycerstwo polskie wraz z pomorskim wypchnięte poza fosy i mury znalazło schronienie w domostwach, sieniach, dziedzińcach i stodołach „starego”, Subisławowego jeszcze miasta. W największej sali Świętopelkowego zamczyska, która się mieściła w narożnej, murowanej wieży, zasłaniającej sobą od strony rzecznej dostępu drewnianą budowę, w izbie o ścianach potężnych, zbudowanych z wielkich, obłych głazów, przy dębowym stole pośrodku komnaty siedział wielki komtur Henryk von Plotzke. Po drugiej stronie stołu przysiadł się na brzegu ławy prawny doradca, powiernik, archiwariusz i zausznic a *secretis* komtura, noszący włoskie nazwisko Graffiacane.

Graffiacane nie był zakonnikiem ani bratem służebnym, nie nosił żadnego tytułu ani sprawował urzędu, a jednak on to właściwie rządził Zakonem. Podsuwał niepostrzeżenie prawa przeciwko Żydom, kuglarzom, wróżbitom, czarownikom, włóczęgom. On wymyślił i w szatę prawną ubrał rozkaz o przekłuciu ucha każdemu zbiegowi spod władzy dziedzica. On sporządził zakazy zabraniające łączenia się w pary małżeńskie podczas sianokosu, zniw, zbierania chmielu, pod karą utraty całorocznych zasług. On podsunął myśl kary śmierci na pruskich trucicielów i ujął tę myśl w formułę: skoro kilku ludzi, Niemców i Prusaków, pije społem, ten, kto spełnił już czarę i nową nalewa, winien pod karą śmierci odpić z niej część trunku i dopiero wtedy podać współbiednikowi.

Graffiacane był człowiekiem młodym i pięknym nad wyraz. Jego wykształcenie w prawie i biegłość w dyplomatyce były niesłychane. Za mistrzostwa Konrada von Feuchtwangen

i Godfryda von Hohenlohe bywał na dworze ich w komandorii świętej Trójcy w Wenecji - do Palestyny żeglował i w zawieraniu umów z Saracenami uczestniczył.

Odegrał rolę zręcznego intryganta w rozdzieleniu władzy między Hohenlohem i Feuchtwan-
genem, jeździł w misjach sekretnych do kurii rzymskiej i na dwór cesarza. Nade wszystko jednak celował w znajomości spraw, zawiści, przespiegów, zrad, podstępów, przekupstw i morderstw wśród barbarzyńców słowiańskich, pruskich i litewskich, z którymi Zakonowi zмагаć się wypadło. Bywał w tych rzeczach niezastąpionym negocjatorem, posłem, szpiegiem, przekupcą, handlarzem sumień i nabywcą dusz, a także biegłym nad wyraz rozdawcą do zastosowania, gdzie należy, trucizny i sztyletu.

W nocy z trzynastego na czternasty listopada siedział w milczeniu i uparcie patrzył w twarz Henryka von Plotzke. Pomimo zalegającego już ziemię mroku wieczora gwar nadzwyczajny dochodził do tej sali wysokiej z miasta rozłożonego wokół zamku, ponad zakrętem Raduni i widłami Motławy. Tłumy Kaszubów ściągnięty były właśnie z bliska i z dala na jarmark od pięćdziesięciu już lat rokrocznie trwający w ciągu dni kilku, który w tym roku, 1308, wypadł o trzy miesiące później wskutek zagarnięcia kraju i miasta przez Sasów. Między kościołem rybackim świętego Mikołaja i wielką budową świętej Katarzyny, na sto kilkadziesiąt lat przed tą chwilą przez księcia Sambora wzniesioną - pod murem miejskim, który podówczas łączył wieżę dominikańską rybackiej parafii z basztą „Patrz w górę”, przez Niemców *Kiek in die Kok* zwaną, ponad rzeczką Radunią a obok młynów niemieckich, na wielkich placach rozciągniętych wśród opłotków od starej Motławy aż ku rozdołom szydlieckim - jarmark dominikański się kotłował. To wydeptane, błotniste targowisko, obstawione drewnianymi domostwami starego miasta, wrzało teraz od nadzwyczajnego zgielku. Po odstąpieniu brandenburskich najeźdźców, po zwolnieniu spod opresji zamków, osiedlisk, dworów i wsi, ludność kaszubska złupiona przez Niemców przybyła tłumnie z uwolnionych okolic, gdyż musiała nabywać nie tylko odzież i statki domowe, ale i żywność samą.

Siedząc na wytrzebionych w boru polanach - niniaki w Pomorsce czy łyżaki pod Kościerzyną, równie jak beloki i kabatki, mało na ogół mieli mąki i chleba. Mąki żytniej używali na zacierki i kluski, stanowiące ich ulubioną potrawę. W czasie przednowku żywili się surowicznymi i kwasami, a częstokroć pleśń i zgnilizna wydobyta ze spróchniałego drzewa, z przymieszką plew i najgrubszej mąki za chleb im służyła. Pólnagie dzieci po złupieniu wszystkiego dobytku i odzienia przez wrogów wałęsały się w checzach dymu i ciężkiego czadu pełnych. Matki zbierały w lasach, na pastwiskach, w porębach i po nadwodziu zielska i badyle jesienne, żeby je zakwasić i jako kapustę zgotować. Z drzew owocowych tylko kwaśna krzesnia, małoziarnista tubylcza wisienka, tuliła się w lecie obok domostw, a tej jesieni krzywe jabłonki pocieszały gromady dzieci swym nad wszelkie słowo cierpkim i małym owocem, którym Sas wzgardził i dla twardości go nie obdarł.

Z żyznych okolic zawisła i z zantyrskiej Żuławy, z gniewskiego Kociewia, od strony nakielskiej Krajny, z Pałuk, z lewego nadbrzeża Warty, z borów i aż spod Chełmna, z Kujaw zwieziono na targ gdański wielką ilość zapasów i towarów, wodą na bykach wiślanych, na polskich promach i komięgach albo wozami, skradając się w poprzek bezpańskiego lasu. Popod okapami i daszkami drewnianego klasztoru czarno-białych mnichów zaległy góry bochenków chleba z nowego zboża wypieczonych, baryły masła, konwie miodu i stosy jaj, Wisłą spławione z dala, od polskiej strony. W ciepłych kałużach stękały tu karmne wieprze i ogromne maciory, kwiczały prosięta postronkiem za tylne nogi przytroczone do kołków w ziemię wbi-

tych - gdakały kury i kwakały kaczkę, skwierczały kurczaki, powiązane w istne kopy pierza. Tuliły się tu owce i barany, spławione na sprzedaż aż zza Noteci, znad Warty i zza Ossy - stały krowy, jałówki, konie i źrebięta. Zwierzyna, dostawiona przez puszczańskich myśliwców od strony jezior raduńskich, zajmowała połac targowiska. Leżały tam odyńce i warchlaki, sarny, jelenie i zające - stopy głuszców, cietrzewi, jarząbków - na rosochatych drogach dyndało mnóstwo ubitych dzikich gęsi i kaczek, kuropatw i przepiórek, powiązanych w mende łykiem za dzioby nosowe.

Ponad Motławą reboce od Helu i Pucka, zza kępy i z Gdyni, przybieżawszy na ten targ ćwiardym morzem na swych czarnych łodziach, porozstawiali ogromne karznie z wędzonymi storziami, z węgorzami, kadzie z soloną bańtką, oprawioną już i poskładaną w stopy. Obok, na widłach i szczeblastych żerdziach kołysały się za wiatrem wystawione na sprzedaż przez gdańskich Niemców sieci rybackie na rybę morską, jeziorną i rzeczną, więcierze i włoki, podrywki i saki, drygawice, skrzydlaki, wiraszki, suwały, kłomie, żaki, brodnie, sieci z matnią, kącówki, i bez matni, wierzchówki, wszelkiego rodzaju wędy i osęki.

Opodal rozłożyli swój mieszczkański towar gdańscy sitarze:

przetaki, sita i pytle. Tuż przy nich wykrzykiwała koszykarze, zachwalając swe kosze i opałki. Dalej stały na ziemi misy i dzbany, pękate o dwu uchach pękale, garnce, donice, kubki i czary, rostruchany i szklenice. Istny mistrz w swej sprawie, bednarz znad Raduni okazywał belki, czyli dzieże, wiadra i konewki, becзки, cebry i balie. Snuł się w górę rzeczki korowód statków domowych, wystawionych na pokaz i sprzedaż przez tokarzy i snycerzy, druciarzy i stolarzy, czyli sławnych gdańskich tiszarzów.

Blżej środka wielkiego targowiska rozłożyły się stragany w kształcie zacięionych sklepów z płótnem w krosnach tkanym, zgrzebnym i cienkim, z sukmem i ubiorami, z cizmami, bukami i skórzniami, ze wstęgami i sznurami paciorków z bursztynu. W sąsiedztwie tych szatnych straganów przedstawiali swój towar olejkarze: pachnidła i wonności, proszki i krople - oraz doktory, chwając zawarte w słojach i skrzyneczkach korzenie i zioła, dekokty i sole, maście i amulety. Znalazł się tutaj namiot ozdoby z zabawkami i mnóstwem cacek dla dzieci, zmyślnych figłów z drzewa i kowanego żelaza, przedziwnych sztuczek wypalonych z gliny przez ojców i braci św. Dominika.

Z dała od obudwu kościołów rozpięli swą wielką budę omamiacze, kuglarze, trefnisie, błazny i wypłoszę, pajace w śmiesznych szatkach, z ubielonymi lub umorusanymi na czarno gębami. Muzykanci walili w bębny i cymbały, dęli w trąby i świstali w piszczalki, rznęli od ucha na basach i wiołach, a śpiewak wędrowny przedziwne bajdy wyciągał o królach i wojewodach, o strasznych wojennych przydarzeniach, o pięknych dziewicach i ognistej kawalerskiej miłości.

Rozstawione tu i tam, pociągały tłum jadający przasno kramy z solą i tłuszczami, ze słoniną, sadłem, z zamorskimi pieprzami i goryczką niewiadomych liści. Wszędzie wabiły oczy wyroby cygańskie z żelaza i miedzi, niemieckie z kręconego i plecionego rzemienia, siodła, wodze, uprzęgi, kańczugi, przedmioty wyciosane i wyrobione z cennego drzewa, z kamienia i bursztynu.

W głębi, a przecież w miejscu widocznym i jak gdyby pierwszym, które wszystkim w oczy wpadało, stał ciemny namiot Rusaka z Nowgorodu, Sadka, bogatego gościa. Przybywszy na swym ogromnym, wielozagłowym korabiu, co się na kotwicy kołysał u pala Motławy, jakby szukając u władców zamku opieki - ów nowgorodzianin, bogato odziany w dołom długi aż

do samej ziemi i we wzorzysty pod nim kopieniak, gładził swą długą i jak łopata rozpostartą brodę, a wśród niskich ukłonów pokazywał raz wraz jaśnie panom, wielmożom polskim i pomorskim soroki wyprawnych futer sobolich, rysich, gronostajowych i niebieskolisich. Bez względu na czasy tak niepewne, na zmiany panów grodu i kraju nie wahał się przywieźć na sprzedaż błamów czarującego carogrodzkiego złotogłowiu i parczy szkarłatnej. Pozwalał zaglądać do swych sepetów pełnych bezcennych, wielobarwnych kamieni, łańcuchów ze złota, sygnetów i pierścionków, zausznic i naszyjników perłowych.

Kagańce smolne, tu A tam wetknięte w miejskie mury, latarnie pozawieszane nad towarem i stopy łuczywa podsycanego przez miejskich pachółków na szczycie nie dokończonej jeszcze wieży „Patrz w górę” oświetlały tłum ogromny, przewalający się we wszystkich kierunkach, i wielkimi plamami padały tu i tam na ten obszar i wielobarwną masę. Cała dziedzina pełna była cizby ludowej, mężczyzn i kobiet, dzieci i starców, Kaszubów i Polaków, Niemców, przechodniów, ludzi z morza i z lądu, z pól i lasów, rolników, myśliwców i wojaków, osiadłych i włóczęgów.

Wrzaskliwe targi i głośnie strzelenia dłonią o dłoń przy dobijaniu targu, krzyki przekupniów i spekulantów, głośnie rozmyślenia nabywców, uganianie się straży za rzezimieszkami i urwi-
polciami, nawoływania się i głośnie rozmowy jak w lesie i na polu wieśniaków w najrozmaitszych gwarach od mazurskiej do pomorskiej - kwiki zwierząt, pisk ptasi, rzenie końskie - ruch wszystkich we wszelkich kierunkach - pośpiech, podniecenie i wesołość napępiały ten przestwór.

Poprzez tłum rolniczy, bartniczy, rybacki, wojacki i pastusi przeciskali się z niemałą pompą i paradą kaszubszy i polscy rycerze, starszyzna i bogacze, za pan brat pomiędzy sobą gwarzając. Od niechcienia lustrowali okiem przywiezione lądem i wodą zapasy a skarby, sami nabywali to i owo. Gapili się na piękne dziewczęta, a z rozdziawioną gębą, jako i lud pospolity, przystawali przed pomostami, na których siłacze dźwigali jednym palcem tramy i złomy ciężkie nie do wiary, szarlatani połykali mizerykordie, noże i ogień, a komicy wyprawiali cudeńki, od których brzuchy trzęsły się jak na komendę, a gardła ryczały wzdłuż i w poprzek rynku i uliczek starego gdańskiego miasta. Nie brakło w tłumie tym nawet samych szesnastu rycerzy, którzy teraz, po wypchnięciu z grodu polskiej i kaszubskiej załogi sprawowali dowództwo obrony miasta. Nie brakło nawet bogobojnnych zakonników, dostojnych mieszczek i cnotliwych matron, które się były przed nieprzyjacielem do miasta schroniły. W gospodach, pod wiechami i w piwnicach podcieniowych domów żółtowase Mazury zapijały psiwo i smakowały zino, raz wraz dolewając sąsiad sąsiadoju z zielonego zbana. Taki kiewał drogi odbywszy ze swem maestem i chlebem, z mniodem i jejamy, a zarobiwszy na cisto, syrcie mieli mientkie i mniłowali tutejsze, gdańskie ludzie. Kochiane były dla nich czarnolice i długonose Kaszeby z wielkimi baraniami czapamy na głoje i w baranich kozuchach siedzący w milczeniu na uawach popod ścianamy...

Henryk hrabia von Plotzke, mistrz prowincjonalny i zastępca wielkiego mistrza Zygfryda von Feuchtwangen, raz wraz podchodził do okna wpuszczonego w grube mury stołpu i przez rozwarne połowice patrzył w miasto.

Graffiaccane mówił o konieczności czynu.

- Jakżeby - rzecze - mogło być w inny sposób dokonane to dzieło? Jak inaczej? Oto gród jest już w ręku Zakonu. Gród gdański i Gród gdański, Gmewe i wyspa zantyraska! Sprzeda nam te ziemie Salomea Ziemomysłowa, córka Sambora. Proszą się o kupno całego klucza dóbr w Żu-

ławach jej synaczkowie - wraz z rybołówstwem na Wiśle... To kupimy. Lecz miasto? Ma-li to miasto pozostać jako ostoja Polaków i Kaszubów, którzy wraz są jedną wrogą siłą, gdyby się nawet mocowali pomiędzy sobą, gdyż każdy z nich w swojej własnej wysławiając się mówi, po polsku mówiąc czy po kaszubsku, w gruncie rzeczy po polsku przemawia. A każdy z tych szczepów, niby to do odrębnego rodu należąc, po prawdzie jednym jest ludem. Przenigdy nie zostawiać miasta Gdańska w ręku zbratanego teraz ludu! Przenigdy! Zbratanie tych dwu szczepów - śmierć Zakonu! Oddać Łokietkowi miasto, to znaczy zgiąć przed nim kolano i wydać mu także i zamek. Siedzieć w zamku i nie mieć w ręku miasta? To szaleństwo. Trzymać to miasto pod bokiem swym takie, jak jest, słowiańskie z małą Niemców przymieszką, ulegać Słowian tłumowi i czekać, aż się Władysław Łokietek z opresji wywinie? Wtargnie tu jako król polski, pan upragniony Polaków i Pomorzan! Już tu był, już hołd przyjął! Za nim stoją - jak długa i szeroka Pomorska! Gdy wróci, w tym mieście będzie miał miejsce oparcia: ostoję na morskim wybrzeżu. Osaczy nas z lądu i z rzek obu, głodem zmusi do zgięcia kolana. Stąd będzie - jako ów pies przenigdy nie ugłaskany, Swiatopłk - rzucił się z zębami na wschód, na południe. Wydrze nam Gmewę! Wygoni z Zantyru! Kto wykonał zdobycie zamku, musi zdobycia miasta dokonać. Albo się cofnąć i w drewnianym zapiecku Malborga klepać pacierze. Skoro się zaś zdecydować na to drugie, na wzięcie, to trzeba je chwycić w tejsze chwili, gdy Polaki i Kaszuby są jako węgorze w żaku, gdy się tu na żer zleźli i są wszyscy w jadrach. Wszyscy są w kupie. Czekają. W tym oto są rynku. Oto tam, panie! Tam! W dole!

Henryk von Plotzke oparł ręce o stojaki okienne, wychylił się na dwór i patrzył w targowisko. Wiatr jesienny, wiatr zimny, wiatr z nizin i zalewu gładził mu włosy wzburzone nad czołem mądrym i pięknym. Zastępca wielkiego mistrza odwrócił się gwałtownie do swego mentora i poprzez stół rzucił mu w twarz bełkot wyrazów gwałtownych, stek bezładny znieważających wykrzyków.

Graffiacane łagodnym uśmiechem i wzruszeniem ramion zbył ten wybuch rycerza. Począł mówić od nowa, ze spokojem, rozważą i siłą dowodów, wyrazami uszykowanymi w zdania doskonałe:

- Gdybyż tu - rzecze - stały przy nas duchy twórców Zakonu i pierwszych budowniczych tego państwa - Henryk Walpot Bassenheim i Otto von Kerpen, Herman Bart i Salza wielki aż do skończenia wieków, Konrad landgraf Turynii i Poppo von Osterna, ten niestrudzony pracownik, co ponure i bezpłodne, dziesięciołokciowe namuły Wisły i Nogatu porzwał rowami i tłuste szlamy, stawiska, błota w ogród czarownicy zamienił, wielcy wodzowie i nieustraszeni rycerze z żelaza: Hanno von Sangershausen, Hartman von Heldrungen, dwaj Hohenlohowie... Czyżby którykolwiek z nich wahał się w tej chwili? Byłaż kiedyś w Domu Panny Marii Jerozolimskiej doba równie szczęśliwa? Gdańsk osiąść od jednego skoku! Od jednego ciosu topora! Gdańsk! Gdańsk! Jeszcze raz powtórzę: - Gdański Mistrzu! I nie wykonać ciosu? Zawahać się? Stanać w drodze? Nędznie przestraszyć się świstu miecza, łoskotu topora? Rycerzowi? Wodzowi?

- Zamilcz - mruknął Henryk von Plotzke, ręce zakładając na piersiach.

- We wrzasku kobiet, w lamencie dzieci, w jęku dobijanych mężów, w łunie pożaru objawia się chwała duszy rycerza. Mieczem zdobywa się grody, nie rąk załamaniem. Na krwi wyciętych w pień rycerzy krzyża przez dzicz odszczepieńców Natangii, w powstaniu sambijskim, pod Pokarwis budowało się państwo rycerzy. Na krwi wyciętych do nogi przez rycerzy krzy-

za obrońców Balgi, pruskiego Christburga, Świętopołkowych Sartawic, Elbląga, Wolawy i tyłu straszliwych pobojuwisk z Pomezanii, Warmii, Bartonii i Galindii, poprzez mordy i rzezie, poprzez rzekę krwi płynącą ze strasznej zdrady Mendoga, poprzez poręby w ludach, gdy pod Otokarowym żelazem i rycerzy z zachodu legły ludy pruskie, zaiste, jako lasy wyrąbane do szczętu - budowały się ściany malborskiego domu. Dziedzicem jesteś tych czynów, o panie! A wszakże po setnych i tysięcznych wyprawach w puszcze wschodu Zakon zdobył bezludne, dzikie i jałowe pustkowia wystawione na wiekuisty najazd i wiekuiłą grabież pogan. Tu, po drugiej stronie Nogatu i Wisły, leżą ziemie błogosławione, uprawne, osiadłe, podobne do złotych łąnów pod Gniewem. Na tych oto łąnach powinny powstać siedziby ludzi teutońskich, przybyszów z krain Zachodu. Na tym doskonałym miejscu, gdy spłoną przyciesi i okapy, strzechy i krokwie, węgły, progi, odrzwia, dźwirza, sienie i świetlice, przybudówki i podcienia słowiańskie - stanie wysoki mur z cegły, komin z luftami, wystrzeli podniebny dach przyszłości osnuty rynnami, świecący się szybami w ramach i futrynach, przewiewny od lufcików, a wokół niego rozłożą się place brukowane, obrzeżone rynsztokarni. Rycerzu, czyliż Niemcem nie jesteś? - zawołał Graffiacane z cicha, lecz tak przejmująco, iż Henryk hrabia von Plotzke dał mu znak, żeby zamilkł.

Potem komtur leniwym krokiem podszedł do okna, znowu patrzył na bujne ognie i słuchał żywych krzyków gawiedzi. Łuna od świateł na targu dominikańskim w słabych odbłaskach padała na jego oblicze. Graffiacane patrzył ze swego miejsca na tę twarz skamieniałą i widział, jak obfite łzy lały się z oczu rycerza i strugą ciekąc spływały na brodę.

Poruszył się Graffiacane i z cicha zaklął po włosku.

Henryk von Plotzke odszedł od okna i kroki swe do drzwi tej izby skierował. - Przystanął. - Potomne wieki, setki i setki lat wzywają cię, Henryku von Plotzke - szeptał Graffiacane. - Krzyk tysięcy potomnych ludzi teutońskich wzywa cię, żebyś szedł przedziej!

Henryk von Plotzke przestąpił próg tej sali. Stał na stopniach wejściowych. Klasnął w ręce. Dwaj pachółkowie podali mu płaszcz i tunikę. Przypiął miecz do boku. Wdział szyszak. Stojąc na podwyższeniu w dziedzińcu zamkowym począł gwałtownie wydawać setnikom rozkazy. Mówił cicho do komtura Guntera i do braci, którzy z izb górnych do niego przybiegli. Namiestnicy ruszyli się na rozkaz do izb dolnych, do kazamat i sklepów. Podwórzec zamkowy wnet roić się począł jak mrowisko i czarny się stał od zbroi.

Knechty piesze w kapalinach i grubych pancerzach, z lancami na lewym ramieniu, mieczami u boku i wielkim w prawicy toporem ustawiały się w silną kolumnę. Zająły cały dziedziniec. Z cicha odsunięto wrzeciędzie, odepchnięto zasuwę brony jednej i drugiej. Pierwsza kolumna wyszła przez most zwodzony - cicho jak stado wilków, gdy na czyjaś nagłą śmierć dybiąc następny wkracza w ślad poprzednika tak umiejętnie, iż jednego tylko ślad zostaje. Kolumna ta zsunęła się poza fosę, na prawą rękę i idąc po zapłociu ogrodów przedmieścia zamknęła wyloty dróg w łąki i pola wiodących.

Gdy pierwsza w ciemności zniknęła, druga kolumna wypełniła głębokość podwórza i wnet na skinienie mistrza prowincji wypłynęła jako czarna smuga poprzez rozwarte podwoje zamkowe... Ta poszła na lewą rękę wzdłuż Motławy, skręciła w stronę wschodnich ogrodów i u wylotu uliczek stanęła.

Za drugą wysunęła się trzecia z legowisk w izbach podziemnych, a po niej czwarta, ostatnia. Te dwie, rozstąpiwszy się we dwie strony, miały miasto osaczyć z daleka, od strony Biskupiej, Gradowej i Cygańskiej Góry.

Tak to z czterech stron świata miasto kaszubskie otoczone zostało przez zastępy krzyżackie. Oddział rozumiał się z oddziałem i jeden drugiemu podawał hasło:

- Gmewe!

Gdy ostatni żołnierz zniknął w czeluści bramy, wrócił wielki komtur do izby i na dawne miejsce przy oknie. Oparł się znowu rękami o kamienne stojaki i trwał w niemym milczeniu.

Za nim, na tym samym stanowisku, w ciemności czekał doradca.

Gdy sporo już czasu minęło, w pewnej chwili rzekł Graffiacane:

- Czas już! Czas wielki!

Henryk von Plotzke podniósł głowę i zaczął modlić się z cicha, patrząc w niebo jaskrawymi gniazdami zasiane.

Sekretarz czekał cierpliwie, a nie mogąc dosłuchać się końca modlitwy, cichymi krokami podszedł do drzwi, uchylił je, zostawił otworem. Wśród modlitwy swej wielki komtur wyrzekł słowo:

- Zapalić!

- Zapalić! - powtórzył Graffiacane do kogoś w ciemności dziedzińca.

Na baszcie słowiańskiej, która z prawieku stanowiła czworograniasty, obronny trzon zamku stołpem zwany, skrzesano ognia co żywo i wnet buchnął płomień smoły podpalonej w przygotowanym kociołku.

Ogień ów podał umówiony znak zaczęcia kohortom rozstawionym w węglach miasta. Z jednogłośnym okrzykiem - „Gmewe!” - który był tak wielki, iż zagłuszył do szczytu rozgwar targowicy, knechty zakute w żelazo, zmarznęte w rowach podmiejskich, rzuciły się naprzód. Szli z czterech stron wszystkimi drogami, wszystkimi ulicami. Niby ruchome mury runęły w bramy miasta. Wykłuli i wysiekli strażę przede wroty rozstawione. Wyłamali i wyrwali bram zawory.

Połykując w świetle ostrzem nastawionych grotów, obnażonych młotów i wzniesionych toporów wbiegli na rynek. Poprzez wywrócone stragany i budy przekupniów, poprzez zwierzęta i stosy towarów czarne wojsko krzyżackie rzuciło się skokiem na lud zgromadzony. Rąbano od ucha, ktokolwiek stał pod ostrzem topora. Ścinano łby kupców i chłopów, siekąc z ramienia aż do pasa. Ginęły baby i dziewczki. Grot dzidy przeszywał po równo panów i kuglarzy. Trup rybaka walił się w gnojowisko świni, a bartnik padał w każdą z rybami.

Ludzie na targowisku zebrani ścisnęli się w ucieczce panicznej i jako fala poprzez rozerwaną groblę runęły w jedną stronę, gdy na ich braci spadało nieszczędne żelazo. Lecz z każdej ulicy, z każdego załamania drogi, dokądkolwiek w ucieczce pędzili, razila ich napaść równie straszliwa jak pierwsza. Pod nowym miejskim murem, nie wiedząc, dokąd się schronić, ludzie darli się pazurami na ścianę wysoką, ślepą i głuchą, jakby w nagłym olśnieniu pojęli, że ten mur kamienny zazna uczucia litości, gdy je ludzie stracili. Lecz wieża *Kiek in die Kok* niema była i z czucia wyzuta, wysoka w swej zemście, twarda w pogardzie i zabijająca z rozkoszą jak ludzie. Tam to, u jej stóp, rzeź stała się istnym piekiel obrazem. Krzyżackie soldnery, zaprawione do zbrodni najbardziej wymyślnych w lasach i na zgliszczach pruskiego podboju, rąbały tu ludzką masę, jak drwał rąbie drzewo, stękając od swej pracy i pocąc się w trudzie.

Rycerze w liczbie szesnastu, których opiece oddało się było miasto, przetarłszy oczy ze straszego zdumienia, porwali się do obrony. Zwoływali się w tłumie i poczęli wydawać rozkazy stadu ludzkiemu. Ten i ów dopadł w izbie pancerza, przypasywał oręż, wdziewał zbroję. Ten

i ów walczył sam jeden z nawała, zasłaniając piersiami kobiety i dzieci. Jak na samotnego w kniei odyńca rzucały się na tych mężnych psy niemieckie I osaczały każdego kupą, zgrają, nawała. Żołnierzy pojmanych bez broni żołdactwo krzyżackie roznosiło na ostrzu żelaza, mordowało pospólnie. Ktokolwiek zostawił broń w gospodzie, na noclegowisku, pomykał klasztornymi zaułkami po zbroję. Lecz nim zdołał dorwać się miecza i hełmu, padał pod rami pościgu, w sieniach, w dziedzińcach, na schodach. Pewien szlachcic polski zginął na wieży kościelnej. Inny przypasawszy brzeszczot walczył sam z dziesiątkiem morderców w kościele. Żołnierze Zakonu wtargnęli do obudwu kościołów i przelewali krew ludzką wokół filarów, konfesjonałów i przy stopniach ołtarzów. Siekiera krzyżacka nie przepuszczała nikomu na targowicy. Płatała w szaleństwie zbrodni, w dzikim upojeniu, w zemście dla zemsty i w istnej sztuce mordowania. Jeden odcinał od zamachu głowy od tułowiów, inny oddzielał od ramion ręce wzniesione błagalnie. Aż świnię leżącą w swych ciepłych kałużach poczęły ze zdziwieniem smakować w błocie krwią przesyconym.

Popłynęły strumyki czerwone do łożyska Raduni. Zaczzerwieniły się wody Motławy.

Na próżno opat Rudiger usiłował zasłaniać bezbronnych, rzucać się między walczących i błagać o zaprzestanie mężobójstwa. Skamłania jego żadnego nie odniosły skutku. Pchnięto go poza siebie między konające, żeby tam sobie do woli spowiedzi posłuchał.

Rzeź coraz bezbrzeźniej szalała. Wycięto do nogi, do ostatniego wszystkę szlachtę pomorską, która się była w mieście znalazła. Wrzask śmierci coraz straszliwszy uderzał o mury miejskie, o przyźby, wiązania, fosy, ściany i węgły wysokiego zamku, aż dosięgnął otwartego okna i otwartego ucha Henryka von Plotzke, który się modlił przy oknie.

Komtur nachylił się niżej i słuchał.

Już setki, tysiące już razy słyszał głos zabijanych na wojnie - głos śmierci. Nieraz sam śmierć zadawał. Nie obcą jego duszy była zemsta niemiecka i nienawiść. Ale teraz ten krzyk ludzki wzywał ku niemu z padołu wyciem tak potwornym w swej grozie, jakby się czeluść piekielna rozdarła i stanęła otworem. Komtur odskoczył od okna. Uciekał. Szczękał zębami od ciosów lodowatego przestrachu, co mu plecy kańczugiem przecinał. W ciemności izby szamotał się ze sobą. Ryczał z bólu.

Postrzegł przy sobie cień doradcy - i przycichł. Ze wstydu kąsał ręce w milczeniu. Kędyś w drewnianym dworzyszczu buchnął płomień pożaru. Za nim drugi, trzeci, czwarty, piąty... Stanęła w ogniu wieża dominikańska, słup płomienny. Wnet jednym stosem ognistym stało się stare miasto słowiańskie.

Piekielny ów ogień zajrzał w okna zamkowe i w szeroko rozwarte oczy Henryka von Plotzke.

Wówczas Graffiacane szepnęły z cicha:

- Powie się, gdzie należy, udowodni się w sposób niezbity, zaświadczy się wiarogodnymi zeznaniami, iż mistrz krajowy Zakonu Panny Marii i bracia zakonni, w niczym nie uszkodzwszy mieszczan miasta Gdańska, wrócili się do swego kraju. Powie się, gdzie należy, złożą się na to dostatecznie ważne oświadczenia, iż mieszczenie gdańscy z własnej woli zburzyli swe mieszkania i poszli w inne okolice, by się tam osiedlić.

Wpółśród trzasku pożaru ucichać począł wrzask ludzki. Stosy umarłych zaległy już były plac szeroki. Jęki konających uchodziły w gdańską ziemię na wieki, na wieki, na wieki.

Wziął się już knecht do rabunku nagromadzonych dostatków. Ten i ów z czeladzi zakonnej przysiadł znużony za stołem.

Ten i ów zdjął już myśnicę i ścierał pot kroplisty ze spracowanego oblicza. Ten i ów przymykał oczy od widoku i zagłuszał słuch od jęku grubosłowną pieśnią zwycięstwa. Zeschłe wargi chleptały już wino i piwo z konwi pozostałych na stole, a gardło spragnione gasiło z rozkoszą pragnienie nieznośne po tak wielkiej robocie.

ZAGŁADA DWORU

Panosza pomorski imieniem Wisław, czyli pospolicie Wyszka, nazwiskiem Zamk Trzebiatowski, siedział na starej ojców roli w górze wód, kędy Piaśnica wlewa się w Żarnowieckie Jezioro. Kiedy w te strony przybyli Zamka ojcowie, o tym już dawno zapomnieli nie tylko sąsiedzi z bliska i z dala, lecz i same uczone panny cysterski, władczyni ziem u wyjścia Piaśnicy z jeziora. Nie wiedział tego dokładnie ród Trzebiatowski.

Jakaś tylko baśń mętna i na miarę czasu przekształcona wspominała, iż przyszli tu byli ongi z Polści i że sami z Polochów ród swój wiodą. Stare, niejasne, zagmatwane podanie, z ust ojca w ucho syna po społu ze słowami pacierza snując się w czasie, głosiło, iż skądś, od jakowego jeziora Gopła z królem pradawnym, przepotężnym, wielkim i szczodrym szli w te strony na Świecie, Gniew, Tczew, Gdańsk aż do fal morza. Święta i czczona klechda domowa świadczyła nadto, iż od owego pradawnego króla za wielkie na wojnie wysługi praszczur rodu otrzymał nad Piaśnickim Jeziorom splechec lasu niemały - od wielkiej wody w górę aż do zaciosanego buka na polanie, od buka aż po pażycę i znowu w dół do urodzajnego nad wodą osieka.

Bór ów leżał na wschodnim brzegu jeziora, nachylał się wraz z ziemią ku wielkiej wodzie, schodząc aż na samo wybrzeże. Pradziadowie, dziady i ojce karczowały go własnymi rękoma. Wycięły buki i dęby, sosny i modrzewie, aż do samych olch rozrastających się zastępem szerokim ponad jeziorem. Własnymi rękoma wydierały korzenie pniów, długie na dziesiątki stóp człowieczych, wyszarpywały serdeczne korzenie głębokie na dwa chłopa, ciągnęły na wierzch odnogi i baty jałowca, kłacze jerku, głogów i tarniny. Paliły je na wielkich stosach i popiół rozsypywały na ziemię. Wyniosły na ramionach i w długie poskładały kamionki na między swej dziedziny wielkie, okrągłe, wyslizgane głązy, które sam tylko diabeł mógł pozostawić w tym lesie. Aż wreszcie spod siekiery i gracy wyrzała rola czysta a urodzajna nadspodziewanie.

Niegdyś w przeszłości ojcowie wzniesli pośrodku dziedziny z potężnych modrzewiowych sńiatów i płazów dom okazały, dworzyszczce na cały ród potomny. Wystawa dworu patrzała w stronę wielkiego jeziora. Nad czarnym i osadzystym dachem gontowym stały pozostawione z prawieku cztery lipy tak olbrzymie, iż ich korony były jako puszcza sama w sobie. Stała przy węglach domu grusza polna, dzika, leśna, która się przecie z ludźmi zesła, zrosła, stowarzyszyła, a nawet lepszy w czasie owoc wydawać poczęła, gdy jej korzenie gnojem swoim i gnojem zwierząt obłaskawionych sycić jęli.

W pobliżu osady, a w poprzek pól na świat wydanych szła droga z końca świata, z Gdańcza samego, z Krokowa, dziedzictwa Gneomara Wikerade, darowizny księcia Mestwina - z Darzłubia, dziedzictwa rycerza Radosława ze Strugi, z Chłapowa i z Pucka. A szła ta droga ku wyjściu Piaśnicy z jeziora, dalej na Wierzchuceno i w nieskończony świat, kędyś na Białogród u Łe-

by, na Słupsk i na sam Szczecin, Droga była borowa, puszczańska, korzeniami przerośnięta i wlokąca się bagien smugami - w bród przechodziła potoki, strumienie i ciężkie odnogi karwińskich a chłapowskich mokradeł, lecz na owe czasy jedyna i główna w tej stronie.

W wiosenny dzień siedział pod lipami na ławie prastary Wyszka Zamk Trzebiatowski i zamglonymi oczyma patrzył w jezioro. Widział je z tego miejsca całkowite, na milę z górą długie, na ćwierć mili szerokie. Nogi mu już ciężka starość pętała, wzrok przyćmiła, krzyż w pałąk zgięła. Zerwał był ściegna nóg przed laty, gdy jako mąż dojrzały przebiegał z księciem Swiantopołkiem knieje z tej i tamtej strony wiślanej, ślizgając się po lodach albo wpław wody gruntując - gdy mknął jakoby na skrzydłach za Noteć lub Osę, niczym za tę ot - Piaśnicę. Wyszka ściśle nie wiedział - kromki przecie swych poczynań nie pisał - ile mu było. Miarkował przecie po wieku dzieci, zwierząt i rozroście drzew, iż pod sto lat dociągnął. Nie mógł już teraz nie tylko z oszczepem i rogaczem na tura w puszczy głębokiej, nie tylko z kuszą na łosia w karwińskim moczarze, lecz nawet łuku jałowcowego nie mógł celnie zażyć na słońkę ponad jeziorem w podwiośnie ciągnącą. Gdy słyszał, jak pochrapuje o zmierzchu, w górze - chrap - chrap - serce w nim dygotało i żal w piersiach doskwierał.

Teraz, skoro przeminęła groźna, tęga zima ostatnia i zapachniał znowu czarodziejski maj, jerczyk żółtym kwiatem spleonął po wzgórzach, a błędny tuman rozpostarł się znowu nad wodą, niebieski w sobie, jakoby oczy niewieście, gdzieś kędyś widziane w słodką młodości godzinę - Wyszka nie mógł już w izbach dosiedzieć. Tutaj o kiju pod lipy wybierał się z rana i aż o późnym a zimnym jeszcze zachodzie wracał pod strzechę. Patrzył w swoje jezioro.

Rozlewało się w brzegach niedosiętych oczyma. Ginęło w puszczy swej, w rodzonym lesie. Drugich, tamtobrzeżnych, w głąb zatoką uchodzących oddaleń żrenica nie mogła już ująć. Zlewały się w jedno zamnienie oka z lasami, co zstępowały z wyższa - łączyły się w całość senną, ni to noce, ni to dnie, sen i czuwanie wtulone w przeszłość żywota daleką i zapomniana. Chmury nad wodą jeziora przepływały ciemne a białe i mknęły podniebne ptaki ze stron dalekich. Leciały tędy z końca świata, z południa na północ, w drugi koniec świata. A zdało się nie raz i nie dwa, że ptak staje w locie i na skrzydłach nieruchomych się waży - że obłok staje w wędrówce swej bez początku i końca, a jeden i drugi napatrzeć się nie może tego cudu ziemskiego. Albowiem na okręgu ziemi takiego cudu nie widział. Niekiedy po wierzchu uci-chłej wody mknęło w oczach cości, jakoby łabędzich piór puch najdelikatniejszy albo sama jeno barwa sinego obłoku, upadłe z niebios na wody zastygłe w bezruchu. A ta chełb lotna i żwawa, tamtego dosięgając wybrzeża, rozpryskiwała się w świetlistą strzałę, długą jak po-łać lasowa.

Nie przerywały ciszy nieskalanej te ruchy wody. Nowy podmuch wiatru, łagodny i dobrotliwy, nadlatał od wschodu słońca, od strony morza, nowym sposobem poruszył wody uspięne i nową nadawał im postać.

Czasami z tamtej strony, z werchuceńskiej puszczy, z lasów nadolskich, głębokich i nieprzebytych wybiegał jakowys donośny krzyk, świadectwo walki, zgrozy, rozpacz, konania, śmierci - a jego echo wpadało w obszar jeziora ni to w objęcia kojące, uciszające jako matki łono. I krzyk boleści czy śmierci tak zacichał w ogromie jeziora, jak wszystko zacicha w wieczności.

Ileż to bólów, ileż strachów ponocnych, ile walk, ile klęsk, ile nieszczęść sam Wyszka nad tą oto wodą pokonał!

Wszystko przeszło. Ucichło w wieczności.

Znikło. Ustało.

Tu stracił żonę, matkę siedmiu córek.

Z dzieci tych jedne wydarły dziwne choroby, wrogowie najbardziej straszni, mściwi i nieprzeblągani tej ziemi - inne pobrali w odległe strony mężowie. Z małych dziewczątek, cudnych jak kwiaty na łące piasnicker, powyrastały roztyło i wrzaskliwe kobiety, matki i babki. Nie było przy nim ani jednej. Tylko wnuczka imieniem Tekla, po najmłodszej córce zmarłej przed laty, chowała się we dworzyszczu. Tak rok Niemcy w Gdańsku zarabali mu brata, który w tym dworze, wspólnym po ojcach dziedzictwie, orał i siał, żął i młócił, rozkazywał czeladzi, pracował i gospodarzył, gdy Wyszka starość przygarbiła do ziemi. Po bracie tym został jeno syn jedynak, młokos lat dwudziestu paru, który z owej rzezi gdańskiej po stracie ojca cudem uszedł i lasami do dom wrócił. Z nim razem przybiegł towarzysz jednolatek, Poloch gdański, któremu Krzeżoce również na placu Dominika całą wymordowali rodzinę, ojca i matkę, braci i siostry. Ten Pioch, a po prawdzie Pioter, nazwiskiem Pruszek, przystał, a nawet przyrósł do Zamków domu. Coś tam mieli do siebie ów Pioch i najmłodsza z Zamkówien, ona Tekla. Ci to dwaj młodzi, Jarosz i Płoch, orali teraz z wiosną pola, siali jarzec i łowili osęką rybę w Piasnicy. Stary Wyszka radował się patrząc na tych dwu młodych ł silnych wyrwidębów. Była to radość niemocy, iż jest w tej puszczy przed napaścią zasłona, męska rada i mocna pięść, wesołość a zdrowie.

Gdy się wieczorem wszyscy z rodziny zeszli, a słudzy i czeladź obsiadła komin w wielkiej izbie, starzec lubił gwarzyć o tym, co robił za młodu i co widział we światach. Często mu się to i owo plątało, iż syna poczytywał za ojca, a wszystko obecne prznosił kędyś tam, w zamierzchłą starodawność. To, co było na początku, za jego młodych lat, pamiętał najwyraźniej, jakby się dziś właśnie albo wczoraj stało. Tego zaś, co się wczoraj właśnie przydarzyło, częstokroć wcale nie mógł spamiętać i dobrze we właściwym miejscu pamięci wmurować. Tego dnia, w końcu maja, gdy się na obiad z pola zeszli i pod lipy wyciągnęli stół z ławami, żeby tutaj na słońcu i powietrzu warzę spożyć, Wyszka, poniósłszy do ust parę zaledwie łyżek swego mleczywa, jał zaraz perorować. Bajkę im rozpowiadał, jako zwykle.

- Beł roz - rzecze - jeden kowol, ten żył wesoło, a sę nie cierował uo Boga ani uo djobła. Jak uon poznoł, że uon be wnet uumar, uon rzek do swojego uucznia:

- Ciej jo uumrze, tej mie włoż młotk ji porę dłudziech, uostrech gozdy w zark.

Ten uuczeń to zrobiel, a tak kowol beł zachowany. Tej uon szed do niebiesciech dwierzy a choł bec do nieba wpuszczony. Ale święty Pioter rzek:

- Jo ce ni mogę do nieba wpuszec, te jes za wieldzi grzesznik. Biej dale!

Kowol szed dale, a przeszed do piekła. Ale tam nie beł nikt kole dwierzy, a te dwierze bele zamkłe. Tej uon wzał swój młotk a klepoł na dwierze. To czele ty djoble a posłale jednego zazdrzec, co to za trzosc tam beł. Ale jak djobeł dwierze uodemk a wezdrzoł, kowol uuchwyzył go za uucho a przebił na stronie. To tego djobła barzo bolalo, a wrzeszczoł barzo. Tede posłale djoble jednego inszego, uon mioł zazdrzec, czemu ten djobeł tak mocno wrzeszczoł. Ale jak uon dwierzamy wezdrzoł, kowol uuchwoceł go też za uucho a przebił go na dredzi stronie. Tej wrzeszczele ty dwaji djoble tak głośno, jaż nowější djobeł rzek:

- Jo muszę sam zazdrzec, co tam je.

Ale jak uon przed dwierze wezdrzoł, kowol choł go też uuchwocec a przebić. Uon skok chutko w tył a zatrzask dwierze. Tej uon szed tylneme dwierzamy a uucek do Boga, a rzek:

- Przed mojemu dwierzamy je jeden kowol, ten przebił ju dwuch uod mojejch djobłów za uuszę do dwierzy, a to nie felowało wiele, że uon mie samego nie przebił. Te go muszesz do nieba wzać, bo jak ja go do piekła wezmę, tej jo nie uostanę panę w piekle!

Bóg nie choł te kowola do nieba wzać, ale ten djobeł rzek:

- Ja uostanę tak długo tu, jaż te go do nieba wezniesz! Tak muszeł Bóg kowola do nieba wzać, bo djobła uon doch ni mógł uotrzymac.

Opowiedziawszy tę bajkę Wyszka długo śmiał się z diabłów przybitych za uszy do odrzwiów piekła, mlaskał wargą i językiem o bezzębe dziąsło i nos zakrzywiony ze starości kierował to tu, to tam, badając wrażenie wywołane przez powieść.

Zachwycało go męstwo kowala i chciał je mieć przez słuchaczów uczzone. Młodzi jako tako przyjęli gadkę dziadową, ale ulubienica wszystkich, gładka Tekla jednym uchem złowiła treść, a drugim ją wnet wypuściła. Nic w tym nie dostrzegła ciekawego.

Suszyła zęby do młodego Pruszaka i chichotała z nim o czymś tam ich własnym.

Stary błysnął rozzłoszczoną źrenicą i zacichł wyniośle. Wiedział przecie, co mówi i do kogo. Chciał uczyć tych oto młodych walki z diabłem, jak sam z nim mocował się za życia. Małoż to Zły wylał na drogi jego dawne złości i zdrady! Ileż to krzywd zadał! Kto mógł zliczyć straszne podstępny i znęcanie się Smętka, gdy się nie spodzieć - uderzenia pięścią między oczy w godzinie przecudnych wzruszeń - krwawe zapasy, nękania, przyduszenia, podbicia kolan, osaczenia tak przemyślnie, iż tylko łaska Boga mogła z obieży tych wybawić.

Wspominał. Wspominał wszystko. Uszedł w swój świat i zapomniał, że są obok niego dzieci, wnuczka, słudzy, otroki, parobcy i dziewczyny. Widział smugi krwawych bojów swych, szturmę kuszami machin i młotem nieulekłym pod osłoną matki-tarczy w krainie pruskich apostatów i pogan, w chełmińskiej ziemi. Jako sny sunęły przed nim nakielskie i sartawickie dzieła, szatańskie poczynania Zakonu. A gdy wspomnieniem docierał do młodych, Swiantopółkowych dni, znowu dłoń jego macała po lewym boku, a nie znalazłszy szukała za pasem rękojeści.

Oto widzenie drugiej wojny krzyżackiej: Swiantopółk stracił Nakło, a marszałek prowincji pruskiej Teodoryk von Bernheim pustoszy Kaszuby aż do Pucka. Książę pan miłościwy tu w tych ścianach ojcowych nad wodą Piaśnicy szuka snu i schronienia. Przepływały w pamięci sławne porażenia mistrza prowincji Berlewina, gdy w związku z powstańcami sudawskimi wojsko pomorskie wycięło Krzyżaków w pień i trupami ich zasłało pola. Ileż bojów, ile nocnych podejść, Wisłą na czólnie pod krzyżacki Toruń, pod krzyżackie Chełmno! W pogoń wieczną za nimi, po tropach księcia Mestwina, którego jak szatany wydzierają z rąk ojcu i wodzą omamem z miejsca na miejsce! Porażki, ucieczki, ucieczki błotem i lasem, spanie w śniegu, w wiklach, w szuwarze. Napaści nocne, podejścia ranne, czyhanie w widłach Nogatu na statki ich, ciągnione w stronę Elbląga i Balgi. Uczta owa nocna w ziemiańskim pod Kwidzynem domu, noc radosna w lasach, wśród śpiewów, pijatyki, rozpasania i drwin z owego tchórza, co się wciąż Krzyżaków lękał i wszędzie ich widział. Aliści - rozwierają się drzwi i czarne knechty w oknach wywalanych młotem! Ej, ty walko potężna! A oweż bitwy na łodziach z Fryderykiem von Wiede...

Wspominał śmierć księcia i dzieje Mestwinowe. Owiało go ciepło radości, gdy patrzył na zastęp Polochów z poznańskim księciem przebiegający te drogi. A potem wieść o Rogoźnie... Wnet w drzemaniu prędkim wszystko zmętniało. Przygasło. Nie umiałyby teraz powiedzieć, czy to sen o owym wielkim polskim królu, co tu z pradziadem przyszedł ku morzu, czy to

widzenie prawdy przeżytej. Gdy się ocknął, sam już był pod lipami. Rozbiegli się do roboty wszyscy. Widać było, jak dwaj młodzi, brataniec i ten z Gdańska przybędą, we dwie pary koni orzą pochyłą niwę. Jeszcze tu na północy - choć maj stał w pełni - ziemia była chłodna. Ledwo-ledwo niedawny zamróz z niej wytchnął. Skiiby pod sochą wyrobioną z kłęka jesionowego, okutą żelazem klepanym, odkładały się na bok ciemne i lśniące z wilgoci. Ostre trzósło krajało zeszlóroczną caliznę starego ścierniska. Poważne wrony kroczyły za każdym z oraczów, a warble, przyjaciele strzechy, stadem sfruwały z gałęzi lipowych dla wydziobywania pędraków. Zagony dymiące się pod słońcem odkładały się długimi pasami, smuga za smugą, zniżając się w stronę jeziora.

Na ten widok najistotniejsze wzruszenie ogarnęło starca. Uczuł w głębi duszy swej szczęśliwość spokoju. Kochał pracę na roli. Miłował ją bardziej niż sławę wojenną, niż zwycięstwo i tryumf. Nie bał się wcale, iż wkrótce nadejdzie ów poranek, kiedy mu się oczy ze snu nie odemkną, kiedy nie będzie już widział ani tych długich, brunatnych zagonów, ani młodych, żółtawych liści olchy nad wodą, ani wielkiej gładzizny jeziora. Wiedział na pewno, iż ów sen będzie dobrem najwyższym, czymś jeszcze lepszym niż spokój chwili obecnej. Odstąpią wówczas od starego ciała troski i trwogi, niemoce i strachy, poszturchnięcia i upadki, nędzni poganiacze starego serca i krwi zleniwiałej.

Ale nim owa chwila wieczna miała nastąpić, Wyszka cieszył się wszystkim, co widział oczyma, tym bardziej nienasycenie, im mniej mu dni zostawało do ostatniej uczty żywota. Brzmiały w nim - nie w uchu, lecz w głębi duszy - głosy dzieci. Nie tych, które dziś są jako dorosłe osoby - żywych głosy istotne - lecz okrzyki i wołania tamtych małych, co ich już wcale nie ma. Śmiały się w nim chichotem najradośniejszym niewinne dziewczyneczki, anioły za małe ludki poprzebierane, do których szatan żadnej jeszcze nie ma racji i prawa. Zanadto jeszcze przeczyste są w sobie, żeby w nich coś dla siebie odnalazł. Igrają na brzegu jeziora, kąpią się w ciepłych falach, nagie a niewinne przezgrzechy, boginki z nieba na ten padół zesłane. Bałwani się nad nimi woda, śmiech tryska, gdy na się wzajem bryzgi czyste miotają. Stary Wyszka wzdychał i płakał w głębi duszy, czemu dzieci przestają być aniołami i wyradzają się w grzeszników brudnych, śmierdzących ludzką chucią i nierządem, w organy jedzące i pijące, w naczynia zbrodni i hańby. Czemu oblatuje z nich niewinny i pachnący kwiat dzieciństwa i twardy, nasienny owoc powstaje. Wzdychał za dziewczeczkami, które we śnie o przeszłości widział jako swe córki rodzone. Otaczały teraz jego głowę ni to chór aniołów, śpiewając, weseląc się i tańcząc. Słyszał głosy ich i dziecińskie słowa, których już nikt nie mówi. Rozstawiał ręce, żeby objąć widma święte, co przeszły już nad ziemią jak obłoki nad Żarnowieckim Jeziorem.

Podniósł głowę. Patrzył. Oto miał przed oczyma drzewiny sadu za domem, każdą wypielegnowaną na podobieństwo dziecka, obdarzaną wszystkim, czego jej było potrzeba, a żeby mogła wydać kwiat swój i owoc. Jakże głęboko miłował te bezmowne, przedziwne istoty, które za trochę opieki i czułości płacą nieprzeliczoną nadwyżką kwiatów, owoców, zapachów, najdziwotworniejszych w kształcie, rozpostarciu, życiu, barwie i smaku. Tam stała pewna chorowita jabłoneczka, z którą tyle było zachodu, pielęgnacji, odziewania jej na zimę w sukienkę z kłoci i powróseł, bielenia w przedwiośnia od odziewka, wyiskiwania z mszyc i natrętnych mrówek, nim się na schwał wybrała, a teraz w zamian za trochę nawozu podlanego między korzenie sypie kwieciami i mnóstwem jabłek tak doskonałych w smaku, tak przemyślnie niezbędnych, tak dobrych i stworzonych dla wnętrzości człowieka. Pod tamtą gruszą leży

zakopany pies, zestarzały stróż dziedzica, wierny Czuj. Ten się z gruszką połączył. Za wszystko dobre, co kiedykolwiek z ręki dostał, za każde łaskawe spojrzenie i pogłaskanie, tak niewymownie mądry zawsze i uczciwy, jeszcze i jeszcze, z roku na rok po tysiąc razy o wszystkich w smaku gruszek pamięta i za wszystko dziękuje. W dzień Bożego Narodzenia wspomną o nim rokrocznie - cały dom wypowie jego imię, choć już szczekania u węglów nikt nie posłyszysz - gdy ostatnią z jesieni gruszkę smakować będą, że ta oto z prochów starego Czui, na szlachetnym popiele zrodzona. I znów na wiosnę, gdy się kwiatem drzewo osuje, westchną z głębi, iż to tak nad Czują wieczne życie jaśnieje.

Oto tam ścieżka w głąb sadu idąca, w ciemny bór. A po zapłociu znowu przed oczyma wielkie jezioro. Pływały po nim jakby w duszy Wyszkowej złociste i błękitne smugi łaski niebiańskiej. I urodziła się tam, w dalekim bez końca przestworze, czy w duszy nieskończenie długie dni na tej ziemi snującej - modlitwa:

„Odwróć już od ludzi wojnę. Odwróć wojnę straszliwą, zawsze okrutną. Odwróć morderstwo z orężem w dłoni. Wyrwij oręż z rąk ludzkich i zarzuć go w ziemię. Niech już na wieki rdzewieje!

Niech już ludzie nie zabijają ludzi, lecz niech żyją w spokoju pracy. Niech każdy idzie za kłosem pługa, każdy wzdłuż bruzdy swej po ziemi nieprzemierzonej, która za trud płaci tyłą miłości. Niech pokochają zwierzęta domowe, towarzyszy dostojnych, wiernych i zacnych. Niech pokochają kwiaty i drzewa, zboża, jarzyny, liście i kłosa, święte, niewinne i tak wiecznie bez odmiany uczciwe. Niechaj nareszcie ludzie uszanują świętość dzieci i trud przodków umarłych. Niech oddadzą sprawiedliwość pracy wykonanej w przeszłości. Niechaj ją uczczą jako prawo. Odwróć napaść zdobywców.

Wstrzymaj miecz podniesiony.

Odwróć już od ludzi wojnę”.

Modlitwę nie tymi wyrażoną słowy, lecz tę treść zawierającą w sobie, przerwał tętent daleki na drodze. Szło wiele koni: - duch - duch - duch - duch - duch - duch-da - duch - duch - duch, duch - duch...

Wyszka nastawił ucha. Wrodzony nałóg czujności ocknął się w ciele. Serce zakołatało. A gdy starzec oczy dłonią od słońca przysłonił, dojrzał wielki jeźdźców komunik. Sadzili na przepysznych ogierach odziani w żelazo, z głową hełmami okrytą. Pióra wielobarwne na szyszakach się snuły.

„Byłżeby to sam polski król? - myślał Wyszka. - On, mały Łoktek? Wiarę mu zaprzysięgali wszyscy na przymorzu i w Pomorsce, od Koronowa do wielkiej wody, od Świeżej Zatoki do Sarbska, od morza po Krajne, na czterdzieści mil wzdłuż, na piętnaście mil wszerez. Witali go jako pana prawego i swego króla wszyscy, od wielkopana do chudego pacholka. Witali go jako dziedzica jego miłości ostatniego Gryfity. Cóż to tam jest? Kto jedzie?”

Rycerze tłumem wywalili się z lasu i w poprzek roli zoranej w skok sadzili wokół person pośrodku jadących. Gdy się ze starym ciemnikiem zrównali, do dworzyszczka z drogi wiodącym, przystanęli. Radzą. Aż od całego hufca odłamał się jeździec i skokiem do bramy przyczwalał. Zakołatał we wrota.

Pobiegł tam z czeladnej izby pacholek wierzeje otworzyć. Jeździec wpadł na dziedziniec i rozejrzawszy się bystro po całym obejściu i dworze, nie wymówiwszy słowa, do swoich powrócił. Skoro im cośi rozpowiedział, cała jazda skierowała konie pyskami ku dworowi. Wnet wjeżdżali przez bramę jeden po drugim wspaniali rycerze.

Zadrzało od gwałtownego wzruszenia stare serce Wyszkowe. Białe płaszcze na nich! Na każdym płaszczu z lewego ramienia czarny krzyż.

Jak gdy myśliwiec zwierza - tura w boru znienacka zobaczy - krew splonęła...

Cały dziedziniec napełnili rycerze, służba, pacholki.

Zajechały wozy kuchenne i podwozy z żywnością. Pośrodku tłumu siedziało na koniach kilku dostojnych, około których wszystko się snuło w ukłonach a czołobitnie. Ale i ci wreszcie dowódcy czy wielmoże ze swych kulbak zsiadli z ulgą i wzajem się wenerując wśród ukłonów ku osiedlu zmierzali. Torowała im drogę brać służebna Krzyżaków i jacyś trabanci nie po zakonnemu, świecko i błyszcząco odziani. Pioch Pruszek i młody Trzebiatowiczak, widząc z pola, co się na drodze dzieje, rzucili swój sprzężaj i pługi, przesadzili ostrokół i płoty otaczające dwór cały i stanęli zdyszani za plecami dziada Wyszki. Pioch, w Gdańsku urodzony i wychowany w sąsiedztwie niemieckim, rozumiał mowę teutońską doskonale jakoby swoją własną, znał się na szatach, zbrojach i znakach rycerskich. Szepnął zaraz do ucha starcowi:

- To będzie sam jeich mistrz wielki. Jest i komtur. Ten z Gdańska! Plotzke! Mordorz!

Dwaj dostojnicy zbliżali się do starca i patrzyli nań z pobłażliwym uśmiechem. Wyszka Zamk-Trzebiatowski nie spuszczał ich również z oczu, obudwu, mając w sobie uczucie wilka, któremu się szczecina języ na grzbiecie od widoku brytanów nachodzących jego legowię. Zygfried von Feuchtwangen, dawniej komtur Ostrudy, później, w czasie zatargów z Hohenlohem na wielkiego mistrza wybrany, a wreszcie, po śmierci antagonisty powtórnie zaszczycony wyborem, zjechał był właśnie z Wenecji do Malborka i tu stolicę Zakonu fundował. Teraz wyruszył z tej nowej stolicy, ażeby się spotkać z Waldemarem, młodszym Askańczykiem, synem Konrada Drugiego, potomkiem Albrechta Niedźwiedzia a po kądzieli margrafa Gerona - w celu doprowadzenia do skutku układu o sprzedaż Pomorza, który już przed rokiem był w Toruniu przez wielkiego komtura von Plotzke z obydwoma margrabiami omówiony. Wielki mistrz zapowiedział był swe przybycie na oznaczony dzień w miesiącu maju do Słupska, sprzedanego margrafom przez księcia Wisława, rugijskiego władcę. Zapowiedź tę wielki mistrz wysłał był z Gdańska na Słupsk przez retmana umyślnie odprawionej szkuty, który miał później pchnąć z brzegu morskiego gońca na miejsce.

W drodze do umówionego celu wielki mistrz zabłądził w lasach. Unikając karwińskich bagien wziął się na górną Piaśnicę, Rybno, Lisowo, Opalin. Tu w zapadłych wsiach powziął wiadomość, iż jakowyś hufiec rycerski krąży na wybrzeżu Piaśnickiego Jeziora. Podesławszy czatę, wielki mistrz zasięgnął języka, iż to sam margraf Waldemar, wyjechawszy na spotkanie wysokiego gościa, szuka go ponad jeziorem.

Nastąpiło spotkanie właśnie w pobliżu dziedziny Wyszkowej. Kołując ponad jeziorem, dwaj przemożni panowie napotkali w bezdrożu szlak leśny, który ich prosto na trzebiatowski dwór wyprowadził. Obadwaj dostojnicy przełożyli pobyt na świeżym powietrzu pod drzewami nad ciasnotę i zaduch słowiańskiego wnętrza domu. Rozstawiono między lipami w półokrąg wszystkie stoły i zydle, jakie tylko w izbach znaleziono, nakryto je kobiercami i sukniami własnymi. Panowie zsiadli, mało dbając o gospodarzy i ich rolę w tym domu. Kobiety Trzebiatowskie uciekły były do lasu, strwożona służba rozprysła się i rozproszyła kędyś po nadjezierzu w zaroślach. Sam jeno Pioch gdański i młody Jarosz Trzebiatowski zostali na miejscu. No, i Wyszka. Wszyscy trzej z dala od tłumu przyjezdnych - młodzi po obu stronach dziada - na przyzbie dworu przysiedli. Patrzyli, jak służba niemiecka wynosi z zapola stodołę ostatnie

na przednówku wiązki słomy i spasa końmi ostatnie miary owsa do siewu zagarnięte z sąsiedków. Patrzyli, jak trabanci rozwalają drzwi komór i rabują a żrą, co znajdują.

Margraf Waldemar głębokie okazywał uszanowanie wielkiemu mistrzowi Krzyżaków. Ilekroć ostatni zaczynał mówić, margraf dwornie zacichał i pokornie nastawiał ucha. Lecz spojrzenie jego oczu wielkich i nieustępliwie spojierających nie zgadzało się z cichym brzmieniem mowy. Wielki mistrz, starzec tęgi, przysadzisty, o grubym karku i oczach przekrwionych, zdawał się chytrze napawać przymuszoną uniżonością margrafa. Mówili już obadwaj o sprawie, która wielkiego mistrza znagliła do tej jazdy dalekiej - o nabyciu przez Zakon malborski wschodniego Pomorza, kraju między Wisłą i Łebą, między morzem i ziemiami Kujaw. Margraf usiłował niby to wycofać się z układu zawartego z mistrzem prowincji w Toruniu. Mocą owego układu sprzedawał był Krzyżakom miasto Gdańsk, Tczew, Świecie i inne grody za sumę dziesięciu tysięcy grzywien brandenburskiej wagi. Znajdował teraz, iż zbyt tanio odstąpił te grody i ziemię. Dowodził, iż potrzeba mu właśnie sum wielkich na walkę z książątkiem Rany.

Zakonnik milczał gładząc siwiejącą brodę. Rozdrażniony tym milczeniem margrabia uczynił złośliwą uwagę, iż suma to zbyt nędzna, ażeby ją nawet wymienić w obliczu cesarza. Król rzymski śmiechem wybuchnie doprawdy, posłyszawszy, iż się za dziesięć tysięcy marek ogromny kraj sprzedaje. A bez potwierdzenia Adolfa Nassauskiego ten układ nie miałby wagi. - Równie jak bez zgody najmiłościwzego pana naszego i Ojca świętego, którą my znowu będziemy musieli wyjednać sobie... - dorzucił z naciskiem Henryk von Plotzke, mistrz pruskiej prowincji.

- Kraj wielki, mówisz Wasza Dostojność... - ozwał się Zygfryd von Feuchtwangen. - Cóż to za kraj - na Boga! Moczary jak te oto, zalewiska morskie po szyję koniowi, jeziora, puszcze pełne śniegu, lodu i dzikich strumieni...

- Zwierz tylko straszny wałęsa się tutaj w poprzek bagien i pustkowiec... - dorzucił jeden z braci zakonnych.

- Człowiek, o ile się trafi, to przez Bóg żywy I raczej zwierzę dwunogie niż istota z duszą nieśmiertelną... - mówił inny z Krzyżaków.

- Dymne chałupy, brudem ludzkim o trzy łany cuchnące, wpólnagie dzieci błakające się latem wśród jeżyn, schylone nad jagodami, a w zimie wędzące się w dymie... Surowizny i kwaszki to pokarm tych ludzi. Chleba prawie nie znają - mówił von Plotzke odymając wargi.

- Jeżeli trafi się w lasach siedziba wielkiego posiadziciela, to taka jak ta oto... - wtrącił ze śmiechem szyderczym jeden z młodszych braci.

- Ludzi tu mało. Prawie ich nie ma, zwłaszcza w północnej stronie - dorzucił hrabia von Plotzke.

- Ludzi prawie nie ma... - powtórzył z tajnym szyderstwem margraf brandenburski, - A jednak i ta nędzna ilość okazała się zbyt wielką. I z tej nędznej ilości jeszcze w ostatnich czasach co nieco odjęto - ciągnął z zabójczym spojrzeniem zwróconym na Henryka von Plotzke. Tamten wytrzymał z obojętnością spojrzenie północnego władcy i z cicha odpowiedział:

- Naszym to jest zadaniem i hasłem, żeby w te pustki ludzi niemieckich sprowadzić.

- Pewnie! Jestem tej samej myśli. To samo mam na oku. Z ochotą też chcę wydać w wasze ręce to dziedzictwo, o bracia czcigodni. Pracujcie!

- Z posłuszeństwem gotowi jesteśmy do dzieła - odpowiedział wielki mistrz, schylając swój gruby kark w obłudnym ukłonie. - Chcemy wiadomą sumę wypłacić.

- Za mała to suma - Bóg widzi.

- Za mała suma? I to od nas żądacie sumy większej, panie tyłu krami Od nas, od braci zakonnych! Iluż to ziem dostojny rodzic wasz, ile brat Otto Czwarty przyczynili...

- Ten skarb przesycony złotem wydobytym z sakwy ludów Wschodu i Północy, obarczony darami wszystkich dominiów Niemiec, szkatuły cesarskiej i papieskiej - za ubogi jest jeszcze... - szydził margraf.

- Jeżeli posiadamy jakie dobra ziemskie, które Wasza Dostojność wypominać nam raczy, to musimy zdać z nich rachunek najściślejszy wobec Zbawcy naszego i namiestnika Jego na ziemi. Nie nasze to dobro, lecz Jego samego. Nie możemy płacić Jego złotem za prawa doprawdy mniemane.

- Mniemane? - porwał się margraf.

- Spokojnie, Wasza Miłość, spokojnie... - przerwał wielki mistrz z udaną pokorą.

- Jak to! Gdy ja zmagam się w walce ponad siły moje z nawałą słowiańską, urabiam ręce szerząc władzę niemiecką na Wschodzie i Północy...

- Alboż i my nie szerzimy władzy niemieckiej na Wschodzie?

- Tak. Szerzycie ją, dostojni bracia. Sprawiliście waszym postępowaniem, iż Mendog wyrzekł się wiary chrześcijańskiej i znowu stał się bałwochwalcą.

Margraf zniżył głos i dorzucił:

- Arcybiskup Bremy i kanonik z Rawenny, Albert mediolański, mają zlecenie od papieża Klemensa, ażeby się udali do Malborga i zbadali wasze postępowanie na miejscu.

Wielki mistrz gładził z powagą swą brodę. Henryk von Plotzke rzekł ze spokojem:

- Ta pogroźka czy... plotka nie zmienia postaci rzeczy.

- To prawda... - rzucił wielki mistrz z utajonym gniewem. - Jakież to prawa, Miłościwy Panie, posiadacie do tej oto ziemi, którą nam tak drogo sprzedać chcecie.

Margraf dźwignął się z miejsca ze ściągniętymi brwiami:

- Jak to! - zawołał. - Margrafowie Otto i Waldemar posiadli blisko osiemdziesiąt lat temu dokument od Fryderyka Wtórego, potwierdzający wszystkie lenna Albrechta Niedźwiedzia. Powiedziano tam: „...Z wielkiej łaski potwierdzamy im księstwo pomorskie, tak jak wymieniony Albrecht i przodkowie jego trzymali od przodków naszych”.

- Które księstwo pomorskie? - spytał wielki komtur z uśmiechem.

- Księstwo pomorskie jest jedno, całe, od Rugii po Wisłę.

- Nie - tam jest mowa o księstwie szczecińskim - rzekł von Plotzke z uśmiechem.

- Waclaw Trzeci, król czeski, wystawił dokument bratu memu Ottonowi, zgasłemu w tym roku ubiegłym, mnie i Hermanowi, tej treści, iż jeśli my wydamy mu Miśnię, w zastaw nam puszczoną przez Waclawa Drugiego, to *cm* nam wyda Pomorze.

- I cóż słyhać z Miśnią? - spytał wielki mistrz z szyderstwem.

- To rzecz moja i króla Czechów. Pomorze jest moje. Otrzymałem je wraz z bratem Ottonem od cesarza Adolfa już piętnaście lat temu! Po śmierci w Bogu spoczywającego brata mego Ottona sam jestem tego kraju dziedzicem. Po śmierci owego księżątka gdańskiego Mestwina...

- Właśnie, chciałem słowo wstawić... - z cicha dopraszał się von Plotzke. - Po śmierci Mestwina inni przecie zjawili się pretendenci. Wprawdzie jeden, dość znaczny, potknął się o próg zbyt wysoki na jego nogi, o próg, mówię, w Rogoźnie... - dorzucił z jadowitym za Gdańsk odwetem mistrz pruskiej prowincji.

Margraf Waldemar obrzucił go wzrokiem pełnym nienawiści i wzdarda.

- To była sprawa rodzinna, rozumiem. Margrabia Jan brandenburski był bliskim krewniakiem owego tam Przemysława. Aleć jest jeszcze ów miły, ruchliwy, zabiegliwy polski królik, Łokietek.

- To jest królik zbyt mały, żeby go brać w najmniejszą rachubę - bąknął margraf.

- My jednak, o Panie, musimy i jego brać w rachubę, wszystko czyniąc według praw boskich i ludzkich. Musimy albo nabyć jego pretensje do tej ziemi, albo je orężem od niego odebrać. Dlatego jesteśmy tak skąpi, jak Wasza Miłość raczyła nas posadzić.

- Są jeszcze książęta Rugii, Bogusław szczeciński... - mówił wielki mistrz Zakonu.

- Tych ja biorę na siebie. Tych uroczyście biorę na siebie... - odparł margraf.

- Rozumiemy, Rozumiemy doskonale. Lecz te sprawy są zawikłane, niejasne, niepewne. My znamy się na wartości darowizn cesarskich. Chcemy uważać ten kraj cały za lenno cesarza. Chcemy! Nabywamy wszelkie prawa i pretensje do tego kraju. A więc, Wasza Miłość?

Margraf przysunął sobie nogą zydel najbliższy i na nim oparł kolano.

Stał się wyniosły, pyszny, wspaniały, monarszy. Rzekł majestatycznie:

- Ustępuję wam me prawa i pretensje do całej ziemi północnej od Łeby po Wisłę i od morza po Kujawy - za dwadzieścia tysięcy marek brandenburskiej wagi.

Wielki mistrz zwiesił głowę i milczał.

- No? - spytał margraf wyniośle.

- Nie, Miłościwy Panie.

- Więc cóż? Mamże znowu zbrojne nachodzić te strony?

- Zbrojno? - zapytał z ironią mistrz prowincji. - Nie starczy na to ceł rzecznych i dochodów z osobistego majątku...

- Daję wam przecie Chojnice, Tucholę, Świecie, Nowe, Tczew, Gdański

- Nawet i Gdańsk? - zapytał wielki mistrz ze śmiechem.

- Te zamka - tłumaczył Henryk von Plotzke - oraz inne pomniejszych są jeszcze na dobre w ręku Polaków. Dopiero zdobywać je przyjdzie, wydierać z rąk Przemysława, księcia kujawskiego, i Kazimierza, jogo brata. Trzeba ich tam będzie niemało, jak psów, na szubienicach wywieszać, zanim się te zamki osiedzie.

- A więc, jakaż jest wasza cena? - pytał margraf jakby nie dosłyszawszy uwagi.

- Cena była już umówiona rok temu.

- Musicie dać więcej. Tak nie sprzedam. Dajcie osiemnaście tysięcy.

- Nie! Miłościwy Panie. To darmo... - rzekł Zygfryd von Feuchtwangen.

- Dajcież piętnaście tysięcy! - rzucił z gniewem Waldemar.

- Nie! Miłościwy Panie, to darmo... Ani jednego solida więcej.

- Powtarzam: piętnaście tysięcy!... - wołał margraf ze wstydem i w furii.

- Nie, Miłościwy Panie!

- Czternaście!

- Nie!

- Trzydzieści!

- Nie!

- Dwanaście!

Zanim wielki mistrz odpowiedzieć zdołał, stary Wyszka wstał z miejsca. Przybłąda Pioch, siedzący obok, wkładał mu przez ten czas cały, półgłosem, słowo po słowie wszystko z dokładnością, co wielcy goście mówili. Wyprostowawszy nagle przemocą wysiłku swoje krzy-

że zgarbione, starzec ruszył we drzwi domu, stukając głośno kijem w ziemię. Nie zwrócono na to uwagi. Tylko Piotr i Jarosz za dziadem pobiegli. Minawszy wielką izbę czeladną, świetlicę, dziewczynską, sien i bokówkę, ujrzeni obadwaj, że drzwi zamczystego skarbcza są na ścieżaj otwarte. Zajrzeli. Wyszka wdział już na głowę prapradziadowski szłomik, na piersi i plecy pancerz, a w owej chwili właśnie zawściągał ze śmiesznym pośpiechem zeschnięte, żelaziałe sprzączki nagolenic. Błysnął na młokosów krwawym okiem z ciemności komory i nagłym skinieniem wodza wskazał im oręż stary, porozwieszany na ścianach. Warknął jakowys rozkaz odwieczny, dla nich niezrozumiały. Chwycili, czego dopadli. Zamk Trzebiatowski porwał młot, którym był wielokroć walił w bramy Christburga. Mróz śmiertelnego natchnienia zjeżył mu włosy pod hełmem. Drżenie nagłe przebiegło wskroś ciała. Starzec wyszedł z domu. Za nim dwaj młodzi z nagimi w ręku mieczami. Wyszka w świętej głupocie swej wypadł na światło jak widmo. Dziki, oszalały niósł w sobie sen, iż to on, kowal z bajki, będzie teraz młotem klepał w zamkłe dwierze piekielne. Z krzykiem w ściśniętym gardle runął na Niemców.

Przez chwilę trwało w dostojnym gronie zdumienie. Śmiech się rozległ. Ale na widok młota podniesionego przeciw margrafowi i mistrzom cały zastęp porwał się do oręża. Pchnięto działydygę kopijami. A gdy się groty ześliznęły po pancerzu, zajechano go ze wszech stron dziesiątkiem klingi toczonej. Pierwszy z brzegu trabant nadepnął leżącego na ziemi jak gadzinę i ściał go wielkim mieczem. Stara głowa zleciała, a kadłub skrwawiony legł u stóp mistrza prowincji. Z pasją rozsiekano w bitwie na sztuki, rozniesiono na żelaziech Prusaka i Jarosza. Zwłoki ich nie osłonięte zbroją podarto ostróg kolcami, a głowy rozwalono na miazgę obuchami toporów.

Margraf i ministrowie zakonni musieli przerwać rozmowę wskutek tego niemiłego zdarzenia. Waldemar skinieniem ręki pozwolili swoim na zrabowanie dworzyszosa. Rękodajni doprowadzili konie. Panowie dosiedli wierzchowców, za nimi bracia służebni, soldnery i trabanci brandenburskiego dziedzica.

Zastęp oddalił się zwolna.

A gdy mijali wylewisko Piaśnicy z jeziora, zarosłe trzcina lasem, grząskie, sitowiem osnute, gwarliwe od pokrzyków, poświstów i gędziolenia ptactwa wodnego, i gdy prowadzącżywioną rozmowę rzucili od niechcienia okiem za siebie, już dym wielkimi, burymi kłębami buzował się w dali, w dali na wzgórzu, walił między konary lipowe, a wielki ogień wysokimi jęczory wystrzelał ze starego dachu domostwa Zamków - niespodziewany i straszliwy ponad wszelkie słowo. Łuna krwawa i złocista zalała sine i błękitne odmęty Piaśnickiego Jeziora.

Panowie zakonni i margraf Waldemar wzięli się teraz ku zachodowi na Wierzchuceno, Słuchowo, Osieki, Czekocino, Sasino i Sarbsk, dążąc w stronę Słupska, ażeby na miejscu akt umowy podpisać. Połowa raty, pięć tysięcy grzywien, miała być zaraz wypłacona, druga połowa przyobiecana w terminie drugiego lutego 1311 roku. Tak według prawa wszystko czyniąc, wchodzili w posiadanie ziemi rozległej, brali w moc krzyża dalekie krainy *in Polan, Pomern und czu Prussen*.

BITWA POD ŚWIECINEM

Rycerstwo króla Kazimierza Jagiellończyka pod dowództwem Piotra z Prawkowic herbu Łabędź Dunina wdarło się głęboko w pruską ziemię. Rzuciło się przede wszystkim dla poratowania kondotiera Jana Skalsky'ego, husyty, zaciężnika idącego zrazu na rękę Zakonowi, a gdy skarb malborski do dna się wyczerpał - zaprzedanego Polsce. Ów Skalsky, dziki okrutnik i zdzierca Warmii, zamknął się był przed Krzyżakami w nadmorskich murach i wśród obronnych wież Frauenburga, złupił i zbezczescił fromberską katedrę, i do ostatka bronił się przeciwko wielkiemu mistrzowi. Gdy Piotr Dunin na czele swego wojska, szykiem porządnym zmierzającego, przyszedł pod nieprzyjaciela z zamiarem stoczenia bitwy pod murami Fromberku, Ludwik von Erlichshausen, mistrz krzyżacki, który miał pod sobą jedynie wieśniaków sambijskich, zaniechał oblężenia nadmorskiej katedry, uszedł w lasy z pośpiechem i zostawił Polakom cały swój obóz, pełen zasobów i żywności.

Oczyściwszy ziemie okoliczne - gdy chłopci stanowiący całą siłę krzyżacką rozbiegli się do chałup, a mistrz na czele szczupłego oddziału w pruskie puszcze się cofnął - Piotr z Prawkowic wziął się na zachód, ażeby dać pomoc zbuntowanym przeciwko Zakonowi gdańszczanom. Hufiec dwutysięczny, z Wielkopolan i Kujawiaków złożony, ruszył wzdłuż wybrzeża Świeżego Zalewu, mając przed oczyma wały piaszczyste, wydęte przez wiatry w góry kształtu dziwnego, o stokach łagodnych od strony podmuchu, a strome i spadziste za wiatrem. Koń polski, w żyznych niwach i wilgotnych łągach odchowany, brnął po tych przepaścistych wydmach, wzdłuż cichych wód morskiego jeziora. Przepłynąwszy wpływ Nogat i Wisłę rycerstwo królewskie przybrało jeszcze nieco jezdnych z Tczewa a z Gdańska i ruszyło poza góry kolebskie, pędząc przed sobą najemnika Krzyżaków.

Nie napotkano przed sobą większej siły pod Puckiem ani u nasady międzymorza, na dawnym gdańskim szlaku, nad Czarną, nad Rogoźnicą, nad Piaśnicą, przy Wielkim Jeziorze ani dalej pod Białogórą, Kopalinem i przy Sarbskim Zalewie. Pierwszy to raz od stuleci znowu tutaj na zwiewnych piaskach, golicach, na powichrach i trawach przymorza polskie kopyto odciśnęło swe ślady. Wielkie, pienne morze szeroko miotanym zalewem biło w pęciny rumaków i dreszczem przejmowało nieznanym dusze rycerzy. Napawało ich oczy widokiem wałów zielonych, na piasków przezzystych wysypisko wiekuiście idących. Wciągali w nozdrza słone pyły i orzeźwiali się chłodem niezmiernego przestworu.

Odetchnęły zbuntowane przeciwko Krzyżakom dwory i gburstwa, siola i rybackie pustkowia. Jazda przeszywała lasy, okrażała błota, wdzierała się na pagóry i przeszukiwała wąwozy. Nie wytropiła nigdzie wroga na oko. Lecz gdy Dunin zapędził się poza Żarnowieckie Jezioro, nieprzyjaciel ścigał tajemnie wszystkie swoje załogi, sprowadzał od strony Śląska nowe zaciągi, zganiał do swego obozu wszystkich podległych mu jeszcze rolników i rybaków.

Fritz von Raveneck i Kaspar Nostitz objęli dowództwo nad tym wojskiem krzyżackim, które do pięciu tysięcy żołnierza liczyło. Zwolna posuwając swe siły ku Żarnowieckiemu Jezioru

Fritz von Raveneck i Kaspar Nostitz osaczyli Polaków w piasnickingiej nizinie. Przecięli wszystkie drogi i ścieżki od Gniewina, Tułowa, Mechowa, Sławoszyna, Ostrowa i zagrodzili wojsku polskiemu możliwość odwrotu. Zmiarkowawszy swe położenie Piotr Dunin słał do króla Kazimierza gońca za gońcem, żądając natychmiastowej odsieczy w tym gnieździe błotnistym. Goniec za gońcem przesywał na wskroś lasy i docierał do pana.

Król wysłał natychmiast służebne swe rotty pod wodzą Piotra Górskiego. Fritz von Raveneck i Nostitz postanowili najprzód Górskiego pokonać, zanimby się do Dunina przybliżył, a później samego Piotra z Prawkowic w owym ciasnym przejściu udusić. Gdy jednak Górski wkroczył w puszcze, znikł w nich I szedł sporo, najemnicy krzyżacy zmienili zdanie i w Dunina postanowili uderzyć. Pchnęli tedy całą siłę naprzód i dwakroć ciaśniejszą obręczą otoczyli Polaków. Starą drogę gdańską, w stronę Starzyna i Pucka wiodącą, zarębem i dołami zniszczyli, wszystkie przesieki i smugi w gęstych lasach, wszystkie rozdoły i polany zamknęli rowami. Pod wsią Swiecino, należąca do żarnowieckiego panien cystersek klasztoru, między Jeziorem Swiecińskim, czyli Dobrym, rzekami Rogoźnicą i Prądnicą a starą mogiłą pogańską zwaną Skarbową, między lasem, przy którym leży kamień Boża Stopka, a błotami niziny zwanymi Porosłe rozparł się obóz Polaków. Pod osłoną jazdy i taboru. Piotr Dunin okopał się mocno i postanowił drogo sprzedać swoje i rycerzy swych życie.

Wojsko krzyżackie, wychyliwszy się z lasów od strony Lubocina i Warzewa, stanęło niezłomnym zastępem, przecinając dolinę. Czoło tego wojska osłoniły wozy wojenne, łańcuchami szczipione. Przed nim wybrano rów głęboki i wbito częstokół z naostrzonych palów, z których część pewna była nadto żelazem okuta. Tak to okoparwszy się w swych stanowiskach dwa wojska czatowały na chwilę sposobną do walki.

Noc była późna, jesienna, gdy polski *campiductor*, wszystko bacznie opatrzywszy w obozie, z pozostawieniem czujnej jazdy na przedzie a pod zasłoną jazdy oddziału gotowej piechoty, zdawszy główny rozkaz nad tą pierwszą strażą dworzaninowi królewskiemu imieniem Paweł Jasiński, sam wrócił do kolasy, by w milczeniu czyn jutrzejszy rozważyć.

W cieniu wozu hetmana snuł się mnich gdański, brat Iwo. Był to starzec zeschnięty, naprzód pochylony, o wielkiej czaszce łysej, zawsze gołej, na słońce, plute i wicher wystawnej i tak przepalanej, iż raz na zawsze kolor bursztynu przyjęła. Brat Iwo, przybrawszy to imię na cześć stryjca Odrowążów, Jacka i Czesława, twórców w Polsce dominikanów zakonu, pochodził ze szlachty pomorskiej, ze starego rodu Rozwarów, którzy za czasów Swiantopołka gdańskiego przyszli w te strony skądś spod Szczecina, wyparci z dziedzin rodowych przez najazd niemiecki. Należał do stada jeleni wypłoszonego z mateczników ojczystych przez szczwaczów nie lada. Jako wszyscy w tym rodzie, zachował na dnie duszy, pod licznymi warstwami uczuć, myśli i wierzeń zakonnych, wspomnienie krzywdy, legendę o hańbie ucieczki, wiecznie żarzący się węgiel pamięci rodowej porażki. Krzyżacy nie mieli w bracie Iwonie przyjaciela. Gdzie mógł i o ile tylko był w stanie, szkodził im jawnie i skrycie. Teraz, gdy wojsko polskie zjawilo się w gdańszczyźnie, szedł z nim na ochotnika jako spowiednik i podżegacz, mówca i pocieszyciel, zaklinacz i egzorcysta. Nieproszony i niewołany plątał się wciąż czarno-białą plamą między osiami i sprychami wozów, u strzemion rycerzy, na przedzie, gdy ogmen nieprzyjaciela dostrzegał, i w tyle, gdy trzeba było w ziemię zagrzebać wojaka.

Brat Iwo poczytywał moc krzyżacką, krótko mówiąc, za objawienie się na ziemi tej piekiel podspodnich. Podobnie bowiem - wywodził - jak czarci byli zbuntowanymi cherubami, tak samo te ich podobizny na ziemi w zaraniu swym poczęte były przez dobro i narodziły się z cnoty najczyst-

szej człowieczej. Dopiero przez pychę i żądę wchłonęły w siebie wszelkie diabelstwo ludzkiej natury i samego diabła przewyższyły w zepsuciu. Nawet najlepsi z Krzyżaków - zaręczał - przebywając w sferze diabelstwa, muszą być poczytywani za zostających szczególnie pod wpływem szatana, za grzeszników najniższej, trzeciej kategorii. W piekło i milicję diabelską, stale obecną i wciąż działającą, brat Iwo wierzył głęboko, niewzruszenie i szczerze. Można by nawet ze złośliwością powiedzieć, iż mocniej był przeświadczony o czynach Smętka na ziemiach przylegających do Wisły, wyraźniej umiał uwydatnić w płomiennych egzortach kolejność i oczywistość zdarzeń, powstającą z zaprawy tego pomorskiego psotnika, niż z podobną jasnością wyświećlać i na oko pokazywać dowody Boskiej Opatrzności. Wszystko, cokolwiek z lat pradawnych stało w ludzkiej pamięci i klechdzie, co się zdarzyło za czasów świeckiej brata Iwona włóczęgi w obozach, co zaszło czasu pobytu w klasztorze - wszystko, cokolwiek niewstrzymanym wartom biegło w oczach żywo widzących, miało dlań jeden sens wspólny. To „On” myszkował, kręcił, zastawiał sidła, kopał doły, motał kłębki, stroił figle, zwyciężał i chichotał z radości albo doznawał sromotnej porażki. Zawsze wśród czynów ludzkich „On” czał się jako lis, napadał jako wilk albo schwycony na gorącym uczynku swego łajdactwa, wobec otwarcia świętego potrzasku albo w porę wiadomym sposobem i wprawną ręką zażyty a przeżegnany, zmykał ni to ów zając, aż się za nim kurzyło i fetor piekielny zostawał w powietrzu.

Brat Iwo ze swej strony był właśnie przez całe swe życie owym myśliwcem, który na Smętka czatował, tropił go bezsennie, nastawał nań dniem i nocą i pobijał go na łeb na szyję. Znali się z „tamtych” nie od dzisiaj. Ileż to razy czujny strażnik wyganiał go z ciała energumenów, nieszczęśliwych, których trzeba było nieskończenie długo trzymać na zewnątrz kościoła, dopóki się z ich wnętrza obrzydliwego diabła nie wywabiło przepotężnym rozkazem. Brat Iwo poznawał się na opętaniu od jednego rzutu oka. Gdy chory tężał na całym ciele, czerwieniał i twarz miał pokrytą krwistymi plamami, gdy żołądek jego wzdymał się w sposób szczególny, iż tworzyła się to tu, to tam jakoby bulwa wydatna - gdy opętanego targały już to bóle żołądka, już palił go jakoby ogień wewnętrzny albo znowu kiszkę ścisnęły się tak dalece, iż ustawało trawienie, a pokarm wypadał ustami przez womity, brat Iwo odsuwał lekarza z jego przeczyszczeniami i medykamentami, a sam przystępował do dzieła. Podobnie łatwo odróżniał opętanie po ruchu lub nieruchu serca. Skoro bowiem serce człowieka biegło tętnem oszalałym albo znowu stawało w sposób niewytłumaczony, jak gdyby strwożone - gdy wielkie w nim objawiały się cierpienia, podobne do targania wściekłych psów paszczką, brat Iwo brał nieszczęśnika w swe ręce. Rozumiał się doskonale na owych wiatrach wewnętrznych, na paleniu, niczym od wapna niegaszonego, na bulwach rozdymających żołądek i wyraźnych po wierzchu. Rękami umiał we wnętrzościach wymacać kształt szatana.

Brat Iwo prosił go wówczas po dobroci, żeby nieszczęśliwego raczył od siebie uwolnić. Wypędzał nędznika łagodnie dotknięciem szkaplerza z zaszytymi wewnątrz relikwiami, przepędzał eksufflacją i modlitwą, insufflacją i modlitwą, wreszcie insputacją i modlitwą. Jeżeli zaś tylko wzdrygnięcia, strach i *horror* od dotknięć krzyża i relikwii w chorym się objawiały człowiekowi, brat Iwo przystępował do eksprobracji m *Satan*, która była *magna et terribilis*. Podnosił krzyż i wymówiwszy przepisane psalmy, modlitwy i litanie wołał: - *Ecce crux Domini. Fugite, patres adversae!* - Czynił to po wtóre i po trzecie. Zdarzało się przecież, że diabeł nie wychodził z wnętrzości opętanego na skutek najżarliwszych modlitw o zesłanie anioła z niebios, który by strzegł, bronił, nawiedził i zasłonił nieszczęśliwą ofiarę. W takich ciężkich wypadkach brat Iwo przystępował do preegzorczyzacji czwartej. Odmawiał zaklęcia:

- „Przeklęty szatanie, uznaj dekret swój, a daj chwałę Bogu prawdziwemu, żywemu, daj uczciwość Panu Jezusowi Chrystusowi, żebyś odstąpił od tego sługi Jego z twoimi sprawami, którego Pan nasz Jezus Chrystus swą najdroższą krwią odkupił”.

Takie to po wtóre i po trzeciej z przepisanyymi modlitwami wznawiał egzorcyzmy.

Nieraz jednak nawet to nie pomagało i szatan uparcie trzymał się swojej ofiary. Skoro nie wiadomo było, z którym się ma do czynienia, należało wyzywać wszystkich, aż się na właściwego trafiło. Egzorcysta wymieniał ich i wołał z kolei opatrując każdą nazwę znakiem krzyża:

- *Diabolus, Daemon, Satan, Belzebub, Behemot, Leviathan, Mammona, Lucifer, Basiliscus, Bestia, Belial, Ostium, Divitiae Adveisarius, Peccator, Exterminator, Mors, Aquila, Bos, Gigas, Leo, Nox, Coluber, Rex, Serpens, Vitulus, Apis, Avis, Aer, Cadaver, Catulus, Faber, Fortis, Impius, Exactor, Malleus, Porcus, Vipera, Venator, Civis!*

A przeciwko każdemu z nich czy wszystkim wraz podnosił krzyż, mówiąc:

- *Ecce crux Jesu Christl, Cruce Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat, Agios, Ischiros, Sother, Sabaoth, Adonay, Heloym, Homousion, Tetragrammaton, Othesos, Athanatos, Alpha, Omega, Salvator, Principium et Finis, Primogenitus, Via, Veritas, Jehova, Vita, Sapientia, Aeternus, Virtus, Paracletus...*

Na wielu już opętanych przez diabła, czego dowodem była ślepotą, głuchota, zgrzytanie zębami, niemota, nadmierne wyrzucanie plwociny, krzykactwo, lunatyctwo, rozbieranie się do naga, ciskanie kamieniami w chrześcijan, skoki obłąkańcze w ogień lub w wodę, uciekanie ze społeczności ludzkiej w pola i w lasy, unikanie rozmów, przemawianie językiem narodów ościennych, wypowiedanie zdań mądrych przez głupców, wyjawianie rzeczy tajemniczych lub pod sekretem komu innemu zwierzonych - na wielu już opętanych tego rodzaju brat Iwo wywierał swą siłę egzorcyzmu.

Do walki sam na sam z piekielną bestią posiadał oręż skuteczny, zwierzony mu i zlecony przez władzę wyższą, pewne święte przedmioty zaszyte w rękawach, szkaplerzu, fałdach sukni, pewne koła i znaki tajemne. Siła jego zakłęć, moc kropidła i święconej kredy była nie mniej potężna jak uderzenie kopij i młotów, młotów i strzał polskich rycerzy.

Brat Iwo pamiętał jeszcze dobrze świetne czasy Zakonu. Dzieckiem był, gdy ta niezmożona potęga pchnięta została w serce pod Grunwaldem i zdruzgotana mocą piorunową, wypadającą ze szponów orła polskiego. To dzieło przywiązało go do Polski na głucho. Oczy jego dzień dnia patrzyły na cichy strumień Raduni, a stopy jego po stokroć brodziły w krwawej wodzie. Nosił nie tylko w pamięci, lecz w kościach i w żyłach nigdy nie zgojoną, nie zaleconą, miejską, w zaułkach, sieniach i po piwnicach szeptaną legendę o zamordowaniu przez komtura Henryka von Plauen burmistrza Konrada Retzkau i Arnolda Hechta na gdańskim zamczysku, o wzgardliwym wyrzuceniu ich trupów poprzez oczy mężnej niewiasty za okopem zamkowym - o zrabowaniu majątku ich dzieci za to, że do Stanów skargę zaniósł. Za czasów brata Iwona dokonywały się i żyły w szepcie ludzkim straszliwe tajemnice więzień i lochów zakonnych. Głuchą legendą, gadką posepną, postrach i zemstą rodzącą stała się wieść o ścięciu przez elbląskiego komtura dwu szlachty bez sądu, o ścięciu bez procesu szlachcica przez komtura Tucholi, o zamorzeniu głodem innego w świeckim więzieniu/o potajemnym ścięciu mieczem szlachcica pruskiego przez podskarbiego w Malbórgu, o zamordowaniu skrytobójczym kapłana za to, że kogoś z dostojnych pozwał do Rzymu, o utopieniu w nocy chorążego, gdy domagał się żołdu, o utopieniu przez Goswina von Aschenberg jadących do

Rzymu szesnastu księży ze skargą na Zakon, o zamordowaniu przez toruńskiego komtura obywatela, by żyć w cudzołóstwie z jego żoną. W oczach brata Iwona rozwinęło się i stało aktem codziennym wiarołomstwo, zdrada, nałożnictwo i cudzołóstwo, jakich dopuszczali się Krzyżacy bezkarnie.

Patrzył za dni swoich, jak żony i córki obywateli, służące i pracownice narażone były na uwiedzenie i krzywdę. Patrzył, jak ci władcy kraju pod przymusem skupują na jesieni za tanie pieniądze zboże od chłopów, a przed wiosną sprzedają je tymże kmiociom lub za granicę według ceny ogromnej. Patrzył, jak rujnują swych poddanych nadmiarem robocizny w lasach, zabronieniem wymiału zboża, gdzie się taniej trafi, i sprzedawania mąki. Patrzył i słuchał, jak w nicosć zamienili wszelką sprawiedliwość, gdyż jeśli kto poważy się zanieść skargę do wielkiego mistrza na urzędnika Zakonu, to mistrz natychmiast wymierza skarżącemu się karę pieniężną, karę więzienia lub wygnania z kraju. Patrzył na konfiskaty majątku bezdzietnych, nakładanie podatków wbrew własnym ich, chełmińskim prawom i na szerzenie bezprawia bez końca i miary.

Toteż brat Iwo myślą, namową, czynem i całą duszą popierał związek miast ze szlachtą. Z radością zawsze dowiadywał się o rozterkach panujących w łonie Zakonu. Śledził pilnie skutki i objawy działania związku dawnego, który za godło miał „Jaszczurkę”, ongi w okolicach Radzyna przez czterech możliwych założonego rycerzy, przez Mikołaja i Jana braci z Ryńska oraz Fryderyka i Mikołaja z Kitnowa - w imieniu wszystkich rycerzy i giermków chełmińskiej krainy. Patrzył z radością, jak ów związek tajnie rozszerzał swe wpływy, rósł na siłach w powiatach radzyńskim, chełmińskim, toruńskim - wchłaniał w siebie ziemie inne i żywioł nienawiścią do Zakonu przejęty - aż po latach kilkudziesięciu jako Związek Pruski wyniknął. Nadeszła wreszcie chwila, gdy wszystko, cokolwiek się w tych ziemiach dokonywało jawnie czy skrycie, działo się wbrew Krzyżakom, z rozkazu „Ziemi, miast i powszechnej woli”.

Brat Iwo rozważał te dzieje w celi swej gdańskiej i czasu nieustannych po świecie wędrówek. „Oto Zakon - rozmyślał - szeregiem szalbierstw tajemnych, mądrych podstępów i matactw niedościągłych posiadał ziemię chełmińską i michałowską, oderwał Pomorze, zbrojne zajął ziemię dobrzyńską, wreszcie usiłował przywłaszczyć sobie Kujawy. Do ziemi Prusaków, których mieczem i ogniem wytepił i straszliwymi sposobami do nogi wygubił, z głębi Szwabii, Saksonii i Brandenburgii sprowadzili ludzi niemieckich. Tu ich ziemią obdarzył, dobytkiem zaopatrzył i w miastach rozplenił. Wszystko zaś z szatańską premedytacją tak zamyślił i wykonał, ażeby w tych stropach na wieki wieków władza polska, mowa, obyczaj i sama pamięć wytracona została.

Aliści - o przedziwny widoku! - ci sami ludzie niemieccy przeciwko temuż Zakonowi Panny Marii w związek się nieubłagany związali i w spisek zaklęty sprzysięgli. Ten to związek, zbuntowawszy się jawnie przeciw władzy toruńskiego komtura, zaczął niemieckimi rękoma łamać mury i palić domy pod zamkiem. Gdy zaś Toruń został opanowany przez lud pruski i gdy stał się Związku Pruskiego stolicą, za jego przykładem inne poszły zamki i miasta: Brodnica, Świecie, Gniew, Grudziądz. Wtedy wielki Gdańsk jako lew się podźwignął. Lwimi zaiste łapami zburzył, zdruzgotał, rozniósł w drzazgi i w pyle rozdeptał zamek krzyżacki, siedlisko zbrodni, gniazdo tyranii, zdrady i kłamstwa. Zdeptał miejsce, gdzie stała ta twierdza bezprawia. W ciągu jednego miesiąca pruscy powstańcy opanowali pięćdziesiąt miast i zamków; Gdańsk, Elbląg, Grudziądz, Gołub, Kowalewo, Gniew, Świecie, Papów, Tucholę, Ho-

land, Królewiec, Radzyn, Nidborg, Brodnicę, Chełmno, Działdów, Ragnę, Ostródę i inne. Sam wielki mistrz obleżony został przez gdańszczan w stolicy swojej, w Malborgu”.

Brat Iwo najpiękniejszą miał w życiu godzinę, gdy pod wodzą senatora Edwarda Wriage gdańszczanie po społu ze szlachtą pomorską zatoczyli obóz warowny na lewym brzegu Nogatu, naprzeciwko tej radnej sali, w której ścianie tkwi kula armatnia Jagiełły. Gdy ta potężna, zwycięska, wspaniała i prze-zacna rewolucja całego pruskiego ludu w pełni wybuchła, wielki mistrz z całej swojej potęgi miał pod sobą jedynie Sztum i Malborg. Ale i tam właśnie, w wieżach, lochach, salach i sekretnych przejściach Malborga, na murach i blankach Sztumu dosięgło go i poraziło na głowę nie co innego, tylko to właśnie, czym przez całe swoje istnienie Zakon wojował i zwyciężał, czyli zdrada. Oto jego najemniki wojenne, czeskie kondotierzy, sprzedały Sztum i Malborg. Brat Iwo gorzał z radości, gdy cały pruski świat, jak długi i szeroki, zwrócił się w walce swej, w trosce głuchej - iż przez wszystkie Niemcy zostanie teraz zmiażdżony - w tę stronę, gdzie wolność jaśniała, gdzie od dawien dawna stanęło prawo, iż nikt szlachetny nie będzie więziony bezprawnie, że nikomu dobra odjęte nie będą. Toteż żarliwy zakonnik powtarzał wraz z całą ludnością ziem nadmorskich jakoby litanie powszechną, słowa wysłańców Stanów Pruskich, Jana i Gabriela Bazenów i Augusta ze Szczabdy, gdy zalani łzami, na twarz upadłszy, króla polskiego błagali:

-”Gdy ziemie pomorska, chełmińska i michałowska gwałtownym najazdem od ciała Królestwa są oderwane, przybyliśmy do Ciebie, Królu i Panie najmiłościwszy, z prośbą, abyś nas za wierne Państwa Twojego sługi poddanych i podległych przyjął - nie raczył wzgardzić nami, niegdyś od wspólnej ojczyzny oderwanymi a dziś do niej wracającymi. Przybywamy oddać się w Twoją opiekę, uznać Twoją władzę nad naszym krajem, Tobie miasta, ziemie, grody, Tobie zamki obronne i warownie poruczyć”.

Skoro zaś przezorny władca polski wyciągnął ponad te ziemie swą rękę niosącą skasowanie bezprawia, ucisku, niesprawiedliwych podatków, a podającą ziemiom i grodom swobody - brat Iwo szedł z wojskami polskimi i niósł im swą pomoc duchową. Brał udział w klęsce Chojnickiej, w oblężeniach łaszyńskich, w przeprawach i pochodach.

Z oczyma zamglonymi i spoglądającymi ponad głowy ludzkie w odległość - ów mnich czarno-biały biegł, mamrocząc do siebie i podśpiewując sobie samemu słowa egzaltacji i egzorcyzmów, zaklęć i błogosławieństw. Mało kto wiedział, co on tam gwarzy i radośnie przyspiewuje, śmiejąc się wciąż i cości pokazując na migi. Ale przecie różnie było rycerzom, gdy niewzruszony w swej wierze Pomorzak o bursztynowej czaszce wrywał w bitwie obok hufca albo, dopadłszy luźnej kulbaki, czwałował sprawniej od niejednego rajtara.

Teraz, w świecińskiej nizinie, brat Iwo nie spał tej nocy. Jak upiór czy jak mgła ponadwodna snuł się wśród śpiących drabantów i drzemiących na siodle pancernych, wśród koni, co chrupały otawę ostatniego pokosu, i przy wodza siedzisku. Wsuwał się niepostrzeżenie w sam środek przodującej czaty, wychodził na czoło obozu, stawał na nasypie okopu i z cicha, a z samej głębi duszy rzucał w obóz «krzyżacki zaklęcie:

- *Ego minister et servus Dei et Domini nostri Jesu. Christi, auctoritate qua fungor, exorciso vos patres mendacii per Patrem ingenitum, mando vobis filii perditionis per Filium bis incarnabiliter genitum et constringo vos spiritus maledicti per Spiritum sanctum non genitum...*

Tak pracował duchem aż do poranka. A gdy pierwszy jesienny brzask uwydatnił żółtawe kity trzciny na mokradłach przymorskich, smugi białych pieczarek wzdłuż pastwisk i ciemne lasy

na wałach piaszczystych, brat Iwo, wciąż twarzą zwrócony do krzyżackiego obozowiska, modlił się głośno, żarliwie.

Skoro świt, ruszył się nieprzyjaciel z legowiska. Wyszedł całą potęgą z obwarowanego obozu na równinę, pragnąc długim i szerokim zastępem okrążyć Polaków, a potem wepchnąć ich w bagno i w morze. Na rozkazanie hetmańskie Paweł Jasiński wywiódł cichcem hufiec swych kawalerów poza rów obozowy. Ustawił ich z prawej strony na twardej ziemi ponad błotem. Rycerze wodze skrócili, niezwalczonym ramieniem ujęli łamne drzewa pod ramię i kolce nastawili przeciw bokom biegunów. Wódz pokazał im drogę, półkolem od polskiego obozu do krzyżackiego biegnącą. Na znak dany uderzyli...

Szybko jak błyskawica wypadli za obóz i gnali po łuku obwodzie twardą ziemią pagórka. Ziemia tego jęknęła od prze-cwału bachmatów. Zaświstały w powietrzu barwnych proporców przeguby. Nim się kopijników krzyżackich szeregi opatrzyć zdołały i nastawić - uderzyli jak pocisk potęgi. Długie kopie roztraściły piechurów, wielkie konie, kirysem okute, zwały na ziemię, co stało na nogach. Z boku, od strony nie-spodziewanej wymierzywszy swą napaść, rota jazdy wyrwę stworzyła w krzyżackim obozie. Jako ów po wsze czasy sławy godny Arnold Winkelried w bitwie pod Sempach - polski jeździec wziął na się wszystkie uderzenia kopiją, strzały łuków, pociski armaty, cięcia mieczem i zdzielenia obuchem topora. Lecz już raz potrącona piersią końską piechota zakonna, stratowana kopytem albo pchnięta świstem młotów w obręby paniki, nie zdołała utrzymać ni odnowić mocnej linii w postawie.

W tę to wyrwę skoczyła od czoła, wprost z pastwiska uderzywszy, Duninowa piechota. Zaczepił się zastęp o zastęp. Żołnierz zwarł się z żołnierzem. Miecz rypał w tarczę. Młot z góry wbijał szyszak w ramiona, aż mózg przez widziory wytryskał. Polscy i niemieccy mężowie gromili się wzajem mieczami z ramienia, o śmierć walcząc lub życie. Nie ostał się gruby napierśnik przed ostrzom spadającego topora. Zaciekły sztylet zdradzieckim popchnięciem przetrzął gardło lub kiszki. Szereg uderzał na szereg, rota przypadała na rotę, w furii miotając przekleństwa. Bitwa się rozpętała uparta, zaciekła, niezłomna. Dwa wojska mordowały się wzajem, wciąż stojąc w miejscu tym samym. Aż nie mogąc się zgoła pokonać i przemóc ustały w napaści. Cofnęły się do swych obozów, w rowach i pod zasłoną palisad szukając chwili wytchnienia.

Wnet jednak, gdy siła w omdlałe ramiona wróciła, porwały się do boju na nowo. Teraz wódz najemniczy, posługujący Krzyżakom, Frycz Raveneck, stanął mężnie w szeregach. Zagrzął swoich do męstwa. Dał rozkaz. Patrzyli weń żołnierze. Ruszył do boju na koniach wspaniałych, w zbroje nie zrównane zakuty, powiewający piórami oddział rycerzy krzyżackich. W wojnach litewskich i polskich wsławieni, w ogniu walk i wielkich pochodów zaczerpnąwszy wojennej nauki, bracia zakonni chcieli dzieła dokonać. Otoczyli wodza Frycza kołem żelaznym i na miecze obnażone przysięgli, iż z placu tego boju nie ujdą. Zwarli się sam na sam z jazdą polską, która teraz po wtóre z obozu wypadła. Znowu piechur uderzył w piechurę i jeździec dopadali przeciwnika w pażycy. Jęczały i rżały bachmaty po brzuch zapadając w mokradło. Walił się rajtar jak kłoda ścinany przemyślnym koncerza wybiegiem. Bitwa się znowu rozpętała powszechna.

Lecz oto drzewcem raniony przez polskiego rycerza Fritz von Raveneck runął z siodła na ziemię. Zachwiała się od tego widoku krzyżacka kolumna. Okrzyk zuchwały wydali Polacy. Natarli ze wszystkiej swej mocy. Nie schodząc z placu boju, gdyż niemal potrójna przewaga podporę jej i siłę dawała, broniła się piechota pod Nostitzem. Lecz już w niej nie było potęgi

zaczepnej. Zepchnąwszy z czołowego przedboju zakonnych rycerzy i w błoto ich wegnawszy głębokie, konnica Polaków nowym się poniosła natarciem. Sformowana przez Dunina piechota uderzyła z dwu skrzydeł, od jeziorzysk i lasów.

Wdzierała się w wyłamane otwory. Zdwojonym i zgęszczonym szeregiem, wciąż wzmacnianym przez wodza, popychała przed sobą najemnych. Aż wojsko Nostitzowe zmieszało się w swym sercu, leniwiej odbijało uderzenie, unikało napaści i cofać się zaczęło. Podźwignął się z ziemi Fritz von Raveneck, zatrzymał wokół siebie piechotę i jazdę, jął zagrzewać do walki. Jeszcze raz zastawił się obronnie. Usiłował uderzyć. Obskoczony przez polskich żołnierzy, zarąbany straszliwymi ciosami, broniąc się do ostatka Fritz mężnie dał gardło.

Wówczas najemnicza piechota, nie mogąc strzymać uderzeń ani szukać ratunku w ucieczce, cofała się z resztą jeźdźców poza okop i za częstokoły. Tu wśród wozów szcepionych, zza palisad broniła się jeszcze. Wówczas na rozkaz polskiego hetmana natarczywie uderzono w obozy. Padały konie rażone spod kolas i w ciasnocie przesmyków przygniatały rycerzy. Jeźdźcy strąceni na ziemię wyrwali stopy ze strzemion i stawali w szeregu ciągnącej piechoty. Obalano na ziemię koły w żelazo okute i wdzierano się w obóz. Tam jeszcze bitwa zawrzała, gdy wóz zdobywano po wozie. Biegąc uliczkami wśród kolas, wypędzano piechotę krzyżacką na zewnątrz, wtrącano ją w fale Świecińskiego Jeziora, w błota grząskie, w topiele bajora.

Rycerze zakonni, postrzegłszy, iż wódz ich nie żyje, a obóz jest w ręku Polaków, nie chcąc słowa danego odmienić, iż z placu boju nie ujdą, woleli rzucić miecz pod nogi zwycięzców niż się ucieczką ratować. W niewolę zostali zabrani.

Gdy noc nadchodziła, pole bitwy było w ręku Polaków. Cała prawie jazda Zakonu trupem poległa w świecińskiej nizinie. Jeden oddział wpadł w ucieczce do lasu, lecz zabrnąwszy we własne pułapki, zasieki, wilcze doły, zaręby, nie mógł się z matni wydostać i wpadł w ręce zwycięzców.

Dwa tysiące poległych trzeba było w ziemię zakopać. Na polach Domatowa i Polchowa usypiano wysokie mogiły.

Sześciuset poszło w niewolę, wzięto dział piętnaście, dwieście wozów dobrem naładowanych wszelakim.

Rozbiegli się Kaszubi, pod przymusem do tej walki pędzeni.

Od checzy do checzy, od dworu do dworu, od zamku do zamku szli borami, drożynami, ścieżkami, radosną wieść roznosząc, iż porażony jest Zakon.

Dopadł konia brat Iwo i pognał, co koń skoczy, ku Wiśle. Zwiastował radosną nowinę przysiółkom, gburskim strzechom i dworom.

Mijając lasy, doliny i pola, ciszą jesieni zasłane, ze łzami uniesienia szczęśliwy Pomorzanin śpiewał pean radosny pustkowiom:

Vexilla Regis prodeunt, Fulget Crucis mysterium, Quo carne carnis Conditor Suspensus est patibulo, Quo vulneratus insuper Mucrone diro lanceat, Ut nos lavaret crimine Manavit unda sanguine...

Żegnał się znakiem wyzwolin naród kaszubski i z czoła znój niewoli ocierał. Zawrzał od radości głębokiej Gdańsk wyswobodzony z ucisku. Rozwarł na ścieżaj swe bramy wysokie na powitanie króla polskiego, króla wolnych ludów polskiej korony.

JAN Z KOLNA

Jan z Kolna, żeglarz wsławiony na morzach Północy, budował u wybrzeża Leniwki swój wielki korab wyprawny. Wrócił był z podróży dalekich z trzosem złotem nabitym, zarobionym w służbach skandynawskich i duńskich, a wypłaconym mu w tamtych krajach przez ludzi władzę dzierżących. Teraz tu, w stronie ojczystej, postanowił własne swe sudno zbudować. Nigdzie bowiem na ziemi mu znanej nie miał w takiej ilości i w takim doborze szlamowego drzewa, nigdzie masztów talk jednolitych, na całym świecie polskimi przezwanymi, nigdzie robotnika tak przedniego w dziele okrętowym jak w Gdańsku. Kupił tedy i płotem wysokim ogrodził miejsce pracy w zatoce Leniwki, między siedmią sosen a Pastwą Bąsacką, wznosił wysokie osłony i wielkie, na palach pod dachem, szopy stoczni - ku ochronie materiałów, a sam stanął do pracy na czele swych robotników.

Był to człowiek wzrostu wielkiego, w barach szeroki, twardy w karku, o grubym brzuchu, a kolanach i stopach potężnych. Latem i zimą w koszuli na piersiach rozpiętej, z gołą głową, którą włos długi, gęsty i bujny porastał, w skórznicach po same pachwiny i lekkim na ramionach kaftanie, lubował się w deszczach i mrozie, a oddychał wielkimi płucami naprawdę szeroko dopiero wśród wichrów Północy.

Już był dwukrotnie opłynął Islandię, z formy swego łądu do tułowia łabędzia podobną, z dziobem na zachód północny zwróconym. Już z zasłon mlecznobiałych, ze mgły nieskałanej, wyłaniał się przed jego źrenicą ów przesmyk szalony, droga burzy, wiatrowisko miotające korabiem jak drzazgą bezsilną. Wały morskie podźwignięte przez burze wznosiły się tam na wysokość kilkunastu lokciową. Korab wyniesiony na ich grzebień - wolno zstępował w doliny wśród gór wodnych rozpostarte, na milę morską szerokie. Ginęła już była przed jego źrenicą we mgłach wschodu błyszcząca kopuła Lang Jokuli, a na pograniczach Polarnego i Atlantyckiego Oceanu ląd Grenlandii się wychylał. Jan z Kolna widział już był oczyma owe linie brzegów proste, a przecie poszarpane w wyrwy nieskończone przez największe wody. Wkraczał już, stojąc obok rejowego żagla na dziobie okrętu, w ciche, nie-me, głuche, fiołkowymi cieniami wieczności przykryte ostoje, których jeszcze nigdy nie widziała źrenica człowieka. Tam z olbrzymich gór skalistych, z dolin pustynnych, skorupą lodu okutych, pędziły ku morzu rzeki tajemne w łożyskach lodowych, tu i owdzie dymiąc się parą gorącą ukrytych gejzerów. Zmarznięte masy śniegowe, odpadłe z wyżyn ku wodom, dochodziły do urwisk nadbrzeżnych i tu od nadmiaru swej wagi potwornej toczyły się wielkimi bryłami, sunęły w ciche przystanie, kapały w błękitach odmętu i wąskimi przesmyki wychodziły w ocean. Niosły się w wiatrach północy, błyszcząc i świecąc daleko - nawy wspaniałe, wiozące w wody południa wieść groźną o tajemnicach północy. Wielkie góry grenlandzkie stały tam w swych szatach urzekających spojrzenie, olśniewające samotną swą grozą.

Jan z Kolna opłynął już był południowe cyple tego ładu i chodził w zachodnie, cieplejsze jego strony, które jednak były tak bardzo zimne jak północne kresy Islandii. Rozumiał się już na wichrach tamecznych. Poznał wicher północny, mgłę lub pogodę niosący, wschodni - ciepły i duszny, który lody południowej Grenlandii roztopia i czyste rozpościera powietrze nad skałami południowych przylądków. Zżył się już był z tameczną głuchą nocą, trwającą w ciągu wszystkich dni grudnia, aczkolwiek wydzieraała z człowieka wolę, pamięć i radość istnienia. Zżył się już z tamtym dniem szarym, trwającym dziewięć miesięcy, aczkolwiek budził w sercu obłąkańczą tęsknotę za czymś niewiadomym, niepojętym, straconym. Zorza północna, łuk purpurowy, ozdobiony promieniami i snopami barw «wielorakich, zielonych i żółtych, złotych i pomarańczowych - igrająca wieczyscie z groźnymi wodami pustyni i zabarwiająca blaskiem niewidzialnym szczyty gór tajemniczych, budziła w jego duszy pasję najgłówniejszą, brzmiała w nim jak muzyka wiecznie nowa a zawsze nieznana, tworzyła wciąż odnawiające się samo przez się ukochanie niebezpieczeństw. Ocean, który wali w ciągu lat tysięcy w granitowe ściany, a wykutymi korytarzami, wśród patrzących nań w milczeniu gór prostopadłych, wchodzi, w ciche zatoki fiordów, spieniony na strąconych z wyżyny rafach podwodnych, stał zawsze w jego marzeniu. Śniły mu się płaskowzgórza pokryte lawą i śniegiem - Hekla okuta w pancerz z lodu, Sneefel rozdzierający ciemności - słupy gorących gejzerów, i król Północnego Oceanu, wieloryb, gejzery na wzór łądów tamecznych wyrzucający ze siebie. Śnił mu się biały niedźwiedź, obojętny na widok dwunogiego przychodnia, zstępujący jak lawina śniegowa z urwisk i krzesanic, z wybrzeży czerwonych od algi na lodozwały pływające, ażeby ścigać fok i żeglować w samotności na zamkach ruchomych z przezroczyściego kryształu.

Przypominała się pamięci wierzba tameczna, pełzająca po ziemi - brzoza, której pień kręty chowa się w mech, niczym w futro, przed mrozem i wichrem, a gałęzie wałęsają się w zimnym powietrzu jak macki szukające odrobiny światła i ciepła. Podczas myśliwskiej włóczęgi wśród karłowatych, brunatnych jałowców, w polach mchów i porostów - ażeby raczej podpatrywać i podziwiać niż ścigać i zabijać - zapoznał się był z życiem polarnego lisa, który się karmi resztką uczt białego niedźwiedzia - z przygodami bielaka zająca - z żywotem renifera i wołu piźmowca. W zatokach martwego ładu trawił godziny na wypatrywaniu obyczajów muzycznego łabędzia, o białym upierzeniu i wyciągniętej szyi, edredonów i pingwinów, gęsi i mew, pardwy, kruka i małej wodnej kurki. Silny ten człowiek tęsknił do chwili, kiedy z wysokiego pomostu mierzyć będzie swoją własną potęgą potęgą pokonanych wichrów, zawrotnych rozkołysań i wirów oceanu - gdy przetrzymywać będzie mróz straszliwy i zwyciężać burze śniegowe, trwające w ciągu tygodni, a żyć w wichrach dziko ryczących, wśród huku roztrzącającego się groźnie między lodów zwałami. Jak innych południowe słońce, tak jego noc polarna nęciła. Zawsze za swego żywota w podróż polarną ulatywał. Gdy kielpie z mór Islandii i skandynawskich fiordów, ciągnąc ku wybrzeżom Italii i Grecji, obok wzgórzystych kęp mierzei przypadały dla wypoczynku, ścigał je płomiennymi oczyma, albowiem wieść mu niosły z owych krajów białych, których kolor unosiły na swych skrzydłach i szyjach. Gdy zaś z krzykiem swym stadem olbrzymim wzbijały się w niebo, leciał z nimi oczyma i duszą.

Teraz, gdy swe dzieło wymarzone budować rozpoczął, gdy już zbijał siekierą swój okręt arktyczny, podśpiew - radosny mimo wszelkich przeciwności - nie schodził z jego warg czerwonych. Oczy zawleczone dumaniem patrzyły wciąż uparcie w świat olbrzymi, dla nikogo nie dostępny. Oczy jego widziały na jawie fontanny wyrzucane wysoko przez wieloryba, w zabawach i płaskach nurzającego się w wodach nie przemierzonych nie tylko dla żagla i wiosła,

lecz nie zdobytych dla myśli i woli człowieka. Oczyma duszy stęsknionej widział swe lśniące od białości lądy, gdzie stawał się rozkazodawcą jedynym, odkrywcą własnych swych bogactw bez końca i miary, przywłaszczycielem nieobesztych obszarów. Tam to przebywał zatoki zachodniego Grenlandii wybrzeża, gdzie cisza stoi wieczna, przerywana niekiedy przez trzask zlatujących lodowców, przez zajadłe szczekanie czterołetwej foki, wylegającej się na bryłach i taflach płynących - przez ryk niedźwiedzia polującego na foki, przez śmieszny pogwar pingwinów wydziobujących małże i ryby. Nienasycona ciekawość, nieugaszona żądza - ogień palący podeszwy na ziemiach zaludnionych i zamieszkałych przez plemię człowiecze - paliła go narzucając pytanie, co jest dalej, co jest tam jeszcze, co się tam kryje poza wielkim lądem, który już zobaczył. Wyspy poznane były dlań jako sprzęty znajome, leżące w ciemności mrocznej izby dzieciństwa, posępne i groźne. Obchodził je omackiem, w ciemności, znane już kanty wyczuwając rękoma. Lecz co jest tam, w trzeciej izbie, w lochu ciemnym, tajemnicą zionącym? Ludzie tameczni, w futra zwierząt zaszyci, gdy siedział u ich ogniska w straszliwym zaduchu, za szybami z rozciągniętych kiszek foki i gdy po bratersku tran z nimi popijał, dawali mu zagmatwane wskazówki, śpiewali tajemnicze legendy, wypowiadali klechdy symboliczne, niezrozumiałe dla tłumacza, o czymś przedziwnym w zachodniej i południowej stronie. Dreszcz go jak piorun od stop do głów przebiegał na myśl, co oni wiedzą, o czym napomykają, co wróżą.

Byłaż na owym południu ziemia ciepła? Istniałże tam ląd inny za wielobarwnym morzem, mieniającym się od zorzy? Jakiż był ów ląd, jeśli istniał? Kto go posiadał? Jakie zwierzę przebiegało wskroś tego kraju ciepłego? Co tam było?

Nie mógł zaspokoić swej pasji, nie mógł dalej popłynąć, gdyż właściciele okrętu kazali mu powracać. Powrócił. Ale odtąd nie znosił izb ogrzanych, dymu chat, gwaru miast, zaduchu ludzi, co sobie na małej przestrzeni dziedziny obtłukują boki, wrywają jadło, odzież, schronisko, dorobek i władzę. Sam był wciąż tam, jedynak europejskiego lądu, w krainach bezludnych lub w przystaniach zaludnionych przez ufne potwory i wielkie ptaki, pod niebem czarodziejsko grającym światłami, w półmrokach polarnego dnia bez końca i nocy bez końca.

Podczas długiej budowy statku morskiego, gdy się do cna spracował, gdy mu ręce i nogi od trudu ustały, wychodził na wzgórze wiślanej mierzei, mijał sosny nadbrzeżne i z góry piaszczystej patrzył w północ daleką. Pozdrowiał oczyma ruchliwą, żółtą falę wiślaną, co się z lądu w morze waliła szerokim ujściu korytem i długo szła w wodach niebieskich jako prąd żółty i rudy.

Wiśła szła tam daleko, dokąd szły jego myśli sekretne. Kochał tę rzekę wieczystą, obraz pędu bez początku i końca, biegu na północ i niestrzymanej wędrówki daleko. Ona go pierwsza z izby ojców pod Toruniem wywiodła, młodzieńcze jego marzenia na swe fale zabrała, ona go w morza poniosła. Miał ją i czuł ją w sobie - matkę drugą pod czółnom, piastunkę pod paczyną ojcową - prąd siły wiekuistej i wiekuistego dążenia naprzód - naprzód! Istniała w nim ta rzeka, obraz czasu, który również tylko w ruchu istnieje. Nie mógł w sobie powstrzymać żądzę ruchu, podobnie jak go w sobie nie mogła zniweczyć ta rudych wód masa. Dla niego i dla niej czas by się był musiał zatrzymać i ustać. Wieczne - dalej! złączyło go z niepowstrzymanymi falami, z krętymi popławy tej ukochanej siostrzycy wywałającej się w morze. Gdy na nią patrzył z daleka, północny wiatr wiał ostro w jego włosy wzburzone. Obejmował uściskiem żelaznym jego potężne ramiona. Zimnym podmuchem próbował jego serca męznego, co jako dzwon spiżowy biło w żebra mocarne. Chwytał w uścisk lodowy jego ręce ogromne

i grube, jakby go chciał wyciągnąć w krańce globu ziemskiego. Wicher morza w cieśninie żył się przeciskał i ogień krwi w płomień żartki rozdymał. Wielkie nogi miesiły ponownie wiślaną mierzeję. Ręce znowu miały stylisko topora. Zawijał rękawy koszuli i na czele swych cieśników, stolarzy, kowali uszczelnaczy, traczów, mosiężników, szklarzów i powroźników pracował od świtu do nocy.

Pasja do podróży i odkryć już go była wielokrotnie popchnęła do sprzedaży swej wiedzy żeglarskiej i siły fizycznej obcym potencjom: - Skandynawom i Danom. Chodził w cudzym chomacie i obce sprawy popierał. Pod cudzoziemską banderą nieznanych lądów dosięgnął w ciemnicy północnej. Wiedział dobrze, wyuczył się pilnie w tych drogach, jaki statek mieć trzeba, doświadczeniem tysiącnym rozumiał wady i zalety okrętu, znał się na wartości spojenia każdej deski z kadłubem, na grze żagli, mocy putek okuwających stopy masztów i boki pokładu, na taklu i rudle. W burzach strasznych i przeraźliwych poświstach wichury pobratał swą siłę z pomocną potęgą każdego kawałka dębiny, każdego zwoju wielkiego kordela, liny do rozciągania i zwijania podalów żaglowych, z każdym zazębieniem drzewa w drzewo, moc oporu wytrwania rodzącym, i z wiernością żelaza wtłoczonego w miąższ drzewa.

Piersi jego stękały wśród borealnej zawiei, a żebra ścisnęło od rzutów w przepaście odmetu i w niebo, jak stękają wręgi i bale, ster i maszty, reje i camra obicia. Poznał się z kadłubem i powierzchnią okrętu, z jego życiem i siłą wewnętrzną - któż wie? - może lepiej niż z duszą swą własną.

Teraz chciał zbudować galeonę według własnej swej myśli, według poznania jej zadań, doskonalszą, przydatną do zwyciężenia Północy. Chciał ją wyposażyć we wszystko, dać jej własny swój rozum, moc, wytrzymałość, niezłomność, niezniszczalność, potęgę. Dał jej w marzeniach swych kształt łabędzia. Do tego zwiastuna Północy na wodach Południa rysunek swego statku uczynił podobnym.

Słały się u wybrzeża Leniwki wielkie drzewa wszelakiego rodzaju, płonicami związane, moszcząc rzekę swoją wielką, ruchomą podłogą. Polskie flisy przywiozły je tutaj ze wszystkich okolic niezmiernego Powiśla: Dunajcem z tatrzańskiej pustyni, Sanem z wyżyn karpaccyckich, Bugiem z podolskiej równiny, Narwią z borów podlaskich. Leżały tu śniaty dębów, twarde jak żelazo, z niepołomskiej wylamane puszczy, gibkie płazy tatrzańskie smereka, trawy buków i jodeł z Łysogór, strzały niedościgłej wyżyny modrzewia z Białowieży, maszty sosny olbrzymiej z tucholskiego boru, wieloletnie cisy, jawory i jesiony oliwskie.

Wszystkie spłynęły do stóp Jana z Kolna, by miał z czego wielki swój korab wyciosać.

Z tej to nieprzebranej obfitości przedniego budulca wybrał, wysuszył podpalaniem, obrócił toporem przy pomocy majstrów w swoim rzemiośle - naprzód stępę dębową, bal olbrzymi, kloc celny, który miał leżeć w spodzie galeony. Na przedzie pień ów dębowy ku górze się zginał, a przemyślnymi wręby i wieńcowaniem niezłomnym spajał się z przednią sztabą, na moc w stępę wprawioną. Górny kraniec tej szyi łabędziej, sztaby przedniej, był podstawą rufy okrętu. Do drugiego końca stępy przytwierdzona została na głucho, podobnie jak przednia, potężna sztaba zadnia. Na niej rudło zawieszono być miało.

Gdy po tygodniach roboty sztaba przednia i zadnia windami podniesione zostały i ze stępą na głucho spojone, zabrano się do wręgów. Jan z Kolna wyszukał wśród orylickich pomostów krzywulce dębowe o kształcie- zgiętego kolana, pnie z korzeniem lub z gałęzią wypukłą, dwukonarza potężne, w łuk wyrosłe pod kątem ro2wartym. Ociosawszy jednako czterysta jednostek wręgowych, wprawiał je po drugiej w boki stępy na wzór żeber człowieczych.

Wypełniwszy do końca tę trudną robotę - czyli wramię - która półrocze okrągłe zajęła, budownicy okrętu nasadzili na górne czopy wręgów mocne bale dębowe, iż żebra jakoby kleszczami ściśnięte zostały.

Tak szkielet „Łabędzia” wyrastał.

Na belki, w których czopy wręgów siedziały, włożono bale poprzeczne górnego pokładu. Drugi pokład, poniższy, przypadł w połowie wysokości drzew wręgowych, w miejscu najdalejszego ich wygięcia. Wówczas sformowany już statek podparto z obu boków mocnymi sztucami w liczbie dwustu, iżby cała budowa w robocie nie drgnęła. Dębowy ów kościec „Łabędzia” poczęto obijać na zewnątrz i wewnątrz sosnowymi deskami, fugując je i zbijając najściślej na sposób portugalskich karawel, iż kant heblowanej tarcicy z kantem tego się spajał. Szczeliny i szpary dychtowano starannie od zewnątrz i wewnątrz, zapychając pakułą konopną a z wierzchu zalewając do znaku łojem, smołą i piachem.

Gdy kadłub po roku roboty mógłby był już stanąć na wodzie, wygotowano mu rudło okute, które na haków dziesiątku zawieszono być miało. Na sztabę przednią nasadzono głowę i dziób łabędzia, ozdobę i nazwę galeony. Wyrobiono stolarską robotą lukę, wieko do luki i schody prowadzące do wnętrza okrętu. Wprawiono pompy z rynnami, z rurami do wyrzucania wody z głębi na zewnątrz. Wykończono kapitańską komorę, czyli kehite, o czterech oknach i drzwiach dobrze zamczystych.

Kowale wykuwali cztery kotwie z potężnymi łańcuchy. Na dno okrętu wprowadzono balast w kłodach z kamieni i piachu. Wówczas wreszcie miały być spuszczone w swe otwory i oprawione w stępę trzy maszty z jednolitych odziemków modrzewia, szlichtowane, polerowane i farbowane starannie. Na każdym z odziemków masztowych zawisły po dwa marsy żeglarskie, czyli gniazda bocianie. Zaczęto upinać na rejach sieci lin putkami ujętych i szeroki taciak żaglowy gotować.

Właśnie wtedy, gdy wszystko już prawie było przygotowane do spuszczenia okrętu na saniach w toń rzeki, aby tam już na wodzie ładować na pokład działa, broń, amunicję, a do wnętrza żywność, odzież, zapasy, opał, światło - wreszcie ludzką załogę, służbę do broni, żagłów, steru, kotwic, paczyn i kuchni, kapitan wyczerpał zawartość swego trzosa. Miał przeznaczonych na budowę „Łabędzia” osiem z górą tysięcy florenów. Przyszła chwila, iż nie znalazł w kalecie jednego grosza, jednego szeląga, jednego denara.

Dopóki swym majstrom, budownikom wielkiej galeony oraz łodzi pomocniczej, ośmiowiosłowej fragady, i jeszcze jednego małego bata o dwu wiosłach - dopóki cieślom, tokarzowi, stolarzom, traczom, kowalom, mosiężnikowi, szklarzowi i żagielmistrzowi płacił grubym gotowym pieniądzem, szczerze sypał tryngieldy, dawał strawne, na piwo świętojańskie, do szaleńca w czasie pijatyki, wszystko szło jako tako z pracującym narodem. Lecz gdy zabrakło pieniędzy, prysło wszystko. Nikt nie chciał pożyczyć jednego talara. Robociądze i rzemieślnicy zatrudnieni przy statku i chłopci przygodni, tagielnicy, porwali się na nogi jak sparzeni ukropem. Rozumieli tylko swój zysk i zarobek. Patrzyli mu w oczy i na ręce, kiedy wypłaci należność. Dopytywali się, kiedy podwyższy. Jeżeli zalegał w wypłacie, burzyli się, a gdy nie mógł podwyższyć, wściekali się i grozili jako wyzyskiwaczowi ich pracy i rabusiowi cielesnej krwawicy. Handlarze dębiny domagali się zysków jako od człowieka, który wielkie skarby zamyśla osiągnąć z tej swojej łabędziej chimery. Wytwórcy narzędzi, właściciele materiałów nachodzili go, wymagając uiszczenia należności albo zaliczek na nowe obstalunki i nieskończone potrzeby. A kiedy się wszyscy spostrzegli, że już pustka w kalecie, czyniono mu na ucho propozycje sprzedaży „Łabędzia”.

Na statek handlowy, na rybacki, przewozowy, nadbrzeżny, portowy, wreszcie - piracki. Patrzano nań spode łba, czy się sam na kapra morskiego nie gotuje cichaczem. Ale patent króla polskiego, którym w oczy migotał znieścaka, urywał podszepty.

Drwiono zeń za plecyma. Pokazywano go palcami, gdy się w rynki i ulice zaplatał, gdy się o bankierskie stoliki bezskutecznie obijał. Nikt go nie rozumiał na świecie.

Nikt nie wiedział w tej stronie, czemu się rwie i po co, jak bachmat spętany, na tej wydeptanej dziedzinie. Nikt nie mógł zrozumieć, czemu ze znanej wszystkim gęstej ziemi, z izb dobrze ogrzanych rwie się, żeby uciekać w dzikie wody Północy. Nie ciągnął go tam handel, interes, zysk pewny, nagroda. Gdy złoto swe rozsypał, wyrzucił ze sakwy, wszyscy ludzie rozsądni stanęli przeciw niemu jak wrogowie. Chodził teraz pośrodku ludzkiego pogłowia jak tygrys. Krążył, rzucał się, szalał jak opętany od diabła, przeciwko któremu z dawna spisek nie pisany istnieje ludzi zdrowych i trzeźwych, tuziemnych, osiadłych, świadomych, ostrożnych, przezornych, biegłych w rzeczy. Zmowa istniejąca wśród ludzi, nie podszeptana w tym czasie, lecz istniejąca od wieków, była tak jednomyślna, tak powszechna, tak ciągła, jak gdyby ją jedna jakaś wytworzyła istota - jeden agent przemyślny, przebiegły, przezorny podpowiedział tysiącom. Zmowa była powszechna przeciwko wszystkiemu, co nie jest otrzymane w dziedzictwie, wyłudzone niewidzialnym fałszerstwem, wyświdrowane podstępem, uźebrałe pokorą, wysiedziane na progu czekaniem. Zmowa była przeciwko nowości, wstręt był do wyrwania z nieistnienia, do działania i tworzenia z niczego. Jan z Kolna był sam jeden.

Wokół były rzeczy martwe lub wrogie.

Jedynym żywiołem, który się doń pogarnął, byli łotrzykowie z wybrzeża, z wszystkich zatok pomorskich. Wałęsali się wokół statku rozbójnicy po odsiedzeniu więzienia, ukrywający się w norach przedmieść, zalegający szynkownie portowe - byli podkomendni zbójów morskich, wygnani na ląd przez hersztów wskutek łotrów nadto rozpasanych, tajnych buntów i zdrady - piraci bez statku na swą własną rękę albo kapry żyjące sposobem kooperatywy w łajdactwie.

Stawały przed oczyma kapitana nygusy, których żadna choroba zagryźć nie zdołała w rozwiązłym «ich życiu, których wiatr morski się nie imał, a mróz nie mógł wytepić, robactwo zżreć, a ludzie osiadli swymi przemyślnymi torturami w sądach i gnojeniem po kaźniach wygubić nie potrafili na suszy.

Ci to właśnie wpraszali się na załogę „Łabędzia”. Ofiarowali do usług swe szpony, wysłużone i doświadczone sztylety, ramiona niedźwiedzi, kły dzików, siłę tura, swój przemyślny rozum wilczy i lisie natchnienie.

Jan z Kolna przebierał wśród tej zgrai jakoby w sakwie gadów. Tych godził do służby, a tamtych wypędzał. A z tymi, których wybrał i najmował jako przyszłą galeony załogę, miał się oto sam jeden puścić w morza niewidziane i wysiadać na lądach jeszcze nikomu nie znanych. Cóż z nim uczynią na morzu, co uczynią na lądzie?

Mierzył ich oczyma i zdobywał panowanie nad nimi. Patrzył w oczy każdemu z osobna, usiłując samym sobą zgruntować przepaść zbrodni nie znanych, nie widzianych, w tajemnicę zapadłych - rzucał się w przepadlisko grzechu każdej z tych dusz odtrąconych, aby gruntu sumienia stopami dosięgnąć. Byli dlań tajemnicą podobną do tajemnicy tego świata, który się na południu Grenlandii, za burzliwym oceanem ukrywał.

Łotrzykowie nie żądali od kapitana zapłaty doraźnej, nie targowali się o strawne, nie przymawiali o napiwek. Liczyli na podział zdobyczy tam, na miejscu. Wiedzieli, że kaleta kapitana

jest pusta do znaku. Woleli ten stan rzeczy niż porządną zapłatę na dniówkę. Oglądali galeonę okiem znawców i mistrzów na morzu. Porozumiewali się między sobą rzutem oka, mruknięciem, westchnieniem i uśmiechem, jakby piekła uchylił. Jan z Kolna zbierał uśmiechy, pomruki. Rozumiał się na półszepcach tej zgrai. Cóż miał czynić? Zaprzestać budowy? Sprzedać swą galeonę kupcowi? Zostawić nie dokończoną na brzegu? Zaniechać? Wrócić do domu pod Toruniem? Wyjąć z duszy marzenie? Zapomnieć o podróży na północ?

Najmował do służby hałastrę. Spisywał imiona jej morskie:

Niemir, Krzywian, Sulica, Radosz, Fok, Pała...

To obcowanie z wyrzutkami nie zostało w tajemnicy przed władzą portową i ludźmi urzędów, przed światem pieniędzy i tłustych wielmożów. Ci, komu należy, wskazali, by mieć na oku fantastę. Śledzono jego kroki.

Zaciskała się coraz bardziej drożyna Jana z Kolna. Jedno zostawało: uciekać! Wyrzucić na maszt średni pawilon! Wychynąć z Leniwki! Niech wiatr wydmie fok przedni, niech napęlni pośredni i zadni! Wiatr poczuć na skroni! Dech w piersiach! I w drogę!

Dopóki galeona stała jeszcze na piasku wybrzeża, Jan z Kolna raz wraz chodził ponad fale wiślane, by szukać w samotności sposobów ratunku swej sprawy. Tam tej sile jedynej, matce Wiśle, pojmującej jego siłę wewnętrzną, wypowiadał swój wielki trud przewyciężeń.

Z twarzą w dłoniach ukrytą, z głową na pierś spuszczoną w głuchą rozpacz popadł. Huczały mu nad czołem czarne skrzydła zmywy, w ludzkim gminie przez diabła podszczonej przeciw jego niezłomnemu marzeniu. Waliły się na barki piętra przeszkód i zalegały przed stopą niezdobyte przepaście. Zawściągała się szczelniej, potężniej wieczna mroku zasłona, kryjąca świat nowy. Szatan bronił swego księstwa ciemności.

Jedna tylko jedyna ruda Wisła niezmiennie szumiała:

- Wstawaj z ziemi! Do dzieła! Na nowo do dzieła! Idź dalej!

KOPERNIK

Jesień obdzierała już z liści drzewa w lasach nadbrzeżnych. Wiatr zachodnio-północny dął za dnia w Słone i w Przańse Morze, przewiewał wzdłuż i wszerz torfowe doliny i wymiatał morskie fale ze strądów. Pod wieczór małe morze Świętego Zalewu stawało się ze swej barwy podobne do otaczającej je, rudej ziemi. W oczach przygasła zieleń letnia i tylko już tam i sam dawała znać o sobie. Czasem jeszcze, wyraźniej niż kiedykolwiek, wychylał się z topieliska szlak wygiętej mierzei, przecinający morski widnokrąg - fałda płaszczyzn i wydmuchów, zmarszczka suszy, wymieciona z odmętów morza czystego a ukształtowana przez jego srogie wichury.

Wróble jak spadające liście raz wraz wśród zacieklego ćwierkania sypały się z pochyłych raz na zawsze czubów wierzby nadwodnej w bruzdy ściernisk, już podorywką przerzniętych, i w koleiny dróg piaszczystych, którymi ciągnęły niedawno wozy ładowne ze zbożem. Stada szpaków przerzucały się ze świergotem z jarzębin na jarzębiny.

Podkasane kulingi stadkiem wesołym unosiły się nad gładką piasecznicą wybrzeża albo szybko biegły swymi bosymi nóżkami w płytkich fali wybiegach, cości z niej długimi dziobami wyławiając zawzięcie.

Obłoki ciemnogrnatowe w oddali, a bure w pobliżu zwisały nad zalewem. Wiatr ku zmierzchowi nacichał - ustawał - wreszcie zgasł w lasach. Spokojne, ostre zimno przesycało ogrom powietrza.

Przańse Morze grało cichymi falami. Senne ziemi zarysy, osaczające ze wszech stron twarzym i grubym obramieniem wody srebrzyste, zwolna wsiąkały w mrok grubym. Para oddechu wymykać się z ust zaczęła. Jesień cicha, jesień Północy zstępowała na ziemię.

Wnet wszystko w niej zamarło, skurczyło się, przygasło.

Noc szła. Bezksiężycowa, gwiazdzista noc nad ziemią i morzem. Niepostrzeżony przymrozek lekki tuman podźwignął z zalewu. Ani jeden obłok nie zaćmiewał rozpostarcia i przepychu gwiazd, które wynikały w szafirach wysokiego sklepienia.

Ze swego asylum z kurii od dawien dawna zasiedziałej, gdzie miał izbę na piętrze do badań osobną, astronom wyszedł ciemnymi schodami kościoła na wieżę. Tam miał swą dostrzegalnię, niedostępną dla ludzi. We trzy strony świata roztaczał się widok z tej wieży na Fryską Zatokę. Z czwartej strony świata słała się równina daleka, którą przerzynała rzeka Bauda, tworząca małą przystań, dwiema tamami zabezpieczoną od zalewu. Miedziany dach katedry, nowo pokrytej po złupieniu przez Skalsky'ego, lśnił słabo w świetle gwiazd wyiskrzonych. Cztery wieże stojące w narożnikach kościoła-fortecy rzucały długie cienie na ziemię od półblasku zbiegając. Brzeg urwisty, na sześćdziesiąt łokci ponad wody zatoki wzniesiony, nachylał się ku fala ruchomej, zmywającej leniwie stopy osypiska. Potężne mury i głębokie zzieleniałe fosy, broniące fromberskiej fortecy od strony nadmorskiego kraju, czyniły z małego

miasteczka i z wyniosłego w nim cypla katedry jakoby wyspę samotną, odtraconą od lądu i morza, od świata całego.

Oczy astronoma spoczęły w przelocie na tym dawnym widoku, tak mu znanym i bliskim od lat z górą trzydziestu. Znał tutaj każdy kamień, każde źdźbło kostrzewy nadwodnej i morskiego charszczu, każdą ziemi grudę, każdy kwiat wiosenny i barwę jesieni, każde zachylenie rzeczulki i poszept wód morza. Znał każdego człowieka, każde dziecko miał w oczach. Na pamięć mógł wyłuszczyć choroby cielesne każdego z prostaków zarzucających się w morzu i z pamięci mógł nazwać grzechy ich, zbrodnie, podstępny i kłamstwa, rokrocznie mu do ucha na spowiedzi zwierżane. Tam im oto z rzeczulki Baudy machinami pchnął wodę na górę do mieszkań. Tu ich wszystkich przed napaścią krzyżacką zasłaniał, jako wojenny komendant kierujący obroną Olsztyna. Tu w zaciszu swej izby sporządzał mapy geograficzne Warmii, Prus, Polski całej. Tu swe ulubione książki zgromadził, obcując w ciągu lat z Owidiuszem, Wergilim, Horacym, Sofoklesem, Platonem, studiując Arystotelesa, Diodora, Euklidesa, Plutarcha, Witruwiusza, Pliniusza. Młodocianymi oczyma patrzył na tę dziedzinę, stąd się jako chyży orzeł w słoneczne obszary Italii wyrывał. A oto ona w oczy starca tym samym się rzuca obliczem...

Astronom zawinął się mocno w wielkie futro niedźwiedzie, nogi wsunął w sandały z wilczury. Odwrócił się od widoku tej ziemi. Uciekł oczyma w wiekuiącą swą młodość, w niebiosa. Bezmiary gwiazd na jego wzrok czekały. Zatonął oczyma w jasnej, delikatnej, połyskliwej smudze - w mlecznej drodze - w wiekuiстым obłoku, w tuwalni najświętszej, przepasującej wszechniebiosa, za którą w nieskończonych przestworach szeregi gwiazdozbiorów się kryją. Pozdrowił zamglonymi oczyma i cichym warg poszeptem białą gwiazdę biegunową, stojącą wiekuiście pośrodku między zenitem i poziomą północną dzielnicą, ponad ciemnymi strasznych wód borealnych bezmiarami, ponad ciężkim czarnych nocy pustkowiec - światło żeglarczy w burzach i wichrach zbłąkanych - opiekunkę samotnego rybaka, który się na śmierć w walce ze wszechmocnym żywiołem spracował - łaskę stojącą nad głuchą i niemą przemocą - nadzieję. Pozdrowił ją, przodownicę świętą w drogach morskich ludzi północnego świata, nie znaną greckim i fenickim po morzu tułaczom, gdyż ich biegun północny leżał między gwiazdą biegunową a gwiazdozbiorem Wielkiej Niedźwiedzicy, według której ogona - zowiąc go Cynozurą - w morzach sterowali.

Odnalazł na zewnątrz drogi mlecznej inną przodownicę, uwodzicielkę wszechświatów po nieskończonych ich drogach, tajną a straszliwą Wegę w gwiazdozbiornie Lutni. Odnalazł najczęstszy cel przezierników swego paralaktycznego narzędzia, Biały Kłos, czyli Spica, w gwiazdozbiornie Panny, z którym w ciągu lat zrosły się obliczenia długości roku gwiazdowego i wykrycie zasady, iż nie rok zwrotnikowy, lecz gwiazdowy jest ilością wiekuiście niezmienną. Wśród setek milionów światów płonących biegła owa linia, wypatrzona przez stęsknione i pękające w męczarniach tajemnicy oczy ludzkie, wzdłuż której słońce krążyć miało ustawicznie - ekliptyka niebios.

Po obudwu stronach ekliptyki zalegał pas nawy niebieskiej, w którego wybrzeżach miał się dokonywać bieg całkowity gwiazd błędnych, księżycy i słońca, Zodiak odwieczny, we dwaście podzielony znaków, które od równonocy wiosennej z zachodu na wschód postępują: Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Niedźwiadek, Strzelec, Koziorożec, Wodnik i Ryby. Krążyła tam nieznużenie według praw swoich, odkrywając lub zasłaniając oblicze, Cynthia Artemis, córka Zeusa i Latony, siostra słonecznego Apollina - biegał czterokroć szyb-

ki Merkury, tajemniczy w swych drogach, niewidzialny wśród mgieł tego kraju, nie do wytropienia w blasku słonecznych promieni, sam o świetle migotliwym i drżącym - odmieniała się świetna Hesperos, wieczorna żarnica, albo jasnopromienna jutrzyca, matka miłości, Venus czarująca - ukazywał się nieodgadniony Mars o barwie ognistej, przez Platona Pyroisem zwany - Jowisz o świetnym blasku, Faeton, według nazw *Timaios* - i Saturn, czyli Fajnon, błyszczący a łudzący, gdyż krócej od innych kryje się, a przysłonięty promieniami słońca wcześniej je opuszcza.

Tam była ojczyzna ducha nie podlegającego starości, bez początku i końca, którego potęgą, czyli funkcją, jest ruch radośnie młody a nigdy nie wstrzymany.

Zuchwała myśl człowiecza, bardziej zuchwała od wzroku, który część rojowiska wszechświata postrzegał, chciała zagarnąć pszczoły niezliczone, pracujące od wieków w niebiesiach, marzyła o zamknięciu ich w ulu sklepionym.

Arystoteles, zamykający wszechświat jakoby w kuli kryształowej, do której powierzchni przytwierdzone są gwiazdy skazane, na ruch dookoła ziemi. Pytagoras, wyznaczający słońcu odległość od ziemi tylko trzy razy większą niż odległość księżyca.

Platon, utrzymujący, iż odległości ciał niebieskich między sobą i ziemią są muzycznymi tonami. Hipparch z Bitynii a za nim Klaudiusz Ptolomeusz, utrzymujący, iż ziemia jest nieruchomą jako środek świata całego, dokoła której biegną wszystkie ciała niebieskie w porządku swych od niej odległości:

Księżyc, Merkury, Venus, Słońce, Mars, Jowisz, Saturn.

Eudoksos z Knidos i Kallippos, uczeń Polemarcha, idący śladem Egipcjan w oparciu mechanizmu świata na systemacie kręgów współśrodkowych, nie mogący jednak zdać sprawy ze wszystkich zjawisk ruchu planet.

Inni, objaśniający te same zjawiska za pomocą kół mimo-środkowych i epicyklów - kół fikcyjnych, otaczających nieruchomą ziemię, gdzie epicykl jest kołem mniejszym, którego środek porusza się ruchem jednostajnym po obwodzie koła unoszącego, czyli deferensa, a zespół tego dwoistego ruchu odpowiada w przybliżeniu ruchowi planety po jej rzeczywistej drodze w przestrzeniach.

Ptolomeusz, wprowadzający do tego systematu nowe koła fikcyjne - ekwanty - dla wyrównania niezgodności rachunku za pomocą deferensów i epicyklów z rzeczywistymi zjawiskami na niebie.

Ibn-Roszd z Kordowy, Averroesem zwany, według którego niebo jest istotą żyjącą, złożoną z wielu ciał, przedstawiających członki niezbędne do życia, gdzie pierwszy motor przedstawia serce, życiem ku innym członkom promieniejące, a każde z ciał posiada swą inteligencję, a te znów inteligencje, hierarchicznie między sobą podporządkowane, stanowią łańcuch motorów, które wywołują ruch od pierwszej sfery aż do nas.

Alfons X, król kastylski, astronom i wydawca księgi ułożonej przez astronomów pod tytułem *Tabulae astronomicae Divi Alfonsi, Romanorum et Castellae regis*, oświadczający, że gdyby przed stworzeniem świata o radę był pytany, umiałby go prościej urządzić.

Mikołaj Kopernik z oczyma skierowanymi ku niebu przykładał swoje proste urządzenie wszechświata do dziejów złudzeń genialnych, do pomysłów wysokich a zawyłych tylu mędrców przeszłości i wśród cichej rozkoszy przyznawał, iż w zgodzie z jego myślą jest niebo.

- Nie istnieje - powtarzał - wspólny środek dla kręgów, czyli sfer niebieskich. Środek ziemi nie jest środkiem świata, lecz jedynie środkiem ciężkości oraz środkiem księżycowej drogi.

Wszystkie drogi gwiazd błędnych otaczają słońce dookoła. Stosunek odległości słońca od ziemi do odległości firmamentu jest mniejszy aniżeli promienia ziemi do odległości słońca, a więc stosunek ten w otchłaniach firmamentu znikomym się staje. Cokolwiek ruchomego dostrzegamy na całym firmamencie, nie pochodzi z jego własnego niby-ruchu, lecz ruchem samej ziemi wywołane zostało, ona to więc odbywa w ciągu doby ruch obrotowy dookoła swoich niezmiennych biegunów a wobec trwale nieruchomego nieba. Jakikolwiek ruch wydawałoby się mieć słońce, zjawisko takie nie pochodzi z własnego jego ruchu, lecz jest złudzeniem powstałym wskutek ruchu ziemi oraz jej kręgu, po którym toczymy się dookoła słońca albo też dookoła innej jeszcze gwiazdy, co znaczy, że ziemia równocześnie kilka ruchów odbywa. Dostrzegane u gwiazd błędnych cofanie się wstecz i posuwanie naprzód nie jest własnym ich ruchem, lecz jest także złudzeniem z ruchomości ziemi pochodzącym.

Wspomniał sobie w tej chwili pierwsze swoje olśnienie, w Krakowie, gdy jako dwudziestotrzyletni młodzieniec spostrzegł pomyłkę Ptolomeuszowego rachunku co do odległości księżycy od ziemi, co do ruchu w przestrzeni planet Venus i Merkury. Gdy bowiem Ptolomeusz za naczelną zasadę ruchów ciał niebieskich przyjął był jednostajność, a wśród szczegółowych wywodów od tej zasady odstąpił i nowe wprowadził ekwanty, potrzebne mu dla pogodzenia rachunku z obserwacjami istotnego zjawiska - pokorne i nieśmiało zrodziło się zwątpienie. Skoro tak źle się astronomom powodzi, kiedy utrzymują, iż ziemia jest świata ośrodkiem, czy nie lepiej wypadłyby ich zawikłane rachunki, gdyby - jak pitagorejczycy: Hiketas z Syrakuzy, Filolaos z Krotony, Ekfantos i Herakleides z Pontu - przypuścili, iż ziemia w ciągu doby obraca się dookoła swej osi.

Wtedy to w myślach swoich tajemnych postawił ziemię jako jedne z planet słonecznego układu, podlegającą na równi z innymi ogólnym tego układu zasadom. Krąg gwiazd stałych uznał za najodleglejszy, nieruchomy, wszystko obejmujący i mieszczący w sobie. Poniżej wyznaczył miejsce planecie Saturn, dalej Jowiszowi, dalej Marsowi, jeszcze niżej umieścił okrąg, na którym my się poruszamy wraz z Ziemią, następnie okrąg Venus, a wreszcie Merkurego. Wspomniał sobie w tej chwili drugie swoje olśnienie, wtargnięcie w środek wątpliwości, włamanie we drzwi błędu - w Bolonii - podczas obserwacji wspólnie z Dominikiem Marią Novara dokonanej, gdy nastąpiło zakrycie czerwonego Aldebarana z grupy Hiadów przez Księżyc bytujący w pierwszej kwadrze.

Odtąd z najgłębszym i skupionym baczeniem, z najsurowszą i najskrzętniejszą ścisłością począł swe myśli równać i przymierzać do nowych założeń oraz wiązać dla nich i ustawiać szeregi dowodów.

Przyjąwszy dla Ziemi ruchy innym planetom właściwe, po szeregu niezliczonych i długich dochodzeń, znalazł wreszcie, że jeżeli ruchy pozostałych gwiazd błędnych zostaną na obieg Ziemi przeniesione i dla obiegu każdej z nich obliczone, wówczas nie tylko że zjawisko, jakie przedstawiają, okaże się prostym następstwem tego przypuszczenia, ale że zarówno kolejność wszystkich tych gwiazd i sfer oraz ich wielkość i same niebiosa w taki związek ujęte zostaną, iż w żadnym ich miejscu nie daje się nic przestawić bez wywołania zamieszania w innych miejscach, jako też w całości wszechświata.

Wyszedłszy z założenia, iż każda dostrzeżona zmiana w położeniu ciała jest następstwem albo ruchu ciała podlegającego badaniu, albo ruchu samego postrzegania, albo skutkiem nierównej zmiany obudwu położen, po długich dniach rozważań i nocach obserwacji stwierdził, że zatrzymanie się gwiazd błędnych, jako też ich ruchy czy to wprost, czy wsteczne - nie od

nich w istocie pochodzą, lecz są naszym złudzeniem, powstałym wskutek samej Ziemi poruszeń. Złudzenie to uważał za takie samo jak owo, o jakim wspomina Eneasz Wergilego, mówiąc:

Odbijamy od portu, a lądy i miasta wstecz pomykają.

Nie przeszkodziło mu to wcale, że co starożytni przez nieruchomość Ziemi a obrót nieba tłumaczyli, osiągnął przyjmując sprawę odwrotną, czyli doroczny ruch Ziemi, której środek opisuje ekliptykę dookoła Słońca, z zachodu na wschód postępując według znaków niebieskiego Zodiaku, a krążąc między Wenerą i Marsem wraz z tym wszystkim, co do Ziemi należy. Jakaż rozkosz na Ziemi mogła się być porównać z tą niebiańską zaiste rozkoszą, gdy olbrzymie ciała wszechświata szły posłusznie wzdłuż linii i szlaków, zajmowały stanowiska i znikały według wskazań, które im w swym rachunku wyznaczył?

Jakaż rozkosz na Ziemi mogła się porównać z tą niebiańską rozkoszą, gdy pokorne twierdzenie, na marginesie cudzych mniemań lub zuchelku papieru spisane, znajdowało swe nieomyślne przytaknięcie w biegach gwiazdozbiorów niezmiernych, obserwowanych na sklepieniu niebieskim w okresach czasu wyliczonych uprzednio, wśród zaćmień nieomyślnie przewidzianych? Jakaż rozkosz na Ziemi mogła się porównać z tą niebiańską rozkoszą, gdy wyjaśnił prawo biegu rocznego tej Ziemi, aż do jasnowidzenia rachunkiem stwierdzając położenie wciąż równoległe osi ziemskiej - gdy wywiódł przyczyny odmiany pór roku z równą dokładnością, jasnością i niezrównaną prostotą, jak skutki wykonywuje sama czynna i tworząca natura na wiosnę i w lecie, pod jesień i w zimie?

Rozmawiały z nim samym jednym niebiosą. Stały otworem przed jego oczyma otchłanie. Tej nocy zamykał na klamry swe myśli. Postanowił nadać myślom swym znamię czynu, rzucić je ze swej wieży między ludzi, zaopatrując je w wielkość ukrytą, w głęboką rozległość i nieskończoną użyteczność.

Postanowił wydobyć mechanizm budowy wszechświata z pomroki niezliczonych wieków, stopy obserwacji dawnych, nowszych i własnych, czyli pracę umysłu wszystkich ludzkich pokoleń na wyjaśnienie i stwierdzenie prawdy powołując.

Stał się sam przez się w chwili owej prorokiem. Oddzielał światło prawdy od mroku złudzenia, jawną mądrość od chytrze przystrojonych omamień.

Przeniósł się mocą swego ducha własnego w daleki bezmiar rzeczy utworzonych, we wszechświat nie dosięgły dla nikogo z żyjących.

Postawił siebie, rozum rodu ludzkiego, wśród wirowiska rozlicznych sił i władz działających wzajem na siebie z potęgą, której żadne nie wypowie słowo.

Badał w spokoju prawa rządzące tymi potęgami bez miary. Wydźwignął się duchem swym i stanął sam przy pomocy swojej jako świadek stworzenia, jako współuczestnik rozkazów, według których odbywa się podróż wiekiście słońce, światów, brył i promieni - tam - w niebie.

Lecz w chwili tej - o boleści! - dosięgnął go z niskiej ziemi dreszcz wewnętrzny, Smętek sekretny, cmentarna, cuchnąca zgryzota.

Zdało mu się, iż razem z nim, rozumem rodu ludzkiego, wyniosła się tam, w niebo, żmija długa, która się u serca głośnie bijącego uczepliła i zatapia w nie zęby, jad wyciskając zabójczy.

Zgryzota cmentarna, żmija długa, opłotła skrętami jasną wolę. Smętek sekretny poszepnął: „Żyły twe zsuchają się - wielki doktorze! - Serce twe zanadto pośpiesznie uderza. Nerki twe zły mocz wydzielają. Krew twa zanadto potężnie pulsuje w mózgu, który jest rozumu rodu ludzkiego siedliskiem.

Z dnia na dzień, z godziny na godzinę, z minuty na minutę umierasz, o świadku stworzenia. To wymierz, geometro ziemi i budowniku maszyny wszechświata. To wypatrz przez przezierniki swego drewna. To zanotuj w swych pismach.

Lada dzień, lada godzina, lada moment pęknie w tym mózgu żyłka drobna, kruche naczynko, tak niemal maleńkie jak blasku niteczka świecąca w twojej źrenicy, gdy patrzysz na jedno z sześciu gwiazdek w Plejadach.

Mózg twój stanie się zgniłą masą, pełną cuchnącego jadu. Jasna myśl w ciemność wiekiustą zapadnie.

Wyjęte zostaną z twego mózgu niebios.

Wszechświat skona i z tobą po społu rzucony zostanie w jamę grobu, gdzie go żmije pożerać rozpoczną”.

Otrząsnął się myśliciel, jakby węża od swego serca odrywał. Zadławił w sobie wewnętrznego dajmoniona. Oświadczył mu, iż sprawa rachunków niezrozumiała jest, zanadto zawiła, niedostępna dla Smętka nurtującego zgnilizny i przenikającego zgryzoty, które do wrót cementarza prowadzą. Śmierć nie może osiągnąć oka widza, który się umieścił w środku gwiazdy dalekiej i bada promień kuli ziemskiej dla określenia dwugłądu, zmiennego kąta, czyli paralaksy niebieskiego ciała. Rachunek tego widza wieczności się równa i nie podlega zniszczeniu, gdyby nawet wszechświat skonał.

Człowiek samotny na wieży fromberskiego kościoła spojrzął z miłością na swe ubogie narzędzie z jodłowego drzewa - triquetrum Klaudiusza Ptolomeusza - z trzech łąt złożone, z których jedna była zupełnie nieruchoma a dwie inne na zawiasach poruszalne - na suwak ruchomy, który można było śrubą przykręcać, ażeby umocować dwa przeziorniki dla chwywania źrenicą promieni światła idącego od gwiazdy badanej - na podziałkę skali własnoręcznie atramentem znaczoną. Te dwa w drewnie otwory były jedynymi szczelinami do zajrzenia we wszechświat. Ta podziałka na drewnie jodłowym była źródłem wywodów, które obaliły teorię ruchów księżyca, i z miejsca poruszyła bryłę ziemi.

Pogładził łaskawą pieśczołą wyslizgane drewnienka. Otulił zestarzałe ciało w kiereję futrzaną. Przesunął spracowaną dłońią suwak i skierował źrenice w otwory. Lecz łza starości raz wraz zalewała przekrwioną źrenicę. Blask gwiazdy uciekał od oka. Zimno kośćmi wstrząsnęło. Drżące dłonie opadły. Złorzeczenie przeciw śmierci, napastnicy i burzycielce pracy ducha, jak plwocina z warg zleciało.

Śmiech Smętka wewnętrznego znowu w głębi ducha zahuczał:

„W proch się rozsypuj!

Zapadaj w głąb grobu!

Nie dowiesz się istoty wydarzeń na niebie!

Umieraj wśród złudzeń!”

Szamocząc się w wiązaniu śmiertelnych kości, mięśni, żył, nerwów, myśl porwała się znowu. Domysł nie otamowany rachunkiem, zakazany samemu sobie bez zamknięcia go w ściśle koło dowodów, leciał na skrzydłach rozpacz. Mierząc swój lot straszliwy prędkością uderzeń serca wzburzonego nad miarę, szybował wraz z wszechświatem, ze wszystkimi pokoleniami ludzkimi, od najbardziej zamierzchłych rozświtów i zmierzchów aż po byt wieczny czy zdruzgotanie wszystkiego w nieskończonej przyszłości.

Domysł nie otamowany rachunkiem zdążył po społu z wszechświatem do miejsca pobytu Wegi, ścigał ją, uciekającą w ciągu lat milionów, ażeby się przekonać, że nigdy się do niej nie zbliży, gdyż ona z tą samą szybkością co pościg w nieskończoność ucieka.

Domysł nie opanowany rachunkiem zadawał gwiazdom ósmej sfery pytanie, czy one również zakreślają niepomierne koła wokół jakowegoś ciała głównego na podobieństwo gwiazd błędnych, krążących pod Słońcem?

Któż miał z samotnikiem jego troski podzielić? Kto go miał w mocowaniu się ze Smętkiem wewnętrznym podeprzeć?

Kto miał mu podać rękę, pomoc i radę?

Kto drugi miał oko przystawić do otworów *triquetrum*, gdy jego źrenica łzą zaszła, gdy serce uderzało zbyt mocno, gdy krew zwoje mózgu zalewała?

Nie było nikogo.

Wyniósł się oto nad niebiosa.

Sam się o wszystko zatroskał.

Sam był nad utwierdzeniem.

Słała się wokoło jedyna towarzyszką żywota: niezmienna i wierna - samotność.

FRYDERYK II NA POMORZU

Pomimo iż król Fryderyk Drugi przekroczył już siedemdziesiąty rok swego życia, nie przestawał odbywać wędrówek po nowonabytych swego państwa obszarach: nadnoteckim obwodzie i Prusach Królewskich. Raz wraz wyprawiał się do Kwidzyna lub Grudziądza i przebywał obszary gdańskiego Pomorza. Rewidował kolonie niemieckie na dawnych błotach Notecki powstające, które po obwałowaniu tej rzeki na osuszanych terenach jako kraj niemiecki zajaśniały. Wizytował te nowe placówki, niczym bastion teutoński wmurowanie w stare ziemie słowiańskie. Cieszył się, skoro we wsi spotkanej w przejeździe znalazł choć dwu, choć trzech Niemców ze Szwabii, Meklemburgii, Turynгии, nie dlatego, żeby język niemiecki uwielbiał, gdyż w gruncie nie znosił go pogardliwie - lecz z innej przyczyny. Pewien był, że wieś taka lepiej swe gospodarstwo poprowadzi, lepiej rolę uprawi i obsieje, przypatrując się robocie niemieckiej jako żywemu wzorowi. Lustrował osobiście skutki zniesienia poddaństwa chłopskiego w majątkach Polaków. Zalecał swym urzędnikom na miejscu, ażeby wyprowadzali lud prosty z niewoli pańszczyźnianej u Polaków i przyzwyczajali go do modły, jaka w kraju pruskim panuje.

Stara jego, po przodkach odziedziczona nienawiść do polskiego szlacheckiego stanu, do ludu mówiącego po polsku, mściwość w każdej krwi kropli krążąca nie zmniejszała się w tych podróżach, lecz wzrastała, a wstręt do wszystkiego, co duchem polskim trąciło, wzmagął się wskutek tych rewizji coraz bardziej. Do pasji go doprowadzał widok pól jałowych, bezludnych, zarośniętych chwastami albo zbożem obsiewanych bez uprzedniego mierzwienia, podczas gdy nawóz najlepszy ludność bezmyślnie wrzucała do rzek i strumieni. Poczytywał też wszystkim lud w kraju zabranym za jednorodne zbiorowisko głupoty, za kraj Irokezów, który jedynie dzięki kolonizacji przez Niemców, jako dobrych gospodarzy, ucywilizowany być może.

W Malborskiem, Chełmińskiem i Pomorskiem zastał kilka tysięcy głów szlachty, rodowitych Polaków, w gęstej masie zasiedziały. Byli to magnaci i średniacy, drobna szlachta i dzierżawcy, na wsiach, częściach wsi i folwarkach siedzący, urzędnicy i rezydenci wielkopańscy. Kilka zaledwie magnatów o nazwiskach niemieckich, również do gruntu spolszczonych, płaćtało się wśród polskiego pogłowia. Wszędzie lud prosty odrabiał dziedzicom pięć dni tygodniowo, we dwu mężczyzn i dwa konie wszystko wykonując, co pan każe, na polu, w gumnach czy w domu. Toteż król pruski pragnął jak najrychlej pozbyć się tej polskiej „hołoty”, jak ją stale w swych pismach nazywał, wygnać ją z Warmii, Sztumszczyzny, Pomorza, aż po łęborską i chojnicką ziemię.

Postanowił wygnać ten żywioł do Polski po społu z Żydami, których z samych tylko nadnoteckich miasteczek sześć tysięcy głów za rzekę graniczną wyrzucił.

Pewnego razu, właśnie poprzez Pomorze wędrując, zwiedzał szczegółowo ów kraj pusty i próżny, o rasie była zwyrodniałej, o narzędziach rolniczych pierwotnych, drewnianych bez

wyjątku - patrzył na role pełne zielsk i kamieni, drewnianą bez żelaza potrącaną sochą, na łąki zabagnione, bez uprawy - spotykał na swej drodze wsie złożone z chałup dymnych, bez komina, gdzie dym przez dziury w ścianach wypływał, a obok ogniska w środku izby siedziały brudne baby i dzieci, tuliły się cieleta i świnie, psy i ptactwo domowe. Wściekał się coraz groźniej na polską niewolę, która, według króla opinii, to wszystko złe sprawiła.

Noc zapadała, a tymczasem w pojeździe królewskim nadwyrężyło się koło. Wypadło szukać przed nocą schronienia w najbliższym słowiańskim osiedlu. Dworzanie i urzędnicy miejscowi zakrzętnęli się żywo około wynalezienia dla pana nocnej kryjówki godziwej. Znaleźli ją we wsi niedalekiej. Było to w okolicy Ilesitej, kartuskiej. Trafiono na wieś czysto kaszubską, porządnie zbudowaną, o chatach z drzewa dobrego, bielonych, z kominami i szklanymi szybami. Pomieszczenie dla króla obrano w pierwszym z brzegu osiedlu. Wprowadzono go do chaty. Mieszkańcy widząc pana znacznego usiłowali całkowicie się usunąć, lecz król nie dając się poznać kazał wszystkim pozostać, aczkolwiek izbę główną na noc zajął dla siebie. Wniesiono ulubione krzesło podróżne, które mu w wyprawach za łóżko służyło, i przygotowano wieczerzę. Wnet kucharz wydobył podróżne przybory i, roznieciwszy ogień na kaszubskim kominie, począł przyrządzać na wieczerzę ulubione potrawy pana: wołowinę w wodce gotowaną, turecką pszenicę pieczoną na maśle, z serem parmezańskim i sokiem czosnkowym - odegrzał pasztet z węgorza z przystawkami, ciastka z sera, śledzie, kapustę kiszoną i inne smakołyki. Wnet wieczerza była gotowa. Podano do stołu. Pan zaprosił do siebie towarzyszy podróży, a ci skwapliwie zasiedli dookoła króla. Pękło w trakcie uczty kilka butelek szampana, z których, jak zazwyczaj, król jedno na swą osobę rezerwował.

Rozmarzony po spożyciu posiłku i wypiciu wina, zażywał raz wraz wielkie muchy swej ulubionej hiszpańskiej tabaki z niemaleją tabakiery, a resztę niuchów otrząsał na kamizelkę i spodnie, brudząc do ostatka i tak już zaplamione i wyfluszczone odzienie. Przeszedł się po izbie zaglądając w jej kąty. Wielkie buty, z huzarską nie podwiązane, w licznych fałdach i zmarszczkach wisiały na jego chudych goleniach, tworząc rude torby i przeguby. Zaczzerwienione oczy mrugały, a stara, wyschła twarz marszczyła się od zjadliwego śmiechu, gdy towarzyszom wskazywał bohomazy, czczone jako świętość, ponad łóżem gospodarzy tego domu. Nie tylko z szyderstwem, lecz z jawnym gniewem uderzał obcasami w uklepaną ziemię, zastępującą brak drewnianej podłogi. Noc już była zapadła, toteż świta urzędnicza i dworska służba czekała tylko na znak, kiedy będzie mogła udać się na jaki taki spoczynek w sąsiednich chatach - upragniony po uciążliwościach podróży wśród kaszubskiego bezdroża. Król zrozumiał to powszechne pragnienie. Skłonił im się z daleka. Został sam w izbie.

Zapadł w swe krzesło i siedział w milczeniu. Woskowe świece paliły się w lichtarzach, a ruchliwe ich płomienie dobrze oświetlały ubogie mieszkanie. Zarys głowy króla, jego nosa, peruki i warkocza rysował wielki, śmieszny cień na bielonych ścianach izdebki.

Wiatr jesienny z cicha świstał dookoła węglów chaty. W ciszy nocnej słychać było stąpanie huzarów, miarowo kroczących wzdłuż drogi i płotów dla czujnego strzeżenia bezpieczeństwa i spoczynku monarchy.

Fryderyk Drugi popadł w sen głęboki. Zanurzony w swe krzesło, z głową na piersi zwieszoną, chrapał na całe domostwo. Ledwie go było widać za głębokimi poręczami siedziska.

O jakiejś porze nocy ocknął się wytrzeźwiony, wypoczęty. Zaraz chwycił swą tekę podróżną. Nerwowymi palcami, których chudość była nadzwyczajna, rozwiązał rzemyki i stos papierów wysypał na powierzchnię stołu. Rozłożył i rozprostował mapy, plany, kolorowe wykresy,

wykazy i notaty. Począł zajadle czytać raporty i prośby, niezwłocznie pisząc na marginesach rezolucje i uwagi. Przeglądał właśnie nadesłane raporty o szkołach kadetów w Słupsku i w Chełmnie, ufundowanych dla niemczenia drobnej szlachty pomorskiej. Cieszył się czytając listę nazwisk oficerów już wyszkolonych w Słupsku oraz kadetów przyjętych do Chełmna - owych Chmielińskich, Czarnowskich, Chamyr-Glisczyńskich, Gostkowskich i Jarka-Gustkowskich (z których rodu wyszedł Hans Dawid Ludwik hrabia York von Wartenburg, generał feldmarszałek pruski), Malszyckich, Rekowskich, Sarbskich, Wnuków i innych, którzy przejęli się duchem pruskim do szczytu.

Rozwazał nadesłany przez pewnego urzędnika projekt wykupienia dóbr z rąk szlachty polskiej przez mieszczaństwo pochodzenia niemieckiego - i umieścił na marginesie uwagę, że miłszy mu jest jeden mieszczanin niemiecki niż cały naród Polaków. Myślał o przeznaczeniu funduszu na kupno przez państwo dóbr od Polaków, byleby się pozbyć tej *liederliche polnische Zeug* (polskiej hołoty), która „źle gospodaruje, pieniądze zbiera, biegnie do Polski i tam pieniądze przejada”. W pasji podpisał dekret o kupnie przez państwo dóbr polskich Mroczy, Białośliwia, Wyrzysk i Opalenia. Ponieważ cały lud polski poczytywał za zbrodniarzy i złodziei, toteż bez wahania podpisywał ciężkie na Polaków wyroki, do zatwierdzenia i łaski podane. Akceptował decyzje o wywłaszczeniu właścicieli pochodzenia polskiego, którzy mając dobra na Pomorzu - w Polsce przemieszkować śmieli. Zgodził się na sprzedanie tych dóbr Niemcom z Prus albo z Kurlandii, byleby je wyrwać z rąk znieawidzonego plemienia. Zawsze mając jedno na myśli, aby *sklavische Leute mit Teutsche zu meliren* dla szerzenia europejskiej kultury, podpisał dekret zabraniający wstępu chłopom polskim na nowozdobytą pruską ziemię.

Przeglądał stosy swych notat dawniejszych i spostrzegł z pociechą, iż osadził już w Bydgoszczy sto rodzin kolonistów niemieckich, w Chełmnie dziewięćdziesiąt, w Budzynie siedemdziesiąt sześć, w Gołębim siedemdziesiąt pięć, w Kwidzynie pięćdziesiąt jedno, w Grudziądzu czterdzieści cztery, w Strzelnic czterdzieści, w Wieleniu dwadzieścia dwie rodziny. Spostrzegł, iż wydał już 84 000 talarów na sprowadzenie stu osiemdziesięciu rodzin rolniczych w Bydgoskie, 51 000 talarów na sto dziewięć rodzin w Kwidzyńskie, a ogółem wydał 560 000 talarów na sprowadzenie kolonistów z Wirtembergii do innych okolic. Zsumował wszystkie swe dotychczasowe wydatki na sprowadzenie osadników i otrzymał cyfrę niemałą. Miał już ściągniętych około tysiąca trzystu rodzin, czyli około pięciu tysięcy pięciuset ludzi w Pomorską i do nadnoteckiego okręgu. Szli tedy na jego skinienie do Kwidzyna, Tczewa, Pokrzywna, Gołębia, Kartuz, Chełmna, Chełmży, Malborga, Radzyna, Rogoźna, Świecia, Skarszew, Brodnicy, Sztumu, Unisławia - do mnóstwa wsi i źle zagospodarowanych folwarków. Gdy król główne bieżące sprawy odrobił, odsunął papiery na bok. Był podniecony. Zagłębił się w mapy. Oczy jego przesunęły się po tym klinie, którym już zabił Rzeczpospolitej Polskiej drogę do morza - po Warmii i Noteci. Ciężkie i straszne jego oczy padły na Toruń i Gdańsk. W tej oto gburskiej chacie Kaszuby czuł szczególnie gorąco i silnie swe dzieło. Podejmował je od nowa. Dźwigał i wykonywał w duchu. Wzniecała się w nim pasja główna, stara do Polski nienawiść, straszna i nienasycona, wciąż od samego dna duszy wznosząca się - aż do szau.

W nocnej ciszy marzył o przebiciu osinowym kołem tego upiora, o dobieciu tego wroga swego życia.

Powracał oczyma do punktu na mapie, który nosił nazwę „Gdańsk”, i oczy jego pały ogniem piekielnej wściekłości. Wodził palcem po miejscach przylegających do Gdańska i wyznaczał

ołówkiem miejsca komór celnych tuż pod miastem, przy rozgałęzieniu się Wisły w Rothe Bude. Naznaczył w Alt-Schottland miejsca na jarmark dla zniweczenia jarmarku Dominika. Wyznaczył w Fahrwasser miejsce na urząd do pobierania opłaty od okrętów nowozbudowanych i na sprzedaż za granicę gotowych.

Wodził palcem po rolach gdańskich mieszczan, gdzie odbywać się powinny musztry pułków pruskich - bobrował paznokciem po drogach prowadzących do miasta, gdzie stać powinny rogatki kontrolujące przywóz żywności na targi. Wściekły gniew spłonął w nim i miotał jego ciało i ręce na wspomnienie raportu, iż gdańszczanie zatoczyli staroświecką artylerię na swe wały obronne - iż na ratuszu burzliwe toczyli obrady wygłaszając przeciwko niemu zuchwałe perory - i że z uporem niezłomnym trzymali się swej Polski.

To imię rozrywało w jego piersi istną ranę krwawiącą. Zwrócił swe płomienne oczy na płat mapy leżący na południe od zielonego pasma Noteci i patrzył w ten obraz polskiego kraju straszliwym wzrokiem upiora. Wysunął dwie ciężkie pięście, zacisnął je jak klamry z żelaza i zwałił je na ten obszar. Zdawało mu się w tej chwili, że słyszy huk pochodu stuleci - wrzask ucieczki Słowian z zachodu na wschód przed legionami Teutonów - że słyszy odgłos straszliwej rzezi Grunwaldu. Krew mu mózg zalewała. Czuł, że jest w stanie podnieść do góry i roztrącić z wysoka tę całą ziemię, rozwalić ją na drzazgi, zdruzgotać na miazgę, ażeby z tej gleby wzruszonej, z nawozu czarnego, nową, cywilizowaną według jego myśli formę ugnieść, uczynić, wylepić.

Tymczasem głucha cisza otaczająca tę izbę dokuczać mu zaczęła. Nudził się.

Klasnął w ręce. Gdy wszedł z przyległej sionki oficer służbowy, polecił, żeby mu sprowadzono niezwłocznie gospodarza tego domu. Chciał jeszcze tej nocy pracować pozytywnie, dowiadywać się najistotniejszej rzeczy, notować sobie szczegóły z własnej obserwacji i żywej rozmowy.

Wkrótce wszedł przywołany Kaszuba.

Był to człowiek w sile wieku, wysoki, szczupły, orlonosy, o ściągłych rysach twarzy.

Król pytał go, czy umie mówić po niemiecku, czy choć rozumie tę mowę.

Okazało się, że ani jedno, ani drugie.

Kazał tedy niezwłocznie wyszukać po nocy tłumacza we wsi, który by mu zeznania Kaszuby wyłożył. Sprowadzono wkrótce jakiegoś przybłądę, obszarpańca i wycierucha, który z pruskiego Pomorza przyszedł był w te strony. Ten po niemiecku rozumiał i mówił. Wtulony w kąt izby ze strachu i wstydu, ażeby swoich brudnych łachmanów przed oczy wielkiego pana nie wysuwać, świecił tylko z głębi mroku czarnymi i błyszczącymi oczyma i czekał na każde skinienie. Król pytał obudwu wieśniaków o nazwiska i koleje życia, kazał opowiadać sobie wszystko, cokolwiek tyczyło się tej wioski. Spisywał imiona i nazwiska ludzi, kobiet i dzieci. Notował ilość sztuk inwentarza u każdego z rolników, stan i jakość zasiewów i zbiorów, ilość i gatunek spożywanego jada. Kazał opisywać sobie i wyliczać odzież, sprzęty, narzędzia, opał, sposób budowania domów, obór, stodół, chlewów, naturę życia i rodzaj zabaw wiejskich. Gdy zaś wszystko porządnie wynotował, prosił, żeby mu opowiedzieli o uroczystościach, świętach i obchodach miejscowych - w co się tutaj wierzy, jakie są tutejsze prognozyki lekarskie i religijne przesady. Wreszcie poprosił, czy nie umieją jakiej okolicznej historii, przypowieści, bajki, gadki, legendy.

Wieśniak, zachęcony łaskawym poklepaniem po ramieniu, ośmielił się i rozgadał, jak to bywa, aż do wielomówności.

Po namyśle jął wykładać następującą kaszubską historię:

Jeden gbur miał dwóch senów. Ciej on z nimi roz jod wieczera, tej uzdrzoł przez okno, że sę na polu odziń poli. Tej oni wszesce trzej zaru wiedzie, że sę tam pieniądze przesuszają. Tak ojc rzek do starszego sena:

- Jidz i obocz! A może dostaniesz od tych piniędzy. Tak nen starszy sen szed. Jak on przeszed na ten mol, tej stojoł tam zły duch i mnieszoł cijem w tym ogniu. Widząc to starszy sen rzek:

- Dej mnie od tych piniędzy! Ale zły duch odrzek:

- Jo ce dom wszetci Cieszynie pełny, ciej te mnie powiesz, co bec ni może!

Tak ten starszy sen sę nameszłoł, ale jednak ni mog powiedzec, co bec ni może! Jak on tej zodnej odpowiede nie wiedzoł, tak zły duch zaczął na niego wrzeszczec i ślepie wewolac.

- Pochadej precz stąd! Bo ce sę zaru nieszczesny stanie. Starszy sen sę srodze werzas i ucek precz. A jak on przeszed do ojca, to ten sę pytoł:

- A cóż te sprawie!?

- Nick! - odrzek sen. - Tam mnieszo czort w ogniu i mowieł do mnie: - Jo ce dom pełny Cieszynie piniędzy, ciej te mie powiesz, co bec ni może. A tego jo wej nie umnioł powiedzec. Czując tę godkę, rzek młodszy sen:

- To jo pude, tatku! A ojc mu mowieł:

- Jidz!

Jak nen młodszy sen przeszed do tego ognia, tak on widzoł, jak zły duch w ogniu cijem mieszoł, i rzek do niego:

- Ciej te przegorniosz w tyle piniędzach, to dej i mnie od nich dzel.

Ale zły duch odpowiedzoł:

- Jo ce dom pełny Cieszynie, ciej te mnie powiesz, co boć ni może.

- To jo ce zaru powim! - odrzek ten młodszy sen. - Jo służeł u jednego gbura, chteren posodoł dwanosce koszk pszczół. A jo muszoł każdą pszczołą porachować reno, ciej pszczołą welotywał, i we wieczór, ciej przelotywał.

- To może bec! - rzekł zły duch. - To jo wierzę.

- Poźdejle! Moja godka jesz jidze dalij! Jak jo róż we wieczór wszetci pszczoły z nych dwanosce koszk rachował, tej jednyj nie beło. Wtym jo uczuł, że ję wilce w lese opadłe, a ona reczała jak wół. Tak jo zawołoł dwanosce gburów i ma szle na pomoc. Ale jak ma przeszła, tej ju wilce pszczołą zeżarły, le żądło od nij ostało. To żądło beło tak ciężci, że ma je udwignąc ni mogle. Tak jo je muszoł ostawic. A na drudzi dzień jo so najał dwanosce gburów z dwanosce wozami i dwanosce porami koni i ma jachcie po no żądło. Tam ma go porąbile, a dało z niego dwanosce for, tak że sę pod nimi moste dziełe.

- To może bec! - rzek zły duch, - To jo wierzę. Nie wiesz je czego jinszego? Ciej nie, to le jidz, poci jesz jes cały! Ale chłopok rzek:

- To jo ce jesz co lepszego powiem: jo beł w niebie!

- To może bec! - rzek czort. - Ale jak te sę z nieba na ziemnię dostoł?

- Decht letko! Tam w niebie prawie amniolowie draszowełe jęczmiń, a jo so z tych jęczminnych plew ukrećel powróz i sę po nim spusceł. A ciej sę ju powróz kuńczeł, tej jo z górę ucał, a na dole przewiazoł, jaz bełem na zemni.

- To może bec! - ciwnął czort.

Ale chłopok opowiodoł dali j:

_ Jak jo beł w niebie, tej jo widzoł, że mój ojc w twoigo ojca gnój wozel. A jak on nie chcoł cygnąc, tej on go rzemiannym batodziem podgonioł, a tak smarowoł, że mie jaż zol beło.

_ To ni może bec! - krzyknął zły duch tak rozgorzony, że jaż na chwilę oprzestował mnieszac w ogniu. - Mój ojc je Luceper i króluje w piekle.

- Tero le mnie dej pełny Cieszynie piniędzy! - rzek chłopok.

Rod nierod, zły duch mu muszoł dac tero od tych piniędzy pełny Cieszynie...

Gdy tłumacz wyłożył z mozolem cały tenor tej historii, król wielokrotnie zażywał tabakę, otrząsał z pasją palce i cierpko się uśmiechał.

Polecił tłumaczowi, żeby powiedział Kaszubie, iż podoba się panu jego opowieść. Dobrze jest, że na Pomorzu zaczyna już człowiek choć diabłem gnój na pole wywozić. Lepiej by było, żeby go wywoził bardziej zwyczajnym bydłem, na przykład koniem lub wołem, a przy tej okazji i ziemię lepiej uprawiał.

Co do diabła, to na Pomorzu i zgoła wszędzie w tym państwie trzeba jegomości opanować i zaprząć do wywożenia nawozu a batem, w istocie, rznąć od ucha, żeby i z niego był jakiśkolwiek pożytek. Pieniądzy zaś dostaną za bajkę nie „pełny Cieszynie”, tylko obadwaj, Kaszuba i tłumacz, jeden na obudwu talar pojedynczy. Wręczył monetę swym gościom i skinął na obudwu, żeby sobie już szli spać, ile zechcą. Już ich nie potrzebował. Gdy sam znowu został wśród nocy i ciszy, wrócił do swych papierów. Ale nie czytał już raportów, nie przeglądał wykazów, nie pisał rozporządzeń.

Opanowała go niepodzielnie poetycka wena. Nadeszło to właśnie po rozmowie z Kaszuba. Wena była niestrzymaną pasją na Polskę i Polaków, szyderstwem z nienawistnej *liederliche polnische Zeug*...

Odnalazł w tece dawniejszy swój poemat w pięciu pieśniach pod tytułem: *La guerre de Confederes*. Był to jeden z sześciu egzemplarzy, które pozostały z ogólnej liczby dwunastu, drukowanych u Schmidta w Berlinie, po rozesłaniu ich zaufańcom. Żaden temat nie dostarczał znakomitemu autorowi równie obfitego materiału do rozweselenia się jak ta sprawa konfederacji barskiej. Z lubością odczytywał sobie teraz własne szyderstwa rymowane z sejmu 1763 roku. Na sejm ten przybywa „Głupstwo”, a znalazłszy Polskę taką jak po stworzeniu świata: ciemną i nieokrzesaną - tych samych starostów, Żydów, niewolników i senatorów-pijaków, poznaje swój lud po jego władzach A przymiotach umysłu, toteż udziela mu błogosławieństwa. Odczytywał z uczuciem żywej satysfakcji:

Avec plaisir elle vit la Pologne
La meme encore qu'a la creation,
Brute, stupide et sans instruction,
Staroste, juif, serf, palatin ivrogne,
Tous vegetaux qui vivaient sans vergogne.
Je reconnais mon peuple a son esprit -
S'ecria-t-elle, et sitot les benit.

Teraz po wszystkim, co w tej podróży zobaczył, powziął w natchnieniu plan napisania nowego na Polskę paszkwila, gdzie zamierzył wykazać niewolę chłopów, sprzedajność klas wyższych, rozpasanie namiętności, lenistwo oraz wszelkie inne wady, cały obraz zgnilizny, który poznał dokładnie, przede wszystkim za pośrednictwem Brenkenhoffa, od agentki pruskiej w Polsce, hrabiny Skórzewskiej. Pierwszą rzeczą był, oczywiście, efektowny tytuł poematu. Wykombinował go w sposób następujący i właśnie rzucał na papier:

L'ORANG-OUTANG DE L'EUROPE
OU LE POLONAI TEL QU'IL EST

Ouvrage methodique qui a remporte un prix d'histoire naturelle en 1779.

JAN DĄBROWSKI POD GDAŃSKIEM

Generał Dąbrowski, wzięwszy ze sobą batalion majora Sierawskiego i batalion pułkownika Fiszera, ruszył chyłkiem według wskazówek chłopca nazwiskiem Ćwikliński. Po wertepach, dołach, parowach, przesadziwszy płoty ogrodów, parkany i rowy, dotarł do bramy Wodnej, czyli Wiślanej. Brama w istocie była na poły zepsuta i bez obrony. Bataliony wyłamały ją, weszły do miasta, przebiegły tylne ulice i z nastawionym bagnetem rzuciły się na osłupiałych Niemców. W tej samej chwili zdruzgotane kulami wierzeje bramy Gdańskiej runęły i wojsko z północy wdarło się do miasta. Prusacy strzelali z okien i drzwi. Wreszcie, kiedy i Zachodnią bramę rozwalono, załoga w sile pięciuset ludzi z dowódcą - poddała się. Zabrano działa. Chwymano niewolnika, zabierano bagaże i broń, uprowadzano konie albo zdzierano z nich uprząż, ściągano wozy do przewiezienia z pola rannych, chromych i osłabionych.

Stanęły wreszcie wojska w mieście.

Rozeszła się wśród nich wieść, że opanowane są Skarszewy i Miłobądz, a nieprzyjaciel z pośpiechem cofa się w mury fortecy. Wtedy jeden okrzyk rozległ się w szeregach:

- Na Gdańsk! Ku morzu!

Młody żołnierz polski ruszył teraz śmiało spod zdobytego Tczewa na tajemniczy ów Gdańsk, ku nie widzianemu jeszcze morzu. W początkach marca, w wietrzny dzień, idąc od Miłobądz gdańskim gościńcem, młoda armia ujrzała wielkie dymy i migające wśród nich czerwone i złote płomienie. To Prusacy podpalili gdańskie przedmieścia zamykając się przed oblężeniem w fortecy. Płaskie niziny słały się wokół, zwłaszcza na wschodzie, za wielkim szlakiem Wisły. Oficerowie pokazywali żołnierzom widny z oddali czerwony zamek w Malborgu. Z zachodniej strony zaznaczały się wzgórza i lasy. Drzewny we mgle szlak wierzb i brzoź znaaczył drogę bitą i krzyżownice boczne, zdążające w tamte północną stronę, gdzie słały się po ziemi bure i śniade dymy.

Serce żołnierza napelniało męstwo młodociane, kawalerska beztroska i wyższa ponad wszystko ciekawość. Lecz - o gościńcu gdański, strzelista i równa drogo! - ty wiesz, ile na tobie twardych legło kamieni i jak ściska serce twój widok! Podspodni lęk wił się nad tobą chyłkiem, niewidokiem, wiekuisty szatan dusz nie mający kształtu, nie posiadający figury swej, podobny do kłębow dymu. Tajne czucia migały w nim jak ogień, nie wiedzieć co pożerający. Dymy rozpościerały się lub składały niby skrzydła olbrzymie, już to zapraszając obłudnie, pociągając zdradziecko, już zamykając widok na zawsze w ciemnicy śmierci wiecznej. Młoda brawura szła wprost w dymy, nie bacząc na lęk wewnętrzny, lekceważąc sobie diabła samego. Wszystko jedno, co było na drodze, byleby u jej końca czekało zwycięstwo!

Dym się wił ponad drogą, zdawał się o zwycięstwie zapewniać, ale zarazem z tegoż zwycięstwa chichotać. Ileż to już razy wałęsał się pośród tych okolic towarzysząc zwycięzcom i słuchając zwyciężonych szlochania! Ileż to razy tańczył nad drewnianymi chatami tych stron,

gdy na nie klęska wojny spadała! Owijał się jak sztandar powabny dookoła strzelistych wież gdańskich. Chmurą czarną zwisał nad urodzajnymi nizinami, niby dumanie głębokie nad dziejami zniszczenia pracy człowieczej, w którym śmieszny ród ludzki lubuje się nade wszystko. Pełzał okrwawionymi smugami po przedmiejskich ulicach, których obiedwie strony czarne zgliszcza obiegły. Podrywał się z ziemi i wypadał pod chmury niebieskie w zawrotnym, radosnym tańcu.

Dywizja odpierając i pędząc przed sobą pruskie oddziały przybyła wreszcie na wzgórza otaczające fortecę. Wdarła się na ich szczyty. Leżał przed oczyma żołnierzy stary Gdańsk w wieńcu krwawych dymów. Rdzawe wieże Mariackiego kościoła, strzeliste gzygzaki Franciszkanów, igła z pozłocistą figurą króla na prawomiejskim ratuszu, ruda masa kościoła Świętego Piotra, ciemnozielone szczyty Świętej Katarzyny, szczytnica Karmelitów, wielki kwadratowy słup Świętego Jana - i wszystkie inne ostrokończyste lub zaokrąglone kształty wież wychylały się raz wraz zza czarnej dymu zasłony. Widzieli rzekę od północy, sztuczny zalew od południa i wschodu, oszańcowaną wyspę Holm w wód rozwidleniu, daleką wieżę fortecy Wisłoujścia, przed stu laty odbudowaną po pożarze - oraz twierdzę nad samym już morzem, Neufahrwasser. Mieli przed sobą od zachodniej strony forty Góry Gradowej, Góry Biskupiej, Stolzenbergu i Wrzeszcza, tworzące mocną linię obronną.

Oficerowie tłumaczyli żołnierzom, iż zadaniem dywizji jest wdrzeć się między Gdańsk i Wisłoujście, odciąć miasto lądowe od fortu i dostępu do morza. Żołnierze spoglądali na to miasto i jego okolicę jakby na wielką mapę wojenną, przed ich oczyma rozpostartą. Widzieli drogi idące od zachodu, skąd miało postępować regularne oblężenie, szturm na roboty gdańskie. Od wschodu i południa widzieli świeże umocnienia, wzniesione przez Prusaków i Moskali na wyspie Holm i na Gdańskiej Mierzei.

Za daleką Wisłą, za Nogatem, we mgłach wiosennych stała wśród swoich warownych stanowisk armia francuska. Wielki jej wódz miał główną kwaterę w zamku Finkenstein czuwając nad Gdańskiem i nad Ostródą. Sto siedemdziesiąt tysięcy ludzi uzbrojonych we wszelką broń zajmowało w wyciągniętych stanowiskach całą linię Wisły i Narwi. Wszystkie te korpusy po dwu dniach marszu mogły stanąć pod Ostródą. Gdy generał pruski Lestocq usiłował przebić się poprzez linie francuskie ku Gdańskowi, został odepchnięty pod Brunsbergą. A gdy wódz rosyjski Bennigsen uderzył na korpus marszałka

Neya, Napoleon zebrał większą siłę i wyparł Rosjan pod Guttstadt.

Wszystka siła francuska wraz z wodzem czekała na zdobycie Gdańska, ażeby, mając tyły zabezpieczone w zupełności, odrzucić armię rosyjską od brzegów morza, przerwać jej komunikację z Fryskim Zalewem, odebrać zasiłki, które morzem otrzymywała, rzucić się na Heilsberg i odciąć armię od Królewca, czyli rozłączyć Prusaków i Moskali.

A tymczasem z dwu stron na odsiecz Gdańska zbliżyły się wojska rosyjskie i pruskie. Generał Kamienskoj w siedem tysięcy ludzi lądował w Neufahrwasser. Pułkownik pruski Bulow we trzy tysiące posuwał się ku Wisłoujściu Gdańską Mierzeją.

Nie zwlekając kawaleria Sokolnickiego uderzyła na nich z całą forsą. Strzelcy legii północnej odbili przy pomocy gwardii paryskiej ataki na redutę Holmu i Mierzei. Legia północna i legia Jana Henryka Dąbrowskiego wzięły udział zarówno w oblężeniu Gdańska, jak w atakach od strony Żuław. Legia północna zdobyła forty Wrzeszcza. Amilkar Kosiński sforsował Stolzenberg. Wtedy można było założyć paralele regularnej walki oblężniczej. Prusacy uderzyli z boku, od strony Szydlickiego Wąwozu, i zmusili batalion Malczewskiego do odwrotu.

Tłum kozaków wypadł z twierdzy, a szarża pruskich dragonów rozbiła dwie polskie kompanie. Wówczas Dziewanowski powiódł swych ułanów do kontrataku. Sokolnicki z garścią jazdy wpadł na tyły wroga, Weysenhoff sformował piechotę, wreszcie biegła z pomocą artyleria Charelota, która tyle dokazała przy zdobyciu Tczewa. Sam marszałek Lefebvre-Desnouettes poprowadził na bagnety batalion pułku drugiego, szefostwa Downarowicza. Sam porwał bęben i przyspieszonym krokiem pędził ku nieprzyjacielowi. Atak świetnie się powiódł. Wzięto Cyganią Górę bagnetem i zapędzono się aż pod same mury fortecy.

W atakach od strony Żuław raniony został pułkownik Downarowicz. Poległ na Mierzei szef batalionu Parys. Wielu oficerów dało życie. Krwią swoją zafarbowali wody Leniwki i Motławy, ażeby ludziom gdańskim wolność wywalczyć. Z bezprzykładną furią walczył pierwszy batalion drugiego pułku. Kamienskoj musiał się do Neufahrwasser wycofać. Billow zmuszony został do odwrotu wzdłuż mierzei, ku Pilawie. Wówczas to około trzech tysięcy Polaków uszło z twierdzy i do swoich znaków przystało. Zbuntowała się załoga Wisłoujścia i poddała twierdzę Francuzom. Piechota polska zdobyła fregatę angielską „Sans peur”, wiozącą amunicję do fortecy. Artyleria polska świetnie ostrzeliwała forty Gradowej Góry.

W drugiej połowie maja ze szczytu wyniosłej ponad Wrzeszczem góry, rozmiękną po deszczach, gliniastą drogą schodził o lasce ranny w nogę podczas zdobywania Tczewa generał Jan Henryk Dąbrowski. Odwiedził był syna ciężkimi okrytego ranami, który się w klasztorze oliwskim leczył od kilku miesięcy. Komendę nad dywizją objął był tymczasowo Amilkar Kosiński - po nim Giełgud. Towarzyszyło twórcy legionów kilku oficerów. Ci objaśniali mu stan rzeczy i opowiadali o dokonanych wypadkach.

Jeden wskazywał mu dymy dalekie, ciągnące się nad wygiętą Mierzeją. To tam czwarty pułk Ponińskiego miał już swoją kwaterę, zdobywszy Sienną Budę w krwawej bitwie. Inny opowiadał, jak żołnierze brnęli w wodzie, wysoko niosąc broń i sakwy z patronami, krok za krokiem, w boju zdobywając pruskie na Mierzei stanowiska. Jeszcze inny pokazywał punkt daleki, gdzie brygada Schramma o brzasku marcowego dnia podpłynąwszy na berlinkach pod prawy brzeg Wisły na wprost wsi Furstenwerder - wyszła na brzeg w ogniu dwudziestu dział baterii pruskiej, które broniły tego umocnionego stanowiska.

Opowiadano wodzowi, który z innego placu boju przybywał, jak to idąc krok za krokiem pod ogniem dział z Wisłoujścia i Neufahrwasser Weysenhoff budował redutę dla odcięcia Gdańska od morza. O kilkaset kroków od wybrzeża kopano rów komunikacyjny prowadząc go z lasu ku Leniwce, a następnie naprzeciwko cypla wyspy Holm wyrzucano głęboką redutę. O świcie, ujrzawszy robotę w nocy przez pułk polski dokonaną, Prusacy i Moskale rzucili się z miasta. Uderzyły działa z Wisłoujścia. Lecz pułk uderzenie wytrzymał i zachował swe miejsce w wykopanych rowach. Następnej nocy pogłębił i zakończył rowy. Na nic się już nie zdały wszelkie wroga wysiłki, ażeby zniszczyć te dzieła ziemne, które nosiły nazwę „Numer Dziesiąty”.

Z zapalem i dumą wszyscy oficerowie opowiadali na wyprzódki o zdobyciu wyspy Holmu. Według ich relacji, Weysenhoff strzegł reduty z częścią pułku czwartego, a kompanie wołtyżerskie i grenadierskie pod dowództwem podpułkownika Kamińskiego posunęły się lewym brzegiem Wisły, prawym Motławy w stronę Gdańska. Po nocy w krypcach przebyły rzekę i wdarły się na umocnione szańce wyspy. Dwa bataliony rosyjskie broniące osuchu zostały tym nagłym atakiem zaskoczone. Wybito je bagnetem, wystrzelano, wytopiono w Motławie. Ledwie połowa tych Moskali poszła w niewolę. Druga połowa śmierć znalazła w rowach i szancach krwawego okopu.

Generał, wysłuchawszy tych raportów, sprawozdań i luźnych opowieści, poprosił oficerów, żeby go tutaj zostawili samego, gdyż życzy sobie w milczeniu rozpatrzyć pozycje. Gdy odeszli, zasiadł na pniaku obok drogi, ręce skrzyżował na kiju. Wodził oczyma po tym świecie rozległym. Miał przed sobą miasto, Leniwkę, Motławę, wyspę Holm, równiny Brzeźna ku Gielatkowu - a w oddali morze. Szare smugi jaśniejące w ciemnej ramie ziemi. I oto wzdrgnięcie głuche ruszyło się z nagłą w piersi wielkiego żołnierza. Szloch krótki. Po nim ścierpienie krwi w żyłach. Mróz w szpiku kości. Uśmiech szczęśliwy zajaśniał na wargach.

- Moskale i Prusaki - marzył, z cicha chichocząc - tutaj razem, w tym gnieździe. Na wyspie Holm, u bramy Zielonej Gdańska - Moskale na straży. A moje młode Wojtki i Wawrzki w nich po społu! Ten Holm wzięli.

- Przyszedłem - poszepnął do siebie kiwając sennie głową. - Przyszedłem na miejsce aż do morza. Z dala, z dala.

Zza siedmiu gór, zza siedmiu rzek. Niemałom pogubił braci. Poginęli mi najmężniejsi w długich drogach, w zażartym boju. Słuchajcież, wy, co śpicie w ziemi włoskiej, w ziemi francuskiej, w Szwajcarach, w niemieckiej ziemi: Pognębiony jest Krzyżak i pognębiony jest Fryderyk! Szatan na wieki powalony jest o ziemię! Prawica Boża popchnęła cesarza Francuzów i jego armię, ażeby tu szły miażdżyć szatana. Ludy obce - Franki, Bretony, Burgundy, Szwajcary, Belgowie, Holendry, Włochy, Badeńczycy, Sasy - musiały przyjść tutaj, nad Wisłę, tylekroć od wrogów naszego plemienia jarzmioną. Musiały w bród ją przekroczyć i tam na ziemiach straszliwej zbrodni krzyżackiej za dzieło sprawiedliwości krew wylewać. A ja sam z ziemi włoskiej przyszedłem tutaj i patrzę oczyma żywymi-w morze! Oglądam dokonane dzieło, którem w duszy wypiastowałem! O Boże!

CZAROWNICA

Niemala bieda zdarzyła się była w domostwie rybaka Jana Kąkola w Chałupach - to jest po prawdzie, w Ceynowie - na Helu. Ojciec i podpora rodziny, Jan Kąkol, srodze a bez powodu zaniemógł. Wielkie go nawiedziły boleści, zwłaszcza w żołądku i w pasie, nie mniej jak w głowie i w kościach, aż z dnia na dzień coraz bardziej słabnąc rzeczony Jan Kąkol na całym ciele spuchł fenomenalnie. Strapiona małżonka chorego, gdy z domowych a wszystkim wiadomych leków żaden nic nie pomógł, sprowadziła była z Pucka pokątnego lekarza imieniem Stanisław a nazwiskiem Kamiński, który - aczkolwiek z racji złośliwego oskarżenia o szalbierstwo czterokrotnie już w kryminale cierpiał, a po raz ostatni dopiero co z domu karnego w Grudziądzu wypuszczeń, wrócił do lekarskiej praktyki - istotnie w rzeczach powracania zdrowia narodowi kaszubskiemu wielką cieszył się wziętością w całym państwie rzucewskim tudzież na Helu, jak długi. W ciągu dziesiątka dni *medicus* Kamiński przebywał w Chałupach, a ściślej mówiąc, w mieszkaniu Jana Kąkola, wszelkimi sposoby i medykamenty lecząc chorego. Sporządzał różne dekokty i napoje z ziół i proszków, które ze sobą z apteki w Pucku przywiózł - gotował kąpiele gorące, przedsiębrał wszelakie wiadome sobie zabiegi i wydawał rodzinie różnorakie do spełnienia rozporządzenia zmierzające ku pokonaniu słabości. Wszystko to przecież zostało bez wyraźnego skutku. Chory był tak samo opuchnięty jak przedtem i jęczał z bólów targających mu wewnątrz.

Wobec takiego stanu rzeczy, po wyczerpaniu wszelkich medycyny arkanów i sposobów *medicus* Kamiński przyszedł do nieuniknionego przeświadczenia, iż Jan Kąkol musi być oczarowany i nawiedzony od diabła. Jako środek na tak fatalne położenie zalecał dobrze rozejrzeć się we wsi, kto by to mógł być taki, który nieszczęśliwego urzekł, ponieważ można by takowego złośnika do wypędzenia czarta przymusić.

W Chałupach od dawna panowało domniemanie, wielokrotnie w zupełną przechodzące pewność, iż wdowa Krystyna Ceynowa, matka dwu dorosłych córek, Anny i Marianny, oraz trojga dzieci nieletnich, zajmująca się wiązaniem sieci rybackich, jest czarownicą złośliwą. Niewiasta owa, skoro tylko popadała z kimkolwiek w zwadę, kłótnię, zajście sąsiedzkie - złorzeczyła, ciskała przekleństwa, wyzywała złe i życzyła złego, co się też wielokrotnie spełniło, gdyż ludzie przez nią przekłęci wnet chorowali. Zdarzyło się też wielokrotnie we wsi, że było niespodzianie i bez przyczyny chorowało i zdychało, a był nawet przypadek, iż czternastoletnia dziewczyna wskutek działania sił nadprzyrodzonych, które ta zła kobieta ode Złego odebrała - zesłała ze świata. Wskutek orzeczenia lekarza Kamińskiego powszechne podejrzenie w pewność się zmieniło. Cała wieś Chałupy rozbrzmiewała od jednogłośniego żądania, ażeby wdowę Ceynową zmusić koniecznie do wypędzenia czarta, którego swymi przekleństwami weгнаła była w Jana Kąkola. We wszystkich checzach tylko o tym mówiono i ogólne było żądanie skończenia już raz z czarownicą.

Toteż dnia trzeciego sierpnia tego właśnie (1836) roku rybacy Jakub Ciskowski z Gniezdowa, Piotr Budzisz i Piotr Kąkol, przysiężnicy z Chałup, zeszli się w szynkowni, a wypiwszy coś niecoś dla kurażu oraz większą ilość stateczków bajryszu, posłali po sołtysa, ów zaś sołtys, młody, dwudziestotrzy-letni Jakub Freudel, syn zmarłego przed pięcioma laty starego sołtysa Freudela, uczył się był przez trzy zimy w Swarzewie zasad religii w szkółce tamecznej, mógł coś niecoś po niemiecku, gdyż służył później w wojsku, w piątym gdańskim pułku. Po reklamacji wrócił do Chałup i objął po ojcu urząd sołtysa żywiąc matkę i sześcioro rodzeństwa.

Przysięgły Kąkol wezwał sołtysa, ażeby niezwłocznie zwołać mieszkańców całego osiedla Ceynowy, gdyż uczony Kamiński chce wskazać ludziom czarownicę, która wśród ogółu zło szerzy. Sołtys, sam wierzący w czarownice i w siłę wolnego ducha - dał się nakłonić i rozesał klukę, czyli narzędzie z drzewa, w które się wkłada rozporządzenia urzędu. Wkrótce na sołectwie, w mieszkaniu Jakuba Freudela, zgromadzili się wszyscy mieszkańcy wioski, mężczyźni i kobiety: Filip, Tomasz, Piotr i Jerzy Budzisz, Andrzej Komka, Jan Necka, Jan, Józef i Jakub Muza, Jakub Ciskowski oraz Katarzyna Freudel, Klara Necel, Katarzyna Budziszowa, żona Jana Kąkole i inne.

Wówczas przybył Stanisław Kamiński. Okazałym gestem polecił mężczyznom stać w izbie po prawej ręce, niewiastom - po lewej. A gdy się wszyscy we dwa ustawili szeregi, Kamiński wskazał na wdowę Krystynę. Obadwaj przysięgli wyprowadzili zaraz czarownicę z domu. Kamiński wyszedł również na podwórze i zaczął z miejsca bić Ceynowinę po głowie pięściami. Sołtys Jakub Freudel nie przeszkadzał mu w tej praktyce, albowiem sądził, iż taki gwałt należy do naukowego rytuału, do szeregu konieczności niezbędnych, zmuszających czarownicę do wypędzenia czarta z chorego Kąkole. Wdowa Ceynowina usiłowała wyrwać się z rąk medyka i w stronę Wielkiej Wsi uciekać. Lecz przysiężnicy i ów Jakub Ciskowski z Gniezdowa dogonili ją i sprowadzili przed wzburzoną gromadę. Wtedy Kamiński podejmował z ziemi co grubsze kamienie i walił nimi w występną, gdy ją do chorego prowadzono. Wepchnięta znowu do domu Kąkole przez sołtysa, przysięgłych i Ciskowskiego, Ceynowina z wielkiego załęknięcia milczała. Dopiero gdy ją sam chory Kąkol kijem zdzielił, a Ciskowski na ziemię obalił, Kamiński zaś tego obcasem począł w głowę kopać, deptać nogami, a inni znowu żgać leżącą ostrymi narzędziami, zaraz zmiękła i przyrzekła, iż chorego uleczy. Wtedy jej wstać pozwolono. Po czym przystąpiła do oczarowanego Kąkole i przetarła go dłonią po brzuchu, mówiąc:

- Janku, tobie już będzie lepiej...

Wobec tego sołtys i wszyscy inni opuścili mieszkanie Jana Kąkole. Żeby zaś czarownica uciec nie mogła i żeby jej już więcej bez potrzeby nie poniewierano, sołtys zostawił w izbie dwu tęgich, młodych Budziszów, Józefa Pierwszego i Józefa Drugiego, dla straży a z surowym nakazem, ażeby jej zaś nie wypuścili z mieszkania. Dla zupełnej pewności lekarz Kamiński spał tej nocy w jednym łóżku z czarownicą.

Sołtys przekonany, że Ceynowina była podwładną złego ducha, czyli posiadającą moc sprowadzania chorób, poczytywał za rzecz najślusniejszą przymus usunięcia choroby, którą Janowi Kąkolowi zadała - zwłaszcza gdy obiecała to wykonać. Uważał, iż wdowa czarta wypędzi, choroba Kąkole minie i na tym cała sprawa do spokojnego przyjdzie kresu. Mniemał, iż wszystko, co się w jego obecności dokonało, miało cel pożyteczny, toteż z zupełnym spokojem udał się do Wejherowa, gdzie miał w landraturze wyznaczony termin.

Tymczasem następnego ranka chory Jan Kąkol wcale nie wyzdrowiał, a więc obietnica czarownicy, poprzedniego dnia uczyniona, dotrzymana nie została. Toteż biegły w tych sprawach Kamiński zarządził, ażeby ją zawieźć na morze. Cały tedy tłum ludzi na wypródki się spiesząc wrzucił Ceynowinę na wóz i w otoczeniu wzniesionych kijów, pięści, wśród klątw i zniewag powiózł poprzez półwysep i pażycę nad Małe Morze. Tam na strądzie mocno jej ręce związane postronkami, wepchnięto w łódź i wywieziono na głębinię wiku. Rybacy przywiązali skazanej linę do pasa, a samą ujawszy za bary i za nogi rzucili w wodę. Widzieli wszyscy stojący na brzegu, którzy wśród wrzasku wielkiego na dzieło patrzyli, i widzieli wiosłujący na łodzi, iż się czarownica przez kilka chwil na wodzie trzymała, nim spódnice jej wodą nasiąkły. Gdy zaś poczęła w strachu śmiertelnym poprzysięgać się, iż do dwunastej godziny w południe tego samego dnia wyleczy urzeczzonego Jana Kąkole, mimo iż już szła na dno, wyciągnięto ją liną z topieli i na brzegu morskim złożono. Tam jej znawca Kamiński podał do wypicia szklanekę święconego wina.

Zaprowadzono ją do chorego po wtóre i czekano cierpliwie a spokojnie aż do dwunastej godziny.

Stał i czekał w tłumie innych rybacki syn z Kusfeldu, wsi o milę od Chałup odległej, Marcin Budzisz, człowiek czterdziestoletni, bezżenny, zajmujący się wiązaniem sieci. Zimową porą, gdy dzieci rybaków w Chałupach nie mogły uczęszczać do szkoły odległej w Wielkiej Wsi lub w Kusfeldzie - a na miejscu szkoły nie było - Marcin Budzisz przychodził jako nauczyciel wędrowny i za wynagrodzeniem uczył dzieci rybackie od grudnia po wielkanocne święta z polskiej książki modlitewnej katechizmu, nie całego wprawdzie, lecz tylko dziesięciorga przykazań i „Ojciec nasz”, gdyż duchowny swarzewski ani ksiądz Tulikowski, dziekan z Pucku, nie wymagali więcej. Marcin Budzisz za młodu uczył się w szkółce kusfeldzkiej u nauczyciela Brockmana sztuki czytania po polsku na książce do nabożeństwa. Po niemiecku nie mógł ani jednego wyrazu, lecz po polsku każdą książkę mógł czytać, a nawet potrafił cokolwiek, ale bardzo słabo i z trudem, prócz podpisu swojego nazwiska, piórem po polsku wyciągnąć.

Ten to Marcin Budzisz był sam jeden w gromadzie innego zdania niż wszyscy obecni. Wyszedł tedy na środek i twierdził, iż jeno Bóg sam jeden ma wszelką siłę i On to jeden daje ludziom, jeżeli się do Niego szczerze modlą, moc sprowadzania chorób, a więc tak samo tylko przez mocną wiarę i żarliwą modlitwę może człowiek chorobę usunąć.

Lecz to przymówienie się Marcina Budzisz za żadnego nie wywarło wrażenia. Gdy do godziny dwunastej w południe puchlina nie zeszła i bóle nie ustąpiły wcale, tłum chałupianów na rozkaz ostateczny Kamińskiego, wśród strasznych krzyków, w szale bezprzykładnego gniewu wrzucił Ceynowinę na wóz powtórnie i wspólnym biciem popędzając konia zawiózł nad morze i wepchnął do łodzi. Oczy były od szału wywalone i wściekłe. Gardziele zaschły od krzyku. Pięści były zaciśnięte i każda chwytiała za kamień, kołek, nóż lub powróż.

Zdarto z czarownicy szkaplerz, ażeby jej już nie bronił, i dano jej wypić po wtóre szklanecę święconego wina. Gdy łódź, odepchnięta od brzegu wiosłami kilku tęgich rybaków, wybiegła na morze, tłum na brzegu zawył, żeby czarownicę wrzucić w wodę co prędzej. Tak się też stało. Dwaj najtężsi maszopi stojąc okrakiem na poganiaczach łodzi podźwignęli za ramiona i nogi bezwładną kobietę, rozhuścili ją w powietrzu i cisnęli daleko we wodę. Opita od święconego wina i pozbawiona szkaplerza, poszła na dno jak kamień. Tłum chałupiański na brzegu uradował się nie pomału widząc, iż morze wchłonęło nareszcie występłą. Rozchodzono

się już zwolna, gdy rybacy wyciągnęli długą liną trupa topielicy. Pozostawiono go z pogardą na piasku wybrzeża ku podziwowi morskich wron i przestachowi kulików.

We dwa dni później, powziąwszy wiadomość o karze, przybyła do Ceynowy starsza córka utopionej czarownicy, Anna, służąca w Gdańsku. Zamieszkała w domu matki z nieletnim rodzeństwem. Anna była w ostatnich dniach ciąży. Tłum mieszkańców Ceynowy poczytywał całą rodzinę skazanej za ród czarowniczy. Przeciwno Annie zwróciła się powszechna nienawiść. Żony rybaków podchodziły pod okna chaty wykletej i wyzywały Annę śmiercią jej grożąc, albowiem medyk Kamiński oświadczył, że i Anna jest czarownicą, kto wie, czy nie gorszą od matki.

Gdy zaś Kamińskiego i dziesięciu ojców rodzin odprowadzono pod konwojem wojskowym do inkwizytoriatu w Kwidzynie, nienawiść do Anny wzrosła dziesięćkrotnie. Pewnego dnia Piotr Kąkol, syn Marcina, którego zamknięto w grudziądzkim więzieniu, rzucił się na Annę Ceynowiankę z rydlem i zadał jej w głowę rany tak ciężkie, iż się w niebezpieczeństwie życia znalazła.

Zdawało się jednakże, że diabeł po śmierci starej Ceynowiny nie ma już nad Chałupami władzy tak mocnej jak przedtem. Nie miał już, widać, nikogo, kogo by mógł obdarzać nad-siłą do szkodenia ludziom w tej wiosce. Spokojnie miały fale morza srebrzyste wodne pyły na jasne piaski wybrzeża.

Rybak bez trwogi wybiegał na tonie dalekie i ufnie zarzucał sieć w morze. Aliści pewnego dnia posłyszano ze drzeniem, że pewna kura, chodząca po dziedzińcu rybackiego osiedla, poczęła w biały dzień pisać jak kogut najjęźszy.

Przerażenie ogarnęło wszystkie kobiety w Chałupach. Była to bowiem rzecz bardziej niż oczywista, iż duch utopionej czarownicy Ceynowiny, będący ze Smętkiem w komitywie, wcielił się w kurę, w niej się schował i spokojnie błąka się po wsi. Z tego zaś wynikało przecie, iż w domu, po którego podwórzu taka kura chodzi i pieje, ludzie po kolei będą wymierali. Zwołani z morza rybacy przybiegli na miejsce. Cała ludność zebrała się na nowo. Radzono. Takie i owakie były zdania. Wreszcie w uroczystej procesji wyruszyli wszyscy obecni w kierunku kurnika, w którym zaczarowana kura się kryła. Odnaleziono ją, zbadano i stwierdzono na mocy zeznań świadków, iż z wszelką pewnością to ta właśnie piała jak kogut.

Wówczas procesja mężczyzn i kobiet wyniosła kurę opętaną od diabła za wieś, nad morze. Tam w lesie odnalazłszy stare, suche drzewo związano kurze diabelskie pazury i obróciwszy jej łeb na dół powieszono za nogi na suchej gałęzi. Długo nie chciał Smętek opuścić swego nowego mieszkania. Długo kura trzepała się zawzięcie. Czekano cierpliwie całą gromadą, dopóki w oczach wszystkich urzeczona kura nie wyzionęła podłego ducha, skażonego przez obrzydliwego inkuba. Dopiero gdy z rozwartego w dół dzioba wyskoczył w piasek diabeł, jego sztuki do pewnego czasu i stopnia wytępione zostały na Chałupach.

OTTO VON ARFFBERG

Łódź podwodna „U. 72 a” stała gotowa do drogi w gdańskim schronisku. Od dwu tygodni przymusowo tutaj gościła, dowlókłszy się z Bałtyku do najbliższego punktu oparcia, dla reparacji pewnych uszkodzeń swoich w jednej z komór water-ballastu. Uszkodzenie powstało z drobnej przyczyny: mały kamyczek okrągły, wielkości mniej niż gołębiego jaja, nie wiadomo jakim sposobem przedostał się do jednej z robinet, przez które komory obciążające łódź wodą komunikują się bezpośrednio z otchłanią morza. Kamyczek ów zapał otwór i gdy powietrze ścięśnione, pchnięte z basenów przez kierownika łodzi, nie mogło podolać zadaniu wydalenia całkowicie brył wodnych z komory o zatkany otworze, ściany tego naczynia doznały uszkodzeń, rozluźnień i skrzywień. Doprowadzona przez mechaników stoczni do porządku łódź była gotowa i sprawniejsza w każdym ze swych organów, bardziej niż kiedykolwiek.

Komendant tej łodzi, kapitan Otto hrabia von Arffberg-Dusemer skorzystał z czasu nieuniknionego postoju jego statku i odwiedził rodzinę w majątku dziedzicznym na kaszubskim Pomorzu. Dwutygodniowy termin przebiegł mu jak jedno niepostrzeżone mgnienie żrenicy. Młody oficer nie zdołał oczu przetrzeć, gdy już trzeba było wracać na oznaczoną w rozkazie z góry godzinę i minutę. Wrócił oczywiście na oznaczoną godzinę i minutę bez chwili opóźnienia. Na odjezdnym mówił do sąsiadów i znajomych, którzy go zegnali, iż czuje się wyrestaurowanym, silniejszym i pewniejszym po przebytych miesiącach w otchłaniach oceanów i mórz - bardziej jeszcze zimnym, doskonałym i gotowym do czynu, zupełnie jak jego ukończona „U. 72 a”.

W takim właśnie nastroju lustrował statek od końca do końca, od wyrzutni torped, poprzez izbę załogi, pomieszczenie akumulatorów, nawę centralną, kotłownię, maszyny, motor elektryczny, skrytkę oficerską i kesony zabezpieczające. Oglądał okiem znawcy i poskromiciela owe wewnątrz statku dzikie zwierzęta uśpione, które drzemały posłusznie, gotowe ocknąć się i wybuchnąć na każde jego skinienie w głębokości siedmiu metrów pod wodą. Gładził dłonią olbrzymie cylindry, potężnie nitami skowane, leżące wzdłuż ścian łodzi, lufy gruboskórne, w których wnętrzu zawiera się powietrze ścięśnione, owa siła fundamentalna istnienia, oddechu, działania, zanurzania się i wypływania, a wreszcie moc zadawania śmierci wrogom. Lustrował manometr, dobrotliwy, ostrzegawczy i wskazujący znak, czy dosyć jest dla oddechu powietrza, czy ono jest dostatecznie czyste i jak długo jeszcze trwać może wędrówka pod wodą. Oglądał szczegółowo ster i wały śruby okrętowej, lśniące od pracy i tłuszczu - tudzież sześć poziomych, siostrzanych sterów do zamykania i otwierania water-ballastów. Od nowa, pieczołowicie badał swe drogocenne delikatne i precyzyjne przyrządy, z którymi zrósł się był, stowarzyszył, zbratał jak z własnymi rękoma, zębami, słuchem i wzrokiem. Obejrzał dokładnie sześć swych torped i oko wszechwidzące - peryskop. Wszystko było na wyżynie dosko-

nałości, zaiste bezgrzeszne, niezrównanie czyste, sprawne w ruchu czy czekaniu i gotowe. Armaty na pokładzie, namaszczone tłuszczem, zdawały się salutować wodza. Ekutyla zatrzaśnięta główne wejście, ze śrubami i mutrami zlustrowanymi aż do wydalenia najlżejszego pyłu, stała otworem. Wypróbowana załoga z dwudziestu ludzi precyzyjnych, sprawnych w akcji, o sercach ze spiżu, nieulekłych, zimnych, zaprawionych w ogniu i wodzie tak doskonale jak peryskop i manometr, stała w szereg idealny wyciągnięta, oddając pozdrowienie żołnierskie z radosną ekstazą.

Drugi oficer łodzi, Konrad Klang, przechadzał się spokojnie wzdłuż wąskiego zewnętrznego chodniczka na przestrzeni kilkudziesięciu metrów pokładu. W chwili gdy hrabia Otto wszedł z brzegu po kładce na statek, uściśnął w milczeniu rękę Konrada Klanga. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Jakieś półgłosne mruknięcie wystarczyło obudwu za długość powitalnych wyznań i objaśnienia szczegółów. Pewne spojrzenia, blade lub drwiące półśmiechy, błysk źrenicy lub poruszenie brwiami wskazywało ten lub ów drobiazg, gdy zeszli na dół z kiosku komodora do wnętrza. Tam oto coś wyczyszczono na nowo, złożono inaczej papiery, wyprostowano ową zmiętą mapę, zaopatrzone dwa sąsiadujące ze sobą łóżeczka oficerów w nowe, iście dziecięce, poduszeczki z inicjałami haftowanymi bladoniebieskim jedwabiem. Ta oto z koroną - dla Jego Wysokości pana Hrabiego. A ta druga, z ordynarnie demokratycznym KK - dla nizinnego Klanga.

Wrócili obadwaj do „nawy” i przez chwilę stali pochyleni nad dolnym zwierciadłem peryskopu. Z cicha jeden po drugim jęknęli na myśl, że oto znowu skazani są na swe wzajemne przymusowe braterstwo wewnątrz tej hermetycznie zakorkowanej butelki.

- A więc znowu, Otto... - mruknął Klang.

- Znowu, mój stary.

- Naniósłeś tu jakiegoś leśnego powietrza...

- Leśnego powietrza... - powtórzył hrabia Otto z bladym, nader bladym uśmiechem. Tak radośnie było oddychać, jeśli nie leśnym, to prawdziwym powietrzem! Świadomość, że się nim jeszcze oddycha, uczyniła je nieskalanym, drogim, miłym, radosnym, a nawet „ojczystym”. Nie mówiąc o tym do siebie, z tej właśnie cechy powietrza uśmiechnęli się z drwiną łagodną. Trzeba było dać rozkaz. Toteż komodor Otto von Arffberg dał rozkaz. Kładkę odsunięto. Z trzaskiem upadła na kamienie bulwaru. Motorniczy puścił w ruch dźwignie benzynowe, dające szybkość znacznie większą niż elektryczne, i łódź drgnęła, zbałwaniała wodę dookoła siebie, a potem szybko posuwać się zaczęła wzdłuż obmurowanych brzegów Wisły. Mijała rozmaite statki spoczywające w przystani i jak pocisk wysunęła się w morze.

Nadchodził wieczór marcowego dnia. Brzegi było jeszcze widać. Żółte wzniesienia, rude pochyłości, lasy, niziny... Otto von Arffberg odwrócił się w stronę tych brzegów i patrzył, jakby miał nadzieję, że tam coś dostrzeże. Ale widok dalekiego lądu chwycił go zbyt mocno za gardło. Pętla stryczka nie ścisnęłaby mocniej! Komodor odwrócił się raptownie i ze zmarszczoną powieką patrzył w morze. Złoty wodny wznosił się wokół, chlaszcząc swymi gładkimi ciałami stalowe boki łodzi nieustraszonej. Złośliwe piany raz wraz, z prawej i lewej strony, przelatywały przez wąski pokładzik.

Ruchliwe krople zdawały się być uosobieniem ciekawości, chytrym badaniem i szpiegowskim wywiadem morza o tym żelaznym stateczku. Dwaj oficerowie stali jeszcze w kiosku komendanta pojąć się powietrzem. Żołnierze przemykali się chyłkiem, bez szelestu po chodnikach i wzdłuż balustrady, niby to załatwiając jakoweś czynności, coś tam ścierając, czyszcząc, za-

wzięcie polerując, a w gruncie rzeczy również ostatnie łyki czystego wiatru podkradając. Składany komin dymił bujną, niebieskawą sadzą gazów Diesela, a zewnętrzny ster, nieruchomy jak nastawione skrzydła okonia, kierował łódź na zachód. Na zachód! W tę stronę, gdzie zdawała się zwiśać czarna kurtyna, za którą wrzało tajemnicze życie walki nigdy nie mającej mieć końca. Wnet Zatoka Gdańska została w tyle. Hel począł uchylać się w piany. Wystrzeliła przed oczy szczecińska smuga ziemi, w oddali już przez noc pochłonięta. Ostre zimno przejęło obudwu oficerów. Zeszli do wnętrza i, nie zamykając jeszcze zawory, a wciąż posiłkując się motorem gazowym, bezpiecznie i szybko płynęli w swą stronę.

Gdy Konrad Klang zaglądał wciąż tu i tam, dawał gderliwe, zrzędzące i szorstkie dyspozycje załodze, wszyscy wyznaczeni do specjalnych obserwacji i ruchów czynili swą powinność ze spokojem i dokładnością maszyn, a kucharz okrętowy, biały jak paulin, w swym przezroczystym laboratorium przygotowywał w świetle lamp elektrycznych zimne potrawy, układając je czystymi rękoma na skromnych naczyniach - Otto von Arffberg przeszedł niepostrzeżenie do maleńkiej kajutki oficerów i na składanym stołku spoczął przy swym pośłaniu. Zakrył twarz rękoma i w skamieniałej postawie rozważał i oglądał swe sprawy wewnętrzne.

Ogarnął go całego, z nagłą jak paraliż - żal niestrzymany, niezwalczony. Silny oficer wiedział, że nie miejsce to przecie i nie chwila na upust i wylewy takiego uczucia, lecz na skutek kontrastu, istniejącego w naturze i konstytucji człowieka, właśnie tego niestosownego i karygodnego uczucia zdławić nie mógł. Ujrzał przed sobą, ujrzał żywym wzrokiem białą ścianę starego pałacu, Fryderykowski pamiętającego czasy, ścianę zagłębioną w ciemny park, jakby się, żywym obdarzona czuciem, tuliła w drzew objęcia.

O, drzewa! Jakaż mowa wypowiedzieć by mogła wspomnienie ich szumu!... Olbrzymie świerki o konarach rozpostartych po ziemi, po szorstkim, nagim, zimnym gruncie, gałęzie wielkie i dalekie, obwieszane włochatymi kiściami! Szczyty kołyszące się wśród obłoków marmurowych, przepływających nisko nad ziemią! Samotna jodła chwieje się tam wśród pustej, rudej łąki. Pień jej, niebieski prawie, przechodząc w szczyt uschnięty podaje się naprzód i w tył, wahadło żalu w tym ciemnym ogrodzie. Nasunął się przed oczy ów park równie stary jak pałac. Niektóre zaś w nim drzewa stare są pewnie jak okoliczne góry. Rozesłany między cudnymi Pomorza wzgórzami, na ogromnej, wielomorgowej przestrzeni, połączył się z lasami, które po górach płyną w dal jako jedna wielka chmura. Długie aleje lip otwierały się przed oczyma rozcinając park na połowy. Nad smutnym, ciemnym basenem, leżącym w kamiennym łożysku, stały te drzewa obumarłe. Szelest wody spadającej ze zbiornika do niszy kamiennej, wyciosanej w wielkim głazie, łączył się z szumem, który wydają na wietrze konary drzew odartych z listowia. Za alejami lip z prawej i lewej strony rozpościerały się półkola iglastych olbrzymów, w czarną masę zwartych, straszących ludzi szumem swym w noc marmurowe. Przypominały się puste łąki, na których samotne, porzucone jodły lub dęby, praszczury tej okolicy, tały w kształtach swych nieodgadnioną dumę czasów, wzgardliwą na wszystko ludzkie obojętność, a przecie wszystko ludzkie pociągającą ku sobie.

Daleko trzeba było iść, ażeby trafić do tajemnicy tego parku cudnego. Wśród najstarszych świerków, czarną gęstwiną zarastających płaszczyznę podaną ku górze, nagle trafiało się na tajemnicę: olbrzymia marmurowa tafla leżała wśród drzew na ziemi, lśniąca i czarna. W cieniu poddrzewnym rzucały się w oczy wielkie złożone litery świadczące, iż tu leży pochowany hrabia Rudolf von Arffberg-Dusemer, kawaler żelaznego krzyża, porucznik huzarów, dwudziestopięcioletni młodzieniec, który zginął na polu chwały kędyś w głębi Polski rosyjskiej.

Widok w marzeniu tego samotnego grobowca, który w sobie ukrywał zwłoki bohatera, na nowo dreszczem rozkoszy serce przejął. Omdlało na nowo i umierało w sobie skurczem radosnym. Oczy widzą dokładnie ciemną taflę grobowca. Ręka przesuwa się po płotku drewnianym z gałęzi świerkowych, po szorstkich sęczkach i igłach. Wyrywa się z piersi szloch głęboki:

- Rudolf! Odpuść!

Ale odpowiedzi nie ma i odpuszczenia nie będzie. Milczenie zalega.

Woda morza szumi za grubymi szklami okienek. Szybko lecą posłuszne fale. Snują się bielejąc w nocy jako kształt wciąż jednaki. Milczenie zalega.

Otto von Arffberg ujął głowę swą w obie ręce i trzymał ją tak oburącz, żeby w niej wszystko na wodzy i w ryzach utrzymać. Chwilami bowiem wybuchała w nim męka, jak erupcja przepotężnej, niszczącej wszechmocy. Młody komodor przeciągał ręce po twarzy i przecierał oczy. Nachylił się do szyby okienka i wodom lejącym ku wschodowi powierzał to imię szaleństwo swej duszy:

- Teresa!... Oto krótka tej sprawy historia:

Teresa była żoną poległego Rudolfa, przyrodniego brata Ottona von Arffberg. Gdy komodor Otto był na wyprawach dalekich przy pobrzeżach Ameryki w Oceanie Atlantyckim i tam zatapiał okręty amerykańskie, francuskie, angielskie, nie wiedział wcale, że brat jego poległ, że zwłoki jego przywieziono z głębi Polski i złożono w parku rodzinnego miejsca. Ojciec obu dwu braci, starszego Ottona i młodszego Rudolfa, już nie żył. W pałacu mieszkała macocha Ottona z Teresą, żoną Rudolfa, poślubioną przezeń na sześć tygodni przede śmiercią. Młode małżeństwo żyło ze sobą zaledwie parę tygodni.

Gdy Otto przybył na wieś, ażeby kilkanaście dni zabawić, pierwszy raz zobaczył nową swoją bratową a już wdowę, Teresę. Teresa nosiła żałobę po mężu nie tylko zewnętrznie, za pomocą sukien, lecz żałobę duszy. Kochała zabitego równie głęboko, jak kochała swego żywego małżonka, poślubionego z szalonej, wzajemnej miłości. Była sama jedna w ogromnym pałacu, w ogromnym parku, z tą nieudźwignioną płytą marmuru. Położyły ją na grobie ukochanego junaka obiedwie: - nieszczęśliwa matka hrabina von Arffberg i nieszczęśliwa wdowa. Teresa biegała co dzień na grób męża - rano, nad wieczorem i w nocy; wy klęczała tam doły w ziemi czarnej, wilgotnej, łzami wymywała nieubłagane żłobowiny napisu. Pod pokrywą spokoju, nałożonego na twarz jak maska, za pospieszną gmatwaniną zajęć domowych, za zasłoną lektury, muzyki - tała się straszliwa zgnilizna uczuć żałobnych, bez początku i końca, bez przyczyny i celu. Wlokło się w dal umieranie duszy, brodzenie w koło po topielisku bezpowrotnej i bezcelowej tęsknoty. Książki nudziły Teresę, muzyka ją rozdrażniała, rozmowy z ludźmi napawały taką do dwunogich zwierząt odrazą, iż wołała stokroć szum drzew i szmer wody, polot marcowych obłoków i dalekie rzenie koni. Jedyne pisarz, który z nią rozmawiał językiem zrozumiałym, to był hrabia Fryderyk von Hardenberg, który się przezwał Novalisem. Rozumiała jego wiersze pisane po stracie narzeczonej. Lubiła powtarzać sobie podczas błędnych w parku wędrówek naiwne słowa:

Immer wachst und bluht Verlangen Am Geliebten festzuhanen, Ihn im Innern zu empfangen, Eins mit ihm zu sein.

Seinem Durste nicht zu wehren, Sich im Wechsel zu verzehren, Voneinander sich zu nahren, Voneinander nur allein...

Ale i te słowa nie zawierały w sobie ani cienia istoty rzeczy, ani podobieństwa uczuć rzeczywistych. Nie był to *Gesang der Toten*, jak zapewniał tytuł utworu. Wiał z tego zbioru brzmień

snobizm żywotny, jakże niepodobny do śpiewu umarłych, który huczy w duszy kochającej na ziemi - pustej po stracie! Lecz słowa te przymilały się, łasiły, schlebiały duszy samotnej spletem swym sztucznym, artystowskim, zrobionym na urząd. Więc powtarzała je sobie w ciszy parku i lasów jak zapewnienie o wierności sługi dobrze wyuczonej. Leciały dokądś, wciąż dokądś niepowstrzymane obłoki, przesywał serce świerków bezlitosny poszum nocny, darła je woda, przelewająca z miejsca na miejsce wiekuiłą swoją beztroskę. A sprawa była zawsze ta sama, ta sama jak kamień przywalający zwłoki Rudolfa von Arffberg, jak napis na tym kamieniu wiekuiłą wyrażający bezlitość wszechrzeczy. Teresa nie czuła się tutaj na ziemi z niczym związana. Czuła się tak samo kosą podcięta jak Rudolf. Z nim żyła w małżeństwie, ale nadmiernie dalekie rozdzieliły ich przestrzenie. Nieraz w wietrze zimowym, szczególnie na samotnych wśród lasu wyprawach, słyszała jego głos brzmiący tuż, obok skroni. Zdawało się, że on wydaje jakieś grzmiące rozkazy. We snach bardzo często czuła jego pocałunki. Słowa płonące od miłości wpadały w jej usta niby ogniste języki. I znowu, po otwarciu powiek, nastawało milczenie.

Dzień spychał dzień i tydzień spychał tydzień. Gdy przyjechał Otto, chodzili na grób Rudolfa we dwoje. Łączyła ich miłość do zmarłego - ją małżeńska, jego braterska. Siadali na skraju płyty i trawili godziny w milczeniu albo wypowiadali wyrazy nieliczne - jakąż bowiem mowa mogła ich żal wyrazić? Toteż dyskutowali nieraz o rzeczach obojętnych. Otto opowiadał Teresie o swych wyprawach tak dziwacznych, fantastycznych, straszliwych, jak o rzutach w oceanie rekina z ludzką duszą, w jednej osobie piraty, bersekiera i rycerza z bajki. Słuchała go z dziecięcym półuśmiechem, z panieńskim zalęknieniem, na poły wierząc, iż takie sprawy mogły się w istocie wydarzyć.

Zbliżyli się wtedy i zespolili duchowo jak brat z siostrą - w ciągu trzech dni zaledwie. Oto był wreszcie na tej ziemi człowiek, któremu mogła powiedzieć wszystko, co czuje, wyrazić wszystek żal i nie tylko żal, lecz wypłakać łzy nurtujące w głębi serca - wyznać krzywdę swoją - zanieść skargę na los - wypowiedać się w małych a wszystko obejmujących słowach, w niemądrych a głębokich okrzykach, w krótkich powieściach, w spojrzeniach, w westchnieniach, w przemilczeniu. Wszystkiego wysłuchał. Wszystko umiał zrozumieć, jak sędzia, doradca, nauczyciel, pocieszyciel, lekarz - bardziej niż brat, bo prawdziwie jak siostra.

Jak we śnie Teresa szła z nim codziennie, rano i wieczorem, za dnia i w nocy na grób męża i jak we śnie niepojętym tam z nim przebywała. Byli razem we dwoje. Byli trzema osobami, a jedną jedyną duszą. Gdy zimne marcowe noce ścisnęły ziemię, a wiatr przenikał park opustoszały, Otto otulał Teresę płaszczem i przyciskał ją do swego serca mocnego. Nie pozwalał drzeć i jęczeć bez miary. Zakazywał płakać, gdy zbyt długo płakała. Ocierał łzy i zmuszał do uśmiechu. Gdy zaś nie mogła wydobyć ze siebie ani cienia uśmiechu, wycisnąć słowa ulgi nakazywał w imieniu Rudolfa. Nachylali się wraz obydwójce i na zimnym kamieniu składali pocałunek długi nieskończenie, jakoby na czole marmurowym bohatera. Po czym mogła spokojniej podnosić na niego oczy i patrzeć w źrenice surowe, „bersekierskie”, aż do cichego i łaskawego na ustach uśmiechu. Przytaczał jej wtedy o Rudolfie zabawne historyjki z dzieciństwa, z młodości, ze szkoły wojskowej, opowiadał szczegóły z życia młokosowskiego w stolicy, gdy jej obadwaj wcale jeszcze nie znali. Podniecał w niej miłość do Rudolfa, do nieszczęśliwego, rannego, konającego, który śpi teraz w ziemi zimnej, w grudzie nieubłaganej, pośród głązów i korzeni drzew - sam jeden w nocy ciemnej. Sam wówczas gorzko płakał. A podniecał miłość Teresy do Rudolfa, z cicha cedząc przez zęby słowa tegoż Novalisa:

So in Lieb und *hoher Wollust*
Sind wir immerdar versunken...

Zdarzyło się na piąty dzień pobytu młodego marynarza w domu rodzinnym, że jak zwykle wyszedł nad wieczorem z Teresą „do Rudolfa”. Był ostry chłód, śnieg w postaci gruboziarnistych krup zjadliwie z boku zacinał. Niedługo też mogli być na grobie. Wyszli z parku przez boczną furtkę i udali się w las otaczający. Lasy tamtejsze okrążały pałac wokół, milami szły w głąb kraju wieszając się po okrągłych wzgórzach i spływając w zaciszne doliny. Otto i Teresa szli szybko pierwszą napotkaną drogą. Droga była równa jak po stole, świetnie wyszutrowana, zbocza wzgórz opasywała niepostrzeżenie swą półkolistą pochylnią, toteż obydwójce daleko zabrnęli. Trafili na istne ostępy jednakich gęstych sosen, które zwartym stojąc borom tworzyły ciemnicę groźną i milczącą. Suche mchy szare wisiały na tych jednakich, złowrogich drzewach i zeschłe igły żółkłym pokładem zaścielały ziemię, mimo iż śnieg był w powietrzu i na gruncie od rana. Odpychająca groza wiała z tej głębi czarnej, głuchej, pełnej tajemnicy. Teresa odstała w tył, nie mogąc oderwać oczu od tej połaci boru schodzącego dokądś w dół jakby w przepaść daleko głębszą, niż była w istocie. Otto podał ramię bratowej i prosił, żeby się ciepłej płaszczem okryła. Wrócili.

Powrotna droga wydała im się krótszą i jeszcze bardziej łagodną, niż ją poznali idąc w tamtą stronę. Pomykali szybko, bo już mrok schodził. Ale w połowie drogi do pałacu śnieg zaczął ciąć coraz gwałtowniej i przelatująca burza śniegowa zmusiła ich do zatrzymania się na czas pewien. Obok drogi były w zboczu góry dawne kamieniołomy, zaniechane już, widać, gdyż żółkła trawa zarastała dno areny wyszarpanej w wapiennym zboczu pagórka. W głębi tego boiska stały jeszcze pieczary po wyłupane j caliźnie, a nad nimi zwisał kozuch ziemny, na którym rosły dzikie tarniny, głogi i krzewy. Otto sprowadził Teresę w to miejsce, ażeby burzę przeczekać w ukryciu. Usiedli na złomie wapieniaka, pod pokrywą zwisającej gleby, w głębi płytkiej framugi. Szelest ostro sypiącego śniegu zawierał w swych wzniesieniach i kadencjach jakby jakąś przygłuszoną melodię, której słuchem najbardziej wytężonym nie podobna było pochwycić. Było to echo czegoś znanego, wiadomego, swego...

Nic nie mówiąc do siebie, słuchali tego głosu. Nie mogli poruszyć ręką ani nogą, odwrócić na bok głowy. Bali się podnieść oczu, przemówić słowa. Objęło ich niewypowiedziane przeżenie. Wionęło na nich zimno śmiertelne, od którego krew stanęła w żyłach. Nie wiedzieli, co to jest, jak to odepchnąć od siebie - jak to nazwać, gdyby o tym mówić wypadło. W skostnieniu obopólnym milczeli. Śnieg szybko ubielił ziemię, zasypał drzewa w górze i przyskał w twarze szorstkimi kryształami. Knieja zbiegająca ku dołowi westchnęła wszystkimi wraz drzewami, Otto poczuł, że krew zalewa mu szyję, twarz, czoło. Zdawało mu się, że za chwilę zemdleje z rozkoszy i ze wstydu. Wolałby był, żeby ów ktoś, co w jego chyże czucia i spłoszone myśli patrzył z szyderstwem, żeby ów nie-zwalczony instygator rzucił między oczy rękawicę zniewagi. Wolałby był, żeby go chlasnął publicznie w twarz, żeby go znieważył wśród ludzi, niż to duszące, nieme sam-na-sam z bratem umarłym. Ale poznał, że to wszystko i tak na nic.

Przyszło mu na myśl - przez chwileczkę - czy też ona -wie? Nie mógł spojrzeć. Nie! To było nad siły. Toteż nie odwracając głowy w jej stronę mruknął:

- Trzeba będzie jednak pójść, gdyż to nie nacichnie tak szybko.

Słuchał, co odpowie. Stulecia minęły, a ona nie mówiła ani słowa. Ani słowa! Ani słowa! Ani słowa! Wstała wreszcie i zawięła się w płaszcz. Nareszcie, już było po wszystkim. Poszli

szybko. Teresa biegła. Po ciemku trafiła do furtki, która za nią głośno w mroku trzasnęła. Skręciwszy w lewo znikła między gęstwiną świerków prastarych. Idąc jej śladem, krętą uliczką Otto przybył do grobu Rudolfa. Ciemno już było, ale pod nawisłością konarów po blask zorzy przeświecał. Otto zobaczył Teresę leżącą wzdłuż całego nagrobka. Jak na łożu. Chciała, widać, objąć zmarłego małżonka pieszczotą miłosną, ogarnąć go barkami, osaczyć sobą, pod plecy mu szpony precudnych dłoni podesłać. Ale drapieżne szpony miłości trafiły na szeroki - szeroki skrzyżał polerowanego marmuru. Toteż się te ręce rozpadły krzyżem, a rozpalony policzek przypadł do liter bez litości, bez miłosierdzia wyżłobionych w kamieniu. Tyle jeszcze było półświatła od zorzy, że Otto widział zarys nóg odsłonionych spod krótkiej sukni, spod płaszcza w upadku rozrzuconego, kształt niewymownego uroku goleni aż do kolana widoczny. Teresa była tak bezwładnie i bezsilnie rzucona na płytę, ręce jej i nogi były tak bez wdzięku i świadomości poniechane, że Otto powziął myśl, iż pewnie serce jej pękło i umarła.

I wtedy głęboko zapragnął, żeby raczej była umarła na sercu i w objęciach brata. Powziąwszy ten wybieg tchórzowski czekał spokojnie, oparty o płótek z gałęzi świerkowych. Ciemność schodziła zupełna. Mrok się rozpostarł i wchłonął w siebie Teresę. Tylko bledy zarys nogi w jedwabnej pończosze jako jedyny ślad istnienia Teresy wynikał jeszcze z ciemności. Drżąc na całym ciele jak w ataku konwulsji Otto von Arffberg minął drzwiczki w ogrodzeniu i usiadł na krawędzi płyty marmurowej. Położył rękę na dłoni Teresy i zamknął tę dłoń w swej ręce. Niestety! Nie umarła. Więc wstał ze swego miejsca nachylił się i podniósł bezsilną z tej bezlitosnej płaszczyzny. Leciała mu przez ręce. Głowa jej nie trzymała się twardo na szyi. Nogi były bezwładne. Objął ją ramionami i postawił na ziemi. Westchnęła. Wziął w swe ręce jej głowę czarującą, owianą jasnymi włosami. Nachylił swą twarz do jej twarzy i zaglądał w niewidzące oczy. Ach, jakąż poczuł rozkosz składając usta na cudnym licu i czując w wargach ostry, słony smak łez płynących spomiędzy rzęs zmoczonych! Trzymając Teresę w objęciu i przytulając ją do serca, nie ciało ludzkie obejmował rękoma, lecz kształt widomy niepojętej miłości, na którą skazany jest ludzki gatunek. A poruszenia jej niewinne w swym ślepym zaufaniu, oddające całość istnienia dla zdobycia ulgi, nie były to czucia cielesne, lecz czarujące w swej tajemniczości, wzniosłe w swym życiu, nieskazitelne w swych objawach odruchy przeczystej duszy. Śnili obydwójce sen ukojenia, gdy ciężka, bezwładna głowa upadła na piersi brata, a ręce oparły się na jego ramionach. Gdyby Otto obnażył ją albo nawet fizycznie posiadał w tej chwili, Teresa nie opierałaby się wcale. Była jak obłok zmęczony długą w wichrach podróżą i temu innemu wichrowi, który z obcej strony nadleciał, podwładny. Gdy osuszał rozżarzonymi ustami jej mokre policzki, nie czuła tego, że ją całuje. Te pocałunki były jak gdyby czynnymi słowami ukojenia i uciszenia, trzeźwiącym potrąceniem w lodowatej cierpieniu kostnicy. Dla niego cóż mogło być ponad tę rozkosz wyższe? Nic - zaiste.

Nie wiedział, gdzie są oboje. Nie wiedział, kto on jest: - Rudolf czy Otto? Szli ku domowi bezwładnymi krokami, w milczeniu. A nim doszli do drzwi pałacu, ścieżką zachylającą się w prawo i w lewo, dokonało się dzieło straszliwe, defloracja duchowa Teresy, choć nie zbliżyli się do siebie i nie dotknęli się do siebie nawzajem ani nawet krajem szaty.

Otto von Arffberg siedząc w małej kajutce oficerów łodzi podwodnej rozpamiętywał szereg dni następnych, tydzień upłyniony - jako jedną fugę szaleństwa. Dnie i noce, sen i czuwanie było to jedno pasmo bytowania w zaświatach uczucia. Nie umiałby powiedzieć, ile chwil czy ile tysięcy lat trwały te dnie i jakie wieczności zamknęły się w minutach tęsknoty za wido-

kiem Teresy. Miał nieustające widzenie jej postaci, jeżeli nawet była daleko, poza obrębem pałacu lub w innych pokojach. Poznawał jej nadejście po furii serca i po zamieraniu oddechu. Poznawał jej odejście po pustym bólu w głowie i po śmiertelnym żalu, który trupa błądź na jego twarz sprowadzał.

Wielokroć chodził sam na grób brata. Stojąc nad jego mogiłą usiłował kajać się, wydobyć ze siebie skrucę, wyłamać z głębi żal, wyważyć wszystką pracą ducha wyrzeczenie się siebie. Ale skrucza skamieniała, żal nie imał się serca, wyrzeczenie się zgasło jak płomynek bezsilny. Wszystko pochłoneła piękność Teresy. Wszystko zginęło w niezwalczonym uroku spojrzenia jej błękitnych oczu. To, co się zdarzyło w ciągu następnych dni, było już tylko logicznym następstwem dokonań wewnętrznych.

Pałac od strony ogrodu miał kształt podkowy. Dwa jego boczne skrzydła stały naprzeciwko siebie. W tych dwu skrzydłach mieściły się sypialnie i pokoje gościnne, podczas gdy główny, środkowy korpus pałacu zawierał salony i jadalnie. Miejsce zawarte między skrzydłami i korpusem gmachu wypełniły kwietniki i gazony z egzotycznymi krzewami. Otto miał z dawna pokój w prawej oficynie. Teresa z teściową mieszkała w lewym skrzydle pałacu. Tak więc dniami i nocami przebywali naprzeciwko siebie. Jednego wieczora Otto poprosił Teresę, aby idąc na spoczynek nie zasłaniała okna. Po chwili jął prosić, żeby stojąc za światłem zrzuciła ze siebie suknie i bieliznę. Sam tego wieczora nie zapalił światła w swoim pokoju. Teresa posłusznie oświetliła jaskrawo swój pokój, nie zapuściwszy firanek. Silnie płonąca lampę postawiła na stolyczku przy oknie, a sama zupełnie obnażona wysunęła się na tło ciemnej kotary. Nikt nie mógł jej widzieć z dołu ani z głębi ogrodu. Tylko ciemne okno z przeciwka wlepilo w nią swe nienasycone otchłanie. Następnego dnia nie spotkali się przy wspólnym śniadaniu. Otto był od rana gdzieś w lasach. Służący jego mówił, iż pan hrabia poluje. W gruncie rzeczy hrabia Otto przebiegał drogi i ścieżki leśne, zmagając się z potężnym wiatrem, który tego dnia nachylał połacie drzew i wiał wszystkimi dolinami. Zmagał się również ze sobą, usiłując potężnym zmęczeniem fizycznym, przebieganiem ze wzgórz na wzgórze, cwałem wzdłuż dolin wzniesionych ku górze, gdy silny wiatr w twarz go smagał, pokonać w sobie bestię rozszalałą. Skoro o zmierzchu wrócił do domu, polecił lokajowi, żeby zapytał panie, czy do nich przyjść może. Przyszedł zaś niewesoły, wzburzony, dziwny, prawie niegrzeczny. Wyrzekał długo przed macochą na zły stan gospodarstwa w majątku. Gdy macocha usiłowała wytłumaczyć mu przyczyny wielu owych niepomysłnych objawów i wyszła do sąsiedniego pokoju po jakieś papiery, wsunął Teresie w rękę małą karteczkę. Na tej karteczce była wypisana drobnym pismem marszruta poprzez pokoje bawialne i korytarze w jego oficynie. Po prostu kazał jej przyjść do siebie, wszystko urządziwszy przezornie, po rozesłaniu w różne strony fagasów. Jak w ordynarnym romansie, zawołał ją do siebie. Na pospolitą, nocną schadzke.

A jednak pobiegła z radością. Oddała mu się bez cienia namysłu, w ciągu całej nocy, w furii rozpasania, wśród lubieżnych, wymyślnych i zabójczych pieszczot, ulegając wszelkim zachęciom, jakie tylko dzikie wybiegi stęsknionego pożądania podyktować były w stanie. Nad ranem, gdy ją przez puste sale odprowadzał znużoną, niemal chorą od całonocnego ulegania jego żądzy, osłabłą wśród cielesnych zaplatań się dokoła siebie nawzajem, całowała z uniożoną czcią jego ręce i chwytala w rozpalone usta każdy z jego oddechów. Tak co noc w ciągu ostatnich dni spełniała jego miłosne rozkazy, wytwarzając po raz pierwszy w swym życiu owe przedziwne wynalazki miłości, dokonywując na sobie samej czarownych wynurzeń nagiego

ciała, pływając się w orgii uniesień i umierając z zachwyty wśród bezwładnych kontemplacji, wśród podniecań się i wysilań, ginąc od wzajemnych pocałunków, wydzierania wszelkiej siły zmysłów przez siłę zmysłów, życia przez życie i piękności przez piękność.

Ostatniego wieczora, gdy już nazajutrz miał odjechać, poszli oboje na grób Rudolfa. Nie wiedzieli, dlaczego to robią. A przecież tak trzeba było. Tak musieli. Byli obydwójce wyschnięci, wychudli z miłości, płonący od wewnętrznych piekieł pasji. Stanęli nad płytą w ogrodzie. Obnażona głowa Ottona była hardo zadarta. Śmiech pusty przenikał ich oboje na myśl, iż niedawno tak tu cierpieć mogli. Gdzie się podział żal? Co się stało z uczuciami Teresy? Gdzie były jej łzy po tamtym? Trzymała w ręku jakieś kwiaty zimowe i jeden po drugim rzucała na płytę grobowca uśmiechając się w tryumfie swej zdrady. W pewnej chwili przerwała rzucanie kwiatów. Nie chciało jej się udźwignąć łodygi i kielicha cieplarnianego amarillisa. Nie czuła nic zgoła. Nic. Ani cienia żalu, podobnie jak morderca nie doznaje wcale subtelnych emocji widza zbrodni dokonanej. Doskonały spokój królował w jej sercu. Powiedziała o tym Ottonowi. Toteż odeszli, ażeby przed samymi sobą nie kłamać i nie okłamywać Rudolfa. Odeszli rozplamienając się widokiem swym nawzajem i tonąc w szaleństwie miłosnym uśmiechów i spojrzeń.

Klang prowadził łódź czuwając przy manometrach, peryskopie i sterach. Hrabia Otto Arffberg przyłożył się w ubraniu do pościeli i twardo, głucho zasnął. Nie wiedział, kiedy łódź bezpiecznie minęła kanał i znalazła się w obliczu Niemieckiego Morza. Znużony do cna wysiłkiem miłosnym, spał jak drewno, jak odłamek muru. W pewnej chwili starszy marynarz dotknął jego ramienia - raz i drugi. Na próżno. Kapitan chrapał. Sam tedy Klang musiał podejść i w ciągu dobrej chwili targać za ramię śpiącego, aż go z posłania podźwignął. Hrabia Otto przetarł oczy i ze zdumieniem rozejrzał się po otoczeniu. Tak nagle wyrwany został z objęć szczęścia i ramion rozkoszy! Patrzył na sufit półokrągły, nawisły, na to wnętrze powłoki zatoczonej jak ściany trumny, napełnionej materiałami potowymi za najłżejszym potrąceniem do wybuchu. Poczł znowu obok siebie śmierć i byt swój na nowo bez ratunku. Załkało w nim serce, jak tego już nieraz wewnątrz tej łodzi doświadczył, i potężny wstręt ogarnął go niby zaduch. Trzeba było wstać, albowiem łódź dosięgła pełni morza.

Otto von Arffberg podniósł się, szybko umył, ubrał i spożył śniadanie. Za chwilę motory do materiałów palnych miały być zamknięte, puszczone w ruch elektryczne, a łódź miała iść pod wodę. Kapitan wybiegł po schodkach i przez okrągłą wieżę kiosku wysunął się na pokład. Obejrzał morze gołym okiem i przez znakomitą lornetkę. Całe morze, jak okiem zajrzeć, było w pianach, zielone zarazem i białe, spiętrzone i strzępiate, pełne podrzutów, prysków wodnych i chlaszczących pian. Północny wiatr do szpiku kości przejmował. Komendant kazał złożyć bezużyteczny już komin, gdyż łódź szła siłą akumulatorów, obejrzał armaty zewnętrzne i każdą ze śrub pokrywy, baczając przez szkła, czy ziarnka piasku przez wiatr niesione nie osiadły w rowach i skrętach. Te rowy miały zamknąć pokrywę jak gdyby małej latarni morskiej, zawierającej w sobie główne wejście.

Gdy wszystko było we wzorowym porządku, kapitan von Arffberg zstąpił uroczyście do wnętrza i nakazał zamknięcie. Nałożono na szczyt peryskopu, pokrywający lustro górne, wyrobioną doskonale podobiznę mewy morskiej, ażeby obecność łodzi maskowała. Kłapa z łoskotem zapadła. Jasno rozbłysły wewnątrz elektryczne lampy. Wnet specyficzny zapach wnętrza rozparł się z końca w koniec łodzi. Komendant dał rozkaz załodze. Otwarto wraz rury waterballastów przekręcając koła sterów. Wpuszczono wodę do komór. W ciągu minuty woda na-

pełniła przeznaczone dla niej naczynia, zwiększyła swym ciężarem wagę statku i łódź zanurzyła się pod powierzchnię do głębokości kilku metrów. Powietrze ściśnione, wydostając się w małych ilościach ze specjalnych motorów, traciło swą sprężystość i stawało się do oddechu podatne. Zepsute wypędzwały na zewnątrz gazy motoru. Elektryczne popędy pracowały teraz z całej siły. Statek szedł pod wodą z szybkością zmniejszoną „elektryczną”, zaledwie szesnastu kilometrów na godzinę.

Ponieważ Klang czuwał w ciągu całej nocy, poszedł teraz na spoczynek, a sam kapitan stanął przy peryskopie i miał pieczę o sterach. Nachylony nad jasną tablicą lustra dolnego, miał przed oczyma widnokrąg na przestrzeni dwudziestu kilometrów. Widział tedy morze najwyraźniej z przodu, z tyłu i z boków. Posiadał jak gdyby trzecie oko. Stał się olbrzymią podwodną muchą, która widzi świat zewnętrzny z głębi morza. Świat zewnętrzny, ujęty przez kryształ soczewki kształtu pierścienia, wystającej o kilka centymetrów ponad wodę, a nachylonej pod 45° do horyzontu, odbity jak w obiektywie fotograficznym - w lustrze górnym, spadał przez długą tubę, o kilku centymetrach średnicy, w postaci zmniejszonego obrazu na lustro dolne, stanowiące okular, przed oczy obserwatora w całej swojej rozległości. Kapitan widział obraz proste całego okrągłego horyzontu tak wyraźnie, jakby je gołą źrenicą postrzegał.

Miał przed sobą dalekie zarysy lądu ginące już niemal w pianach, gdzieś w przestworach dymy statków uchodzących w dal niedościgłą, wody spienione, wody bez końca. Im bardziej łódź oddalała się od brzegów, tym puściej było w morzu. Ani śladu życia. Wody! Kiedy niekiedy zwracając oko na lustro Otto von Arffberg widział jedynie siwy, zielonawy, zbałwaniony ogrom. Gdy krople wodne, odtracone od ruchomych fal, osiadły na kryształach zewnętrznej górnej soczewki i zamącały swą obecnością wyrazistość obrazów lustra dolnego, jednym skrzętem steru zanurzał łódź niżej i przez zanurzenie peryskopu zmywał nieposłuszne i uprzykrzone kropelki trzymające się cennego kryształu.

Czynił to mechanicznie, marząc o Teresie, nucąc jakiś urywek melodii, który w sobie wszystko minione zawierał. Teraz, gdy uwielbiona piękność była tak daleko, a on przepływał w sąsiedztwie ryb i meduz, mierzył doskonale odległość ogromem swej niedoli. Był nie tylko muchą, lecz i pajakiem snującym ze siebie nieskończoną nić oddalenia. Dokądże to leciał głębią wody, w niezgruntowanych przepaściach? Co na tym morzu czynił, obłąkany? Mechanicznie rzucając oczyma na manometry, słuchając znajomego szmeru maszyn, po rodzaju szmeru poznając sprawność roboty swych zwierząt, był stamtąd o setki i setki mil, w cichym parku, w ustronnym pokoju swej oficyny. Przymknie oto źrenice - i obejmuje Teresę w ramiona. Przymknie źrenice - i widzi pod powiekami oczy wpatrzone w swe oczy! Ileż to mil morskich przeleciał, marzący pirata! Po wydawaniu załodze posiłku poznawał, ile czasu ubył. Nie obchodziło go to wcale, gdzie jest i jak daleko od czyich jest brzegów, aczkolwiek od aparatów dobrze o tym wiedział. Był nie w głębi morza, lecz na ziemi.

Klang wyspał się, wstał i stanął do pracy. Wtedy ta praca, na dwu rozdzielona, łatwiejszą się stała i prostszą. Kapitan miał do obserwacji pewne tylko przyrządy. Płynęli.

Nagle Klang krzyknął. Otto zbliżył się do zwierciadła peryskopu. W istocie - na widnokręgu był wielki transportowiec. Padły rozkazy. W mgnieniu oka wody obciążające wypchnięto z bębnow i łódź wychynęła na powierzchnię. Otwarto ekutilę wejściową i obadwaj oficerowie, uzbrojeni w przewyborne szkła, obserwowali statek. Przyszli do przekonania, iż jest to parowiec francuski. Załoga łodzi wybiegła na pokład. Zawrzała wśród żołnierzy radość. Wszczął się ruch gorączkowy. Dano okrętowi sygnał, żeby stanął. Zapytano go znakami, co

jest za jeden. I potwierdziło się domniemanie, że to transportowiec francuski. Na zapytanie, dokąd jedzie, okręt nie dał odpowiedzi. Natychmiast kapitan von Arffberg wydał polecenie. Załoga rzuciła się do wnętrza i marynarze wyspecjalizowani w tej sprawie przygotowali do rzutu jedną z dwu torped środkowych.

Wielkie stalowe cygaro, ów złowrogi statek samopas w wodach chodzący, o czterdziestu pięciu centymetrach średnicy, podzielony wewnątrz na liczne oddziały, zawierające wybuchowy ładunek stu kilogramów bawełny strzelniczej, zaopatrzony w narzędzia, które mu zapewniają utrzymanie się w biegu, prędkość i kierunek - wyrzucono z łożyska. Pognał z szybkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę pozostawiając po sobie białą strzępiastą smugę. Parowiec francuski, zdzielony w bok przez torpedę, podskoczył, zadrżał, zachwiał się na dwie strony, a wreszcie na bok runął. Po chwili sprostował się znowu. Lecz oto przedni jego dziób zaczął wychylać się z wody, podnosić w górę, a tył i kadłub zanurzać widocznie i szybko. Zaroilo się na tym okręcie od ludzi. Biegli tam żołnierze w kitlach czy koszulach, jacyś cywilni, a nawet kobiety. Rozległ się krzyk straszliwy, gwar tak donośny, iż na łodzi podwodnej słyhać było pojedyncze słowa. Arffberg i Klang stali nieruchomo na pokładzie swego statku, przez lornetki obserwując widowisko.

Trzy łodzie zjechały na blokach i linach z owego parowca i plusnęły w falach. Z pokładu poczęły padać w łodzie kształty ludzkie jak tłumoki i dziecięce jak zawiniątka małe. Niby węzły szmat runęły jedna po drugiej kobiety, które chwycił w powietrzu szereg rąk wyciągniętych w głębi batów. Wnet trzy barki były pełne i poczęły uciekać od parostatku pracując całą siłą wiosła. Zleciała szybko w morze jeszcze jedna mała łódeczka, istne cacko dziecięce. Do tej barki dopływali wpław ludzie, którzy się byli z pokładu w fale rzucili. Docierali do brzegów łódeczki i tłoczyli się do jej wnętrza albo obok niej płynęli, z krzykiem czepiając się burtów i wiosła. I ta łódź uciekała od parowca, który coraz bardziej wykręcał się dziobem do góry, przybierając posturę jakowegoś straszliwego zwierzęcia.

Gdy mała łódeczka odpłynęła daleko, poczęli raz wraz skakać z pokładu wprost w wody oficerowie i wałęsali się po falach nurzając się i ukazując tu i tam, a krzykiem żądając pomocy. Niektórzy z nich, w liczbie pięciu czy sześciu, wprost na łódź podwodną płynęli. Otto von Arffberg dał skinienie, żeby ich wyłowić. Łódź podwodna wykonała poruszenie w stronę ginącego transportowca. Rzucono z pokładu pływającym marynarzom ratunkowe liny i trzech najbliższych wy-taszczono na pokład. Wydostali się z nurtów, wlokąc za sobą strugi wody. Byli skuleni jak psy, skostniali, zsiniali, niemal czarni. Drżąc na całym ciele ustawili się w szereg przy brzegu pokładu, tam gdzie wyleźli, nie śmiejąc posunąć się o krok dalej. Salutowali dygocącymi rękoma. Kolana ich nóg tłukły się o siebie, a wargi ust latały miotane od febrzy. Otto von Arffberg pierwszemu z brzegu zadał pytanie w języku francuskim:

_ Jak się wasz statek nazywa?

- „Villaret-Joyeuse”.

- Skąd płynął?

- Z Brestu.

- A dokąd płynął?

- Nie wiemy.

- Co wiózł?

- Żołnierzy.

- Jakich żołnierzy?

- Nie wiemy.
- Ilu ich było?
- Nie wiemy.
- A was, załogi, ilu?
- Czterdziestu.
- Ilu oficerów?
- Sześciu.

Każde słowo żołnierz wypowiadał beczelnie, choć widać było, że kłamie w każdej sylabie. Patrzył w oczy ze wściekłą rozpaczą - zdawało się, że gdyby mu kazano diabłu duszę sprzedać za uratowanie życia, sprzedałby ją bez wahania, a jednak kłamał beczelnie. Gdy kapitan skończył z pierwszym, zadał pytanie drugiemu z kolei:

- Kto został na statku?
- Kapitan. - Jak się nazywa kapitan?
- Albert Duval.
- A inni oficerowie?
- Wsiedli do małej łodzi z kolei starszeństwa. Ostatni nie znaleźli już miejsca.
- Czy jest kto jeszcze na statku?
- Zdaje się, że nie ma nikogo. Sam tylko kapitan Albert Duval.

Trzeci z kolei marynarz jeszcze głośniejszym głosem powiedział, a raczej wywrzeszczał, iż statek nazywa się „Villaret-Joyeuse”, a kapitan nazywa się Albert Duval - iż wszyscy oficerowie po kolei starszeństwa mieli wsiadać do łodzi, lecz dla starszych już miejsca nie było, jako też dla wielu marynarzy, którzy rzucili się w morze.

Wysłuchawszy trzeciego z wyłowionych rozbitków, Otto von Arffberg wrócił do pierwszego w tym szeregu i potężnym zamachem nogi w brzuch go kopnął. Marynarz francuski magnął kozła i zleciał w morze. Klang rznął pięścią między oczy drugiego z brzegu i potężnym kopniakiem zepchnął na łeb, w tył, trzeciego. Wszyscy trzej zanurzyli się w wodę, wychynęli, znowu zanurzyli się i znowu wychynęli. Wreszcie to ten, to ów wypłynął na spiętrzone, białopienne wały parskając, rżąc a raz po raz rycząc ohydne na boszów przekleństwa.

Gdy wreszcie dwaj ze strąconych nie wypływali już na powierzchnię, a trzeci wytrwale regularnymi rzutami ramion przechylając się z boku na bok płynął dokąds, precz-precz od podwodnej łodzi, Arffberg i Klang podnieśli znowu swe szkła na statek ginący. Ginał w istocie. Doznając jakby pchnięć czy olbrzymich pęknięć wewnętrznych, obsuwał się w wodę. Dwaj niemieccy oficerowie zobaczyli nareszcie owego kapitana - Alberta Duval.

Szedł w górę po nachylonym pokładzie trzymając się oburącz balustrady. Był to starszy, siwy człowiek. Przez swe doskonałe szkła widzieli go najwyraźniej. Miał przystrzyżoną, siwiejącą brodę i krótkie, srebrne włosy pod białym marynarskim kaszkietem. Gdy przyszedł do cypla swego statku, rozejrzył się po morzu. Wokoło. Oparł się rękami o parapet wzniesiony ku górze. Ramiona jego dźwignęły się nagłym ruchem. Przełaził przez balustradę i przysiadł na niej bezwładnie. Ręce jego jedna o drugą plasnęły. W rozpacz. Głowa mu spadła na piersi. Milczał trwając tak w nieruchomej postawie.

Nagle podniósł głowę. Zaciśnął obie pięście i grożąc nimi w stronę łodzi podwodnej zawołał z całej siły:

— *Vive la France!*

po chwili znowu:

- *Vive la France!*

Nachylił się w stronę oficerów niemieckich, ażeby go słysząc było najdokładniej, i ze wszech sił, raz za razem, wielokrotnie wołał:

- *Vive la France!*

Gdy zaś woda chlaszcząc coraz wyżej oblewała już kręgiem spienionym jego *rostrum*, ostatnią mównicę do świata, odwrócił się od tej łodzi. W stronę południową, w stronę swojej ojczyzny. Zdjął marynarską czapkę. Uniósł ją w górę i do tej ojczyzny dalekiej ochryplym od uniesienia głosem wołał bez końca:

- *Vive la France!*

Kadłub okrętu nagle znikł w morzu. Oficerowie badający zjawisko widzieli, jak fala skrętem olbrzymim wchłonęła ostatnie ściany, maszty i liny oraz wyciągniętą rękę człowieka. Fala ta wytrąciła czapkę z ręki Francuza i na sobie ją poniosła. Ta czapka kołysząc się zaczęła po bałwanach, płynęła to nisko, to góra, w otchłani i na gżemsach nastrożonych pióropuszem piany. Oficerowie patrzący mieli zamiar wyłowić ją na pamiątkę zwycięstwa, lecz i ta czapka znikła w pianach. Obawa przed hydroplanami, które mogły ich obecność wytropić, zmusiła dwu komendantów do zanurzenia łodzi podwodnej. Szli znowu głębią, z tym samym co poprzednio pośpiechem. Klang stał przy peryskopie.

Po upływie godziny wędrowania w głębinach Klang znowu zawołał, iż widzi statek na morzu. Von Arffberg przybiegł niezwłocznie. Zobaczyli w dużej odległości statek znacznie większy od zatopionego. Nadali co prędzej swej łodzi kierunek na ów okręt. Zbliżyli się na odpowiednią odległość. Wychynęli. Jak poprzednio, dali tamtemu znak, żeby stanął i czekał. Lecz parowiec ów nie stanął i odpowiedzi nie dawał. Toteż natychmiast Otto von Arffberg wykrzyknął komendę. Marynarze przygotowali i władowali torpedę. Klang celował chwytając istotnie okiem myśliwca ów moment jedyny, kiedy będzie mógł wrzasnąć rozkaz do wyrzucenia ryby Whiteheada. Posiadał wypróbowaną wielokrotnie precyzję oka oraz *robur et aes triplex*, które Horacy każe marynarzom w sercu stale piastować. Torpeda systemu Obry z gyroskopem zabezpieczającym linię niezmienną jej biegu, szybka dzięki ogrzaniu powietrza w chwili wtłaczania go w piąty przedział pocisku, wypadła ze swej lufy i pognęła ku nieprzyjacielskiemu statkowi.

W tejże chwili Arffberg, stojący przy peryskopie z okiem utkwionym w zwierciadło, wydał gwałtowny rozkaz: - pod wodę! Kapitan ujrzał w lustrze dwa torpedowce, ukrywające się aż dotąd poza wielkim parowcem, które teraz nagle z morza wypadły i spostrzegłszy łódź podwodną rzuciły się ku niej. Nim zanurzono się zupełnie, kapitan widział, iż statek przewożony trafiony był torpedą. Cios był tak straszliwy a wybuch ładunku dynamitowego jej czoła tak złowieszczy dla nieprzyjaciela, iż cały okręt został literalnie rozdarty. W oczach Arffberga szalały jedynie zielone wiry i żółtawe piany. Z rozkoszą odszedł od peryskopu, gdy łódź zanurzyła się zupełnie i nic już nie było widać.

Obadwaj oficerowie zajęli się na nowo pracą. A pracowali spokojnie, z wytrwałością, umiarem, systematycznie. Nic w sobie nie mieli z demonów ani rozbójników. Byli uczciwymi oficerami marynarki, którzy spełniają włożone na nich obowiązki sumiennie i według metody przepisanej. Ale w czaszkach ich osiadł jak gdyby kopeć wybuchających i zduszonych uczuć, skrzep owej chwalebnej zimnej krwi, osad smutku ludzkiego. W oczach marynarzy, którym rozkazywali, wypisane było iście niemieckie posłuszeństwo, żołnierska tresura i zimna a niezłomna wierność. Ale i oczy tych ludzi patrzyły w oczy dowódców poprzez ten sam czad

znużenia, Arffberg i Klang rozmawiali pojedynczymi wyrazami, z których zazwyczaj składały się ich dialogi. Powierzali sobie nawzajem jakoweś wrażenia ziemskie, dalekie od morza i wszystkiego, co się w jego głębiach i na powierzchniach dokonuje.

Rozmawiali spokojnie jako ludzie fachu, zdrowi, młodzi, normalni, w obliczu spełnionych powinności. A jednak poprzez cień obłudy przedzierały się ich słowa. W istocie każdy z nich i każdy z podwładnych rad by był wykrztusić, wycharczyć to jedno: „Dosyć! Przynajmniej na dziś, dosyć! Nie teraz! Do diabła - już dosyć na dzisiaj!”

I dziwna, niema zgoda - że na teraz dosyć - zapanowała wśród dowódców i podwładnych. Kucharz uderzył w dzwonek zwiastujący posiłek. Wszyscy z uczuciem ulgi i pociechy mieli się ku stołowi. Nagle łódź, idąca miarowo płynnym ruchem, doznała w części przedniej głucho potrącenia. Stała. Zahamowanie jej biegu było tak nagłe a mocne, iż wszyscy z nóg się zwalili padając na ziemię, na ściany. Strach przeleciał skroś ludzi. Płomienie oczu patrzyły z bladych twarzy w oczy komendantów. Arffberg wodził oczyma i rękami po przyrządach, cylindrach, naczyniach.

Stały posłusznie w klubach swego przeznaczenia, spokojne i niewinne. Milczały. Obrócił stery tanków water-ballastu, chcąc wypchnąć z nich wodę i wypłynąć. Stery szły sprawnie, dobrze i lekko, lecz łódź nie dźwignęła się w górę. Pchnął motory biegu naprzód. Działały, lecz łódź nie szła. Chciał ją cofnąć w tył. Nie ruszyła się wcale. Nie tonęła. Stała w miejscu.

Zrozumiał. Szepnął do Klanga:

- Sieć!

- Wlecieli my w drygawicę... - szepnęli do siebie marynarze.

Arffberg po krótkiej z Klaniem naradzie obrócił jeszcze raz koła. Łódź drżała w sobie natężając się jak człowiek w szaleństwie wysiłu. Zdawało się, że pęknie z tej próby swej mocy, że sama siebie rozsadzi. Dźwignęła się co nieco. Podniosła się w górę. Radość napelniła serca, Lecz łódź opadła znowu, drżąc bez przerwy. Stała zupełnie. Znieruchomiała. Spostrzegli wszyscy, że poziom jej jest nierówny, że tył z gabinetem dowódców i motorami elektrycznymi nachyla się ku dołowi. Wtedy straszliwe przerażenie zjeżyło wszystkim włosy na głowach.

Żołnierze opuścili posterunki i obskoczyli oficerów. Głucho zapanowało milczenie.

Jeden z żołnierzy osunął się na kolana z jękiem:

- Jezus!

Głos ten był cichy a tak straszliwie donośny, jakby to słowo wytchnęli wszyscy co do jednego, wcale o tym nie wiedząc. Starszy marynarz raptem wyszedł z koła, bezceremonialnie Klanga odsunął i chwycił ster rękami. W furii począł zakręcać i odkręcać to koło. Zdawało się, że je wyłamie z osady, rozszarpie potężnymi rękoma. Lecz ster nie działał. Czy tanki wodne były zamknięte, czy otwarte - łódź stała. Nadaremnie starszy marynarz usiłował wyrwać statek z sieci, w tył go cofnąć.

Oddech ludzi był jeszcze swobodny, powietrze wydzielalo się dobrze, lecz zepsute przez oddechy nie mogło się na zewnątrz usunąć. Poczeli czuć zaduch swój własny, smród bezdenne-go przerażenia. Stawało się coraz bardziej gorąco. Szaleństwo czepiało się mózgow. Furia zapalała się w oczach. Ktoś łbem walił w ścianę żelazną. Inny szlochał z twarzą w dłoniach ukrytą. Klang podniósł głos. Głos twardy, zimny, spokojny, rozkazujący jak zawsze:

- Słuchajcie! Jesteście żołnierzami! Jesteście Niemcami! Przysięga!

- „Przysięga”! - wrzasnął z drwiną jeden z tłumu.

- Na miejsca! - rozległ się rozkaz Klanga. Ten i ów ruszył się odruchowo, żeby do swego aparatu podążyć.

- „Na miejsca”! - ryknął jeden z marynarzy, naśladując głos Klanga z nieopisanym szyderstwem. Klang powtórzył:

- Na miejsca!

- Milcz, szczeniaku! - wrzasnęło kilku na raz, pięści mu pod nos podsuwając.

- Ty pierwszy idź na swe miejsce! - wyszczał w oczy Klanga kucharz łodzi.

_ Temu się należy! - poszepnął ktoś z tłumu. _ Giń, psie! - szepnął pierwszy z brzegu, przystawiając otwór lufy browninga do samej skroni Klanga. Pociągnął za cyngiel. Strzał. Klang runął. Bez westchnienia odpoczął na wieki.

Von Arffberg oparł się plecami o półokrągłą ścianę łodzi i patrzył w rojowisko marynarzy. Robiło się duszno. Ciężar piersi przywalał. Usta chwytały powietrze. Serce łomotało. Żołnierze wrzeszczeli, łkali; bili się między sobą, modlili się chłając wódkę, biegli to w ten, to w tamten koniec łodzi, jęczeli i wyli jak zwierzęta. Kapitan wstrząsnął się, wzdrygnął. W głowie miał tuman. Pomimo braku tchu wyprostował się krzycząc:

- *Hoch, Deutschland!*

Okrzyk jego ocucił żołnierzy. Stańli patrząc weń wytrzeszczonymi oczyma. Ten i ów powtórzył pozdrowienie ojczyzny. Arffberg postąpił ku nawie. Spojrzał na peryskop.

Zobaczył jakby olbrzymie mury z żelaza ponad łodzią spiętrzone. Zobaczył jakieś statki prując rozbiegane fale. Jasna myśl zaświtała w jego mózgu: Będzie ratował załogę! Miał przecie na swej łodzi hełmy skafandryczne z odzieżą jak dla nurków, zawierające tabletki oksyliku, który się rozpuszcza pod działaniem wilgotności oddechu i może dostarczyć odzianym tak ludziom powietrza na przeciąg godziny. Ubierze w te hełmy swych zuchów, ustawi ich w kolumnę. Otworzy zatrzaśnięte drzwi kiosku i wyjdzie na ich czele. Staną na pokładzie i nastawiwszy bagnety będą bronić łodzi przeciw nurkom, którzy przyjdą, ażeby ją zabrać w niewolę. Rzucił się naprzód, do dzieła.

Ale w głowie jego powstał zamęt. Wszystko się zachwiało lecąc dokądś, w przepaście. Otto von Arffberg znalazł się w wieży kiosku. Leżał rozciągnięty na schodach. Wspomnienie Teresy, wspomnienie subtelne a tak wyraziste i jawne, iż uczył zapach jej włosów i muśnięcie usteczek - nappełniło jego ciało i duszę niewysłowioną rozkoszą. Ona to go sama całego, od stóp do głów objęła. Głowę jego podniosła w swych rękach. Przytuliły się do siebie ich ciała i splotły się w jedno istnienie ich dusze. Posiedli się poprzez wody i lądy, przestrzeń, czas, spoiли się w wieczną jedność. Otto konał z rozkoszy, szepcąc w ostatnim westchnieniu:

- Teresa! Teresa!

„CZEKAJ”

W pewnym stanowisku wojennym około Góry nad Notecią spotkali się nieoczekiwanie dwaj przyjaciele z lat szkolnych, January Pawłowiak i Henryk Zboszyński. Cztery lata wojenne rozdzieliły ich zupełnie. Los zdarzył, iż pomimo nieustannych wędrówek z frontu „zachodniego” na „wschodni”, a ze „wschodniego” na południe ni razu się nie spotkali. Dopiero tutaj, nad Notecią, po zdobyciu Żnina, Szubina, Łabiszyna w „armii wielkopolskiej” tenże los rzucił ich znienacka we wzajemne uściski. Z niedowierzaniem patrzyli na siebie. Z radością stwierdzali, że ich oczy nie mylą. Raz wraz wybuchali śmiechem, wskazując sobie takie lub owakie objawy tej narodowej wojny z Prusakami. Oto oni, dwaj oficerowie niemieccy, prowadzą narodową wojnę z Prusakami! Dawno ją - do licha! - piastowali w duszach. Idą na Nakło! Idą na północ! Ku morzu! W ciągu kilku dni opanowana jest Września, Gniezno, Biedrusko, Śrem, Śmigiel, Wągrowiec, Krotoszyn, Kościan, Jarocin, Ostrów, Mogilno, Żnin, Rogoźno. Całe Księstwo uchwyciło się hasła danego z Poznania. Czekano na nie cierpliwie, z utęsknieniem, z zapartym oddechem. Cóż dziwnego, że rozbijanie Niemców dokonało się wszędzie jak Jeden odruch wydanej po prusku żelaznej komendy. Sprawa była prosta, gdzie garnizon składał się z polskiej większości. Gdzie, jak w Gnieźnieńskim, Niemcy przeważali, trzeba było na zdziechowieckim polu walkę staczać i dopiero po walnym zwycięstwie władzę polską wdrażać.

Pawłowiak i Zboszyński nie mogli się o tym wszystkim dość nagadać. Nie mieli wiele czasu na opowieści długie i szerokie o sobie. Zresztą w ciągu tych lat przywykli w szkole prusko-wojskowej do szybkiego wyrażania myśli, do zamykania w jednym słowie wypraw olbrzymich, w jednym zdaniu walk strasznych, w jednym westchnieniu potwornych ogromów wydarzeń. Któż by, zaprawdę, potrafił to wszystko, co widzieli, co przeżyli, wysłowić! Te niezmiernie masy żołnierzy, przewalające się kolejami, wędrujące piechotą, konno, wozami, automobilami, furgonami, na wschód i zachód, na pola słodkiej Francji, w doliny południowe Alp włoskich, w równiny Rumunii, w góry Serbii, Bułgarii i Turcji, w bezdroża Polski dalekie - dalekie.

Dość powiedzieć: Morte-homme. Alboż to nie wystarczy za opis pięt trupów, fetoru straszliwego grobów pospólnych, potarganych drzew, które płaczą w pustyni, rzek, co płyną jako pasma żalu przez kraj nieszczęśliwy, kamieni i ziemi wyrzuconych z legowisk, na których miejscu spoczęły poszarpane strzepy obrońców? Dość powiedzieć: poprzez ulice zdruzgotanego Kalisza przemarsz polskiego młodzieńca, poznaniaka, Henryka Zboszyńskiego, w szeregach armii niemieckiej. Z przymkniętą powieką, z zaciśniętymi zębami, w milczeniu. Dość powiedzieć: celować, strzelać, zabijać tych, których się uwielbia - szkodzić tym, komu się z serca dobrze życzy - nękać prześladowaniem tych, komu chciałoby się nieba przychylić! Byłaż kiedy na ziemi nikczemniejsza tortura jak pod przymusem śmierci kazać ludziom

w wieku rozkwitłej młodości nadstawiać piersi, wydawać się na kalectwo i rany, w każdej chwili na śmierć być gotowym za sprawę, której oni najgłębiej, z dna duszy nienawidzą?

O tym właśnie dwaj przyjaciele na postojach pomiędzy sobą mówili. Pawłowiak przypominał sam początek wojny, wejście Prusaków do Krakowa. Nigdy przedtem tego miasta nie widział. Wtedy to miał naiwne, niemal dziecięce w swej istocie a najboleśniej co do siły odczucie straszliwej nieprawdy, hańby i zbrodni we wszystkim, co się działo, a do czego musiał ręki przykładać. Zwiedzał Wawel, stare kościoły, pamiątki. Wszystko to udręczyło mu duszę. Wyznawał teraz koledze iż tam w Krakowie nosił się z myślą o samobójstwie. Nie mógł znieść owych mdłych, głupich zestawień, które go prześladowały. Nikt go nie rozumiał. Co prawda, nikomu o tym, co w sobie przegryzał, nie mówił. Nie chciał za żadną cenę ginąć na polu bitwy za tę pruską sprawę i przyczyniać się swą śmiercią do pruskiego tryumfu. A spełniać rozkazy, pomagać do zwycięstwa, wysługiwać się jak pudel pruskiemu kajzerowi, ślać mu drogę do tryumfu - tego nie mógł wymóc na sobie. Nie chciał! Jedno zostawało: zgładzić siebie samego, nikomu słowa swej duszy nie mówiąc. I obłąkany od tej myśli chodził wybierając miejsce sposobne. Tak to zabrnął na Błonia krakowskie, wszedł na wzgórze i patrzył na miasto jesienną mgłą zasłane. Płakał.

Wtedy to coś w nim drgnęło. Usłyszał w sobie głos. Coś mu podpowiedziało: czekaj! Nie umiałby powiedzieć ani wyjaśnić tego niezmiernego uczucia radości, jakiej wtedy doświadczył - tego światła o sile błogosławionej, które w nim objaśniło sens rzeczy. Zdecydował się na tej górze, iż cierpliwie zaczeka. Och, i doczekał! Na zamku cesarskim w Berlinie powiewa czerwona chorągiew! Na zamku pustym - po ucieczce tego wodza, który męstwo, miłość ojczyzny i samą nawet dumę monarchy przez tyle lat udawał. Główny klucz twierdzy poznańskiej - zbrojownia - w ręku Polaków! Całe miasto Poznań w polskiej władzy. Z Kórnik, z Wrześni nadchodzą kompanie pomocnicze. Rozbrojone są pociągi z urlopnikami i Grenzschutzem z Torunia i Wrocławia. Dworzec kolejowy obsadzony przez straż ludową. Domy miasta, miasta cierpienia i hańby, ozdobione są narodowymi chorągwiami!

Śmiał się serdeczną radością Pawłowiak opowiadając, co widział w Berlinie. Tłumy ludzi, setki tysięcy ludzi zapełniających ulice i place. Wynurzyli się jak straszliwa zmora z piwnic, ze strychów, z sal fabrycznych, zawałonych opiłkami i strzępami, zalanych powietrzem zepsutym, zionących miazmatami, które stanowią atmosferę pracy. Oczy tych ludzi zionęły nienawiścią, a usta miotały przekleństwa na tych właśnie, którzy jarzmo niewoli na karki polskie wtłoczyli. Byli to więc sojusznicy, byli to bracia rodzeni. - Rewolucja!

Ale w dobie tejże rewolucji Niemcy podejmowały ofensywę na Szubin, na Kcynię, od Nakła. Szły zdławić Poznań. Przedostawszy się za Noteć pod Florentynowem po lodach, maszerowały w stronę Poznania. Brawurowe uderzenie Polaków wyrzuciło ich za Noteć i odebrało im sześć armat, dwadzieścia karabinów maszynowych, kilka miotaczy min, wiele amunicji karabinowej i artyleryjskiej, ryszturnek, tabory i konie. W dobie tejże rewolucji artyleria strzelała do Polaków trującymi pociskami gazowymi i miotaczami min, jak pod Czarnkowem, oraz kulami dum-dum stale. Pociągi pancerne jak pod Wierzchosławicami i Rynarzewem, z armatami rewolwerowymi, miotaczami granatów i karabinami maszynowymi, usiłowały raz wraz, to tu, to tam wtargnąć w linie polskie. Pomiędzy Uściem a Czarnkowem wypadał atak niemiecki, opanowywał wsie; Węglowo, Jabłonkowe, Wałkowice, Romanów, Osuch, nękając ludność polską i szerząc objawy przemocy, wypróbowane za czasów kajzera na wszystkich „frontach” tej wojny.

Uderzenie polskie przepędzało Niemców za Noteć, odbierało im karabiny maszynowe, miotacze min i amunicję. Zajmując stanowisko pod Górą na odcinku noteckim, między Wałkowicami a Roskiem, dwaj przyjaciele brali udział w odparciu ataku nocnego w dniu 9 lutego. W czasie chwilowego postoju gadali do upadłego po nocy. Były to rozmowy więcej niż braterskie, były to rozmowy wśród świstu kul i huku wystrzałów. I rzekł pierwszy:

- Czy wiesz? Teraz mię nachodzi to samo, co w Krakowie.

- Kpij zdrowo!

- Nie chcę dobrowolnie umierać. Teraz? Nigdy!

- Ja myślę.

— Ale szczerze ci powiem, bez samochwalstwa, bez fanfaronady. Po prostu. Już nie żałowałbym niczego na świecie widziałem.

- Jeszcześ nie wszystko zobaczył. Początek.

- Wiem jedno, że tam w Krakowie prawdziwy głos usłyszał.

- No, to „czekaj”!

Tamten podniósł głowę i oczy zalane łzami na brata w tej walce. Z radosnym, z niebiańskim na wargach uśmiechem powiedział:

- Wiem, że cokolwiek by było, to „na drgającym szatana ciele zatknijmy sztandar zwycięski Twój”...

PRZY NOWYCH FUNDAMENTACH

Wysunięta w morze głowa Oksywska zamglona była tumanem. Kształt starego kościółka, który przerywa pustkę półwyspu od dziewięciu bez mała stuleci, zarysowywał się na tle drzew cudnego cmentarza na stoku góry. Niemało wiatrów chłostało wielkie głazy podstawowe tej świątyni. Liczne zmiany dziejów przesunęły się nad tym gniazdem westchnień nadmorskiego ludu, wielokroć przekształcanym, przelepianym i doklecanym z prostacka. Przeszły nad nim panowania mnisz, krzyżackie i świeckie, zabory, wywłaszczenia, księstwa, władztwa, królestwa, cesarstwa. Zawsze jednak uparte stróżowało nad swym morzem.

Morze rudozielone a fiołkowe w oddali poruszało się na całym swoim obszarze. Białe a jakby lękliwe piany snuły się na czubach fali i chyżo w toniach ginęły. Na brzeg wklęsły i płaski, łukiem równym wygięty, woda szła nieustannym podrzutem, wciąż przemywając jego zdiar szorstki i gruboziarnisty a pracą wieczno-trwałą wygładzając miąłkiego piasku zwilgotniałe smugi.

Niepamiętne, zawsze jednak wytrwałe, niezniszczalne morze takie samo było jak przed niezliczonymi wiekami. Tam i sam rudy, czerwony, szary, na poły zwinięty dla wiatru żagiel niewidzialnej łodzi przerywał zielone wody i błękitne niebo. Tak samo jak przed niezliczonymi wiekami. Lecz zuchwała i beczelna nowość narzuciła się oto tej dziedzinie. Jasnozółte przęśla grobli portowej werznięły się w samoistny, samowładny i jednobarwny przestwór morza na sześćset metrów od brzegu. Poprzeczne ramię, na setkę metrów w poprzek a w kierunku Kępy Oksywia, zagrodziło zatokę. Między pale sosnowe łamacza fali, zabite w dno głębokie żelaznymi katarami, wwały się istne góry głazów. Tysiące beczek cementu skują kiedyś te głazy w jeden wał ostoi, niedostępny i niezdobyty dla najszańszej burzy. Tak to wdziera się, wtłacza i zachodzi w niczyją, bezpieczną zatokę pierwszy port Rzeczypospolitej. Sześć wież wyniosłych dla młotów, siłą pary rzucanych, wydziela wciąż ze siebie kłębki pary, smugi dymu i tępy łoskot uderzeń. Młoty biją miarowo w odziemki wielkich sosen kaszubskich, które zaostrozonymi spiczasto wierzchoły szybko w dno piaszczyste uchodzą. Raz wraz ciężki złom żelaza z hurgotem łańcuchów sunie w górę po wyślizganej powierzchni łoża stromego i piorunowe spada. Raz wraz obła, żółta strzała olbrzymiego pala usuwa się sprzed oczu uchodząc w dno coraz głębsze, coraz bardziej tępy, głuchy, oporny odgłos wydając.

Setki robotników snują się po wiązaniach palowych, już wybudowanych i spojonych mutrami. Jak mrówki czy termyty idą rzędem miarowo nogi podnosząc i do taktu wykonywując przepisane i przewidziane ruchy rękoma. Tam i sam stoją na drabinach machin, na podmuchy wiatru wystawieni, podobni z oddalenia do flag i pawilonów. Twarze robotników schłostane są od wiatru, czarne od słońca. Drewniane ich trepy kołacą o belki, tramy, wiązania poprzeczne i narzucone tymczasowo deski, gdy biegną i skaczą wykonywując swe dzieło. Odzienie ich zniszczone jest od pracy, spłowiałe na wicherze, upale i deszczu, podobne do ich zarostu

i włosów - podobne do kurzu, pyłu, zeschniętych trocin, do wiórów i odrzuconych opiłków. Jedni z nich mają na głowach miejskie kapelusze, dobrze przez plute wymyte, inni czapki okrągłe, wojenne, z pruskim czerwonym, mocno spłowiałym lampasem, inni niemniej spłowiałe, wojenne, polskie rogatywki, a jeszcze inni okrągłe, płaskie rzeszota moskiewskie. Spod tych oznak potęgi wojennej, minionej lub nowonarodzonej w tych czasach, patrzą oczy siwe lub czarne badając każdą rzecz trzeźwo, surowo, uważnie, pilnie i zimno, bez sympatii i pokory. Oczy te usiłują pojąć od jednego rzutu istotę zjawiska, sens zadanego trudu, ułatwić sile swych mięśni, mocy kości i więzów ciężki sposób wykonania. Nad tym skrawkiem przymorskiej bielawy i półkolem ujarzmionej zatoki panują wśród nieustannego szumu morza łoskoty młotów, ostre ciosy siekier, dźwięczne bicie w kowadła, szelest piły, trzask przerzucanych skrzyżalów i tępe echo oporu rdzenia drzewnego przeciwko pracy niestrudzonego obucha i dłuta.

Na skrawku łądu zalega piasek miazgi, wymieciony przez morze, pełen drobnych, fiołkowych muszelek. Z rzadka porasta go trawka tak uboga, że ledwie ją stać na bytowanie widome. Tam i sam uczepił się piaszczystego garbu przyziemny, rozplaszczony oset z kolczastymi liśćmi albo charszcz chropawy, o bladym kolorze badylów. W spalonych, płowych trawach, na torfie lub piasku bytują karykatury główek polnych bratków, naparstnic albo szarej skabiozy. Powierzchnia tej nadmorskiej pustki pełna jest dołów piaszczystych z oberwanymi brzegami, gdzie noga przechodnia zapada w sypką głębinę. Tylko stare żłobowiska zapomnianych drożyn pokrywa zieleńsza nieco murawka. Na wydmuchach litego piasku ślady niezliczonych stóp, wklęsłe, lejkowate dzioby, nie wskazują czasu ani kierunku, kiedy i dokąd idąc wygniotła je przechodząca tędy stopa człowieka. Wszędzie poniewiera się mnóstwo wiórów szerniałych, zeschniętych, którymi wiatr się zabawia włócząc je po rozległej przestrzeni. Wzdłuż i w poprzek wydm, murawki i dołów przepaścistego Szczyrku rzucone na okrągłakach szyny roboczych kolejek płaczą się pod nogami w rozmaitych idąc kierunkach jak wióry. Wśród nich lśnią solidnie na mocnych progach grube i niewzruszone szyny szerokotorowej kolei, dowożącej belki, deski i kamień.

Kamienie leżą jak góry pracowicie na to miejsce przeniesione z odległych pól, z dalekich płaszczyzn i wzniesień, gdzie je pogubiły lub wepchały w głąb moren lodowce, w swoją wiekuistą dal wędrujące. Obok leżą równoległe lub wyłamując się z porządku niemniej wysokie stopy belek, tramów sosnowych o śniatach odartych z kory, piętnowanych cyframi, przyniesione tutaj potężną wolą i siłą pracowników. Ociosane i obrobione z obudwu końców, leżą jak biczyska, którymi państwo i interes poganiać będą siłę morza. Wyrwane jako chwast z głębi lasów prastarych, wydarte ze szczytów i pochyłości gór, pójdą wnet posłusznie w rudozieloną głębinę słonego morza, głową na dół upadną, śmigłym wierzchołkiem zanurzą się w leje wydrążone przez parę w twardym podłożu, na pięć metrów głęboko zakopią się na wieki pod dziewięciometrową wody głębiną, ażeby wiekuistą niepodległość Światopełkowej dziedziny zbudować. Zaciosy wieńcowe, wklęsłe fugi, śruby żelazne i mutry na moc wkręcone spoją je w jedno paliszcze, niezłomne dla sześciometrowych bałwanów burzy najbardziej szalonej.

Na szynach kolei stoją dziwne kształty kafarów, pracowicie spełniających swe zadanie. Przenosi się z miejsca na miejsca kran Osgooda, kwadratowy potwór z szyją żurawia, tańczący wokół swej osi, z kawałem surowca lub belką olbrzymią w kłach paszczęki, istny turoń, pomykający raz za razem z błyskawiczną szybkością. Bliższą przestrzeń zagradzają baraki z jasných tarcic, nakryte płaskimi daszkami z niepowabnej papy, pełne posłań i długich stołów

jadalni zbiorowej - klozety roznoszące w nieskałanym powietrzu potworny fetor odchodów kilku setek pracowników - stopy porozmiotanych desek i obrobionych przeseł, które wnet pójdą na swe miejsce w tamie portu gdyńskiego.

Na widnokregu stoją w ordynku porządnym niezliczone czarne pryzmaty torfu wydobytego już z głębi i w suche złożonego cegiełki. Lekka para wiekuiestej zgnilizny nosi się nad niedosięglą dla oczu obszarem chyłońskiego pustkowie. Leżały tam drzewiej piaski denne, głęboką pracą morza złożone a wodą nasiąkłe jak gąbka. Na tym półobeschłym obszarze zagnieżdził się mech, torfowiec. W ciągu długich stuleci ten to kożuch torfowy tamował bieg swobodny chyłońskiego potoku. Wsysając w siebie wody słodkie rósł szybko, coraz wyżej, aż do dziewięciometrowej grubości. Nie doschnięte jeziorzysko pomorskie zamieniło się w mokre torfowie. Tam to właśnie, w tę prastarą kaszubską pażycę, gdzie niegdyś przelewało się morze, gdzie przez wieki królowała niema głusza, gdzie leżała pustka ziewająca, a diabeł Smętek światelka swoje, straszliwe dla ludzi, po nocy obnosił - znowu na rozkaz ludzki morze ma się wrócić. Włać się ma na dwa kilometry daleko w głąb lądu, znowu się pod moreny posunąć - na kilometr z górą wszerz się rozpostrzeć, na dziesięć metrów w głąb zapuścić. Ma sobą napełnić doki uwiecznione cementem, omurowane i oskalone gładem ciosanym - ma się potężnie rozszerzyć w basen środkowy, o półkilometrze średnicy, w którym największy *dreadnought* o sile maszyn równej sile siedemnastu tysięcy koni obróci się lekko dookoła swej osi.

Ockniona znowu z tylosetletniego snu wola Chrobrego króla, spełniona wykonaniem sprawa żywota Jana Henryka Dąbrowskiego, objawia się w tej stronie, ażeby pokazać ułamek potęgi wielkiego plemienia, zabudowując zimną pustkę od strony Gdyni ubogiej i od strony martwych pagórów Oksywia. Tu i tam pobiegną w ciągu lat kilometry betonowych i kamiennych bulwarów i placów. Tam, gdzie teraz wałęsają się w malarycznym oparze białe lub łaciate kozy uwiązane na postronkach i przytroczone na głucho do kołków wbitych w torfowisko - gdzie beznadziejnie i bezskutecznie wielkim zbiorowym gęganiem gęgają siodłate gęsi, biadając wśród kup bezuczuciowego torfu na swą deportację w te jałowe pseudotrawy przez oberwane i niewiarogodnie brudne dzieci kaszubskie - gdzie majestatycznie przechadzają się wędrownie wrony, a czasem przebiegnie bezański pies naszczekując z odrazą w nudne rozłogi - zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą wniebogłosy, jak w Southampton, tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i młodzi polscy marynarze. Forty na cyplach Helu, Oksywia i Kamiennej Góry osłonią to pracowisko od pokuszenia się o nie wroga, linie kolei żelaznych poniosą stąd dorobek świata w głąb lądu, a z głębi lądu przytaszcza tu na wywóz dorobek pracy rąk polskich.

W ciągu lat wykopany zostanie z długiej szyi chyłońskiej ośmiometrowy pokład torfu, a podspodni piasek, wyrzucony na podstawę wałów i tam, ujmie kisaące wody malarycznej rzeźułki w czynne i żywo działające baseny. Wokół bulwarów staną olbrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele. Rozłożą się pod gołogórami Oksywia, w wewnętrznym porcie Polski, szeregi grubych kominów okrętów wojennych, z ich wieżami i blokhauzami, z paszczami armat i złowieszczym łożyskiem straszliwej torpedy. Głębokie gdyńskie morze, najgłębsze miejsce w gdańskiej zatoce, ujęte zostanie w szerokie, kilometry zakreślające mola, czyli ostoje przedportu. Z dwu stron, od Gdyni i Oksywia, na tysiąc metrów wysuną się w morze paliszczka. Między nimi w zatoce stanie na

poprzek łamacz fali - zostawiający do przedportu dwa wolne wjazdy dla wielkich i małych okrętów.

Ten niewysławionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie i żelazie - ten przepiękny dramat ukazujący wydzieranie morzu jego wód, siły, głębi i władzy - ta wspa-
niała powieść o rozdarcu ramieniem człowieka dziejów ziemi i kisańca ze stulecia na stu-
lecie jej rozwoju, aby go w ciągu krótkich lat przekształcić na narzędzie własne, posłuszne
woli jako wół, koń i pies - to nowe, w polskiej lądowej duszy zatoczone dzieło, stawało się
w oczach, z dnia na dzień ukazywało swe strofy nieznane.

Rozwieszając na kozłach, tykach i drągach swe sieci, wielorakie co do kształtu i barwy, swe
różnorodne jądra, żaki i włoki, ciekawie podpatrywali to dzieło rybacy. Okrażali rosnący
w morzu łamacz bałwanów, pilnie się przypatrując. Rosło w ich piersi duszące zdumienie,
zarazem zachwyty i wściekłość. To Polska - pracą setek chłopów walczących z morzem w wi-
chrze, zimnie i upale, tajemnym kierowanych skinieniem tworzącego rozumu, w milczeniu
swym do nich mówiła.

Tego dnia o naznaczonej chwili, nim termin końca pracy wyświstany został przez sygnał, ro-
botnicy opuścili swe miejsca. Podobni z oddalenia do szeregu termitów, szli w porządku, je-
den za drugim po długim paliszczy estakady. Z oddali wydawać by się mogło, że pływają na
morzu. Wnet wszyscy znaleźli się przy kamieniach. Przybyli z drugiej strony ci, co wydoby-
wają w dalekich torfowiskach łoża doków, pracownicy zakładający szyny kolei, pracownicy
drogi szosowej, kamieniarze, mularze, cieśle, stolarze, kowale, tracze, żeglarze z łodzi i ry-
bacy od swych sieci powiewnych. Wnet cała widzialna przestrzeń wydm i dołów, zeschniętych
traw i kolein dróg bocznych pokryła się mrowiem ludzkim. Jedni zasiedli na osypiskach do-
łów, inni na długich i okrągłych belkach, schnących w słońcu, nim się na zawsze w wody
zanurzą, inni na stosach lądowych kamieni, nim je morze pochłonie. Ustały wybuchy kłę-
bów pary, zacichły młoty, siekiery i piły. Wstrzymał się ruch wozów kolejowych, popycha-
nych parą i ludzkimi rękoma. Cały przestwór był teraz ruchomym, spłówałym pogłowiem.
Ciche się szerzyły rozmowy. Ale oto na stosie belek ukazał się człowiek. Nastawiono ucha.
Wiatr niósł słowa. Ów mówił:

- Woetkąd je Hel, Jastarnio, Puck, Gdynia, rebok woetpływoł ruten z checzy prek na moerze
w wjater, w brizą, w poegoda, w deszcz, w burzą. A jak woen w noce złowjeł cezą moerse
rebe, stornie abo stornewscje, tak woen z rena szed spać, a jego bjałka, nenka, sostra abo cor-
ka rozwjeszała nete na szteki abo knepele abo bjeżela z nałowjonemi rebami do mjasta, do
Gdońska. Woetkąd je Gdońsk, bjałka z kaszebsciego, z rebociego strądu wrzeszczela na fi-
schmarku: - *Gute Fische, frische Fische! Kaufe se, Madamke!*

Jedno je mjasto nad Małym Moerzem. To mjasto są nazewo - Gdońsk.

Ninia przeszła Polska i zakazeje wozec rebe do Gdońska, na fischmarku westawjac. Ze
rebok ma przedawac rebe? Wurząd polsci decht nakazuje: - W Pucku, Wejherowie. Jo -
dobrze.

Rebok zawjoz rebe do Pucka, do Wejherowa. Postawjoł korzną z rebami na torgu. Przestą-
pjeł jeden mieszczon wejherowski, jedna paniszka. Kupiele wyrklich pynt abo unjefer kilo
stornewci. A reszta? Korzna ful rebe? Zasmjardzele se. Rebok wulewał zasmierdzele rebe
z korzne na zemją. Tak beło jeden roz, dwa, trzi. Co w ciemnicą na moerzu mjoł nałowjone,
co mjoł prze tim wjele bardzo robote, muszel na zemją rznąc. Kto woed reboka w Polsce
stornje kupi?

Leze! Ze sprawiedliwosc? -

Z tłumu ozwał się głos:

- Zjedz sam. Polska tak dużo ryb nie jada. To niezdrowo. Tłum się zaśmiał z ochotą. Rybak nie dał za wygraną. Ciągnął coraz wrzaskliwiej rzecz swoją, wymachując rękami:

- Jacież to prawoe, żebe nie dac rebe przedawac? Ciede je nałowjeno?

- Precz z Polską! - odpowiedział głos z daleka. Zwróciły się w tamtą stronę głowy jak za wiatrem. Tłum milczał. Oczy tylko siwe lub czarne, badające każdą sprawę trzeźwo, surowo, uważnie, pilnie, zimno, bez sympatii i pokory, szukały nowego mówcy. Stał na długim zsypisku kamieni knop młody, pięknołicy, zwijając w palcach cygaretkę. Widzieli jego rozpiętą kamizelkę o ośmiu białoświecących rogowych guzikach, rozpiętą na piersiach koszulę i spłowiwały kapelusz odsunięty z czoła. Ten młody mówił:

- Czy to słyszana była taka rzecz za dawnych czasów? Jak to ma teraz być tutaj? Nie było dawniej przeszkód takich! Po co wam te przeszkody? Co z tego macie?

Odpowiedzieli chórem rybacy:

— Polskich żandarmów!

- Polski żandarm konfiskuje wasze ryby i po paskarskiej cenie cichaczem je sprzedaje, czy wiecie, dokąd? No, czy wiecie?

- Do Gdońska! - wyrzeszczeli rybacy.

Śmiech po wielkiej gromadzie przeleciał jak wiatr po zbożu.

Knop wstąpił wyżej na stos kamieni, nogę prawą o głaz najwyższy oparł niedbale, zaciągnął się tego dymem i rzekł wyciągając rękę z gestem znamionym:

- Gdzieś za górami, za lasami panowie świata, Anglik z Francuzem, handlujący narodami i ziemiami, prehandlowali ten kraj. Tak im z rachunku wypadło, że go Polsce odstąpili. Czy wam źle było z Niemcami? Jakim prawem Polska przychodzi tu dotąd?

- Stul pysk! - zionęło jak pocisk z głębi tłumu.

- Czemu? Prawdę powiadam.

- Ja się pięć lat okrążyłem teń w wojnie, wszy me żarły, w krwawych bitwach stojałem o to, żeby Polska przysła tu dotąd!

Tak wołały jakieś usta spod rogatej, spłowiałej, szarej czapczyny.

- A ja to samo w krwawych bitwach stojał o co innego.

- O co? - wydarł się tamten.

- A o to, widzisz, te rogacz - wołał ktoś z głębi zbiegowiska - żeby go kajzer mógł widzieć przez szkiełko, jak na paradzie w Berlinie będzie w parademarszu but pod sam swój nos zadzierał - *ein-zwei, ein-zwei, ein-zwei*.

Śmiech znowu przeleciał w masie.

- Precz z wojną! - zawołał jeden.

- Precz z tą wielką świnią, z największą ze świń tego świata, precz z wojną! - wołał drugi.

- Precz z wojną! Na wieki wieków! - wołał trzeci.

- *Nie wieder Krieg! Nie wieder Krieg!* - wołał czwarty.

- *Dołoj wojnu!* - wołał piąty.

Tamten w rozpiętej kamizelce nie ustępował. Puścił dym swego papierosa i znowu począł krzyczeć:

- Wy sobie gadajcie, co chcecie, a ja jednakże dam wam dobrą radę. Słuchajcie! Co Polska komu dała dobrego? No, gadajże jeden z drugim, skoro wiesz! Nigdy nikomu nic dobrego

nie dała i nie da! Nie jej na to siła i głowa. A ja wam tak radzę: bez żadnej tam wojny podajcie do tych, co ludami i ziemiami handlują, petycję. Ja wam ją napiszę. Niech was tam, gdzie potraza, przydzielą. Wtedy będzie wam lepiej. Nie będzie rybakowi polski żandarm ryb konfiskował. Nie będzie białce, co do Sopotu lasem, krzakami masło szmugluje, dorobku jej wydierał. Nie będziesz tu jeden z drugim na śmiech ludzki morza grodził! Na to jest Gdańsk, żeby w nim port był dla szyfów.

- Co nas to obchodzi, kto, co i na co robi? - zawrzęszczał z głębi głos niezwalczony. - Nam trzeba o to dbać, żeby płacę podwyższyć a dzień roboczy przykrócić. Przez wieki wieczne ta sprawa się wlecze, a do swego celu nie może się przywlec. Jakież tam rzeczy nie wiadomo jakie i po co robimy. Nie nasza sprawa... Tłum potakująco zaszemrał.

- Dla polskiej burżuazy... - rzekł tamten. Na stos kamieni wyszedł drugi gaduła. Pierwszego gadułę łokciem potracił, aż tamten przysiadł na głazie.

- Powiada ten oto niemiecki naganiacz, że Polska morze po próżnicy grodzi. A tamten znowu, że je dla polskich bogaczów tak grodzi. Nie wiercie! Każdy pał, co tu w podwodne dno idzie, grodzi na wieki wolność Kaszubów. Nie będzie ich nikt nogą deptał ani sprzedawał, ani kupował. Skoro ta zagroda w morzu stanie i na wieki stwardnieje, nie zginie już Polska i obroni Kaszuby. Nie będzie rybak na sprzedaż z rybą do Gdańska bieżeł, bo co złowi, pójdzie wprost z tela wagonami do Polski. Sama Warszawa zje wszystkę twoją rybę.

- Nigdy tego nie będzie! Polska nigdy nic nie zbuduje. Zacznie, na śmiech ludzki, i stanie. Braknie jej geldów. Albo się po prostu rozmyśli. Budują tylko Niemcy!

- Niemcy tu były przez wieki. A cóż po nich zostało? Bieda, brud, nędza. Nawet tej drogi do starego Oksywia nie pchnęły. Sobie tylko pałace i przepychy we Gdańsku, w Sopocie. Prawdziwie: dla burżuazy. Jedno tu Niemcy zbudowały naprawdę: oto z Kaszubów - pół-Niemców wykrzesaly dla siebie, mowę słowiańską pół na pół pośladem swojej gwary zepsutej przetkały.

- Niech żyją Sowiety! - wołała jednogłośnie grupa jedna.

- Sowiet tutaj założyć!. Ten będzie wiedział, co jest prawda, co kłamstwo... - wołała grupa druga.

- Sowiety... - wtrącił pewien z tłumu. - Słuchajcie, ja wam powiem, bom tam bywał, widziałem na oczy. Sowiety potrzebne są na świecie, jak drożdże są potrzebne do wypieku chleba. Gdyby drożdży nie było, udławiłby się świat dzisiejszą suchą i jałową mąką, nawaloną w jednym miejscu przez interes i łajdactwo bogaczów. One Sowiety mogłyby mąkę świata zamienić na chleb zdrowy, pożywny, chleb nasz powszedni. Ale cóż? Same drożdże chcą być chlebem, same się podsuwają światu zamiast chleba i są nie do pożywienia, nie do strawienia, jeszcze gorzej niż mąka. Samymi drożdżami nikt nie wyżyje.

- Sprawiedliwie powiedział - wołał inny. - W tej Polsce nowej może być miejsce na spizarnię świata. To jest przecie nasza matka. Trza ją będzie szarpać nieraz, żeby chleb prawdziwy piekła dla dzieci, ale sama tylko przecie rodzona matka dziecka wykarmi niefałszowanym chlebem.

- Utyjesz, schlebiaczu burżujów, jak cię Polska nakarmił

- Czy był tu głodny za niemieckich czasów?

- Kłamiesz! Cokolwiek tu niemiecka noc tworzyła, to zawsze w tym jednym celu, żeby ten kraj na Niemcy zamienić, mowę tutejszą wytrzebić, ludzie w Niemców przeistoczyć. Patrz, jak biegną koleje: wszystkie ze wschodu na zachód, z Królewca do Berlina. A wasza ziemia

kaszubska po to była, żeby przez nią przechodzić, żeby ją deptać i tratować, aż się stanie Niemcami. Kto poza Polską może obronić Kaszuby?

- Bo tylko Polska buduje koleje z północy na południe: do swojej Warszawy. Tłum słuchał. Ów perorował:

- Jest ich jeszcze dwieście tysięcy, Kaszubów. Kto o nich stał na świecie poza Polską?....

- Słyszycie, jak was na Niemców judzi polski naganiacz! - wołał knop piękności wstając z miejsca.

- Łżesz, bracie! Nie judzę na Niemców. Kto jest Niemiec z rodu i z nowy, a na polskiej czy tej kaszubskiej ziemi się zrodził, z nami pracuje i na kawałek chleba zarabia, kto z nami szczerze żyje i zdrady w sercu nie chowa, ten jest nasz brat najrodzeńszy, przyjaciel i kamrat wieczny. Nie żywimy do Niemców, naszych współrodaków i towarzyszków, zemsty ani odrazy.

- Wielka łaska!

- A czego jeszcze chcesz więcej? Słyszycie! Chce, żeby nad nami koniecznie Niemiec panował. Niemiec jest panem w swoim kraju, my w swoim.

- Niemcy umieją rządzić ludźmi. Dla Niemiec jest ten kraj potrzebny.

Tłum porwał się z miejsca i zawrzał. Pięści się przeciwko mówcy podniosły. Wrzawa go zagłuszyła. Krzyk nacichł wówczas dopiero, gdy na stosie kamieni Niemiec rodowity stanął i po niemiecku przemówił:

- My robotnicy nie chcemy już panowania nad Polską. Nie będzie już przenigdy Prusak niemczył Kaszuby! Dlaczego jeden naród na nad drugim narodem panować? Dlaczego Polska nie ma się wydzwignąć z niewoli, z niedoli? Czemu nie ma zaprowadzić u siebie ładu, czystości, zdrowia, porządku, ozdoby i wygody takiej samej czy odmiennej, jak Niemcy zaprowadziły u siebie, a może lepiej i piękniej niż Niemcy? Precz z przemocą narodu nad narodem! My Niemcy nowe podajemy szczerą dłoń wiecznej zgody nowej Polsce. Precz z wojną!

Tłum radośnie, jednogłośnie zakrzyknął:

- Precz z wojną!

ODJAZD SMĘTKA

Mało-wiele przed północkiem odchodził z Gdańska wielki angielski parowiec nazwiskiem „Albion”, kierując się na zachód do jednego z portów brytyjskich. Ostatni łoskot windy, hurgot wyciąganej kotwicy, bieganina marynarzy po schodach, pokładach i przejmujące wreszcie dźwięki sygnału zbiegły się z westchnieniem ostatniego pasażera, który pokład opuszczał do kajut się kierując. Wielki, lśniący okręt, niby dziwne miasto fabryczne, pełne kominów, maszyn i ludzi, przesunęło się obok bulwarów kamiennych i skromnych starych domostw, gospod, sklepów i siedlisk rybackich w Neufahrwasser, wykonywując niby taniec dziwny, dawno ustalony i niegdyś w głębi lat przepisany, gdy mijał inne parowce, bezwładnie w kamiennym łożysku na kotwicach leżące. Tam i sam zatoczył półkole, wykonał grzeczny rewerans niby w prastarym country-dance na motławsko-wiślanych popławach. Zdawać by się mogło, że tchu nabiera i gromadzi w sobie siły, gdy wpłynął w szyję wody dojezdnej i wymijał latarnię na cyplu kamiennej ostoi. Latarnia na pożegnanie zalśniła we wszystkie jego okna, zajrzała w kajuty - raz-dwa, raz-dwa - i oto zarysy lądu rozbiegły się we dwie strony, a przestwór gdańskiej zatoki ogarnął sobą przybysza wypuszczonego z cieśni lądowej. Pasażerowie jeszcze powiewając chustkami, choć nikogo już z bliskich widać nie było, gdyż brzeg sam uciekał, niczyjego głosu nie słysząc z mrocznej odległości, osuszali oczy i zwracali je w morza rozległość. Światło elektryczne zalewało pomosty, pokłady wyższe i niższe, czatownie sternika i oficerów służbowych, schody, wnętrza kajut, jadalnie, sale machin i kuchnie. Szczególniej w salach machin, huczących i zięjących zaduchem, światło płonęło jak w piekle.

Silny wiatr wschodni wzmagał się w miarę wychylania się statku z gdańskiej sześciometrowej płycizny i dosięgania pełni wodnej. Była to czarująca noc ostatnich dni lipca. W bezchmurnym niebie lśnił księżyc jaskrawy, żywosrebrny, rozsiewający światło niemal dzienne. Tysiące gwiazd zalegały nieboskłony i zenit najwyższy. Wiatr powiewający od morza niósł w kaszubskie i lechickie lądy zapach wody słonej i zapach jodowy, szczególną rzeźwość i siłę. Podnosił z dalekich nad głębiną rozpostarć fale duże i poganiał je ku brzegom zalewem tak szerokim jak zatoka. Fale biegły chyżymi bryłami, a napotkawszy brzegi w swej drodze zwijały się na nich świdrem zielonym wokół samych siebie, rozpryskując niezliczone piany. Wiatr odbijał się od ruchomej i szumiącej powierzchni i padał na wzgórza gliniaste, na prastare moreny, zbożami dostalymi okryte - wiał w doliny płaskie i długie, odwiecznym załadowane torfowiem - pomiał mgłami ciągnącymi od dolin ku leśnym pagórkom. W locie swym kołysał łany żyta przelewające się ze wzgórz na wzgórza, wysuszał ziarna „w kłosach i żółtobiałą barwę nadawał zielonym ździebeł kolankom. Fale żyta szumiały własnym swym głosem nad własnym głosem fal morza, bytując w świetle księżyca. Wiatr od morza przypadał na wyżyny Oksywia, dął w lasy wejherowskie, w puckie łąki i niże, piaski, wydmuchy i zarośla Helu, w błota karwińskie i jeziorzysko Żarnowca.

Każda pierś ludzka oddychała radośniej i szerzej wiatrem od morza. Serce krzepiło się, uderzało swobodnie, gdy pochłoneły go płuca. Zakradał się w żyłeczki małych dzieci i dawał no-wy pęd kropelkom krwi nieskalanej. Błogosławili go ludzie silni, robotni i potężni w ramieniu, których chwila wytchnienia krótka jest jako ten wieczór. Błogosławił go rybak, zwiastuna pogody - „Ost - rebocci trost” - pociechę i otuchę, wrzucając sieci w czarną łódź, schłostaną od pienistych grzyw denegi, wciągając długie swe buty przed nocną pracą na morzu. U drzwi domków ceglanych, na progach siedząc kamiennych, starcy z opuchłymi nogami wsłuchiwali się z rozkoszą w znajomy jego szum, przyjaciela, który wielkie wznosi wały z tamtej strony Helu, a na tyse głowy i zmarszczkami porznięte oblicza padając, dawne przypomina sprawy, walki, burze, młodociane i męskie lata. Błogosławiły go usta młodzieńcze, szepcząc w ukochane usta słowa szaleństwa ludzkiego, przez wiatr z morza w serce rzucone. Błogosławiły go matki z miast dalekich, na kolana u łóžeczek dziecięcych rzucone, zanosząc tajną, najżarliwszą, najbardziej strzelistą i pokorną modlitwę do Boga wiecznie żywego, ażeby ten żywotwórczy wiatr od morza rozgrzał, rozdmuchał, rozpędził i usunął małe a złośliwe gruczoły i zaczajoną w nich płucną zarazę, przekleństwo rodu ludzkiego, w głębi organizmów maleńkich.

Wiatr wschodni spędził z pokładu parowca huczącego w ciszy przeważającą większość pasażerów. Postacie kobiece znikły zupełnie, chroniąc się do jadalni, czytelnicy, salonu i przedziałów sypialnianych. Na pokładzie w rozmaitych jego miejscach pozostało kilku mężczyzn.

Jeden z nich, w kwiecie lat męskich, wysmukły, błędził przy balustradzie krokiem swobodnym, lekko przechylając się i balansując w miarę pochyleń okrętu. Twarz tego pasażera mocno była opalona, prawie ciemna. Na policzkach i na brodzie, na dolnej i górnej wardze widać było przy jaskrawym elektrycznym świetle błękitnawe smugi, mimo starannego ogolenia twarzy. Ubrany był najbardziej *fashionable*, po podróznemu. To ubranie świeżo zaprasowane, czyste i świetnie skrojone przystawało niemal jak skóra do muskularnej figury podróżnego. Ciemne jego źrenice świeciły pod daszkiem *capu* nasuniętego na oczy. Palił doskonale cygaro, w miarowych odstępach czasu wypuszczając spomiędzy kłów pachnące kłęby niebieskiego dymu. Czasem otrząsał grubą warstwę szarego popiołu i wtedy na palcu jego prawej ręki połyskiwał wielki herbowy rubin sygnetu. Ten wytworny pasażer przerywał kiedy niekiedy swą po pokładzie wędrówkę, opierał się na żelaznych sztabach balustrady zwróconej w stronę lądu i bystro patrzył na ziemski krajobraz zasłany lasami, wzgórzami, zbożem i murawą. W świetle księżycy ziemia daleka była piękna nad wyraz. Była bowiem jakoby sen bezgrzesznego, wszechpotężnego Stworzyciela o lądzie - o tym, jakim ląd wśród rozlewisk morskich być może. Przesuwała się jako urocze i wzniosłe widzenie suszy wyłonionej z oceanu, spod lodowców, z dzikości skostnienia. Światła w wioskach błyszczały jeszcze jak lśnienie sznura brylantów. Świeciły jeszcze tu i tam pojedyncze okna w domach samotnych. Czasami oddalony łoskot pociągu, przebiegającego obok kniej i wzgórz, dosięgał środowiska morskiego i wpadał w ucho wędrowca jako świadectwo niezwykłej energii i nieustannej pracy człowieka. Czasami szczekanie psa, donoszące ziemi i morzu, iż wiernie stróżuje - cokolwiek by mu groziło - ogniska, od którego spadnie i przed jego oczy kość jałmużny, mocniejsze było od wiatrów poświstu. Ten głos bezinteresownej wierności i prawości, znak zakładu i sojuszu trwałego człowieka ze zwierzęciem, biegł długo za okrętem.

Samotny pasażer znał, widać, te strony, gdyż patrząc w ląd i puszczając kłęby dymu, z cicha, mniej niż półgłosem, przepowiadał sobie nazwy dalekich światłek: Obluzie, Kossakowo, Pierwoszyn, Rewa, Rzucewo...

Statek wychylił się poza brzegowe wody Helu i szybko minął smugę światła padającego kiedyś niekiedy z helskiej latarni. Wypłynął na potężne fale pełnego morza i zakołysał się silniej, bujniej, swobodniej. Wiatr ostry powiał. Wtedy ostatni pasażerowie ustąpili do kajut. Na pokładzie został tylko Anglik czy angłoman i jakiś drugi podróżny, tęgi i silny mężczyzna, blondyn z rudawym zarostem, w zielonym kapeluszu i gdańskiej pelerynie. Ten również palił cygaro i podśpiewywał obok bariery.

Daleka elektryczna blica Rozewia, rzucająca raz wraz, co minuta, swój nagły promień na kilkadziesiąt kilometrów daleko, oświetlała twarze dwu ludzi. Morze, narzucające się bez końca na białe, nie skalane ludzkim pobytym piaski podsypisk szerokich Jastarni, Wielkiej Wsi, Chałup, Rozewia, Karwi, było tak piękne, iż dwaj podróżni uznali za nagłą konieczność zawiadomienie się o tej bardzo starej prawdzie nawzajem. Wyrazili to po niemiecku:

- Morze w tej stronie jest bardzo piękne, nieprawdaż? - mówił brodaty.

- Tak jest, szczególnie tutaj, na Helu - rzekł brunet. - Gdy wiatr zachodni dmie w Brzeźnie, Jelitkowie, Sopocie, Orłowie i Gdyni - pędzi z lądu kurz na brzegi, a wodę morską odpędza od brzegów zamieniając morze w staw pospolity. Przeciwnie na Helu. Wiatr zachodni przy-pędza do jego brzegu najbujniejszą falę z małego morza, nasyconą jodem. A zresztą ów brzeg - toż to na północnym wybrzeżu południowa plaża. Figa tam rośnie i winogrod.

- Pan zna te strony?

- Dość dobrze i od dość dawna.

- Oto szmat niemieckiej ziemi, z trzewiów nam wyrwany! - Jęknął blondyn.

- Hm... - zakaszła raczej niż odpowiedział ogolony brunet.

- Pan może jest właśnie Polakiem? - zapytał drugi.

- Bynajmniej.

- Ta ziemia, ten korytarz, toż to istny pal wbity w żywe ciało niemieckie! Kół zaostrzony, którym nas przeszyto po obaleniu na obie łopatki.

- Pan znajduje? - spytał półciekawie wygolony zaciągając się dymem cygara.

- Patrz pan - czyż człowieka może nie ogarniać wściekłość? Ta latarnia! Niemiecka praca, niemiecka budowla morska, przed stu pięćdziesięcioma laty wzniesiona, udoskonalona teraz naszym staraniem, zaopatrzona w świetne maszyny Schuckerta, w maszyny do wydawania głosu syreny - w rękę tych barbarzyńców.

- Światło latarni jest teraz, jak i dawniej, raczej elektryczne niż niemieckie lub polskie. Głos syreny jest wśród mgły, gdy światło nie działa skutecznie, równie teraz jak dawniej zbawcze dla rybaka.

- Pana te rzeczy, widać, nie bolą i nie obchodzą. Ale dla nas, Niemców rodowitych i czujących swą krzywdę i zniewagę...

- Już mi te sprawy, w istocie, nie obchodzą. Interesowały mię dawniej. Bardzo długo. Teraz już mię nawet nie zajmują.

- Dlaczego?

- Po prostu dlatego, że one, w istocie, już tu nikogo nie mogą obchodzić.

- Och!

- Pana może jeszcze ostatniego.

- Ja tego wszystkiego nie mogę znieść. Wyjeżdżam stąd. Emigruję.

- Ja także.

- Pan jedzie do Niemiec?

- Nie, do Anglii.

- Jeżeli sprawy tutejsze i ich bieg, dla Niemców fatalny, nie obchodzą pana, to po cóż wyjeżdżać? - spytał blondyn.

- Jakby to panu powiedzieć? Wygasa tutaj to, co mię dawniej interesowało. Nastaje tu martwy spokój, którego nie znoszę. Nie ma tu już niemieckiej duszy i pasji.

Blondyn przysunął się do bruneta i zapytał go z cicha:

- Pan pracowałeś w niemieckiej robocie?

- Być może - rzekł angłoman.

- Czemuż ją pan rzuca? Tacy ludzie są nam potrzebni.

- Tu już nie ma i nie będzie dla mnie roboty. Markgrafowi Geronowi zastąpił, drogę jakiś ciemny a podstępny Mieszko. Spojrzeli sobie w oczy - i, o dziwo! - postanowili zawrzeć zgodę. Jeszcze jej nie zawarli, ale ją zawrą. Cóż ja tu mam do roboty?

Tęgi Niemiec zaśmiał się grubo.

- Śmieć się pan... - rzekł brunet. - Stała już w miejscu wasza siła i dalej na wschód się nie pomknie. Przeciwnie. Bodzie się na zachód odginała. Widziałeś pan, co się stało z Poznaniem, Bydgoszczą, Grudziądem? Czy wiesz pan, co za lat kilka będzie z Gdańskiem! Niemcy się polszczą. Przypominają sobie dawne swoje słowiańskie pochodzenie i - horrenda się dzieją. Zresztą, w głębi was samych słabe cnoty zaczynają pulsować. Wyciągacie stare szlafmyce i pantofle. Stajecie się potulni i zgodni.

Blondyn zachnął się głośno, a groźnie zaprzeczył.

- Nie zaprzeczaj pan... Umiecie gniewać się i perorować, ale już robić na całego po dawnemu nie zdołacie. Ja wiem dobrze.

- Nigdy się nie wyrzekniemy tej ziemi!

- Ale ona was się wyrzekła. Zresztą mnie osobiście robota istotna, robota w moim, to znaczy w wielkim stylu, nastęcza się gdzie indziej.

- Gdzież to?

- Gdzie indziej. Tam, gdzie jeszcze naprawdę handlują ludami, ziemiami, prawami, cudzymi niepodległościami i prastarą kulturą. Tam, gdzie jeszcze kłamią w żywe oczy, mając na obliczu beczelną a wspaniałą maskę nieposzlakowanej prawdy i cnoty. Tam jadę ofiarować swe usługi.

- Ha - szczęśliwej podróży!

- Z wami cóż bym tu teraz robił? Zapisać się chyba na śląskiego lub wschodnio-pruskiego najmitę z nożem w rękawie lub ręcznym granatem w kieszeni. To wam wykona według zleceń prawą lub lewą ręką każdy dobrze płatny parobek. A ja mam jeszcze oprócz ręki także i głowę. Moja głowa nie ma już dla was tęgich myśli. Stoicie na rozdrożu nowych gościńców, wiodących do krainy cichych cnót i zgodnego posłuszeństwa każdemu, nawet cudzemu, prawu.

- Mylisz się pan grubo!

- Nie myślę się. Będziecie robili w cnotach, jak umiecie robić w sklepikach, porządnie i systematycznie. Maluczko, a ockniecie się w ramionach braci Polaków tudzież łyzy miłości będziecie w ich brudne kamizelki wylewać. Przebaczycie sobie nawzajem winy, odpuścicie grzechy, zapomnicie starą przeszłość, podacie sobie prawice, wykreślicie najsprawiedliwsze na świecie ząbienia gminy o gminę i każdy w swoim kraiku albo przetasowani pomiędzy sobą w miastach mieszanych będziecie zgodnie i na zawsze pracowali nad normalnym przyrostem

żywej wagi mamy Cywilizacji i spokojem żywota papy Postępu, uchylając wszelkie powody niezdrowej alteracji. Machnął Niemiec groźnie prawicą.

- Nie zaprzeczaj pan. Podpatrzyłem was dobrze, uważnie, w szczegółach i na przestrzał. No - i długo. Teraz już na zawsze żegnam - i wyrywam! Gdzie pieprz rośnie! Należycie do przeszłości. Wygasł w was Henryk Ptasznik i ocknął się ze snu przy grobie świętego Wojciecha Otto Trzeci.

- Cóż to za mistyka!...

- Ręcę panu. Jadę do tych, co chylą się wprawdzie także ku przeszłości, sypią się tu i tam w gruzy nowoczesnego zwichnięcia rasy człowieczej, ale mają w sobie jeszcze wigor Ryszarda Lwie Serce, któremu ludzkie mięso równie dobrze smakowało jak bycze lub baranie, a który chętniej zwykł był zabijać ludzi niż zwierzęta. Tam jeszcze odżyję i będę miał o co się zaczepić. Bo tam w silnych rękach pali się jeszcze robota. Tam jeszcze stoją otworem kuźnie i wałą ręce potężnych kowali w kajdany na gorących od młota kowadłach. Tam jeszcze czczą dumę ze siebie jako bożyszcze, a na deptaniu wszystkich innych, białych i żółtych, czarnych i śniadych, zasadzają i gruntują swoją własną, na wyspie wyrobioną sprawiedliwość.

- Więc pewny pan jesteś dobrej posady u tych nowych panów?

— Będę się starał o dobrą. Mam niezłą szkołę i niezłe rekomendacje. A gdzież dziś, panie, ocenią wysoką wartość mych rekomendacji? Tylko tam, dokąd się kieruję. Tam jeszcze wygłaszają słowo „sprawiedliwość” - z flegmą dusząc obiekt za gardło.

W tej chwili pociąg przebiegał wzdłuż helskiego półwyspu.

Świecił jaskrawo okien szeregiem i sunął po niskiej, przymorskiej ziemi. Zdawało się, że mknie po powierzchni morza.

- Patrz pan, patrz! Pociąg na Helu... - mówił do Niemca angłoman.

- I cóż? Śmieszna impreza Polaków.

- Mówiłeś pan, że to barbarzyńcy. Tymczasem oni wybudowali kolej tam, gdzie wy zostawiliście barbarzyństwo.

- Mógłbym dużo śmiesznych anegdot o tej tam kolei powiedzieć. Ale szkoda na to czasu. Wybudowali ją pod przymusem wypadków, ze strachu.

- Ejże! Ten pociąg nawiezie ich tu z głębi łądu. Obsiada ten przylądek i zaludni. Wysypią na piaski z jednej i drugiej strony tysiące tysięcy dzieci. Uczynią z jałowego pustkowie południową plażę w tych północnych wodach. Będą się tu leczyli i nabierali zdrowia. W siły tu porosną. Będą tu wyplukiwali wszystek brud i skarlenie swe w niewoli nabyte. A gdy się dobrze nauczą myć, czesać, kąpać - a gdy się jeszcze nauczą po waszemu zamiatać, szorować - no, i pracować - biada, synowie Bismarcka!

- Nigdy się nie nauczą myć, czesać, kąpać. A już po naszymu pracować - przenigdy!

- Dobrze jest mieć w sobie na składzie większe zapasy pewności swego dostojęstwa. Owszem. Ale muszę jedno szepnąć w zaufaniu. Już te bramy piekielne, któreście - powiedzmy - któreśmy tutaj wielokroć nad nimi zatrzaskiwali, ta pokrywa szczelna i z dobrego żelaza - zardzewiała, połupała się i pękła na zawsze. Nigdy już nie odzyskacie Pomorza!

- Skądże to taki horoskop? Nim jedno pokolenie podrośnie, zawali się w gruzy to własne ich, śmieszne „państwo”.

- Kto to wie!

- Z rozkoszą nas powitają Kaszubi, gdy tu powrócimy.

- Kto ich tam wie, tych Kaszubów! Było już tak, żeście pracowicie osadzili swych własnych ludzi na piasku pruskiego pojezierza, żeście im grunt wykarczowali pracowicie, żeście im

domy porządne zbudowali, żeście ich zaopatrzyli, w co potrzeba, a przeciwko wam samym skoczyła rewolucja tych ludzi, dzika i straszna, na noże idąca. Cóż dopiero teraz, o Niemcy!

_ Przeciwko Polsce wypowiedział się wierny nasz Mazur.

- Czy się drugi raz przeciwko niej wypowie za lat dziesięć, piętnaście, gdy go dzieje spytają o zdanie -któż zaręczy? Powtarzam: już raz wasz lud własny do Polski się twarzą obrócił i na twarz przed nią upadł błagając, żeby go wzięła pod swą władzę. Któż wie, czy Mazur nie otrze z twarzy potu a brudu niewoli i nie wspomni sobie, że nad nim panują cudzoziemcy?

- Przypatruję się panu i myślę, że z zamaskowanym Polakiem się spieram.

- Uspokój się pan. Zbyt dobrze wam życzę. Ale właśnie dlatego, że dobrze wam życzę, prawdę w oczy wam mówię. Sami sobie nie lubicie prawdy w oczy wyjawiać.

- Pracują w głębi Niemiec tysiące tysięcy warsztatów, zakładów, pracowni. Organizujemy nowe Niemcy. Państwo przejmuje warsztaty i wspólnie z rzeszami pracowników organizuje olbrzymie zespoły. Kto lepiej od nas pracuje i wytwarza na ziemi?

- To właśnie, to właśnie! Lecz wśród wszystkich tych zjawisk jedno was zaskoczyło straszliwie.

- Wojnę przegraliśmy z kretezem, sami jedni przeciw globowi ziemskiemu!

- Nie, nie to. Czyż pan tego nie widzisz? Masa się wam z garści wymknęła. Już ani Niedźwiedź, ani Fryc, ani Bismarck nie udepce jej, nie ujarzmi, nie ugniecie w żelaznych swych dłoniach. Masy nie macie, jak ją mieliście niegdyś. Wyszła poza was i stała się sobą. To jest wasza klęska najgorsza.

- A tam, dokąd pan jedziesz, masa nie chce być sobą, nie wyłamuje się z ręki?

- I tam, dokąd ja zdążam, masa staje się sobą, tężeje jako lawa wypływająca z krateru. I tam płynie ta klęska, równie dobrze jak u was. Ale tam jest gmaszysko przestronne, olbrzymie, kolosalne, na całą kulę ziemską rozległe. Tam jeszcze pan znajdziesz przy wszystkich nowoczesności pozorach, maskach i snobizmach - podziemia, zapadnie, jaskinie, wieże tortur, tru-piarnie, kostnice, Gibraltary, Malty, Indie - i inne nory i dziury z dziesiątego wieku, w których działają obcegi i kuny metodami ludzi z wieku czwartego. Tam jeszcze stoją interesujące zamki Lady Macbeth. Śmieszna to była pycha wasza, żeście się z tamtymi ludźmi równać zamierzili. Czyż wy jesteście takim gmachem? Tyleście zyskali, że wasz stary Malborg z jego tajnymi schodami i gruboskórną jego legenda prześwietlili światłem elektrycznym, ażeby was było widać wzdłuż, wszerz i na przestrzał. I widać was jak na dłoni.

- Skarże Bóg Anglię!

- O najśmieszniejszy z okrzyków! Zaczynicie już lepiej czytać na nowo pisma Ludwika Tiecka. Albo *Cierpienia młodego Wertera* na nowo odczytywać zaczynicie. Zalejcie się na nowo waszym quasi-płaczem. Mniej śmieszni będziecie,

- Znieważasz nas pan, gdy jesteśmy w nieszczęściu. Ale wydzwigną Germanię ramiona jej synów!

- Wydzwigną, lecz nową i wam samym nie znaną. Aby starą wydzwignąć, już ludzi nie macie.

- My, panie? - śmiał się Niemiec.

- Ci, o których pan myślisz, to nie ludzie, to pały. Trzeba by za nich kręcić głową, za rękę ich prowadzić, ramieniem ich podpierać. Dość tego! Nim się wielkie gmaszysko, cel mej drogi, zacznie walić, w gruzy lecieć, w pył rozmiatać, nim ten teatr godny bogów napelni glob łośkotem i szczękiem nie lada - zabawimy się jeszcze.

Statek zatoczył półkole i wzdłuż Helu kierował swe drogi na światło latarni i na kępę czarującą Rozewia, we mgły nocne spowitą. Długi połysk latarni padał w wody i odbijał się

w oczach rozmówców. Okręt, jakoby fantom przedziwny, płynął w nocnym тумanie, nie wie-
dzieć: w okręgach wód ziemi czy na pograniczu niebieskim. Kadłub jego wyniosły, prześwie-
tlony w stu miejscach, niósł się jako widzenie w jasnej nocy przestworach. Docierał do lądu
tak blisko, iż słyszeli go ludzie, jak płynie, wspaniała, w swe drogi dalekie. A docierał do lądu
tak blisko, iż z cichego osiedla, z Ceynowy - które zowią Chałupy - gdzie cisi, spracowani
rybacy spali głucho pod Bodziem, doleciało do statku północne pianie kura. Posłyszał pianie
kura ciemny na pokładzie podróżnik. Wstrząsnął się jak od chłodu nagłego przejęty. I rzekł
do towarzysza podróży:

- Już północ. Kur gdzieś zapiał! Nieprawdaż? Kiwnął głową przygodny znajomy.

- Czas na mnie! Dobranoc!

Szybko przebiegł przez pokład, obok kotłów huczących od ognia czarną plamą się sunął,
w czeluść schodów świetlistych się schylił. W świetle drzwi prowadzących w dół statku, do
kajut i maszyn, postać jego przepadła jak widmo.

MIĘDZYMORZE

DRUŻYNIE HARCERSKIEJ MĘSKIEJ
IMIENIA ADAMA ŻEROMSKIEGO
W SEJNACH
SWE „CZUWAJ” -
Z GŁĘBI SERCA PRZESYŁA
AUTOR.

ROZDZIAŁ 1

*...grzmiącymi pierściami białe roztrąca się morze.
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa...
ADAM MICKIEWICZ*

Zachwyciła się fiołkowa chmurka pięknnością rogatego księżycy na godzinę przed wschodem. Rozpostarła się, ni to uwielbienie bezsilne przed srebrnym majestatem, w dole jego połyskliwej bryły.

Nie może odpłynąć na wschód, nie może się na zachód odczołgać.

Dalekie niebo przybrało kolor pomarańczy dojrzewającej w ogrodach Wschodu.

Jak owoc dojrzewający, nasycy się blaskiem słońca, które zmierza w te strony.

W głębinie jasnej nocy spoczywa w blasku miesięcznym nieruchomy bór sosnowy.

A bór utkany jest z koron tak bujnych, jakby żywiące go pnie nie z bezdennych wyrastały piasków, lecz z tłustego łu Nałęczowa.

Ani jedna gałązka, ani jedna witka, ani jedna igła nie porusza się, nie wzdryga, nie powiewa. Zamilkł teraz czujny kogut, tak tęskniący za słońcem wśród ptasiego rodu jak słonecznik i heliotrop wśród roślin.

Gołąb- nakrył żółtą źrenicę błoną powieki i przytulił śniade łono do łona gołębic.

Łagodnie i niepostrzeżenie wygina się południowy brzeg półwyspu, przybierając w oddali kształt głowy i dziobu gołębia.

Od tego dzioba ziemi biegnie w bławe morze szlak ledwie dostrzegalny dla oka.

Tam w dali widnokrąg zagłębia się we mgłę fiołkową, a linia granatowa zaznacza, iż to morze bierze rozbrat z firmamentem i wydziela się w mocarstwo swoje od powietrza bez granic. Jasny pas piasku, pełen bladożółtych odcieni, jak wgięta płaza miecza wielkiego ściele się na dalekiej przestrzeni.

Na tym otwartym nadmorzu zabiegliwa fala z cicha tej nocy pracowała.

Przynosiła niestrudzenie i raz koło razu półkolistymi naręczami kładąc w przeguby i wiązania, wśród rytmów niezmiennych, miotała webło, czyli kidzenę, czyli morską trawę, którą z głębokich zatargów, z mulistych głębin wyniosła i na ten strąd wydzieliła.

Wielobarwna trawa nikle widnieje na bladym pobrzeżu, jakoby szlak kolorowy na delikatnym ciałeczku morskiej chełbi, czyli barwistej meduzy.

Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w lądy i w morza.

Poczuły nie znaną nam rozkosz róże w ogrodzie i wydały w spazmach rozkwitu pachnące westchnienie.

Rozrywa się lepka cieśnia ich płatków, gdy po długich deszczach spadła na nie w ten czerwcowy poranek płomienna sfera upału.

Niewidzialny kos, pustelnik, ukryty w zielonych gałęziach sosny pochyłej od wiatrów zachodu, która dlań puszcza jest macierzystą i ojczyzną, wita słońce uwielbiającym poświstem.

Karmazynowy kwiat begonii dźwiga kielich swój spod piasku, którym go chłoszczące wiatry i nawalne deszcze przybiły.

Wysuwa się z cienia sosny, istny żebrak z mrocznej kruchty kościoła stukający swymi kulami w pośpiechu na łeb na szyję, żeby zobaczyć lśniące koła karety, w której cesarz Indii w majestacie swym szybko przejeżdża.

Wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo uwielbienia ten powrót słońca.

Wieczny jest i niezmienny, zawsze ten sam, a nigdy ani o jedno jotę, ani o jedno kreskę nie mniej olśniewający i budzący zdumienie niż przed nieskończonym czasu oceanem.

Sieje oto obłoki pyłu i zapładnia dziewicze słupki żyta na urodzajnej kępie Oksywia.

Pogania ławice wiosenne śledzi ku wodom na poły słodkim, zasilanym przez Wisłę.

Wyciska lepkie soki z szyszek młodocianych sosny. Otwiera wysmukłe pąki nadmorskich goździków i wydostaje z nich strzępiaste płateczki, najdelikatniejszymi kreskami różu nikle zabarwione.

Zbudził ze snu żółtego motyla i kazał mu w obłędzie szczęśliwym polatać nad szafirowymi falami morskich przestworów.

Gruba chmura, która całunem ogarnęła moją duszę i całunem zasłoniła moje oczy, odwinęła się tego rana.

Dźwignąłem głowę spod całunu i podniosłem oczy na tę stronę ubogą.

Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zasy piaszczyste, bladą porośnięte wydmuszycą.

Roześmieję się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza bywała od promieni słonecznych.

Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma - pomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy.

Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany.

Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniźnie, szacie pełnej powabu.

Zgorzałe od słonecznego pożaru, przejrzone przez słońce na wylot, zabarwiły się na rdzawo, na rudo, na płowo.

Białe, wymokło ciało miejskie jest tu obmierzłe dla oczu, budzące wstręt jako ślina.
Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza.
Klatki piersiowe mężczyzn, ich karki, żebra, uda, lędźwie, ręce i nogi pali niestrzymane słońce jakoby tysiąc tysięcy lamp kwarcowych.
Kobiety mają tu nie tylko sadło pokryte białą skórą i bezwładne kształty godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości pełne mocy.
Nawet obmierzli, ułomni i szpetni nabierają tu wdzięku i kształtu.
Starzec siedemdziesięcioletni wyszedłszy z błękitnej kąpieli ćwiczy gimnastycznie swe ciało, wyrzuca to ręce, to nogi, zgina wiekowy kręgosłup, czaszką spaloną na czarno połyskuje wokoło zwyciężając niezwalczoną siwiznę.
Dzieci, ciemne lub rude od słońca i wiatru z południa, jak anioły igrają w blasku odtrąconym przez falistą powierzchnię.
W bryzgach piany biegając bez przerwy, noszą istną aureolę świetlistą dookoła sprężystych swych ciałek.
Morze wiekuiście ruchliwe podnieca energię ich skoków, prześcigów, poruszeń i tańców - wiatr wschodni popędza je z miejsca na miejsce - a światło migające na falach - śmiech nieskończonej radości w nich budzi.
Bawią się z olbrzymim potworem, który szpik ich kości mocą życia nasycy, a ze krwi nasiona zarazy, ziarna śmierci wypędza.
Chwytają go za gardziel drobnymi rączkami, a krople złota i srebra sypią się na wsze strony z ich maleńkich paluszków.
Daleko, daleko w morze aż ku ławicom podwodnym, na których zachłysta się fala, pływaczka wysunęła się młoda.
Prawe i lewe jej ramię na przemiany świetlistą wodę roztrąca, a głowa o urodzie wspaniałej raz wraz melodyjnie, to w tę, to w tę stronę, jak w tańcu się chyli.
Na podsypiskach tam, gdzie słońce najognistszym przypieka pożarem, leżą twarzą do blasku ostrego nieruchome kadłuby nasycających się światłem.
Tam, gdzie już ludzi nie ma, łańcuch zachyleń, bugajów i ostoi wgryza się w podsypiska, a szczodra, od piany czubata fala wodna nieskończenie w skok się narzuca.
Palce nóg nie wglębiają się i nie mogą odcisnąć na tym ciemnym boisku, a pięta nie więźnie w wychłostanej i stwardniałej płaskoci.
Na nieskalanym, przymorskim chodniku piszą wciąż fale smugi dymne i sade.
Po milionkroć muskają i gładzą a dopasowują w formę doskonałej płaszczyzny piasek, już dawno-dawno zmielony na mąkę.
Nad głębią strony, czyli nad tą smugą przybrzeżną, skąd podplusk na strąd wbiega, ciemna lśni barwa.
Za nią ciągną się zieleńce, smugi płyczn, pod którymi tkwi rewa i zalegają piaski zdradne.
Tam, z wielkich idąc oddaleń, z ciemnych bezkońców, wały morza spotykają przeszkodę, wrą tedy, złoszczą się, pienią.
Gdzieniegdzie na mojej drodze wiązka rudego webła uderza w spojrzenie, kudłata, śliska, ośliniona i osypana bąblami.
Wydarło ją bujne morze mocą swoją i władzą, ostoję i przytułek igrających dorszów i storni, czy wydarła przemocą denna matnia kręcichy, rybackiego niewodu. Ani jeden kamyczek nie wynosi się z toni. Gdzieniegdzie ułamek szerniałego drzewa, korek lub szczątek wę-

gła z człowieczego kędyś ogniska czerni się z dala w blasku pobrzeża jak resztkę wstrętnego brudu.

Morze otrząsem wewnętrznej odrazy i womitem zewnętrznym wyrzuciło go z siebie.

Ostra wełna nieustannym zakosem podbija stare piaszczyste pokłady, podrzyna niematerialnym swym cyrklem wypukłe półwyspy i wklęsłe zatoki.

Tu i tam odsłania barwne ostrze, nikłymi zdobione kolory, ubite dawno, uklepane warstwy.

Niestrudzony, jednostajny poszum morski przesącza się w poprzek ciszy.

Lecz oto zniweczył go i roztrącił szelest pluszczący i świszczący.

Wysmukły, nagi młodzieniec, o budowie efeba, wszystek brązowy, z twarzą, w której tylko białka oczu błyskają, jednostajnymi skokami plażę mija.

Kark jego jest prosty, łopatki w tył podane, kędzierzawa głowa zadarta, ręce pod pachami złożone i zaciśnięte dłonie.

Pierzchliwie pryska spod jego bystrych a rozrosłych stóp morskie rozpostarcie na strądach.

Zda się, iż pierzaste skrzydła migają z prawej i z lewej strony u każdej jego stopy miedzianej.

Zda się, iż to skrzydłopięty Hermes z Olimpii ocknął się i przebiega wybrzeżem morza północy.

Ciemna postać w oczach oddala się, mętnieje, mgłą się zawściąga. Daleko w błękicie znika.

Na przymorskim chodniku, który stanowi wschodnie brzuśce przyrostów półwyspu, wciąż linia złotofalista wynika i przygasa.

Nie ma tam już ludzi.

Nareszcie - nie ma nikogo.

Bieli się tylko w dalekim błękicie stado mew wiecujących.

Złożone są ich płowe, smuzką białą ośnieżone skrzydła i białe głowy widnieją z dala na fali. Z siodłatej barwy zwierzchniego płaszcza swych piór podobne do morza w czas burzliwy - barwą głowy i spódnic naśladowują piany pędzące na czubach bałwanów.

Spłoszone widokiem przychodnia, pierzchają, wnet jednak zlatują białymi pierściami we wzdęte podrzuty żywiołu i jak łodzie człowiecze ponosić się każą.

Jedna tylko, odbita od stada, wciąż krąży.

W moją stronę nawraca.

Unosi się wyżej i niżej, jak jastrzęb kołuje, leci w prawo i w lewo.

Jak strzała wprost na mnie przypada z wyraźnym zamiarem napaści.

Widzę tuż nad swą głową rozpostarte jej skrzydła, dziób rozwarty, słyszę krzyk chrapliwy i dziki.

Gdybym kij swój podźwignął, znalazł kamień, uderzył z całej mocy ramienia, zabiłbym napaśnicę.

Dostrzegła czy przeczuła niewiadomą mi władzę ten zasób mej potęgi, ten impuls mojej woli, bo krzyk jej stał się ostry, złowrogi, zaiste wojenny. Nie inaczej - wyzwala mnie do boju!

- Czegoż ode mnie chcesz, skrzydlata? Com ci krzyw, śnieżnopióra? Czy i ty w tej samotni, na granicy wód i piasków, tylko prawa wojny za prawa uznajesz?

Krzyk rybitwy nie ustał, nie zniżył się, nie nacichł, lecz się wzniósł i dosięgnął granicy obrzydliwej rozpaczki. Zrozumiałem treść tych ptasich okrzyków. Zrozumiałem dokładnie.

Poczytuje mnie, widać, za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda.

Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila zniweczy gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badyłów tej strony, ukrecone z kolczastych włókien mikołajka.

Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnym sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda przytulonego do ziemi.

Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce prowadzącej do proggu.

Mam w gardzieli ten sam krzyk, który się spod twego serca wydziera, ptaku popielaty.

Każdy odcień chrapliwy pamiętam na widok przybliżania się i na widok oddalenia.

Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i, wpośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedziny, gdy - po tysiąckroć przeklęta! - na moim nieszczęsnym sercu wszechmocy swojej próbuje.

- Uciszyć się, matko!

Nie ja to jestem kształtem śmierci twojej lub czyjejkolwiek, kogo aż do śmierci miłujesz.

Ja jestem jako i ty, jedynie ptak polotny, którego skrzydła burza z prawa i z lewa podbija.

Przez twoją świętą trwogę, przez twój krzyk żalostnej miłości niechaj bezpieczne będzie twe gniazdo małe!

Wyrowadź cichcem a nieobaczkiem przed zbójcami dzieciątka swoje między dwie błękitne otchłanie, wyższą i niższą, między niebo i morze.

Niechaj szczęśliwie, według swojej natury, w rozkoszy bytowania wygną sustawy i pióra swych skrzydeł.

Niech najpotężniejszemu wichrowi sprzeciw postawią i jako żagle zagrodzą drogę, żeby dzięki lekkiej przeponie ich kostek, ścięgien i piór sam musiał je naszać aż pod lecące obłoki, wywyższać, podnosić wzgórze, w promieniach słońca wiecznego.

Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce, stacza się oto z nieboskłonu.

W szkarłat nabrzmiałej kuli, niestrzymany dla oka, przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu - i w wodach puckich, kędyś na prost królewskiego Rzucewa, tonie w rozplómiowanym Małym Morza obszarze.

Gdy na wybrzeżu, w gwarnym Sopocie, w pięknym Orłowie, w Gdyni, rozgłośnej od łaskotu pracy, rozciąga się już przedmrok błękitu, gdyż słońce zaszło tam już za lasy uroczego wzgórz łańcucha - na podsypiskach i dunach Helu wciąż jeszcze trwa świetlisty dzień, aż do ostatniej chwili pogrążenia się w falach górnego krańca płomiennej słońca korony.

Do tej ostatniej chwili w jego promieniach dzieci radosne skaczą na białych pochylniach i w pianach tęgo wygrzanych.

Oczy wszystkich śmiertelnych z pożegnalnym westchnieniem i z wewnętrznym szeptem uwielbienia zwracają się w tej chwili ku odchodzącemu rozdawcy żywota.

W każdym oku objawia się trójkąt piękności, wiecznie istniejący i zawsze ruchomy, przenośny z miejsca na miejsce, stworzony przez linie nieskończenie długie między źrenicą, między słońcem ubywającym i linią jego odbicia w morza drgającej powierzchni.

Na drgającej morza powierzchni wynika kresa ruchoma, której widok zależny jest od każdego kroku człowieka w prawo lub w lewo, istniejąca rzekomo na rozległych wodach, a nie istniejąca po prawdzie.

Dokądkolwiek pójdzie i skądkolwiek spojrzy - gdyby nawet obszedł Wielkie i Małe Morze wokoło, ściele się przed nim o zachodniej godzinie na wsze strony, ażeby mu pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który na morzu przygasa.

Jakże wieloraka, jak nie naśladowana dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest złotolita i srebrnolita, rubinowa i diamentowa wstęga na morzu!

Dla każdego oka jest własna, dla każdego oka gdzie indziej, jest wszędzie, w istocie nigdzie jej nie ma.

Igrające ryby skaczą w niej zataczając dokoła siebie kręgi i sypiąc iskry złote, są to bowiem w tej chwili ryby złote, których nigdy nie było i nigdzie nie ma okrom wielkiego mocarstwa cudownych baśni piastunek i okrom nieobeszłego mocarstwa poezji.

Trójkątne skrzydła płóciennych żagłów - klin na przedzie, wielki grot w środku, topżagiel w górze - przesuwają się poprzez pręgę złotolitą nabierając złota, srebra i drogich blasków w bryty swoje i w zaświat czarodziejski, do mocarstwa baśni dzieciństwa, do stolicy Cudogrodu z tych wód odpływają.

Gardzina młody, bohater nieulekły ze świetlistym oszczepem w dłoni, stoi przy drzewie masztu i śle oczom starym z daleka patrzącym pożegnania na zawsze, na zawsze - nie-pojęty znak dobranocny.

Zagasło słońce w wód topieli.

Noc nadciąga.

Przepych szkarłatnej, cienkiej pawłoki ściąga ze siebie lśniące morze.

Zagasa szkarłat, szafran, kolor nasturcji, zieleń, błękit, niebieskość i fiolet.

Zdmuchnięty został i zagaszony złoty szlak drogi słonecznej.

Smutek i przestach, nie dający się ująć w wyraźne słowa ani nazwać po imieniu, przejmuje tajemnym sposobem kości i uciska serce człowieka.

Niepokój potraça nerwy, gdy zagasła złota światłość słoneczna, a trójkąt niewiadomy, samoświecący, wyjęty jest ze źrenicy.

To noc, siedlisko rozkoszy snu i okrąg straszliwy bezsenności - gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie - daje znak o swym panowaniu.

Noc - dziedzina rozpasania się ciała i rozpętania się mąk duszy, umocowanej i skrepowanej za dnia przez pamięć, którą słońce żywi i hoduje.

Noc - otchłań samopoduszczeń się rozpusty i jaskinia bezładnych marzeń o wyjściu poza obręb rozumu, o wyłamaniu zagród otaczających naturę ludzką, o potędze władzy przewyższającej moc bogów.

Noc nastaje na ziemi, gdzie panował jasny syn słońca, zdrowy bożyc wcielony w ducha ludzkiego, wszytkowidzący i wszechwładny rozum.

Nad borem znieruchomiałym i w głębokim pogrążonym milczeniu, nad łagodnym zachyleciem się drzew, które tworzy ostatnie zakończenie półwyspu - zakręt ukojenia - lśni pełnia księżycowa.

Za tym półkolem uciszenia łagodne morze w blasku miesięcznym igra srebrnym falowaniem. Sen głęboki zstąpił na ziemię i na morzu panuje.

Zacichły ptaki w boru, mocno trzymając się swych łożysk snu zakrzywionymi szponami.

Zapewnię śpią nawet ryby, ocierające się wielobarwnymi łuskami i najeżonymi skrzelami o bujne, dziwaczne i fantastyczne krzewy wodorostów.

Nawet igranie morza z blaskiem księżycy nierzeczywiste jest i uroku pełne jak sen.

O śnie!

O niepojęta siła odradzania nas do życia rzeczywistego i przeistaczania w inną naturę!

Nasycasz ciało nowymi siłami, a w tym samym czasie nosisz nas o setki i tysiące mil od miejsc, gdzie powłoka nasza spoczywa.

Nosisz nas po przestworach i głębiach, czyniąc z nas istoty inne, niż jesteśmy na ziemi - lekkie, zwinne i lotne.

O śnie, tajemnicza potęgo!

Z żebraka i bezdomnego włóczęgi, zażywającego twardego wywczasu w przydrożnym rowie, czynisz króla o sercu radosnym, o myśli wspaniałej, o oku szczęśliwym na widok wiecznie nowego ogrójca radości, gdy słońce powstaje.

Z króla państw, monarchij, księstw, ziem i przestworów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, czynisz nędzarza najostatniejszego między ludźmi, z którego oczu potoki łez nadaremnie płyną, skoro zasnąć nie mógł w ciągu nocy nieskończonej.

O śnie!

O świecie radosnych krain i przygód nie do wiary!

Wracamy oto znowu z wypraw, z przechadzek, gdzieśmy widzieli doliny szczęścia cichego, anielskie oblicza i boskie wejrzenia - albo straszliwe piekiel urwiska.

Wracamy na miejsce swoje w rzędzie dwunogów i czworonogów, w oborze żarłoczności i trawienia, na metę walki o jadalno, legowisko i rozkosz miłosną.

A byliśmy przed chwilą podobni wiatrom i blaskom, podobni bogom i bogobojni, dalecy od siebie samych - albo byliśmy straszliwi i obmierzlejsi dla siebie samych, ohydniejsi i bardziej przekłęci od szatanów.

Podobnie jak w morzu wzdyma się wodny garb, podobnie jak wyciąga się z oceanu ku księżycowi dziób chciwy, ażeby się do niego zbliżyć - tak samo z istoty człowieka wiecznie ku księżycowi po nocy cości wznosi się i wyrzywa.

Istnieją w nas tajemne i niepojęte siły snu zarazem i czuwania, somnambuliczne stany pokonywania w blasku miesięcznym przeszkód nie do pokonania na pozór dla przyrody człowieczej, błędzenia po szczytach spadzistości, po gzemsach budowli i wstępowania z łatwością po pionowości ścian.

Istnieje w nas siła marzeń, na skutek blasku księżycy wyrrywająca się z naszej zdrowej natury, pragnienie dotarcia do innej strony, zatajonej i niewiadomej, skrytej w nas, czającej się poza mięsożernym i trawożernym bytem, poza chuciami mężobójcy, zdrajcy i szpiega.

Porwani przez siłę marzeń obcujemy ze świętym Franciszkiem, ze świętym Aleksym i ze świętym Wojciechem.

Istnieje w nas siła zachwyty, który księżyc świecający nieci, ciągnie z nicości na zewnątrz, podnosi i wydobywa.

Dzięki temu zachwytwi wzdychamy i płaczemy za świętym naszym dzieciństwem, odczuwając niepojętą za czymś żalobę.

Dzięki temu zachwytwi odczuwamy niepomierną, bez powodu radość, iż nie jesteśmy zwierzętami i roślinami, lecz że duch w nas wolny przebywa, duch anioła wtrąconego do cieleśnego więzienia.

ROZDZIAŁ 2

Czarna kula, wywieszona w skwarny dzień letni na poprzecznicy masztu semaforu obok morskiej latarni, postrach budzi na morzu.

Jaskrawa, czerwona latarnia, umieszczona w tejże kuli, gdy ciemna noc zapadnie nad lądami śpiącymi, podwaja i potraja grozę ciszy.

Czujna latarnia zdaje się oświetlać po nocy czyhające, zdyszane, zdradzieckie burzy oblicze. O pewnej godzinie nocy daje się słyszeć huk daleki.

Świszczące wiatry dopadają półwyspu i ze wszech stron obskakują węgły domów.

Wśród spłoszonego szumu gałęzi nisko zginają szorstkie czuby krzywych sosen.

Czarny las szarpie się w mroku.

Deszcz chłoczce starą karpiówkę dachów zzieleniałych.

Podmuchy zbiegano w bezkończach morza, napotkawszy okienka domostw przyczepionych do piasku, nagle w nie tłuką i biją we drzwi na głucho zatarasowane.

Ciemna jutrznia odsłania morze w pianach, skaczące w furii na duny od dżdżu szare.

Daleki, zbrudzony horyzont zasłany jest jak gdyby wzburzoną kurniawą śniegu.

Dzikie bałwany nie tylko się rozbijają, lecz zaprawdę roztrzaskują o brzegi.

Zielone ich zawoje zwisają nad półcylicylnicznymi wnętrzami, przez nagły ruch polerowanymi jak stal a migotliwymi jak ogień.

Wiatr zdziera z nich pianę strzelistą i miota ją na brzegi dalekie lub na morze szalone.

Tłoczą się jedne na drugie plan istne zasy, miazga wzburzona i szumiąca po pękniętych denegach.

Długie drogi wlokącej się śliny od grzbietu do grzbietu wodnego znaczą podstępne i obłudne szlaki i ścieżki żeglarza.

Z dala pędzą niby wzgórze ruchome - ściśle zasy ku lądom,

Na mieliznach podbrzeżnych w pół się łamią, przepękają w swej mocy i niweczą w swej sile.

W śmiechu pienistym wżgardliwego żywiołu huśtają się belki ciosane, tramy, ostro kończone paliszczka, pniaków korzenistych kadłuby, gałęzie z kory obdarte, wyrwane skądś deski i rozszarpane gdzieś szczątki człowieczego klecenia.

Świszczący wiatr śmiga stronami i smaga wysoczyzny półwyspu.

Między Rozewiem a Sambią zalega ten ląd dziwny, mierzeja ponad stumetrowymi głębiami. Skądże się tu wziął w czystych toniach, jak tu powstał - ni to przylądek, ni wyspa, po milionkroć przez wściekły żywioł zdobywany i po stokroć szarpany na sztuki?

Tam, gdzie dziś cichy sosnowy bór szumi, istniał pono - jak głoszą klechdy uczonych - jakowyś ląd, w jakowymś morzu pradawnym.

Studnia w tym miejscu, sto z górą metrów w głębokość ziemi idąca, przecina piasku tylko dwa metry, dalej do dziewięćdziesięciu ośmiu metrów przewierca formacje dyluwium, a do stu sześciu metrów formacje kredowe.

Woda bijąca z wywierconego otworu - strzela w górę na dwa metry ponad poziomy powierzchnię.

Kędyś tedy na łądzie dalekim, w jakimś wyżynnym jeziorze ta woda ma źródło siły swego wytrysku.

Mówią klechdy uczonych, iż ów osuch pierwotny począł w czasie narastać i grubieć, zanim grobla północna poczęła się jako rewa podwodna.

Grobla północna - dzisiejsze, piaski i niziny Wielkiej Wsi i Kuźnicy i obok nich kotlinowe głębie podmorskie - były ujściem przedwiecznej rzeki-olbrzyma.

Szeroką paszczą swoją czy szeregami strumieni w piaskach rytym - Wisła tutaj uchodziła do morza.

W prawieku, gdy lodowiec wspierał się o południowe Bałtyku wybrzeża, Wisła płynęła na zachód szlakami Noteci, ażeby w jedną rzekę splatać się z Łabą.

W dzisiejszej jej delcie pod Gdańskiem stały jakoweś wody zakisłe, olbrzymie zasiąkła, jeziora i błota, z których wody uchodziły na zachód, poza kępą Oksywia, torfowiskiem Gdyni i Redy. Gdy zaś lodowiec zupełnie aż do Skandynawii ustąpił, Wisła przebiła się ku północy.

Wciągnąwszy w siebie i zagarnąwszy ze sobą zasoby olbrzymiego gdańskiego rozdołu, z jezior, z błot, ze strumieni ciekących, od strony Laskowic, od Prabutów, od Dzierzgoni, spłynęła ku północy.

Szeroką drogą swoją pogarnęła się ku dawnemu rozdołowi między dunami i kępami, gdzie dziś rozpostarte leżą torfowiska Chylonii, Cisowa i Rumii.

Poprzez terazniejsze Bruckie Żuławy, między Osłaninem i Rewą wlewała się w łożysko leżące dziś na dnie morza, gdzie torfy przysypane piachami spoczywają w głębieniu trzydziestometrowej.

Kędyś między Wielką Wsią i Kuźnicą szła między szory głębokie, słowińskie.

Niezliczone jej potoki, złobiące drogi swoje skroś gór i rozłogów olbrzymiego kraiszcza, wynosiły w ciągu długich stuleci, podczas pełnowodnych wylewów i czasu wiosennych roztopów muły i piaski, kamienie przymarzniete do płynącej kry lodów, olbrzymie pnie drzewne o trzymetrowej średnicy, które do dziś dnia leżą w piaskach międzymorza, nie na jego ubogiej wychowane glebie, lecz przyniesione z bezbrzeżnej polskiej dziedziny.

Dwa wielkie skrzydła tego przedwiecznego Wisły łożyska nieznane są, albowiem w morzu na zawsze zginęły.

Jedno od Gdańska do Gdyni, drugie od Rewy do Wielkiej Wsi i Kuźnicy.

Obadwa pochłonęło morze, które wiekiście wyniosłe kępy ujada, a przyległe do nich niskie łądy na dno swoje potraça.

Widnieje tylko szlak ziemski między Gdynią i Rewą.

I dziś jeszcze Wielkie Morze czatuje, ażeby się wdrzeć na błota karwińskie, torfy ich piaskami zasypać, a z wyżyny Rozewia uczynić międzymorze, które by kształtem swoim głowę bawołu tworzyło, z dwoma - helskim i karwińskim - rogami.

Z pracy Wisły przedwiecznej, której długości i wielkości nie podobna ogarnąć myślami, powstały olbrzymie złogi mułów, piasków i kamieni, które morze zwycięskie wdarłszy się w te obszary mełło i wyrzucało za siebie.

Przez wieki tworzyło wał - zrazu podwodzia - płytką rewę, szereg mielisz i haków - potem groblę nadwodną, stałą cienką mierzeję, nieraz rozszarpaną w stu miejscach, która kępę dawną Helu z kępą Swarzewa złączyła.

Jak teraz przed zdumionymi oczyma wędrowca odkrywają się tajemnicze doliny, rozdoły w lasach pochowane, biegnące ku zakisłemu i w posępną wilgoć otulonemu łożysku, urocze samotnie Starego Kacka, Witomina, Chwarzna, Chyłońskich Pustek i Łężyc - prawdziwie z tatrzańskich regli tutaj przyniesione i w nadmorskim osadzone nadbrzeżu przez bożyszcze złudzenia - tak samo wielką rzekę przeszłości wyraźnie ukazuje nam w tych miejscach pamięć wyobraźni.

Ukazuje nam ją zachwyt nasz - Prawisłę - lechickiej ziemi pracownicę olbrzymią.

Puszcze niezbrodzone, pierwobory dla siebie samych rosnące nad jej brzegami błękitnieją w oddali, zielenieją w pobliżu. Śnią nad jej urwiskami samotne święte dęby i samotne święte lipy, wszczepione olbrzymimi korzeniami w żwiry i gliny, przez tajemnicze siły lodowców uzgarniane, w szczyty i zbocza gór Radiowa, Oksywia, Białorzeki i Dębogórza.

Jak za dni naszych mewy białoczelne nad jej szerokim wodnym przestworem rytmem rwanym, w sposób niewysłowienie uroczy, miotają skrzydła długie i wydają krzyk swój bojowy - ongi tak samo.

Jak za dni naszych, tak samo drzewiej i zawsze zagony łososi idą w przedwiośnia zgodnymi i wiecznie nowymi pochody w górę jej popławów, z morza szumnego aż do podnóża gór tatrzańskich, skąd jej zimne, przeczyste źródła biją.

Jak za dni naszych, skoro na Małym Morzu i przy brzegach wysokich lody stopnieją, a południowy wiatr gorącym tchem powieje, tak samo ongi hufce łososi ciągnęły z lodowato zimnych okręgów polarnego oceanu ku słodkowodym bławej zatoki toniom.

Jak za dni naszych, tak samo wtedy pędziła je w górę tajna potęga miłosnej rozkoszy z modych mórz w blade Wisły rozlewisko.

Jak za dni naszych, tak samo drzewiej i zawsze zastępy ich szły uszykowane według odwiecznego porządku,

Ciągnęła i ciągnie zawsze na przedzie największa srebrnołuska i bezplamista samica o wielkich uzębionych szczękach i kościach paszczy najeżonych ostrymi kielcami.

Za przodownicą płynęły i płyną jedna za drugą w odstępach jak gdyby na cztery stopy człowiecze wymierzonych samice mniejszego wymiaru i młodsze.

Za samicami płynęły i płyną samce w odstępach jakby na cztery stopy człowiecze odmierzonych.

Za samcami płynęły i płyną młode w szyku porządnym, przypominającym co do kształtu klucz dzikich gęsi, gdy lecą z północy w południe.

Skoro piękna panowała pogoda, płynęły wierzchem wiślanego wartu z szumem, który łudzi ucho, jak gdyby nadejścia burzy.

Skoro nad krajem przelatowały wichry, pochód grona łososi zapadał na dno i w ciemnicy wodnej ciągnął w górę po trzy mile na godzinę.

Wówczas w łożysku starej Wisły nie przerażał ich tak jeszcze wysmukły napastnik i zdrajca. Z czasem nauczyły się czujności, bojaźni i lęku wobec jego złowieszczej postaci - wszystkich kształtów i kolorów, które z nim są złączone - barw białych, czerwonych, jaskrawych - oraz ostrożności wobec wszelkich nieznanymi hałasów i dźwięków.

Skoro przebiegły napastnik począł stawiać jazy u brzegów, a w warcie rzeki drygawice, w których niejedyn ród wędrowny wyginał, przodownica nauczyła się poznawać wrogie sidła i złowieszcze zasadzki.

Napotkawszy je w swojej drodze, rzucała się w skok, niemal w lot, i mknęła jak błyskawica. Za nią tymże szlakiem niewidnym, niemal lotem, szył wszystek szyk szybujący nad przeszkodą.

Jeżeli zaś zasadzka nie była do przebycia lub przerwania, przodownica w kłęb zwijała swe ciało i przeskakiwała pułapki.

Zginała się jak sprężyna przybliżając widłową pławę ogona aż do wystającej szczęki swej paszczy, nagle rozprężyła zwinięte koło swego długiego kadłuba, z całą potęgą uderzała bokiem o wodę i odbiwszy się od jej powierzchni na pięć i sześć stóp w górę, przeskakiwała zaporę.

Za jej rozkazującym przykładem czyniły to samo wszystkie osobniki zagonu, aby za chwilę ustawić się znowu w dawny *agmen* i z ogniem niesłabnącym gnać w swoją stronę.

Skoro zasie dosięgły wód bystrych, zimnych a nieskalanych, przelewających się ponad dnem zwirowatym Białego i Czarnego Dunajca, przodownica w towarzystwie kilku samców obie-rała miejsce na tarło.

Zwróciwszy się głową w stronę polotu wód bystrych, tarła się brzuchem o chropawe dno rzeki, ażeby ze siebie ikrę wycisnąć, która się w małym zagłębieniu dennym gromadzi.

O to miejsce, o prawo i możność polania ikry swym mleczem, samce wiodą między sobą bitwy zawzięte.

Młode łososie składają wcześniej swą ikrę, toteż wcześniej wyhodowuje się ich brzuchate potomstwo.

Wcześniej wykarmiają się młode rody, własnym żółtkiem pasąc i kształtując organy, serce i nerwy.

Młode, wysmukłe łososie, z głową spiczastą i grzbietem pręgowanym brunatno, w listopadzie wracają do morza.

Stare trą się znacznie później i do morza wracają aż w grudniu.

Będąc ze swojej natury istotami słodkowodnymi, ci wieczni wiślni oryle, zapędzeni na słony ocean, po którym góry lodowe żeglują a niezmierny wieloryb gejzery ze siebie wyrzuca - wracają niezmiennie do dawnej ojczyzny ich rodu.

A w drodze swej ku wyżynom skalistym nie pożywiają się niczym, lecz łakną, schną i niszczeją.

Stają się jako strzały, które w upodobaniu niepojętym lecą do miejsca zarania swojego gatunku. Znana im jest jakaś postać furii miłosnej, szalu z tęsknoty do świętego źródła, które wypia-stowało ich rodzaj w swej przezroczywej głębinie.

W głodzie i szaleństwie poprzez wieki zamierzchłe i czasy idące drgają w Wiśle rzece te żywotwórcze struny.

Po tych zboczach, pagórkach, polanach i piaskach, przyniesionych przez wody płynące, przebiegała szybka stopa człowieka, od znużenia bezsilna.

Mogła jego tu i tam leży na wzgórzu.

Rozlegał się nad szeroką wodą płynącą i budził łoskot echa w puszczy nad morzem jego krzyk wydany w pościgu i w głodzie.

Łuk napięty jego dłonią bolesną miotał upierzone strzały w piękne białe piersi morskiej mewy. Zabijał czajki, rybitwy, nury, burzyki, kormorany, kuligi i perkozy - strącał z niebios dzikie gęsi, kaczki i piękne kielpie, wolne łabędzie, gdy w południowe krainy z krain północy leciały.

Kamienny młot człowieka uderzał w furii we włochatą pierś zwierzęcą.

Jakże brzmiało imię miłosne, którym przyzywał z oddali towarzyszkę?

Jak brzmiało słowo pieśczoły, wycmokane w stronę kolebki z wikliny?

Jakie nazwy nosiły przedmioty i suma ich, widok tej ziemi - prawa i złudy, których istnienia nauczyło go uczucie głodu i uczucie honoru?

Siła jego i zastępujące siłę oszustwo przewaliło się poprzez siłę niedźwiedzia i tura, wilka i łosia.

O potomne mewy, o bezpamiętne ptaki, które z wyżyny swojej tyle widzicie!

Czy, takie same jak my żywiąc uczucie bolesnej a niewytrzebionej miłości swego potomstwa i gatunku, macie i inne nasze uczucia, przesady i przywary?

Pamiętacie każda z osobna jako ród, jako zbiorowisko, aż do najdrobniejszego szczegółu, aż do najlżejszego porozumienia, co czynił praojciec i pramatka przed niezliczonymi wiekami.

Macie jakoweś niezłomne prawa rządzące państwem skrzydlatym.

Lecz czy macie jakiegokolwiek wspomnienia? Tyle widziałyście siedząc na swym dziedzictwie przez wieki, na rewie między Kuźnicą i Rewą, odkąd się z wód wychynęła! Może podajecie w swej mowie, w swym zbiorowym rozgwarze, w zgiełkliwym swym obmowisku, w wynurzeniach krzykliwych i nachalnych jakoweś swoje klechdy i dzieje.

Może porozumiewacie się swoim sposobem, tak jak ludzie swoim, o chytrych sposobach szubrawstwa, o sztukach czyhających morderców, o nienasyconym łaknieniu i nienasyconym pragnieniu wśród wiekuiście tych samych odgłosów morza ślisko i chrapliwie bijącego o nagie te brzegi. Może wydajecie jedynie głosy bezmyślne jak drwal rozszczepiający zrosty pniaka, które się nie poddają rozłączeniu, jak rataj młócaący grubą ściólkę snopów na klepisku, która z kłosów nie chce ziarna wydawać.

A może widzicie coś więcej niż my, ludzie. Może widzicie nie tylko piaski wybrzeża i morze ochryple na piaskach szumiące, zatoki i przylądki barwiste, podobne z oddali do głów gołębic i do ciał meduz barwiście kraszonych?

Może wiecie coś niewiadomego nikomu o cieniach, które czas pożarł i wchłonał, a przeszłość zagrzebała w sobie?

Może widzicie jeszcze ciała, które tu przechodziły wydając krzyk walki i pracy, może pamiętacie ziemianki, osiedla, chałupy z chrustu i miasta, miasta tak zatopione, iż ich nie widać poprzez najczystsza wodę, i tak zagrzebane, iż z nich został nad wądołami gruzu tylko badył wysmukłego ostu o kwiecie bladuróżowym, róża dzika i kępa szarej mietlicy, która się za wiatrem pochyla?

Nie odpowiecie nam nigdy, gdyż niezrozumiała jest wasza mowa, spiskująca wieczyście przeciwko podstępowi zabójców.

Mowa wasza skazana jest przede wszystkim na wyrażanie spraw głodu, miłości, ucieczki i napaści. To my, wędrowcy ziemi, którzy już nie zabijamy, którzy potępiamy śmierć wszelką, którzy uwielbiamy wieczne życie w jego prawdzie i w jego złudzie, skazani jesteśmy za wszystkie twory ziemi na pamiętanie o wszystkim.

Lecz ptaki niebios i ziemi bardziej, głębiej, szczerzej i piękniej od nas uwielbiają piękność i wolność istnienia.

Wznieśmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatechłych domów i stańmy się w uwielbieniu wolności i piękności istnienia do wolnych i pięknych ptaków podobni!

Uwielbiamy po społu z nimi piękność wiekuiłą, minioną i dzisiaj żywą.

Uwielbiamy pochody słońca nad łądami, które są, i nad rzekami, których już nie ma - wschody i zachody, wznioślejsze w swym czarodziejstwie ponad śpiew ptasi i ponad słowo człowieka - nawroty wieczne a nigdy nie ulegające odmianie.

Uwielbiamy zawsze na nowo niespodziewane a wieczyście nawracające się o swej godzinie wędrówki księżycy w nocnych niebiosach według odwiecznych, niezłomnych, świętych zakonów, wśród olśnionych przezeń obłoków, których połyski i cień zachwycają po wszystkie czasy duszę człowieka.

Wznieśmy się w radości naszej ponad utwierdzenie, w przestwór elementów i nad niezmiernie bezgranicza morza.

Mierzeja prastarej Wisły, a później, gdy morze ujście jej zatopiło i w sobie pochłonięło - międzymorze - wąska grobla między wyspą Helu i kępą Swarzewa, przybrała w ciągu czasów kształt miecza o potężnej rękojeści, strzelistej, wąskiej i niezmiernie długiej klingi nasadzie, która ku swemu końcowi rozszerza się i rozrasta na podobieństwo „małodobrego” miecza katowskiego.

To podobieństwo zwiększa jeszcze wycięcie południowe zatoki między przylądkiem Starego Helu i ostatecznym cyplem półwyspu.

Brzuśce miecza zwrócone jest w pełne morze. Brzuśce to, które można nazwać ostrzem, gdyż narastając bez przerwy, wciąż się niejako naostrzą snadzicznymi na poły widocznymi, szeregiem niskich płycizn, nad którymi zielenice szumią.

Brzuśce to jest gołe, nagie, śnieżnie białe od piasków najsubtelniejszych, stalowoniebieskawe od fali wiecznie żywej, na płask po tym ostrzu chodzącej, stalowozielonkawe od łąnow wydmuszycy, jasnozielone od porostów sosnowych, od karłowatej puszczy zarastającej zasp-doliny.

Trzy równoległe rewy zalegają wzdłuż ostrza od strony Morza Słowińców.

Pierwsza - osuch - na czterdzieści kroków od brzegu a na dwie stopy pod wodą - druga na sto pięćdziesiąt kroków od brzegu w głębokości siedmiu stóp pod powierzchnią - trzecia o sto pięćdziesiąt kroków dalej za tamtą, w głębokości dwudziestu stóp pod wodą.

Zachodnia i południowa połąć łądu, ziemia stara - *insula Helae* - ma kolor głębokiej, zieloności, gdyż ją od niepamiętnych lat porasta bór na wielkiej przestrzeni, wydłużający się na kilkadziesiąt kilometrów.

Środek, północne i wschodnie połąćie zadrzewione są młodą sośniną, sadzoną dawniej w kwadratach osłony.

W młodym swoim wieku i rozroście ten przyszły las przypomina do złudzenia tatrzańską kosodrzewinę.

Kosówka Helu, tam i sam w pień już przechodząc, przybiera kształt przedziwnie wykrętny, fantastyczny, pochyły, rozwidlony.

Na piasku, przysypanym warstwą igieł, które wiatr po śliskich i okrągłych powierzchniach rozmiata, pokazuje się pierwszy porost, futro mchu szedziwego.

Rozsiadłe zwartymi kępami te istne liszaje ziemi przybierają barwę piasku zmoczonego od deszczu.

Ta odzież ziemi bezpłodnej, niemal pozbawiona korzeni, oddziela się odeń bez trudu, odpada za najlżejszym potrąceniem.

Sosenki pełne, których krzywe, boczne gałęzie uschły już i odpadły, obwieszane są również mchami suchymi, mnóstwem zeschniętych chrapeców i nie strąconych jeszcze igieł.

Wszystek ten zasób wyschnięty wichry wnet zedrą i po kozuchu mchów poroznoszą, ażeby z czasem utworzyć nową próchniejącą warstwicę.

Zatrzyma się w niej kropla wilgoci i wystrzeli trawka najpierwsza.

W zagłębieniach i dołkach wychynie rdzawa mietliczka, wybiją się złote główki ostromlecza, skabioza polna o kolorze morza w dzień wietrzny.

Na grubych pokładach igieł zapachnie wonny miodownik i dziewica rzadko spotykana, pani tych stron - koniczyna.

W mokrych jamach, w głębiach zakisłych, gdzie woda długo się trzyma, wystrzela szorstkie sitowie. Postać zasp piasku, które ten cały kraj utworzyły, odzwierciadła w sobie niestałość, zmienność i dowolność morskiej fali, która je ze siebie wyrzuciła.

Jedne z tych wyżyn ciągną się nad brzegami wschodnimi, tworząc łańcuch niestały fal piasku tak dużych jak Bocianiec albo Szwedzkie Góry - inne tworzą dowolne kwadraty i trójkąty rozdołów otoczonych nieregularnymi kopcami.

Strome duny piaszczyste wyskakują znienacka w środku najszerszego rozłogu, gdzie już sosny olbrzymie stoją u ich podnóża.

Te wzgórza zbyt wysmukłe, o zboczach zbyt stromych, do których roślinność przyczepić się nie może, skoro mchy pierwotne osunąć się muszą, a suche igły zmiecione zostały - zsypują się i spychają w sąsiednie rozdoły, i płyną przed siebie suchą rzeką piaszczystą.

Często wędrująca rzeka piasku zasypuje wielkie drzewo sosnowe na wysokość dwu i trzech metrów od podstawy.

Sosna zasypana nie umiera, lecz szuka korzeniami nowej warstwy żywotnej, która się na nowej powierzchni wytwarza.

Zapuszcza w nową dunę swe wzniesione korzenie.

Lecz nowa nadchodzi ławica i znowu przywala suchym piaskiem jej żywe, zielone gałęzie. Skoro pozostawiony dla stóp ludzkich szlak w lesie igły smolne przysypią, wnet staje się on posłusznie twardym i równym chodnikiem.

Z prawej i lewej strony przybiegają do tego wolnego przesmyka wrzosy tak gęste i rozrosłe, iż stanowią niezbrodzone zagaja.

Nigdy pilny ogrodnik nie zdoła tak wycyrklować swej ścieżki w kwietniku, jak to czynią nadobne wrzosy na Helu oraz pokrewne im wrzosowiec, rodzące tylko tutaj swoje czarne jagody. Ścieżka otulona kępami kłębiącymi się nad nią, równa wszędy i wszędy jednaka, biegnie w dal, w coraz inne, coraz odmienne pustkowie.

Przemierza kilkadziesiąt kilometrów błogosławionej samotni którą tylko czasami złotolita sarna zakłóci, a sikorka sosnowka nieśmiałym świstem przeszyje.

Dokądkolwiek poniosą mię nogi od nadbrzeżnych zasp piasku, wszędzie zastępują mi drogę kopulaste wydmy szare.

Przewidujący umysł niemiecki i pracowite ręce niemieckie zalesiły je sadząc małe drzewka sosnowe.

Ażeby wiatr nie zdmuchnął bezsilnych sadzonek po społu z lotną i sypką samej wydmy powierzchni, przewidujące ręce ogrodziły każde półko kwadratem kołków gęsto bitych.

Tam i sam widać jeszcze próchno kwadratów ogrodzenia.

Gdzie indziej samo próchno wiatr po okolicy rozrzucił.

Na miejscu małych sadzonek las się puścił wspaniały.

Wilgoć podspodnia, którą piaski przechowują w sobie i trzymają długo niczym gąbka, żywi zielen igieł i szyszek, hoduje olchy i brzozy, karmi buki i lipy.

Ogromne pnie i strzeliste konary starych sosen, pochyle w stronę wschodu, koloru miedzi czy złota starego, koloru ciał ludzkich spalonych nad morzem od wichru i słońca, przeryniają olbrzymie rozlewisko zieleni.

Tu i tam z morza jednolitej zieleni wydzielają się kudłate i rozwiane brzozy czuby.

Stary, nienapatrzonej helski lesie!

W letni, cichy poranek i w pogodne letnie odwieczrze jakże jesteś przychylny dla znużonego wędrowca!

Zapach żywiczny wylewa się z twojej głębi, a niezliczone twe korony chronią wnętrze od wichru.

Najsroźszy orkan - ost czy west, Siewierz czy zyda - bijący w wybrzeża i roznoszący huk morski po całym tym kraju, do twojej głębi nie dotrze.

Zarośnięte trawą i zasypane igłami drogi twoje prowadzą w ostoje coraz bardziej zaciszne, w spokojność zupełną i w samo sedno pustkowie.

Wciąż nowa rozsuwa się przed oczyma ziemia morska, garbata od dun i kopców piaszczystych, przestrzeń zaświatowa, melancholii pełne siedlisko milczenia.

Z potężnego pnia sosny, skoro tylko wy dostał się z zasy piaszczystej na zachodnim przyładku, wyrastają tuż przyziemne konary.

Wystrzelają równolegle do ziemi albo z góry w pałak wygięte kierują się ku niej.

Ścielą się grubymi ramionami o kolorze miodu żółtego po miałe zszarzałym i do zimnej powierzchni się tulą.

Odbiegłszy zaś kilka kroków od śniata, wszczepiają się w zwiewną górę, nakrywają omszonymi piaskami, znikając w nich do znaku.

Dopiero dalej z nagłą wystrzelają spod ziemi koroną niezliczonych, bujnie zielonych gałęzi. Z tych podziemnych konarów wyrasta płatanina krzywych gnatów, istnych postronków, żółtych lin i koślawych zawitek.

Zachodząc pod się i opasując jedna drugą, przeplatając się w ukos skutecznymi podchwytami, zadzierzgamając nierozzerwalne pętlice i supłając grube węzły, planowy ów zespół gałęzi opiera się zachodniemu wichrowi.

Srogi i nigdy nie wyczerpany w swojej sile wiatr zachodni zdziera mchy szare i zielone, odmiata złogi igieł, odgarnia i przepędza warstwy piasku i obnaża niezmiernie daleko rozpostarte czarne węzowisko potężnych korzeni.

Korzenie ocapiają kopiec wydmy w poszukiwaniu wciąż nowej, wilgotnej warstwy.

Srogi i nigdy nie wyczerpany w swojej sile wiatr zachodni pochyla na wschód pnie wszystkie i w tamtą stronę każe się zginać gałęziom.

W tamtę stronę zwracają się zielone korony, osypane szyszek młodocianych niezliczoną ilością.

Za wałem piaszczystym, który morze wygarnęło ze siebie i usypało na brzegu w niezbadanych swych zamysłach, czają się pnie koślawe, garbate, skręcone.

Przysiadłszy, niczym ludzie strudzeni, ubodzy, ścigam przez prawo okrutne, straszliwe i wieczne, za ścianą przychylną żyją cichcem, ukradkiem, pokornie.

Rosną wszereż i na poprzek, gną się w głąb, leżą w piasku, unikając wychylenia się koron ponad grzebień zasłony.

Rozpościerają się po ziemi w pałąk skulone i suną w dal po kryjomu.

Wypuszczają długie liny gałęzi, niepomiernie rozległe ścielą wici obwieszzone zielenią przyziemną i czubatymi szyszkami.

Zielone kępy igieł szarpane od wiatru rozmiatają pod sobą piasek duny i złością wygładzone łożysko. W miarę igieł rozrostu i w miarę przybywania ciężaru same zapadają w ów dołek, wygrzebany samochoć.

Zanurzają się w grobie-kołysce, którą same pod przymusem złościły.

Wicher pomaga w tym dziele.

Zsypuje do tego schroniska stare igły uschnięte, pożywne, gdzie indziej zdarte z wierzchołków, tułające się po gładkich pochylniach szyszki suche, wałeczki gałęzi spróchniałych, mchy wędrownne, wiórki kory.

W zakamarku gromadzi się pożywienie, omasta i wilgoć, z których wystrzela pierwsza kępka trawki kostropatej o kolorze dzdziebełek, podobnym do piasku i o kolorze wiechy, podobnym do morza siwizny.

Nowy przybysz do nadmorskiej krainy kołysze się i pochyla ku wschodowi, jakby był wizerunkiem i wskaźnikiem drogi wichru dmącego z zachodu.

Za piaszczystymi wydrami, gnane przez wicher zachodni, wre, w prysk się samorzuca i hu-czy Małego Morza bujowisko.

Od brzegów na poły widnych przybiegając, które w dalekich pianach się kurzą, a giną kędyś w stalowej zarazem i rudej ruchawie, gnają w kierunku helskiego utwierdzenia ciemnozielone przewały, białymi gęsiami piany gęsto nasadzone.

Trafiając na mielizny podwodzia i na spychy suche zwara bałwanów wzmaga się w swej sile, rośnie w bryły strzeliste i zwija się w kłęby podsięwodne.

Z hukiem pękają rolingi, uderzając o wzniesienia wiszarów.

Strzępate ich piany zlatują z grzbietów kipieli na wyślizgane ławic obnażenia.

Syczącym rozsnuwaniem śliskich zalotów i postrzępionych wybiegów nasycają podsypiska.

Piaski wybrzeża, przepojone już pianą, przyjmują falę za falą i nieskończenie każdą odtrącają. Najdrobniejszy piasku kamyczek, najmniej widoczne ziarenko, najmniej dostrzegalny pyłek znajduje swoje łożysko, układa się w jamce swojej i na wieki w niej pozostaje.

Grzmiące upadki zielonego podplusku raz wraz ubijają powierzchnię, aż się stanie nieskazitelną pochylnią, zaokrągloną u góry, twardą w sobie i bez ochyby wygładzoną.

Z łona wód wydana została ta wąska i strzelista ziemia.

Morze rzuciło ją nagą, białą od rozległych wzgórz i niw piasku, nie odzianą ani jednym liściem, nie osłoniętą ani jednym cieniem, na hodowanie słońcu, wiatrom i deszczom.

Lecz morze pamiętało i pamięta o podrzutku, wciąż go tajemnie podsyca i wspiera niczym dziecko rosnące.

Żywiłem swym przejrzystym a niezmiennie wzburzonym okrywało niegdyś najwyższe jego wzniesienia.

W jego nieustającym pracowisku otłuczone zostały, ogładzone w kształt kulisty i podługowaty, wyslizgane w tysięcznych podrzutach głązy opok, przyniesione z okolic dalekich.

W ciągu niezmiernej długości dni i nocy złomy granitów tatrzańskich, kwarców, piaskowców i zlepieńców meły się pośród biegów i nawrotów nawałnicy na okruchy, na żwir i na piasek. Od pogranicza do pogranicza epok trwają prace rozszarpujące obszary Rozewia, Swarzewa, Oksywia, Kamieńca, Radiowa, Orłowa.

Niszczą góry-doliny, których już śladu nie ma, przyczółki wyniosłe, spiętrzone ponad, czterdziestometrowymi Bałtyku głębiami.

Gdzie wystają złomy wielkie z radłowskiej mielizny, gdzie wełny się pienią nad oksywskim zburzyszczem i gdzie się ciągnie mała głębia karwińska, usiana potężnymi głazami, ongi śmiały się w słońcu wyniosłe czoła ziemi, z których jeno zostały nazwy głuche, z normandzkiego napastnika mowy wyjęte, by o formie ich świadczyć.

Morze z nich inne utworzyło postaci - płaskie, rozciągnięte u podnóża wydmuchów, śnieżyste białe, nasycone słońcem i solą - mielizny na ostrzu północnym i wschodnim a spychy na południowej i zachodniej płazie miecza helskiego.

Dla pełnienia tej pracy morze przeznaczyło dwie siły wyłączne, dwa morskie prądy, dwie rzeki w morzu pracujące dla Helu.

Jeden z tych gońców, zdążający z zachodu ku wschodowi, wprawiany jest do biegu przez wiatry z zachodu, które niemal połowę dni roku wypełniają swym czynem.

Od przylądka Rozewia pędzi w odległości jednego kilometra wzdłuż helskiego wybrzeża, złobiąc głębokie w dnie łożysko, które się za zielenicami przybrzeżnymi nagłym uskokiem dna podwodnego i czarną barwą powierzchni zaznacza.

Przy ostatnim przylądku południowym całości międzymorza, przy dziobie gołębia, szor zachodni znika w zatoce.

Przebiwszy się przez nią, przemknąwszy wskroś jej głębin, zjawia się przy wiślanej mierzei. Wzdłuż tej mierzei posuwa się aż do Sambii i tam się na wschód wykręca.

Prąd zachodni przynosi na północne i wschodnie mielizny półwyspu piaski doskonale zmielone, gładko otoczone żwiry i okruchy żywota morskiego.

W głębi swojej niesie sól do lądu helskiego.

Przy wietrze z północno-zachodu wnosi do Gdańskiej Zatoki szybkie swoje wody prąd inny, prąd wschodni.

Od lądów sambijskich zdąża on wzdłuż mierzei wiślanej i łączy się z postrachem ryb słonmorskich, z białą wodą wiślaną, wypadającą z paszczy Leniwki.

Prąd ten przemierza obszary Sopotu, Radiowa, Gdyni, Oksywia, wykręca się przed Pucką Zatoką i mknie wzdłuż Czajczej Rewy, która między Kuźnicą i Rewą Małe Morze przecina.

Prąd wschodni, przynoszący do Gdańskiej Zatoki olbrzymie masy namulów i piasków, tnie w wysokie brzegi między Sopotem i Oksywiem, a pod tym samym kątem odbity, składa przeważną część swych darów powyżej Kuźnicy, na wysokim helskim wybrzeżu.

Potem mknie wzdłuż międzymorza, zostawiając na jego południowych wybrzeżach grube złoża na poły zmielonych kamieni, muły znacznie od zachodnich tłściejsze, piaski nie tak sypkie i większą niż z pełnego morza wodorostów obfitość.

Ta masa wodna, nieraz podnosząca poziom Wiku o jeden metr ponad równię Puckiej Zatoki, spotyka się przy dziobie gołębia z silnym prądem zachodnim.

Obadwa mocują się tutaj na siłę i z dwu stron wyrzucają swe żwiry i piaski.

Powstaje w miejscu ich spotkania nikły, najostatniejszy podwodny przyłodek, ławica ruchoma, która się to w tę, to w tę stronę zawija niczym czapki frygijskiej górne zakończenie.

Wewnątrz tej to zawitki tworzy się maleńka zatoka, w której wir nieustanny świdruje głębiny.

Tuż za zmienną i kapryśną czapki frygijskiej zawitką czatuje czarna, na pięćdziesiąt metrów uskokiem spadająca głębina.

Obiedwie morskie rzeki, zachodnia i wschodnia, pędzące w nieustannym pościgu wzdłuż obudwu brzegów Helu, usiłują powiększyć niezmiernie jego rozmiar i sześćdziesięciometrową głębiny gdańskiego jeziora do szczętu zasypać.

Przed wiekami żeglarz na morzu zbłąkany, spoglądający wciąż w niebo, ażeby szukać wskazówek zwiastujących koniec burzy, nadejście pogody i znaki kierunku tej strony, w którą mu dążyć wypadło, spostrzegł, iż istnieje współzależność przyływu i odpływu oceanu od ruchów wielkich światła niebieskich - od księżyca i słońca.

Rybak trudzący się w swej łodzi około rzeźby wybrzeża widział, iż powrót każdego następnego przyływu odpowiada niezmiennie przejściu księżyca przez tę samą linię na niebie, naznaczoną myślami i oczyma.

Patrząc na przemiany pięknej nocnej pochodni - zjawienie się na nowiu, jaśnienie w kwadrze, przepych pełni i dogasanie w odejściu - obadwaj spostrzegli, że i przyływ zmienia się regularnie, zyskuje na sile, staje się bujnym i zuchwałym, ażeby później stopniowo się uspokajać, z dnia na dzień skracać i cofać swe wypady w miarę zbliżania się granicy księżycowego miesiąca.

Wędrowcy w pustkowiach oceanu zbłąkani dostrzegli, iż wiosenne i jesienne porównanie dnia z nocą - okresy syzygiów - były zawsze sprzężone z potężnymi wylewami przyływów.

Skandynawskie bożyszcze sił powietrznych - Thor wszechpotężny - rogiem swym, który zanurza w głębokości oceanu, podnosi żywioł, a boskim tchem zniża go znowu na przemiany. Potężniejsi w mądrości swej od bogów - Kepler i Descartes, Newton i Laplace wyświecili, w jaki to sposób przyciąganie słońca i księżyca wywiera wpływ na ruchliwe morza powierzchni. Mówi legenda ich, iż w przestworach oceanu pędzą dwie fale, wydzwignięte przez księżyc i słońce.

Dwa wielkie bałwany, zrazu samoistne, a wnet w tę samą jedność i masę złączone, nie rozstają się ze sobą w biegu dookoła globu, ze wschodu dążąc na zachód, czyli wbrew ruchowi ziemskiego koliska.

Nów księżyca, w tym samym do nas tkwiący kierunku co słońce, dźwiga z oceanu dwie fale i tworzy przyływ wód żywych, czyli syzygiów, czyli złośliwy, czyli zzieleniały.

Wielkie wyżyny stromych skał doznają napaści wód, a dalekie płaskie okolice stają się dnem oceanu.

Podczas pełni, gdy tarcza nocnej Seleny, całkowicie oświetlona, znajdzie się względem słońca na zupełnie przeciwnym biegunie, powstaje również przyływ syzygialny, skoro działanie dwu niebieskich ciał z dwu stron globu sprawuje jego podźwignienie.

Znając drogę ziemi w przestworach, badacze niebios i badacze ziemi mogą jak bogowie przewidzieć przyszłe wahania się fal, mogą wyrysować drogę ich, krzywą dla przyszłych wieków, które kiedyś nadpłyną.

Lecz wichry, zawsze niestałe, i zmieniająca się nierówność dna w głębi morza - płacze ich boski rachunek.

Skądże się bierze prąd zachodni, rzeka stała w wielkim Morzu Bałtyckim, szor przebiegający wzdłuż helskiego wybrzeża?

Czy tylko wiatry zachodnie wpływają na jego powstanie?

Wszak bełta masy wód słodkich, przez wielkie rzeki z lądu wyniesione, i nasyca solą oceanów odległych to niegdyś słodkowode jezioro.

Może w wielkim basenie wód Południa, którego oceany rozliczne są jeno gałęziami, mieści się kołyska tego ruchu?

Może to aż tam ku słońcu i ku tarczy księżycy wyciąga się garb wodny, który później niestrzymanie pomyka, żeby się o brzegi Ameryki wygrzane w upałach objąć, dzwonić w zimne kolosy skandynawskie i podnosić obrus wodny w fiordach?

Na wybrzeżach francuskich i wysp Wielkiej Brytanii przypyływ nadbiega z południowego śródmorza, a w swym ruchu wzdłuż brzegów wstrzymuje się nieodmiennie według pierwotnych poruszeń, jakie sobie wytworzył wpośród osierdzia oceanów przez przyciąganie księżycy i słońca.

Na Morzu Północnym, w pobliżu Pas de Calais istnieją okręgi równowagi żywej i martwej wody, jak gdyby czopy nieruchome, na których zawisają ruchome wrótnie przypyływów.

Tu wody wahają się wśród wybrzeży Holandii i Anglii, zależnie od prądów atmosfery, biegnów morskich i ruchu ciał niebieskich.

Tam to schodzą się dwa przypyływy - jeden dążący z Atlantyku, drugi przybywający z Morza Północy, a w miejscu ich spotkania wzniesienie się wody jednego metra nie przekracza.

Wahania się przypyływów i odpływów złączone są ze zmiennymi prądami, które zachowują się tak samo jak przypyływ i odpływ.

Zjawisko to widać najlepiej u ujścia rzek lądowych o wielkiej masie słodkiej wody.

Prądy, które się wytwarzają w cieśninach z racji różnicy poziomów, nabierają siły olbrzymiej przez swoje zmiany porywcze, przez zakręty i wiry.

Są to najniebezpieczniejsi szybkobiegacze oceanu. Istnieją straszliwe wąwozy, gdzie woda żywa i odpływ odwrotny, wciśnięte między szeregi pniów podwodnych, pędzą ze straszliwą szybkością.

Same ich nazwy - jak nazwa „Kłęski” - wskazują na dzieje męstwa człowieka szukającego swej potęgi na tych drogach stracenia.

Na zachodnim Szkocji wybrzeżu istnieje przesmyk morski Great-Gulf, w którym szybkość prądu przewyższa najbystrzejsze górskie potoki, lecące z wyżyn w przepaście w wodospadach, rzutach i skokach.

Różnica poziomów obrusów wodnych wskutek starcia się prądów i przypyływów wytwarza zakręty i leje, w których wirowanie połyka ludzkie okręty.

Czy przez Sund, Kattegat, Skagerrak nie dąży z dala jakiś strumień odbity tych wirów?

Istnieje tam próg podwodny płycizn, piachów i skał, lecz nurt słononośny w głębi sześćdziesięciu metrów idzie tamtędy z oceanów.

Dąży w nim ku wschodowi dorsz, skarłala pomuchła, żyjąca na wielkiej głębi w poszukiwaniu soli swej wielkiej morskiej ojczyzny, i warczy kur, istna nietota wielkich oceanów, zwyrodniały diabeł morski.

Z dala idzie podspodnia rzeka niosąc oprócz mułów i piasków bezcenny dar ciężkiej soli.

Idzie dnem, wodną ciemnicą, powiększając swą szybkość w miarę wielkiej głębiny i zwalniając ją na snadziznach.

Rzeko w morzu, która zasób soli z gorzkich i słonych okręgów oceanu przynosisz na pogranicze wód niemal rzecznych płytkiej puckiej laguny, gdzie pluskają się słodkowode ryby - bądź pozdrowiona!

Czekają cię na piaskach helskiego wybrzeża stęsknione stopki dzieci - chłopców i dziewczynek - nadzieja plemienia, któremu zbójcka napaść sąsiadów przez tyle lat wydzierała nie tylko wolność, lecz zdrowie.

Chlustaj, o potężna, ostrymi pianami w te małe golenie i piersi I

Wytracaj siedliska zarazy, a czystym wichrem, który nosisz jako żywioł tworzący, napychaj tlenu w płuca wąskie i małe!

Gdybyż to mieć ręce na pół Polski długie!

Gdybyż to mieć siłę Wyrwidęba i wydzierać z jej lasów co najzdrowsze drzewa!

Gdyby pobudować tysiąc baraków wzdłuż piasecznic Helu, na gołym ostrzu jej miecza!

Gdybyż to wysypywać rokrocznie tysiąc tysięcy dzieci, skarłałych w miast zaułkach, w proletariackich piwnicach, znad ścieków i kanałów, gdzie się ciała nieskalane zakażają zarazami i zbrodniami łotrów starych.

Lecz nie mam rąk na pół Polski długich i nie mam siły Wyrwidęba.

Nie ma w Polsce siekiery, która by w takim celu jej dostała drzewa ścinała.

Płyną polskie puszcze za to morze dalekie.

Muszę patrzeć, jak pycha bogaczów, spryt kanalii i dorobkiewiczów egoizm, wszystko w Polsce zamieniając na kawał, po staremu wzdłuż i wszerz rozbija się i hula.

Rzeko morska!

Nasza sprawa - twojej pracy wieczystej, twojej siły nie wyczerpanej przenigdy i mojego utęsknienia za sprawą mej duszy - wciąż czeka i czeka...

ROZDZIAŁ 3

Gdy po nocy wietrznej i dżdżystej nastanie cichy i pogodny poranek, a fale nie skaczą już z szumem na płaskie wybrzeża, zostają w białych piaskach zalewiska błękitne, smugi wody zapomnianej, każda oddzielona od bujnego wciąż morza wygładzoną mierzeją.

Nad tymi jeziorkami słonymi siedzą rzędem nieruchome małe mewy, szare, niedawno opierzone figurki, ni to kuleczki posrebrzane i lśniące.

Przed nimi po drugiej stronie smugi przewodniczą młodocianemu społeczeństwu ojcowie czy też matki tego świata, skoro, według nazwy osobnika, winien by tam panować ustrój matriarchalny.

Za zbliżeniem się człowieka stare mewy z krzykiem wielkim zrywają się do lotu i rozbiegły się na wsze strony znikają w błękitnych rozłogach.

Młode, jeszcze widać nie wdrożone w dzieło napaści i zabójstwa rządzące żywotem istot ziemi, niewiele sobie robią ze złowieszczej postaci.

Lecz daleki krzyk rodzicielski daje rozkaz i wskazówkę ucieczki.

Zrywają się tedy jak jedna, uczennice posłuszne praw rządzących wszechstworzeniem.

Pierzchają w jasne powietrze, krążą migając nieskalaną białością cudnych skrzydeł i piersi, a uciekają na wsze strony.

Tak niegdyś na pierwotnym nagim piasku półwyspu czuwał nad losem potomstwa drugi z kolei gromadzki zbór osadników.

Nie pociągało go na te morskie wysypiska i wiatrów wydmuchy nic innego tylko nadzieja rabunku.

Bezplodne i bezdrzewne, w zimie omarznęte od lodów, na wiosnę i w jesieni mgłami grubymi osnute, po stokroć przewiane od nawalnicy z zachodu, nie pociągało niczym innym.

Zbójca morski był tu osadnikiem najpierwszym.

Nad głębią wyoraną przez prądy zachodnie przesuwały się obok pierwotnej mielizny okręty wyniosłe, dążące z ziemi Prusów i Rusów do ziemi Waregów i Pomorzan.

Pod wydętymi żaglami mocne jodłowe korabie niosły z Rany, ze Szczecina i Kamina tysięcy przedmiotów i skarbów, które zapełniały sen głodnego i nagiego barbarzyńcy.

Odosobniona od świata, niedostępna i naga wyspa na morzu stanowiła ponętę przez swą zupełną pustynność, ażeby z niej uczynić schronisko, czatownię i miejsce wypadu.

Przebywszy wpław cieśniny, na wybrzeżu zachylonym od wiatru, ubogi przychodziń, wygnaniec, odszczepieniec ludzkiej gminy, czynił sobie noclegowisko i domostwo z trzciny, chrustu i łupu, który morze wypluwa.

Na wzór sosny dzisiejszej, która dla swych schłostanych gałęzi w piasku szuka schronienia przed zachodnimi podmuchy, zdrętwiała od zimna wędrowiec wygrzebywał w zwiewnej dunie ziemiankę.

Ta ziemia, którą morze ze siebie wyгнаło, a wiatr z miejsca na miejsce przepędzał, nie mogła swymi mchami pożywić łądu wyrzutka, więc się musiał jąć pracy.

Czatował z długą w ręku sulicą na morświnie, na delfiny o pysku wydłużonym i spłaszczonym w podobiznę dzioba kaczego, gdy przez prądy zachodnie przygnane wesoło się pluskały w błękitnych falach nadbrzeża, a nadobnymi ruchami wyrzucały się z wody.

Gdy zimą smagał wyspę wiatr północny, a gruba pawęż lodu brzegi kryła, gdy kra spiętrzona utworzywszy zwały lśniąca osadzała je na piasku, podchodził szare, płetwonogie, bezuche morskie cieleta, foki o krótkich kielcach, skoro do swej dawnej bezpiecznej przystani docierały, żeby się na słońcu wylegiwać.

Zabijał je niespodzianym pociskiem swojej straszliwej procy kamiennej.

Opijał się wówczas ich tłuszczem, okrywał swą nagość ich piękną, lśniąca skórą i pożerał ich mięso uprażone na ogniu.

W dobie letniej nie mogły zaspokoić jego głodu ryby, które w falach ledwie-słonych na Małym Morzu widywał, gdy się na dnie i u brzegów przewijały.

Najprzedziwniejsze, rozkosznie piękne ich kształty, prze-rozmaite ich postaci, wznoszenie się samochcąc i tajemnicze opadanie, krążenie w toni, skoki nagłe, rzuty i nieruchome w miejscu trwanie na podobieństwo kani w niebie - ich poloty, wykrety, krygi i tańce były dlań niedosiężne wskutek braku odpowiedniego narzędzia napaści.

Żyły tedy i barwiły się przed jego chciwymi oczyma w Małym Morzu - ostrożny i płochliwy okuń, tłusty karp, jazgarz, sandacz, ukleja dążąca w maju ku brzegom, miętus śliski i nie dający się dłonią ująć, karaś, płasająca płoć, minog rzeczny, leszcz, lin, piskorz, sum, zbój wodny szczupak i piękna brzona, czyli sieja.

Po drugiej stronie wyspy przyplływały w wielkich falach majowych śledzie, w marcu i na jesieni szły ku brzegom łososie, a w zimie sielawki,

Tuliły do przezrystego dna swą brodawkowatą powierzchnię czworakie rodzaje płastugów - bańtki, czyli małe fląderki, stornie, czyli znaczne flądry, limandy i turboty z oczyma osadzonymi z lewej strony płaskiego ich ciała.

Pławiły się w tych wodach morskie zające i śpiczastonose, tarczami kościanymi pokryte, ciemnobłękitne, drapieżne i łakome jesiotry, które wiosenną porą po społu z łososiami niosły się pochodami ku Wiśle.

Czujny strażnik wybrzeża niemało zużył trudu dla przerwania ruchu wdzięcznego, dla skrócenia żywota, dla pożarcia miazgi tych wody mieszkańców, na ogniu spalonej.

Czatował na wielkie węgorze albo nieruchome szczupaki, leżąc długo piersiami na tafli lodowej, ażeby nieomylnym uderzeniem zaostrej oseki, bodorem celnym je przebić.

Wywabiał je po nocy z dna, z kryjówek, oszukując i prowadząc ku brzegom za pomocą błasku pochodni i płonącego łuczywa.

Ciągnęły zwiedzione w głupocie swej świętej i wchodzimy w więcierze wiklowe, w chytre żaki.

Splatał bowiem pierwotną sieć z wikłów, osadzał ją na stroiszu, czyli trzonku, lub podstępnie zastawiał.

Wypalał węgla zarzewiem w pniaku sosnowym, zwalonym przez wichry, rdzeń drzewny i czynił zeń podobiznę pławaczki.

Puszczał się w owej łodzi pierwotnej na wody spokojne, krótką paczyną z prawej i lewej strony drzewnego koryta umiejętnie wyrtając.

Lecz niedaleko od brzegu mógł odbić.

Zbadał wszakże caliznę wychyloną już z wody i zaczajone pod falą wzburzoną osuchy, wy-
patrzył i wymierzył, gdzie w wierzchołku przylądka haki są najzdradliwsze dla brzucha okrę-
tu, gdzie czatują istne wąwozy zalewisk między łachą a łachą.

Gdy w ciemną noc listopada morze poczęło ze swej głębi i dali wydawać najbardziej ponure
łaskoty i ryki, gdy od niestrzymanej potęgi huraganu wyspa drzeć poczęła w posadach, skoki
spiętrzonych bałwanów przesadzały wały wysokie, ryły jamy, pruły brzegi i nowe w między-
morzu wybijały wąwozy, a siwy, w swej straszliwości przeraźliwy żywioł morski wokoło su-
szę obiegał - człowiek na wyspie rozpałał nad zdradzieckimi pułapkami wielkie ognie, bujne
stosy na najwyższych wzniesieniach.

Dawał niby to ratownicze i zbawcze sygnały braciom ludziom, których wielkie denegi z miej-
sca na miejsce ponad głębiną ciskały.

Zdarzało się, iż sternik na korabiu, burzą szaloną miotany, zawierzył ludzkiemu pobratymco-
wi na suszy.

Nie wiedział, iż czeka nań u wybrzeża, schowanego w ciemności, bardziej złowieszcza za-
sadzka niżli burzy szaleństwo w otchłaniach - iż się gotuje do skoku nienawiść, chciwość i ze-
msta srozsza od najzacieklejszego podmuchu.

Gdy statek zwiedziony a zwabiony do brzegu fałszywymi ogniami, ni to ryba bezmyślna,
worał się w piachy, stanął w biegu albo padał na boku - pod pozorem ratunku czerń półzwie-
rząt wdzierала się na pokład od żądz dysząca.

Z mroku nocy migotały wściekle oczy i maczuga wyslizgana w napaściach - a do wichrowe-
go poświstu dołączał się świst oszczepu ostrym nabitego krzemieniem.

Toteż żeglarz waregski i brytyjski nadawał temu miejscu w swojej mowie nazwę „Hell” -
czyli Piekło.

Oto, co głosi stara helska kronika, przechowywana do niedawna w protestanckim kościele na
Helu, z której tylko wyciąg pozostał:

Książę Wartysław Pierwszy w roku 1128 założył miasto na Helu w miejscu, gdzie stały nędz-
ne chaty zamieszkanne przez lud dziki.

Na pamiątkę swej małżonki, która nosiła imię Hela, nazwał to miejsce Helą.

Zbudował tu kościół parafialny pod wezwaniem świętego Wojciecha, a miejsce to zasiedlił
osadnikami z Pomorza, którzy się rybołówstwem trudnili.

Księżna darowała do tego kościoła kielich srebrny z rytym na nim napisem.

Gdy Wartysław, pierwszy książę chrześcijański, umarł w roku 1136, a brat jego, książę Rati-
borus, władzę księcia osiągnął, zbudował w tymże miejscu w roku 1142 kościół, który na-
zwał świętego Piotra imieniem.

A poświęcił ów kościół biskup imieniem Adalbertus.

Waldemar Drugi, król duński, prowadził wielką wojnę z książętami Pomorza i zagarnął ich
miasta aż do miasta Hela nad morzem.

Tyle wieści stara helska kronika.

Książę Wartysław Pierwszy, idący z rodu Kruta, syna Gryna, króla Ranów, księcia Obodry-
tów i Lutyków, a z matki Sławiny, córki Swantybora pomorskiego, jest pierwszym księciem
Pomorza znanym w dziejach.

Aż do jego czasów ziemie te, zdobyte przez Bolesława Chrobrego, podlegały Polsce Piastów.

Pomorze nad Parsantą i Odrą w czasie zaburzeń po śmierci wielkiego budownika wyłamało się spod polskiej przewagi.

Wartysław ze Szczecina władał obszerną krainą po obu brzegach Odry, rozciągał swe panowanie nad Wkranami, tudzież nad wyspami Uznoim i Wolin.

Stolicę swoją miał w Szczecinie, odkąd Białogard nad Parsantą, dwakroć przez Bolesława Krzywoustego zdobyty, królowi polskiemu podlegał.

Książę Wartysław, dzieckiem jeszcze ochrzczony, pomagał do zaprowadzenia na Pomorzu chrześcijaństwa.

Jednak w jego stolicy złoty posąg Trygława był narodowym bożyszczem i cześć powszechną odbierał.

Od dzieciństwa Bolesław Krzywousty dobijał się o panowanie nad morzem.

Na czele swojej jazdy w ciągu pięciu dni, pięciu nocy przebiegał wskroś lasów i moczarów bezdrzewnych, żeby Kołobrzeg opanować.

Wtedy - jak mówi pierwszy polski a znakomity po wsze czasy pisarz jego epepei - całe plemię barbarzyńców Północy potężnie się przeraziło, a sława Bolesława najszerzej i najdalej rozbrzmiewała.

Wtedy również w śpiew wojenny przepłynęło przysłowie powszechne, stwierdzenie za pomocą melodyjnego słów brzmienia prawdziwości stanu rzeczy.

A owa *cantilena* wojenna, w przekładzie na łaciński język pisarza, głosiła:

Pisces salsos et fetentes apportabant alii,

Palpitanles et recentes nunc apportant filii,

Civitates invadebant patres nostri primitus,

Hi procellas non verentur neque maris sonitus.

Agitabant patres nostri cervos, apros, capreas,

Hi venantur monstra maris et opes aequoreas.

Po wtóre Bolesław posiadał Białogard i Kołobrzeg, a rokrocznie powtarzając swe wyprawy zdobył Szczecin, dotarł aż do Moryckiego Jeziora, a wreszcie Wolin opanował.

Książę Wartysław na Szczecinie, który zdradził po wielokroć króla polskiego i walki z nim toczył, musiał wreszcie uznać jego zwierzchnictwo.

Gdy święty Otto bamberski, z Gniezna od grobu świętego Wojciecha przez Bolesława Krzywoustego wyprawiony w towarzystwie kapelana królewskiego Wojciecha, rzeźbiarza Leoparda i trzeciego kapłana o nieznanym imieniu, wszedł w puszczy i przedzierał się szlakiem znaczone na drzewach za poprzednich wypraw królewskich - pod Starogardem spotkał księcia pomorskiego Wartysława, który go ze czcią przyjął na czele swych wojowników.

Przy czynnej pomocy Wartysława święty Otto dokonał dzieła nawrócenia Pomorzan w grodach Pirycu, Kaminie, Wolinie i Szczecinie.

Cztery przedziwnej budowy szczecińskie kontyny zburzone zostały, a złoty posąg Trygława zwalony.

Rozdzielone zostały między tłuszczę niedawnych czcicieli bożyszczu drogic kamienie świątyni, ozdobne oręża, rogi rzeźbione, złoto i srebro.

Trzy głowy złote posagu odesłano do Rzymu dla papieża Honoriusza Drugiego.

Na miejscu głównej bożnicy stanął pośrodku Szczecina kościół pod wezwaniem świętego Wojciecha.

Drugi kościół pod wezwaniem Piotra świętego zaczęto budować za murami pomorskiej stolicy.

Lud nawrócił się ku chrześcijaństwu, a sam książę Wartysław pod wpływem trzech misjonarzy odprawił swe dwadzieścia cztery żony i przy jednej pozostał, która była chrześcijanką, szczególnie biskupowi przychylną.

(Była to może owa Hela, która kielich do kościoła na Helu w darze dała...)

(Może to „rzeźbiarz Leopard” z naczyń srebrnych kontyny kielich nowy wytopił i napis wokół niego wrył...)

Po naradzie króla Bolesława Krzywoustego z księciem Wartysławem i biskupem Ottonem na stolicę biskupią Pomorza powołany został towarzysz wyprawy misyjnej, Polak Wojciech, kapelan królewski, Adalbertus.

Lecz dopiero w roku 1140 nowy biskup zasiadł na swej stolicy w Wolinie.

Gdy zaś książę Wartysław został w Stołpie nad Pieną w roku 1136 przez skrytobójcę zabity - brat jego, książę Ratibor, ożeniony z córką Bolesława Krzywoustego - Przybysławą - objął władzę nad dziedziną.

Jeszcze za żywota Wartysława ten to książę Ratibor, „zebrawszy koło siebie poganów, krążył po wodach Bałtyku jakoby król morski pośród floty swej, złożonej z pięciuset korabiołów.

Na każdym zaś korabiu miał po czterdziestu czterech ludzi i dwa konie”.

Podobno nie bez wiedzy króla polskiego przedsięwziął wyprawę do Kongheli, bogatego miasta szwedzkiego.

W roku 1135 miasto to szturmem zdobył i z ogromnymi łupami do domu powrócił.

Tak o nim głoszą duńskie sagi.

Ci to książęta ze Szczecina, macierzy grodów pomorskich, Wartysław i Ratibor, jak świadczy helska kronika, zbudowali najprzód kaplicę, a później kościół w Starym Helu.

Kaplica nosi imię świętego Wojciecha męczennika, tak samo jak pierwsza kaplica na rynku w Szczecinie.

Kościół, w roku 1142 przez Ratibora na Helu zbudowany, jest pod świętego Piotra wezwaniem, tak samo jak pierwszy kościół pod murami miasta Szczecina.

Poświęcił zaś ów kościół biskup imieniem Adalbertus, czyli Wojciech, kapelan króla Bolesława i uczestnik wyprawy w celu nawrócenia Pomorza.

Kielich, darowany przez żonę Wartysława do kościoła na Helu, był do niedawna przechowany w skarbcu obecnego kościoła, lecz wywieziony do Gdańska - nie wiadomo gdzie jest teraz.

Albrecht Niedźwiedź i Henryk Lew, książę saski, zdeptali już byli ziemie Słowian za Odrą. Polska, rozdrobniona na cztery dzielnice, straciła dawną potęgę.

Daremnie opierał się naporowi niemieckiemu Nikłot książę zaodrzański, z rodu tegoż Kruta, syna Gryna, króla Ranów.

Przez lat trzydzieści nadaremnie walczył ze Lwem i Niedźwiedziem albo usiłował ich podejść oszustwem, zdradą, udaniem.

Zamki tego bohatera i ostatniego poganina, Iłowo, Weligrad, czyli Meklemburg, Zwierzyn, czyli Szweryn, Dąbin i Worle na pograniczu ziemi Chyżanów wydarte mu zostały przez zastępy Lwa i Niedźwiedzia.

Wreszcie sam Nikłot na polu bitwy mężnie poległ.

Lud słowiański musiał uchodzić na wschód, na wschód przed zastępami okutymi w żelazo, pod których stopą ziemia drżała.

Tak mówi Helmold, kronikarz niemiecki, chwalcą Albrechta Niedźwiedzia:

Bóg hojnie księcia naszego i naszych książąt zwycięstwami obdarzył - Słowianie wszędzie wytopieni zostali lub wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadały, pobudowały miasta i kościoły i w bogactwa nad wszelką miarę urosły.

Synowie Nikłota: Przybysław Pierwszy, książę Obodrytów, i Wratysław, książę Chyżanów, musieli również uchodzić dalej a dalej.

Gdy zaś książę Wratysław, ujęty w niewolę, został z rozkazu Henryka Lwa jak pies powieszony, Przybysław nie miał już siły najeżdżcom się opierać.

W czasie wojny krzyżowej, wszczętej przeciwko Słowianom szczecińskim przez Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa, przez opata korbejskiego Wibalda, który chciał do swego opactwa wyspę Ranę, czyli Rugię przyłączyć - przez biskupa werdeńskiego Dytmara i innych dostojników kościoła - przez królewiczów duńskich Swena i Knuta - gdy wszystkie te ludy Północy w sile niezmierzonej obiewały twierdzę Dąbin nad Zwierzyńskim Jeziorem - książę Ratibor szczeciński, brat Wartysława, wspólnie z biskupem Wojciechem bronił się przeciw Niemcom i Danom.

Biskup woliński Wojciech, jeden z pierwszych apostołów Pomorza, wystawił na wałach obleganego Szczecina krzyż przeciwko krzyżowcom, niosącym jakoby chrześcijaństwo w te kraje. A wyszedłszy do obozu nieprzyjaciół wyrzucał biskupom ciągnącym z książętami na wyprawę wojenną, iż za pomocą krwi i grabieży przychodzą niby to nawracać - dawno nawróconą krainę. Uchodząc przed naporem niemieckim Słowianie dosięgali brzegów morza, uchodzili w puszcze, na błota i piaski bezpłodne, kryli się w dalekich przylądkach i niedosiętych międzymorzach.

Król Danii, Waldemar Drugi, „Zwycięzca”, który pokonał zaodrzańskie Pomorze, zdobył wyspiarskie państwo Ranów, ściał i spalił posąg Swantewita i złamał chorągiew niepodległości, „stanicę”, zajął Gdańsk, Prusy, Estonię i całe morskie wybrzeże aż po Fińską Zatokę - nie ominął starego miasta na Helu.

W tysiąc okrętów i sześćdziesiąt siedem tysięcy wojownika zajął Rygę, zburzył Lyndanisę i na tym miejscu założył miasto Rewel, przebiegł całe Inflanty i posiadał daleką wyspę Oesel. Mieszkańcy miasta na Helu płacili daninę Duńczykom i niezwyciężonemu ich wodzowi.

Lecz Waldemar Drugi, porwany i uwięziony przez księcia Henryka ze Szwerynu, zrzekł się swych praw do Pomorza.

Wciąż jednak, aż do śmierci Waldemara Drugiego, synowie Wartysława Pierwszego, Kazimierz Pierwszy i Bogusław Pierwszy, ożeniony z Anastazją, córką Mieszka Starego, byli wasalami duńskimi.

Po śmierci Waldemara Drugiego markgrafowie Jan i Otto Trzeci otrzymali od cesarza Fryderyka Drugiego wszelkie prawa nad Pomorzem.

Rybacy, zarzucający swe sieci wokół starego miasta na Helu, zmienili tedy panów.

Komu innemu mieli składać daninę ze swojej pracy na morzu i ze swej pracy na suszy.

Oto co głosi jedna z najstarszych wyspiarskich powieści.

Na początku XIII stulecia Eryk Czwarty, król duński, zwany Plovpennig, czyli „Szelaż od pługa”, syn Waldemara Drugiego, prowadził wojny zaciekle.

Studiując za lat swych młodszych za granicą nauki, w italskiej Bononii i w Paryżu - jak głosi kronika - książę Eryk zaprzyjaźnił się i pobratał z Sinibaldem Fieschi, synem Hugona,

hrabiego Lawanii, genueńskim magnatem, znakomitym wnet prawnikiem, noszącym dla wielkiego znawstwa kanonów miano *pater et organum veritatis*, który z czasem pod imieniem Innocentego Czwartego zasiadł na tronie papieży.

(Ten to znakomity znawca kanonów, *pater et organum veritatis*, za opłatą daniny na rzecz Stolicy Apostolskiej zatwierdził Krzyżaków we władaniu Ziemią Chełmińską i darował im kraje, które na Prusakach zdobędą).

Posiadłszy część władzy królewskiej nad Danią północną jeszcze za życia Waldemara Drugiego, Eryk, zwany dla podatku nałożonego na rolników „Szelażem od pługa”, wysłał poselstwo do swego ongi przyjaciela, papieża Innocentego Czwartego z prośbą o wszczęcie dochodzeń przeciwko dwu duńskim biskupom.

Papież Innocenty, uwikłany w srogie walki orężne z cesarzem Fryderykiem, nie lekcewał przyjacielą siedzącego na tronie Północy.

Posłał do Danii legata w osobie minority nazwiskiem Sedensa, z darami składającymi się ze szczątków krzyża świętego i z czaszki świętej Barbary.

W srebrnej szkatule, rytym ozdobionej napisem, mieściła się czaszka męczennicy.

Legat przybywszy do Danii zastał tam srogie wojny, toczące się między królem Jutlandii Erykiem i starszym jego bratem Abelem, panującym w Szlezwigu.

Nadto mór pustoszył tę krainę tak dalece, iż król Eryk na jedną z wysp odległych się schronił. Legat wsiadłszy na okręt podążył za królem Erykiem.

Skoro tylko odbił od brzegu, straszna burza zaczęła nosić statek w dzikim Morzu Północnym, a wreszcie po dniach wielu wyrzuciła go na wybrzeże jakiejś ziemi, którą *insula Helae* nazywa kronika.

Czatujący w tym miejscu rozbójnicy - na mocy swego prawa łupu - obdarli ze wszelkiego mienia rozbitków, porwali i uwięzili legata, a dary papieża dla króla Eryka zrabowali.

Tak to cudne oblicze wielkiej męczennicy egipskiej, dziewicze czoło świętej panny, Barbary, która śmierć samą z ręki rodzzonego ojca przeniosła nad złamanie wiary swego serca świętości, zajaśniało w blasku ogniów przed oczyma pogan Północy.

Głowa samotnicy, nazwanej imieniem Barbara - czyli obca wśród swoich, wśród najbardziej rodzonych - głowa zamkniętej w wiecznej wieży nie tylko materialnego więzienia, lecz zamkniętej w wieży zupełnej ducha samotni, upadła znowu pod nogi barbarzyńców.

Za życia obnażona w niewysłowionej piękności swej cielesnej, bita, kaleczona, szarpana żelaznymi szponami, po wyrwaniu piersi popędzana ku pośmiechu miasta Heliopolis - teraz znowu rzucona została na łaskę dzikich chłopów i grubych siepaczów.

Któż to wie - dlatego może, iż zanadto była uczczona przez drogi metal okucia głowy świętej, przez piękne emalie wizerunku i górne słowa pochwalnych napisów - dlatego może, iż stała się darem potężnego papieża dla króla - ona, co była samą pokorą i samą jeno nieskazitelną, nagą cnotą...

Lecz jako niegdyś, gdy w trwodze dziewczyńskiej przed gniewem i zemstą własnego ojca uciekała, kamienna góra, z wielkich złożona głazów, rozstąpiła się była i czulej niż matka rodzona w łono ją swoje przyjęła, a pilny i pamiętny jej losu anioł karmił ją we wnętrzościach ziemi niebieskim pożywieniem, tako i wówczas się stało.

Bardziej twarde od skał serca rybaków i piratów międzymorza, w wichrze i burzy wychowane, karmione trwogami zabobonów Trygława i srogimi biczami praw panów dalekich, nieznanymi, osunęły się, zadrzały i otwarły.

I jako niegdyś, gdy pod ojcowski miecz mężną głowę skłaniała, piorun śmiercią poraził kamienne ojca serce, tako i teraz piorun strachu przeszył nieulekłe serca wyspiarzy.

Patrzyli się w zdumieniu na lica malowane, jakich nigdy jeszcze nie widzieli, i na milczenie białej kości czoła.

A potem, czuciem tajemniczym popchnięci, skoczyli w łódź, nastawili szaty żagłów i na spienionych denegach pobieżyli do księcia, do Swantopółka we Gdańsku, trzymając wysoko w ręku a ponad głowami puszkę przeraźliwą.

Świętopełk, ksiązę gdański, zrozumiał znaczenie zdobyczy i potrafił ją uczcić.

Zamknął szkatułę z głową świętej Barbary w swoim niezdobytym zamczysku, w komorze najtajniejszej Sartawic.

Świętopełk, syn Mszczuja i Zwienisławy, wnuczki Ratibora (który na Helu kościół świętego Piotra zbudował), po wygaśnięciu rodu Ratiborowiców opanował ich dziedzinę orężem czy podstępem.

Na wschód od tej dziedziny Ratiborowiców całe gdańskie Pomorze należało do Polski.

Zarządzali nim książęta spokrewnieni z władcami zachodniego Pomorza, uznający nad sobą zwierzchnictwo Polaków.

Lecz ojciec Świętopełka Mszczuj Pierwszy, dziad Sambor i pradziad Subisław pisali się książętami gdańskimi i rządili samodzielnie nadmorską krainą.

Świętopełk zagarnąwszy dziedzictwo Ratiborowiców:

Słupsk, Sławno, Białogard i całe pobrzeże, stał się również panem na Helu.

Podzieliwszy się z braćmi, Raciborowi oddał Białogard z całą ziemią, Samborowi Lubieszew, Tczew i Starogard, a sam objął Gdańsk, Puck, Świecie, Nowe, Wyszogród.

Gdy bracia przeciw niemu poczęli spiskować, pobił ich i zajął ich udziały.

Wyłamał się spod władzy Leszka Białego i stał się panem niezależnym, „królem Pomorzaków”.

Leszka w Gąsawie zabił.

Zrazu sojusznik krzyżackiego Zakonu w dziele ujarznienia i podboju zawiślańskich Prusaków, wnet, poznawszy się na wartości przybyszów, stał się najzacieklejszym ich wrogiem.

Osadził ludem zbrojnym swoje zamki nad Wisłą, chwycił statki krzyżackie, żywność łupił, a Krzyżaków i ich służbę bez litości mordował.

Rycerze krzyżowi z Elbląga i Balgi, siedzący na swych zamkach wśród ludu wrogiego, głód i nędzę cierpieli.

Nadaremnie papież wyprawił legata, Jakuba Pantaleona, późniejszego papieża Urbana Czwartego, żeby skłonić gdańskiego władcykę do zgody z zakonem Krzyżaków.

Lecz ani groźby legata, ani prośby nie zdołały Świętopełka ugłaskać, gdy bracia jego Racibor i Sambor na nowo spiskować z Krzyżakami zaczęli.

Podburzył ludy Pomezanii, Warmii, Natangii, Bartonii.

Ludy te, przez Krzyżaków niedawno ochrzczone, porzuciły chrześcijaństwo i szły pod chorągwie Świętopełka, który przybyszów niemieckich w pień wycinać polecał.

Wszystkie zamki krzyżackie z ziemią zrównane zostały z wyjątkiem Elbląga i Balgi.

Z Pomezanii wódz gdański poszedł ze swymi hufcami w poprzek Ziemi Chełmińskiej pod Chełmno, Toruń i Radzyń.

Śmiercią ginął, ktokolwiek do tych trzech zamków nie zdołał się schronić.

Legat, Wilhelm z Modeny, ogłosił krucjatę przeciwko odszczepieńcy i tyranowi północy, który szerzył apostazję wśród ludów ochrzczonych i w jarzmo ujętych.

Rycerze krzyżowi zdobyli Sartawice niespodziewaną napaścią.

Teodoryk von Bernheim, marszałek Zakonu, we czterech rycerzy i dwudziestu ośmiu pachołka w nocy naszedł zamczysko i załogę wyrąbał.

Plądrując książęce komory zdobywcy znaleźli szkatułkę, której napis wyryty zaświadczał, że się w niej relikwia bezcenna, głowa świętej Barbary znajduje.

Marszałek zostawił w Sartawicach załogę, a sam, szczupłym otoczony oddziałem, uwiózł pod płaszczem krzyżowym zdobycz ponad wszystko znaczniejszą.

W grudniowe zawieję, ciemną nocą w skok popędził do Chełmna.

Lud cały z duchowieństwem na czele wyszedł na powitanie świętości.

Wniesiono srebrną skrzynkę w procesji do pierwszego po drodze kościoła.

Świętą Barbarę uznano za patronkę powiślańskiej krainy.

Świętopełk odbijał Sartawice wszelkimi sposoby, podstępem, układami i szturmem.

A nie mogąc nic wskórać, nocą oblężenie porzucił, przeszedł Wisłę po lodzie i przeszył znów Ziemię Chełmińską pustosząc ją ogniem i mieczem.

Marszałek Teodoryk von Bernheim zebrał wszystkie swe siły, stoczył bitwę i pobił Świętopełka na głowę.

Dziewięćset Pomorzan legło na placu porażki - znaczne łupy i czterysta koni dostało się w ręce zwycięzców.

Świętopełk wrócił na tamten brzeg Wisły i znowu Sartawice oblegał.

Marszałek poszedł za nim po lodach wiślanych, lecz książę spalił swój obóz i uszedł w bezludną nadmorską krainę, przypadł na dalekim międzymorzu, w pustkach leśnych się ukrył.

Wtedy polscy książęta - kujawski Kazimierz, Bolesław Pobożny kaliski i wielkopolski Przemysław - po społu z Krzyżakami Nakło obiegli i zdobyli.

Krzyżacy spustoszyli leśną ziemię Kaszubów szukając w niej Świętopełka i zagarnęli zachodnie Pomorze.

Książę gdański ukorzył się przed Zakonem, wydał Krzyżakom Sartawice, a w zakład wierności - najstarszego ze swych synów, Mestwina.

Lecz skoro tylko krzyżackie załogi odeszły spod Gdańska, podburzył ludy Sudawii na nowo, pociągnął Prusaków pod swoje chorągwie i ruszył w niziny chełmińskie, do nogi mordując mieszkańców.

Brata Racibora, który z książętami polskimi się zmawiał, do więzienia wtrącił, a całą ziemię powiślańską, z wyjątkiem Chełmna, Torunia i Radzyna, spustoszył i spalił.

Berlewin, nowy marszałek Zakonu, zgromadził siły krzyżackie i uderzył w najeźdźcę.

Początkowo Krzyżacy sukces w bitwie odnieśli, lecz rozbiegłszy się za łupami otoczeni zostali przez zastępy Pomorzan i Prusów.

Marszałek Berlewin poległ.

Z całego wojska Krzyżaków tylko dziesięciu rycerzy zdołało ucieczką się ocalić.

Rycerze z Torunia na pomoc przybiegłszy zastali już pole bitwy trupami zasłane, toteż sromotnie uciekli.

Świętopełk popędził za nimi i niemałą klęskę im zadał.

Wróciwszy się pod Chełmno, oblegał tę twierdzę, ażeby syna Mestwina odebrać, który tam był więziony, oraz bezcenną szkatułkę z głową świętej Barbary.

Chełmno było tak wyludnione, iż biskup zachęcał dostojne niewiasty, by się łączyły z pa-chołkami i służbą.

Kobiety chełmińskie przywdziały były zbroje mężczyzn i wyszły na wały obronne do boju. Komtur Chełmna i jego rycerze sekretnym sposobem, po nocy wysłali Świętopełkowica Mestwina do zamku Sartawic.

Ojciec powziął tę o synu wiadomość i we dwa tysiące żołnierza poszedł śladem synowskim, niszcząc wszystko po drodze do ostatniej przyciesi i do ostatniego człowieka.

Tymczasem przy obleganiu twierdzy Chełmna poniósł klęskę i całą prawie siłę swoją utracił. Rycerze zakonni wysłali Mestwina z tej ziemi zakrwawionej na dwór księcia Austrii, żeby go ojciec nie dostał.

Po trzecie Świętopełk podburzył Prusaków, splądrował Kujawy mszcząc się na księciu Kazimierzu za Nakło.

W widłach starego i nowego Wisły koryta, poniżej zamku w Gniewie, pobudował zamek Zan-tyr w celu powstrzymywania rzecznych transportów krzyżackich,

Na lewym brzegu Wisły, niżej Chełmna, Świecie jako miejsce swego wypadku obwałował. Lecz nowe poniósłszy porażki, po wielokroć doznawszy klęsk wojennych, niestrudzony wojownik znowu prosił o pokój.

Opizzoni, opat Messyny, legat papieski, zdjął zeń klątwę, gdy skruszony pokutnik zerwał wszelkie z poganami stosunki i obiecał pomagać Krzyżakom w dziele wytepienia bałwo-chwalców.

Obłudnik przyobiecał wszelkie wypełnić żądania, byleby mu Zakon wydał syna i zwrócił re-likwie.

Lecz ledwie pokój ów został zawarty, po raz czwarty zbuntował Prusaków, wtargnął w posia-dłości krzyżackie od strony Gołubia nad Drwęcą i mordował bez litości pogłowie.

Spustoszył potem Kujawy i zabrał wielkie łupy, które jednak mistrz prowincji mu wydarł.

Po zawarciu nowego pokoju w połowie trzynastego stulecia Świętopełk nową, piątą z rzędu wojnę rozpoczął.

W ciągu dwunastu lat blisko, czasu władania wielkiego mistrza Zakonu Henryka von Hohen-lohe, Świętopełk pomorski wiódł nieustanną, bezsenną i straszliwą walkę z Zakonem.

A jednym z najzawziętych jego haseł, jednym z celów, jedną z przyczyn rzezi najkrwaw-szych, łupiestw najbezlitośniejszych, pożogi bestialskiej było posiadanie na nowo relikwii świętej Barbary, niegdyś na Helu wybrzeże przez burzę rzuconej.

Tak to czoło dziewicze, najświętszymi, najdalszymi od zbrodni tego świata nasycone myśla-mi, znalazło się pośród mleczów skrwawionych i bezlitosnych toporów, nad potokami łez niedoli i w zwojach kłębów dymu, pomiędzy jękiem krzywdy i wrzaskami napaści, jako ha-sło rzezi dzikiej, jako zemsty okrzyk bojowy i jako sztandar grzechu.

ROZDZIAŁ 4

Wiele baśni przepływa pod checzy niskimi powały o burzy nad niezgłębionym bujowiskiem. Któż zaś wyrazić potrafi i jaka baśń odtworzyć straszliwość nocy jesiennej, wiszącej nad łodzią samotną, przez wichęr miotaną w przewałach?

Któż zdoła wysłować odwagę, cierpliwość i pracę samotnego człowieka, aby się burzy nie poddać, noc przetrwać i trafić do brzegu!

Lecz i w cichy lipcowy poranek strach na rybaka czatuje u spokojnego wybrzeża.

Strach czatuje i tam nawet, wtedy nawet, gdy rybak się swą chce zarzucić u płazy tego miecza morskiego, u tylców tępych przylądka, gdzie się helska, niemiecka zatoka łagodnie w głąb lądu wygina.

Skoro rybak rzuci w wody kotwicę, by łódź nad głębią nieruchomo postawić i czekać na pół w spokoju, kotwica nie ima się gruntu.

Dzwoni pazur żelazny kotwicy o kamienie podbrzeżne, o skarpy potężne, pod piaskiem w opokę wkopane, o cegły czerwone, które w głębi pod zdiarami rdzewieją.

Z dna morza rumowie czerwone i kamień ciosowy wyziera.

Lęka się serce rybaka, Niemca dziś zawziętego, Kohnkela lub Walkowsa, i strach wielkooki ogarnia Kąkolów i Walkowców potomka.

Serce jego, niepamiętne jak u mewy, drży przed czymś strasznym i ciemnym.

Gdy bowiem rybak ucho nastawi wśród ciszy, dochodzą go dzwonów zatopionych rozgłosy i jęki.

Dziś na tym miejscu, gdzie stary gród słowiański się wznosił - morze dzikie się pieni.

Gdzie stały kościoły i klasztor jeszcze w siedemnastym stuleciu, okrągły wzgórek zalega, trawą bujniejszą niż inne pokryty.

Samotna tam dzika róża oddaje nikłym swym kwiatem pozdrowienie - nikomu - pustce, milczeniu.

Grube sosny, z gałęziami na wschód schylonymi, szumią do wtóru morzu zgłodniałemu, które żywoty zabiera, a trupy ze siebie na brzegi wyrzuca.

Nic tam nie zostało ze słowiańskiego grodziszczca, które Wartysław Pierwszy w piaski wko-
pał, Ratibor kościołem uświetnił, a Wojciech błogosławił na żywot.

Znikło do znaku, do ostatniego kamienia osiedle słowiańskie, a powstało w oddali osiedle niemieckie za czasów panowania nad tą ziemią Krzyżaków.

Nie ma na to żadnego pisanego dowodu, żeby się tu to samo dokonało, co w Gdańsku za władztwa Henryka von Plotzke.

Tylko tak samo jak w Gdańsku kamień na kamieniu nie został ze słowiańskiego budowania, a nowe sioło niemieckie w kwitjącym stanie powstało.

Legenda niemiecka powiada to samo o Helu, co powiedziała po zbrodni Dominika o Gdańsku, iż mieszkańcy dobrowolnie swoje stare domostwa spalili i zniszczyli, i na inne się miejsca przenieśli.

A na tym nowym miejscu pobudowawszy swe domy, już byli od tej chwili i na zawsze Niemcami.

Powiada także legenda, iż mieszkańcy Jastarni są przybyszami i przesiedleńcami z tegoż Helu.

Czemu od doskonałej zatoki, od portu wygodnego i od najbliższego dostępu do bogatego w morskie ryby przestworza, od miejsca, co się tak wygrzewa w promieniach południa, iż tu dojrzewa winograd i figa, słowiańscy rybacy odeszli dobrowolnie na północ do przesmyku bez portu, do miejsca dalekiego od wypadu na morze?

Mieszkańcy dalekiej od Helu Jastarni, leżącej za borem niemałym, zachowali swój język prastary, słowiański, i wiarę owego biskupa Wojciecha, który zatopione dziś w morzu kościoły poświęcał.

Niemcy, którzy na cudzych popiołach tak dobrze, tak wygodnie, tak mądrze, tak zdrowo, tak świetnie, przezornie i pięknie budować się umieją, zabrali pod swe nowe domostwa dawnej cerkwy Wartysława ostatnie kamienie.

I nic nie chcą powiedzieć, a nawet pamiętać, jak to się dokonało, iż stare owo miasto ziemia głucha pochłonęła i morze zimne zatopiło.

Przybiegali jeno do niedawna w owo miejsce samotne, żeby się nad uroczyskiem roztkliwiać. Wylewali swym zwyczajem sentyment nad miastem, które ich przodkowie zniweczyli.

Prozą i wierszem opiewali owe dzwony, których bicie zniemczony rybak słyszy, i drukiem usiłowali przekazać innym Niemcom nastrój jakoby uzalenia się nad losem kościoła, który ich przodkowie do ostatniego kamienia na zagładę skazali.

Tam, gdzie za czasów niemieckich puszcza się zaczynała dla niemieckiej siedziby, na skraju wielkiego lasu helskiego - a gdzie dziś wre i kipi najbujniejsze właśnie życie, założono niegdyś cmentarzysko dla wyrzuconych przez morze bezimiennych i nieznanych topielców.

Mieli leżeć w pustce zupełnej, w ciszy bezwzględnej, w lesie głuchym między Jastarnią i Hellem.

A oto stało się, iż leżą między nowozbudowaną stacją kolei żelaznej i między świetnie zbudowanymi gościnnymi domami dla rybaków wędrownych, dla Kaszubów szukających pracy na morzu.

Na nowo otoczyło ich życie - przyszło za nimi do tej bezimiennych pustelni.

Pewnie, że obojętną jest sprawą dla pokonanych przez morze, dla jego ofiar bezsilnych, czy spać na dnie mulistym i być pożartym przez ryby i raki, przez gady i robactwo - czy spać w liwym piasku międzymorza, w ostępie boru głuchego, a być pożartym przez jego żaby i węże.

Lecz może matce sieroczej, co w ziemi dalekiej po nocach czekała i pustki wiecznej nadaremnie prosiła się aż do utraty ostatniej nadziei o wieść, o znak od przepadłego syna - lżej będzie, gdy jej sen wieszczy podpowie, iż między ludźmi spoczywa.

Może dla niej ulgą to będzie, gdy on po nocy tysiąc mil duchem przeleci i u wezłowania stanie, ażeby to miejsce mocą sennego marzenia pokazać - iż nie tuła się na dnie morza.

Bo straszna to przecie myśl dla ludzkiego rozumu i nieznośne czucie dla serca matki sieroczej, iż jej syn wałęsa się na dnie morza, nie mogąc znaleźć spoczynku, miotany i targany,

z miejsca na miejsce przez tajemnicze i straszliwe oceanu potwory, jakoby w duszy szatana wyśnione - przez diabły morskie i rekiny, przez głowonogi ośmiornice, przez gruboskorupe langusty, ohydne kraby, oślizgłe mięczaki, ukwiały i jeżowce.

Przeraźliwe to dla jej serca czucie, iż to on właśnie, on jedyny, spłacać musi dług z pełna za wszystkie zbrodnie człowiecze względem mieszkańców morskiej głębinie spełnione.

To na nim samym mszczą się teraz morskie potwory, rozszarpując go i rwąc na sztuki, za tysiące lat podstępów, oszustw, morderstw i ćwiertowań, których człowiek na ich rodzimym dokonał.

Gdy go zaś morze ze swego łona na jasne strądy wymiotło, śpi według ludzkiego obyczaju na suchym piasku pościeli i pod sosny zielonej gałęzią, którą ręka człowieka złożyła.

Bezimienny gardzina, który o słońca zachodzie ziemię suchą porzucił, powrócił oto z wypraw.

Gwar pracy, odgłos ruchu z miejsca na miejsce, radosny krzyk życia ogłasza wokół jego łóżka wiecznego zwycięstwo człowieka nad ładami suchymi i nad dzikimi morza obszary, skoro taki jest los rodu ludzkiego na ziemi.

Oto, co głosi jedna z rybackich wiestek na przymorzu:

Onego czasu wyjeżdżali na połów z kaszubskiego osiedla dwaj bracia rodzeni, dwaj rybacy, do tego samego należącego maszopstwa.

Mieli obadwaj mocne łodzie, uszczelnione pracowicie, z maszty, z żaglami, z kotwicą, we wszelki zaopatrzone przyrząd i statek.

Każda tedy z tych łodzi miała olinowanie należyte, ster, czyli wojo, wiosła okute i nie okute paczyny albo pojazdy, plichtę na przedzie, oporki i nożnice, pałasz boczny i korczaki, czyli stągwie do wylewania wody.

Obadwaj maszopi mieli sieci głębokie i opławne na łososie, którymi się parali od marca do świętego Wojciecha, i mieli skarpie niewody, które znowu ciskali od wiosennych roztopów aż po świętojańskie poranki.

Mieli głady i brodniki dla połowu małej rybki tobijaszka, którą się wyrzuca na przynętę węgorza - i mieli gęstookie sieci na śledzie oraz niewody na węgorza, którymi zaciągali od Narodzenia Panny Marii aż do świętej Jadwigi.

Mieli także wszelkie wędy, czyli takie, do chwytania na przynętę wędownego łososia, idącego w swoją drogę w stumetrowej głębinie.

Z tym to przyrządem puszczały się w słone morze i na bystre jego szory.

Na rybitwę małomorską wychodzili z bodorem, którym wojowali węgorze od świętego Marcina aż do Gromnic.

Mieli konopne, gdańskie wite niewody do łowitwy na łodziach z wyrzuceniem kotwicy.

Mieli mocne brodniki, a tymi znowu wygarniali piskorze i wszelką inną słodkowodą rybę od świętego Wojciecha do Świątek i od Świątek po Dominika.

Mieli również waty na raki a więcierze na tłustą rybę - dargi z mosiężnymi łańcuszki na czujnego szczupaka i zwykłe wędy na węgorze.

Snadziej pewnie było obudwu braciom Kąkolom, starszemu Józefowi z przezwiskiem Marycin - od imienia żony Maryki - i młodszemu Janowi z przydomkiem Litak - wypadać w Małe Morze.

Zepchnąć jeno baty ze spychu i biec w rodzonej fali, na oczach mając domostwo i noc pewną pod strzechą.

Skoro jednak wypadło biec w Słowińskie na morską rybitwę, ciężką musieli pracę podejmować.

Nie dane im było posiadać zacisznej przystani, gdzieby w spokoju i bez wiatru można było przygotować wyprawę na ów połów godziwy.

Nie mieli miejsca ucieczki, gdy czarna burza spędzi rybaka z przestworu a do ucieczki przynagli.

A nawet, plonem godziwym obarczeni, musieli ponad siły przy złym wietrze pracować, z tak daleka do dom wracając, gdyż trzeba było przecie Hel prawie cały z obu jego stron remami obciągnąć.

Wiatry morskie nimi jako wola rządziły, skoro się w dal wybierali, porówno ze swojakami z Jastarni, Boru, Kuźnicy i Chałup - porówno ze wszystkimi tamtego brzegu, ze Swarzewa, z Oslanina, z Mrzezina, z Rewy, z Gnieździwa, z Oksywia, czy tam z Gdyni.

Tak to dnia jednego, w samym zaczątku jesieni, bracia Kąkolowie, starszy Józef Marycin i młodszy, przezwiskiem Litak, pociągnęli na pojazd w tamto morze.

A wyruszyli zaś głęboko jeszcze nade dniem, o dobrze ciemnej nocy, gdy pochodnica zaranna sama jeno stała w niebiesiech jako blask rozogniony.

Łagodna bryza zachodnia skrzydła płócienne wydymała, gdy za Borem białe, wysokie brzegi ledwie w mroku widoczne mijali.

Józef, jako należy starszemu i przedniemu w maszopstwie, jechał przodem w swej kwaczy, patrząc się wiernie na gwiazdę.

Jan ciągnął za nim posłusznie, w bruzdę bratową, helmą steru ledwie-ledwie dotknięciem dłoni wprawiając.

Podobnie jako brat starszy - z gwiazdy pochodnicy spojrzenia nie zdejmował.

Pierwszy się oto brzask niecił za helskim staroborem, gdy dwie pomorzance kępę, Głowę Gołębia, półokręgiem dalekim na toni okrążyły.

Na bystrz ciemną spłynął przedświt niejasny, a w serca braci rybaków niejasna spłynęła radość.

Obadwaj tam nieruchomi jednako, jakby z kamienia wykuci, szuty jeno swych płócien pociągając, aby się podmuchowi przeciwiły, dusze swe blaskiem niebiańskim poili.

Chwalili bezsłownym czuciem w pokorze prostych serc Pańskie poranne dzieło.

Gdy zaś wymijali boję wiecznie wzdychającą na toni przy tamtym już brzegu - dzień był biały. Daleko wysunąwszy się w łowiszcze kędyś na prost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać.

Każdy z braci wymiatał sieć swoją, złożoną z matni i dwu krótkich skrzydeł opatrzonych deskami, które służą do rozpięcia niewodu.

Do skrzydeł i do desek przywiązane mieli długie liny, których końce zostawały w każdej z dwu łodzi idących pod żaglem.

Niewody przez łodzie ciągnięte szły po dnie, zagarniając do matni płastugi, stornie, gładysy, a strasząc je pękami charszczu twardego, przytwierdzonymi do liny.

Co pewien czas to Józef, to Jan wyciągał do wnętrza łodzi swój niewód i wytrącał z macicy połów dnia tego, nad podziw ogromny.

Napełniły się storniami, gładysami, bańkami dna pomeranków, a dusze rybaków radosne były od pracy i jej pomyślnego wyniku.

Południe przeminęło - na tę porę strasznie skwarne, parne i duszne, płonące od słonecznych promieni.

Ledwie zaś przeminęło południe, wicher niespodziany skądś powiał. Morze wzburzyło się nagle. Fala zarywać się poczęła do topieli, a widnokrąg zawłókł się mrokiem, prawie nocnym. Zdumieli się obaj rybacy i oczy przecierali, własnym nie wierząc spojrzeniem.

Stanęła przed ich źrenicami na zachodnim skłonie nieba i gnała ku nim właśnie trąba czarna, ukręcona z powietrza i z wody.

Zwara wodna poderwała się z miejsca niskiego, a wiatr lotem po drogach kołowych zawijał ją w lej, skaczący po morzu i trzepiący się w pianach jako ryba niezmierna.

Powietrze rzutem z okolicy wyższego do niższego ciśnienia popchnięte złączyło się z wirem wodnym, jakby go pocałunkami poderwało do siebie.

Słup czarny środkiem morza z zachodu ku wschodowi gnał wirując.

Ponad tym- to czarnym krążelem rozpostarła się potężna ciemna chmura, wylewająca strugi deszczu.

Wokół górnego łba potwory tłukły się masy porozdzieranych obłoków, pędząc od wnętrza wiru ku jego bokom wygiętym.

Zgasło do cna słońce w potopie ulewy.

Z dnia jasnego nagle ciemna noc się stała.

Błyskawice raz wraz rozpałały niezłomne ściany wieży lecącej, a grzmot rozbijał się w obrębie jej zakola.

Obadwaj bracia rybacy rzucili się do ucieczki.

Lecz w którekolwiek pomknęli się stronę, wiosłami pracując, zawsze wirowy bieg wichury gnał ich ku środkowi zjawiska.

Stargane zostały płótna żagli.

Gdzieś się sieci podziały.

Wyrwały się z rąk i pognały w burzę remy wiosła.

Woda górna spadać poczęła w łódź każdą i napelniać ją sobą.

Rozradowały się ryby złowione pod nogami oszalałych rybaków.

Bałwany, kręgiem zwijające się ponad sztuką Józefa i ponad sztuką Janową, wałem syczącym wyniesione, grzywą wścieklej piany obrosłe, przybrały kształty potworów, które zdało się z głębin morza wypadły.

Wirem gnało obiedwie łodzie, trzaskające się wzajem bokami.

Krzyk obydwu rybaków stał się obłąkany i głupi, gdy widzieli, iż giną.

Ale starszy wiekiem i w rzemiośle rybackim zmacał i ujął przecie w sobie twarde męstwo.

Począł młodszemu rozkazywać.

Zakrzyknął: - Wodę - korcakiem!

Rzucił się młodszy do korcaków i szufli wylewnych.

Oburącz począł wodę z łodzi na zewnątrz wymiatać.

Krzyże jego zginały się po tysiąc razy, szybciej niż biegnie słowo opisu, ręce w szaleństwie wylewały wodę z głębi.

Starszy czynił to samo w swojej łodzi.

Słysząc było w ryku burzy sapanie obudwu i bezładne słowa modlitewnego skamłania.

Lecz mimo pracy tak wścieklej, iż zdolna była siłę burzy pokonać, widzieli obadwaj z przerażeniem, iż się łodzie zanurzają od wzrastającego ciężaru i że wody nie ubywa, lecz przybywa.

Zlani potem wewnętrznym bardziej niż potopem zewnętrznym ulewy - noc mieli w oczach a w duszach szaleństwo.

Bose ich nogi ślizgały się w lepkiej masie ciał rybich, rojących się na dnie łodzi, aż się obaj raz za razem na wznak w wodę walili.

Poskoczyli tedy samowtór obiema stopami na burty.

Na nich stojąc pracowali bez wytchnienia i aż do ostatniego oddechu.

Krzyk młodszego stawał się coraz częstszy, głośniejszy.

Starszy obejrzał się poza siebie i straszliwą rzecz zobaczył.

Łódź Jana była pełna wody, a on sam stał okrakiem na nadburciu, we wodzie aż do kostek.

Burty kwaczy - raz bakortem, drugi raz sztymborkiem - wynurzały się z piany, jakby jeszcze poratunku szukając.

Rudel pod ciężarem rybaka całkiem się w wodę zawalił.

Plichta statku stromo wylazła i kołysząc się stała nad falą.

Przelewy morza szły nad łodzią i między nogami rybaka.

I oto rozległ się krzyk: - Bracie, ratuj!

W czarnych bryłach wody Józef zobaczył młodszego, jako płynie ku niemu.

A sam stał po kolana w przewalach, a sam widział, że mu w łodzi już po nadburcia przybrało, a sam czuł, że mu siły w ramionach ubywa.

W ocemgnienu zobaczył w głębi siebie twarze dzieci i oczy białki miłowanej.

W takiej oto złej minucie brat Jan ze skowyczeniem rozpaczy do jego burty się dorwał.

W takiej oto złej minucie koślawą lewą dłonią zgrzytał po niej pazurami.

Poczuł we wnętrzości swej Józef zimne i jasne rozumienie, że skoro drugi człowiek do łodzi tej się wwali, nie strzyma statek zatopiony zdwojonego ciężaru i natychmiast na dno pójdzie.

I spokojny mu to rozmyśl kazał zrobić, co się wykonaniem spełniło.

Józef schylił się nagłym ruchem, porwał za uchwyt wiosła, co przy bakorcie leżało, i pchnął nim w głowę Jana.

A potem widział jego ręce, to tam, to sam plaskające między piany, to w głębi, to wierzchem.

I chłopot jego słyszał, to we wodzie, to nad wodą.

Raz jeszcze widział jego oczy wpatrzone,

Wtedy otwarła się chmura ponad burzy ośrodkiem i na mgnienie powieki ukazało się niebo.

Wiatr pchnął łódź w jakiś okrąg odmienny i poniósł ją w białych pianach dziobem na dół albo rufą w otchłani, z boku na bok ją magał w przepaściach.

Józef chwycił wodę czerpakiem, bez jednej chwili wytchnienia.

A gdy zdało mu się ukradkiem oczy podnieść za siebie, nie widział już leja wody.

Wiatr srogi dokądś go pędził.

Ani się spostrzegł spracowany, że mimo ulewnego wciąż deszczu wody mu w łodzi ubyło.

Gorąco wielkiego szczęścia wskroś ciało jego przejęło.

Wtedy rozejrzał się po okręgach, na wszystkie strony wołając: - Litak! Litak!

Ale morze jeno zbiegano w odpowiedzi chlastało.

A nim wszystkę wodę z czołna zdołał wylać do kropli, dało mu się uczuć przyciszenie orkami.

Czarny rdzeń burzy kędyś na wschód pocwałował.

Nadeszła wreszcie szczęśliwa minuta, iż Józef przysiadł na duchcie.

Pot otarł z czoła.

A choć przewał jeden po drugim miotał na wsze strony pławaczką, rybak nie mógł się z miejsca podźwignąć.

Nie mógł myśli swych ruszyć z tego miejsca na burcie, nie mógł oczu zepchnąć wołą z tego miejsca przy dulce, gdzie był widział skostniałą rękę Litaka.

Aż wreszcie runął na błotniste dno łodzi, twarzą między stornie i bańtki.

Długo tam nad nim wiatr huczał i ostra go fala zlewała.

Gdy się zaś porwał o jakiejś godzinie, posepny wieczór zapadał.

Widać było w pobliżu białe helskie wybrzeże,

Nie milknący nigdy głos boi, gwizdziela morskiego, w oddali, w swoim miejscu narzekał.

Ach, któż wyrazić potrafi straszliwość nocy jesiennej, zwisającej nad łodzią samotną!

Ach, któż wyrazić potrafi nieszczęście grzesznika, dźwigającego po falach uczynku wspomnienie.

Maszop ujął swe wiosło ocalone z pogromu.

Patrzył na pióro pojazdy, którym między oczy Litaka uderzył.

Wymacał to miejsce na wiosle struchlałymi palcami.

Milczenie mu wiekuiste nakazał.

Ze wszej mocy ramienia bratobójczą pojazdą pracując opłynął przylądek.

Zawrócił nos łodzi ku strome rodzinnej.

Ujrzał wreszcie dziecińskie uśmiechy, białki oczy spłakane.

Matki oczy skostniałe, pytające się o tamtego.

Dał w załamane jej palce, w szale targające siwe włosy, wiadomość złowrogą, iż orkan zatopił Litaka.

Zachował przed urzędem maszopskim spokojność i godność i zimno dostojne oblicza, gdy, zataiwszy uczynek, wszystko na opak wykręcił.

Wzruszali się mężowie, mocy morza świadomi, słysząc, jako się z bratem obadwaj bronili, jako tamten daleko wichrami porwany nie strzymał, a starszy nadaremnie go szukał w przepaściach.

Chwalili starszego Kąkoła za pracę, za ofiarność, za spokój, za męstwo.

Wieść o nim poszła od checzy do checzy, od sioła do sioła.

Trzecie morze łez wypłynęło, od tamtych nie mniejsze, ze starych oczu matczynych pod cerkwy drewnianym pułapem.

Tłukł się w ciągu dni i tygodni pogwarek o straszliwej niedoli Litaka.

A potem sprawy chorób i jadła zatały wspomnienie.

Nie zapomniało serce matki. Nie zapomniało wnętrze brata.

Skoro Józef wybiegał na połów w Wielkie-li, w Małe-li morze - daleko od brzegów odbijał.

Szukał po dnie poprzez wody, przepatrywał oczyma.

Przepatrywał fale przezyste.

I ryczał w spienioną pustynię z głębi wnętrza, targanego od straszliwej męczarni: - Litak! Litak!

A nieraz wstawszy w nocy, rzekomo do łodzi na wywłoce spokojnie leżącej, rzekomo do sieci rozwieszonych na poty-czach i sochach, brnął na duny dalekie, pustynne, na dzikie wybrzeże i wył w ciemne morze, aby ulżyć wewnętrznej boleści: - Litak! Litak!

Lecz na głos duszy wzywającej głos morza chrapliwie i z sykiem jednakiej zawždy odpowiedzi udzielał.

Na głos duszy wzywającej gwizdziel jeno morski, pław żelazny, ze swego miejsca w oddali głuchy jęk niby śpiewkę wieczności odrzucał.

Minęły dni długie i leniwe tygodnie.

Gdy zaś na jesieni łososie podpływały do brzegu i cały lud rybacki wylegał, aby maszopstwami, po porządku a pod szyprą komendą toń zajmować, Józef stanął wraz z innymi do pracy. Zostawiwszy stułokciową linę na brzegu, wyjechał w wielkim bacie na morze, wyrzucił prawe skrzydło, macicę, lewe skrzydło niewodu.

Wrócił duchem do brzegu, drugą linę przywożąc.

Stanął sam i pierwszy szlę na ramię zarzucił - za nim białka i dzieci, a nawet matka stara.

Idąc zaś wstecz a powoli, idąc jedno za drugim, spokojnie niewód ciągnęli.

Było bowiem ciężko w macicy i srodze się w niej godne ryby targały.

Radość opanowała rodzinę.

Skoro już gruba matnia wytoczyła się w strądy, ujrzeli, iż jest pełna nad podziw.

Lecz wnet radość powszechna w straszne przemieniła się czucie, gdy wśród wielkich łososi, skaczących w górę po piasku, ujrzeli nieruchomego Litaka.

Kałęm morskim zwałany a oblepiony kidzeną, z raną krwawą na czole, leżał z rozkrzyżowanymi rękami.

Przyszedł oto nierychło na wołanie Józefa.

Z głębin morza dalekich a z bełku przepadłego powrócił, żeby u stopy braterskiej jasne czoło położyć.

O niespodzianej godzinie.

ROZDZIAŁ 5

Nie umiera nigdy zbrodnie, kiedykolwiek była dokonana - przed tysiącleciem czyli dzisiaj nade dniem.

Przychodzi po tajemniczą zapłatę o niespodzianej godzinie jako złodziej.

Lecz czyliż ma śmiertelny - jako złodziej - tylko na echo zbrodni, kiedykolwiek dokonanej, chciwego ucha nastawiać?

Czyliż ma słuchać tylko dzwonów, które biją z głębin morza, z miast do cna zatopionych?

Trzeba drugie ucho nastawić na głos dzwonów bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.

Bo jak w amarantowym kwiecie pelargonii trwa nieprzerwany upał, ruch, pęd, rozwój i życie, a naszym oczom ukazuje się tylko niemy i zastygły stan kwitnienia, tak samo winno być ze stanem wewnętrznym i z formą zewnętrzną człowieka.

Cierpienie i rozkosz wewnątrz być winny.

Na zewnątrz winien być stan nieodmienny uśmiechu.

O święty, o boski dzwonie nowy!

W każdym twoim dźwięku jest więcej, niż było w najbujniejszym marzeniu lat młodych, w najpotężniejszym lat męskich zamachu!

Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!

Przychodzimy na to jałowe wybrzeże z cudownego losów użyczenia, na skutek przedziwnej zapłaty, ażeby zeń uczynić naszej wolności skarb bez ceny.

Przychodzimy jako spadkobiercy Krzywoustego drużyny.

Ona poprzez lasy przerąbała pierwszą drogę dla cichego apostołstwa synów bożych.

Ona szła wielkie rzesze słowiańskie wesprzeć o polskie mocarstwo, obronić i zachować.

My przychodzimy, gdy już rzesze słowiańskie pochłonięte zostały i zniszczone na wieki.

Przychodzimy, aby szczątek ostatni od zagłady uchronić.

Lecz brzmi wśród nas ta sama, nowotna po wsze czasy, cantilena radosna.

Przybywszy na to jałowe wybrzeże budujemy portowe paliszcza, wprawiamy w ruch nowe koleje, prowadzimy poprzez błota bite drogi i zbogacamy mieszkańców.

Mowę ich bezcenną zachowujemy od zguby.

Jakoby z ręki legendarnego kaszubskiego wielkoluda, stolema, który z oksywskiego półwyspu ciskał wielkie gązdy w Radiowo, sypią się na radłowskim pobrzeżu nowe, piękne osiedla.

Strzały armat ze statków wojennych łoskot roznoszą po morzu, po dolinach, po górach, głosząc wszem wobec, iż stopa tępicielea nigdy tu już nie postanie.

Nie przynosimy tu zbrodni, nie przynosimy przemocy, nie przynosimy tu krzywdy.

Przynosimy zapomnienie, odpuszczenie i pokój.

Przynosimy dobro i pracę.

PRZYPISY

Dla uniknięcia niejasności oraz posądzeń o tworzenie neologizmów, co może się nasunąć wskutek wprowadzenia pewnych nowych nazw i określeń, podaję tutaj miejsce narodzin każdego z tych przybłędów do literackiego, wielkomięjskiego języka.

B a k o r t - lewy bok łodzi. (Bolesław Ślaski, *Słownik morsko-rybołówczy*, Poznań 1922).

B a n t k a - mała flądra, *Pleuronectes flessus*. (Ks. Hieronim Gołębiowski, *Obrazki rybackie*, Pelplin 1910),

B a t - łódź rybacka o jednym maszcie. (Ślaski, *Słownik mor.-ryboł.*).

B e ł k - kotlina na dnie morza, formy leja. (Ślaski, *Słownik*).

B e ł t - cieśnina morska, (Samuel Bogumił Linde, *Słownik języka polskiego*, Lwów 1854).

B o d ó r - ość rybacka na węgorku. (Ślaski, *Materiały i przyczynki do dziejów... Pucka*, Warszawa 1916).

B o j a - syrena pływająca, *Heulboje*, gwizdziel. (Ślaski, *Słownik*).

B r o d n i k - niewód pomniejszy do ciągnięcia po dnie morza. (Ślaski, *Słownik*).

B u j o w i s k o - morze sfalowane. (Ślaski, *Słownik*).

B u r t a - bok statku. (Ślaski, *Słownik*).

B r y z a - franc. *la brise*, lekki a stały wiatr na morzu. (Ślaski, *Słownik*).

B y s t r z - prąd morski, nurt. (Ślaski, *Słownik*).

C h a r s z c z, czyli w y d m u s z y c a - roślina do utrwalania piasków nad morzem. (Gołębiowski, *Obrazki rybackie*).

C e r k w a, kaszubskie c e r k v j a - kościół. (Stefan Ramułt, *Słownik języka pomorskiego*, Kraków 1893).

C h e c z e - mieszkania. (Ramułt, *Słownik*).

D a r g a - węda na szczupaki. (Ślaski, *Słownik*).

D e n e g a - wzburzone morze. (Wos Budzysz. *Nowotne spiewe*, Poznań 1910).

D o r s z, czyli p o d m u c h l a. *Gadus morrhua* - ryba poławiająca się jedynie w głębokich warstwach wschodniego Bałtyku, (Prof. dr Antoni Jakubski, *Rys biologii polskiego morza*, Lwów-Warszawa 1923).

D r y g a w i c a, czyli s ł ę p - sieć na Wiśle używana. (Ślaski, *Rybołówstwo i rybołowcy na Wiśle*, Warszawa 1917).

D u l k a - kołek żelazny w burcie statku do opierania wiosła. (Ślaski, *Słownik*).

D u n a - wydma piasku, zaspą, morska góra. (Ślaski, *Słownik*).

G ł a d a - cicha morska toń. (Ślaski, *Słownik*).

G ł a d y s a - stornia gładka, bez kolców, *Rhombus laevis*. (Ślaski, *Słownik*).

G r u n t o w n i k - niewód po dnie chodzący, (Ślaski, *Słownik*).

G w i ź d z i e l, czyli b o j a - pływająca syrena. (Ślaski, *Słownik*).

H a k - ławica piaszkowa w morzu. (Ślaski, *Słownik*).

H e l m ą t, czyli h a m u l e c - rękojeść, trzon steru. (Ślaski, *Słownik*).

K i d z e n a, czyli w e b ł o - trawa morska, *Zostera marina*. (Gołębiowski, *Obrazki*).

K i e ł p i e - łabędzie. (Ślaski, *Słownik*).

K i p i e l - wielka fala na morzu, niem. Brandung. (Ślaski, *Słownik*J).

K l i n, *kliver, foca*, franc. le *foc* - żagiel trójkątny na przedzie statku. (Ślaski, *Słownik*),

K o r c z a k - naczynie do wylewania wody. (Linde, *Słownik*).

K r ą ż e l c y k r ę ż e l - walec drewniany w przęślicy. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

K r ę c i c h a - wielki niewód wyciągany za pomocą kołowrotów. (Gołębiowski, *Obrazki*).

K w a c z a - statek rybacki o jednym lub dwu masztach, niem. Quase. (Ślaski, *Słownik*).

M a s z o p s t w o - spółka rybaków łowiąca na własny rachunek. (Ramułt, *Słownik*).

M i e r z e j a - wąski pas lądu odgradzający zatokę od morza. (Prof. Melchior Neumayer, *Dzieje ziemi*. Warszawa 1912).

M i k o ł a j e k a m e t y s t o w y - *Eryngium maritimum*, niem. Strand-diestel. (Dr January Kołodziejczyk, *Krajobrazy roślinne nad Wisłą*, Warszawa).

N a d b u r c i e, czyli d o l b a n - górna listwa nad burtą. (Ślaski, *Słownik*).

N i e o b a c z k i e m albo z n i e o b a c z k a - niespodzianie, chyłkiem. (Linde, *Słownik*).

N i e t o t a, czyli s k r z y p, w i d ł a k - ślad przedpotopowego wiel-kokrzewu. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

P a c z y n a - wiosło duże. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

P a l i s z c z e - grobla z palów w dno morza bitych, franc. estacade. (Kazimierz Mokłowski w *Historii budownictwa drzewnego* paliszczami nazywa budowle nawodne). Ponieważ nie posiadamy nazwy na oznaczenie pojęcia *estacade, digue, molo* - użyłem wyrazu paliszcze.

P a ł a s z - skrzydło drewniane w formie deski, umocowane z boku łodzi dla nadania jej większej ostojności na wodzie. (Ślaski, *Słownik*).

P a w ł o k a - bardzo cienka tkanina. „Zewlekli Jezusa i oblekli w powłokę”. „Pawłoką jasną twarz zarzucił”. „Włosy głowy twojej, jako pawłoka królewska”. (Linde, *Słownik*).

P ł a s k o ć - franc. la *plage*, nadbrzeże. Wyraz zasłyszany przez Antoniego Sygietyńskiego z ust rybaków nadwiślańskich i używany przezeń na oznaczenie „plaży”.

P ł a w a c z k a - łódź. „O białoskrzydła, morska pławaczko, wychowanico Idy wysokiej, łodzi bukowa...” (Jan Kochanowski, *Odprawa posłów greckich*. Chorus).

P o c h o d n i c a - gwiazda zaranna, „...pochodnica świtu, ta Polaków obronna *stella matutina*”. (Juliusz Słowacki, *Zawisza Czarny*).

P o d p l u s k czy d o k ł a d w o d y, albo s z e l i n g a - fala zalewająca strąd i wracająca do morza. (Ślaski, *Słownik*).

P i ó r o albo c i ą g ł o - dolna część wiosła, w wodzie zanurzona. „Pióra zowią się końce płaskie u pojazdów”. (Linde, *Słownik*).

P l i c h t a - przód łodzi z budką dla składania rzeczy. (Linde, *Słownik*. Ślaski, *Słownik*),

P ł a s t u g a - flądra, gatunek należący do rodziny płastugowatych, czyli bokopływów, *Pleu-ronectidae*. (Prof. dr Antoni Jakubski, *Zarys biologii polskiego morza*).

P o j a z d a - wiosło nieokute. „Przy burtach obu rozsadził pojazdy”. (Klonowicz. Linde, *Słownik*. Ślaski, *Słownik*).

P r y s k - silne bicie bałwanów, wielka fala na morzu. (Ślaski, *Słownik*).

P r z e l e w a - silnie wzdymająca się i opadająca fala. (Ślaski, *Słownik*). „Gdy bok już czółna zanurza się w przelewie, drugi wał dźwignie i nie dał zaciekać”. (Linde, *Słownik*).

P r z e w a ł - wielki napływ fali. (Linde, *Słownik*),

P o t y c z albo s o c h a - drążek z rozszczepem u góry, wbijany na łądzie do zawieszania sieci. (Ślaski, *Słownik*. Linde, *Słownik*).

R e m y - wiosła nieokute. (Ślaski, *Słownik*).

R e w a - ławica piaskowa ciągnąca się w morzu, podwodzie. (Ślaski, *Słownik*).

R u d e l albo r u d ł o . - „Rudel jest w tyle statku i wychodzi za budę, którym sternik według potrzeby kieruje”, (Linde, *Słownik*).

R u f a - tylna część okrętu. (Linde, *Słownik*).

S a d y - ciemnosiwy. „Wołków go sadych ciągnęła para”. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

S i o d ł a t y - szarawy. „Gęsi szarawe, siodłate i pstre nie są tak użyteczne jak białe”. (Linde, *Słownik*).

S n a d z i z n a - mielizna, płycizna w morzu, mianowicie przy brzegu. „Z powodu snadziżny Małego Morza...” (*Słownik warszawski Karłowicza*).

S p y c h - urwisty, obsypujący się brzeg, wiszar, franc. la *falaise*. (Ślaski, *Słownik*).

S t o r n i a - flądra wyrosła. (Ślaski, *Słownik*).

S t r ą d - brzeg morski, zwłaszcza płaski, nadmorze. (Ślaski, *Słownik*).

S t r o i s z - długa laska, trzon u bodora. (Ślaski, *Słownik*).

S t r o n a - wąska smuga wody tuż przy brzegu Wielkiego Morza, pomiędzy progiem a suchą rewą. (Ślaski, *Słownik*).

S u s t a w y albo s t a w y . „Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć”. (Juliusz Słowacki, *Ojciec zadźmionych*).

S z k u t a - statek wodny. (Linde, *Słownik*).

S z o r - bardzo głęboka woda na morzu, w znacznym oddaleniu od brzegów, odznaczająca się ciemną barwą, wart morski. (Ślaski, *Słownik*). „Woda prze szorem, woda płynie bystro”. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

S z t y m b o r k - prawy bok statku. (Ślaski, *Słownik*).

S z u t - lina do przytrzymywania dolnego, zewnętrznego rogu żagla w pewnym kierunku do wiatru. (Ślaski, *Słownik*).

S z y p e r - starszy rybak, przełożony nad maszoperią. (Gołębiowski, *Obrazki*).

T a k i e l - olinowanie i użaglenie statku. (A. Kleczkowski, *Rejestr budowy galeony*. Kraków 1915).

T a k l a - węda na łososie. (Ślaski, *Słownik*).

T o p ż a g i e l , czyli wrona - mały żagielek u szczytu masztu ponad wielkim żaglem. (Ślaski, *Słownik*).

T r a m - belka główna. „Ciężki tram na zranione ramiona Jezusowe”. „Las tramami zarosły”. (Linde, *Słownik*).

U c h w a t , czyli g r y f - rękajeść, górna część pojazdy, wiosła. (Ślaski, *Słownik*).

W a r t - główny prąd rzeki. „Nurt krzywy i gościniec główny, gdzie ma iść szkuta i dubas warowny, wartem nazywa rotman”. (Klonowicz, *Flis*).

W a t a - gęsta siatka rybacka na dwu drążkach. (*Słownik warszawski Karłowicza*).

W e b ł o , czyli m o r s z c z y n a - trawa morska. (*Słownik warszawski Karłowicza*. Prof. dr Jakubski, *Rys biologii polskiego morza*).

W e ł n a - bałwan morski, fala, wał wodny. „Bóg wzburza morze, a szumią głośno wełny jego”. (Linde, *Słownik*),

W i e s t k a - baśń, opowieść. „...jest na Wschodzie wiestka, że się w róży kocha słowik”. (Juliusz Słowacki, *Zawisza Czarny*).

W i ę c i e r z albo ż a k - sieć na węgorze. (Ślaski, *Słownik*).

W i k - *Putziger Wieck*, Małe Morze. (Ślaski, *Słownik*).

W o j o - ster u łodzi. (Ślaski, *Słownik*).

W y w ł o k a - miejsce na strądzie, przeznaczone dla wyciąganych z morza łodzi. (Ślaski, *Słownik*).

W y d m u s z y c a, czyli w y d m u c h r z y c a - charszcz, *Elymus arcuarius*, niem. *Strandhafer*. (*Słownik warszawski Karłowicza*. Ślaski, *Słownik*).

Z i e l e n i c a - przestrzeń wód morskich w niewielkiej odległości od strądu, odznaczająca się piękną zieloną barwą. Głębokość wody w takich miejscach wynosi kilka metrów. (Ślaski, *Słownik*).

Z a s i ą k l e - jezioro wody stojącej po wylewie, na zewnątrz koryta Wisły. (Ślaski, *Rybołówstwo i rybolowcy na Wiśle*).

Z d z i a r - wybrzeże, drobnym kamieniem usiane. (Ślaski, *Rybołówstwo i rybolowcy na Wiśle*).

[OPOWIEŚĆ O HELU]

Jedną z najbardziej nęcących zagadek naszego morskiego wybrzeża jest przeszłość półwyspu zwanego Helem. Ta wąska smuga międzymorza, które w zeszłym stuleciu, przed zalesieniem, ulegało w czasie burz przerwaniu w kilkudziesięciu miejscach - ta wyspa starożytności owiana jest tajemniczością legend o swym początku i bytowaniu. Podsypiska piaszczyste, plaże - po kaszubsku „strądy” - południowe wybrzeża w północnym morzu - kąpią się w słońcu aż do ostatniego jego promienia, gdy tonie w Małym Morzu, kiedy już cień padł na całe gdańskie i puckie nadwodzie. Gdy wiatr zachodni, wydymający z dolin torfowych wilgotny odór, a z pylnych dróg tumany kurzu, odpycha z przystani Sopotu i Gdyni falę wodną - do helskiego wybrzeża przypędza najbujniejszy i najpiękniejszy bałwan, kołyszący się nad czterdziestometrową głębią Gdańskiej Zatoki. Twarda, sina płaskość od strony Wielkiego Morza podlega potężnej fali pełnego Bałtyku. Na tę odosobnioną w morzu krainę rzeki ziemskie nie przynoszą zarazy, którą plemię ludzkie hoduje. Pył i swąd pojazdów nowoczesności nie zatrzuwa jej powietrza. Stary las pokrywa kopce piaszczyste, które tu morze przyniosło, jak dziecko szczęśliwie bawiąc się nimi w wieczności. W zimie jest tam znacznie cieplej niż na lądzie, w lecie znacznie chłodniej. Winne grono dojrzewa przy każdej chacie Jastarni i Helu - rośnie tam i owocuje figa, a najpiękniejsze kwiaty zapełniają ogrody.

Skądże się wzięła w błękitach morskich ta żółta smuga, na trzydzieści kilometrów wzdłuż zagradzająca swobodne wędrówki wodne?

Mówią legendy, podawane do wierzenia przez uczonych umiejących odczytywać dzieje ziemi, iż Hel - to dzieło prastarej Wisły-Prawisły. Gdy - powiadają - lodowiec olbrzymi ustąpił, wielkie jeziora nadmorskie, których ślady jeszcze istnieją, spłynęły w głębokie gdańskie siedzisko lodowca. Wtedy to Prawisła jednym ze swoich olbrzymich koryt, doliną od Gdyni do Rewy, spływała do otchłani w dzisiejszej Puckiej Zatoce. Małe Morze - to jedno z ujść Prawisły, która kiedyś w okolicach Wielkiej Wsi wlewała się do Bałtyku. W głębokości trzydziestu metrów pod wodą Puckiej Zatoki znajduje się torf pod wielkim nalotem piasków, które morze znacznie później na nim złożyło. Hel to zapewne mierzeja, wysypisko owej rzeki olbrzymiej, która niezliczonymi ujściami, Wisłą zarazem będąc i Łabą, niosła z polskich ziem potoki iłów i piasków do morza. Lecz na szerokim południowym zakończeniu Helu te piaszczyste naniesione warstwy mają zaledwie dwa metry grubości. Głębiej, aż do stu metrów z górą, znajdują się formacje stałe, pradawne, z których głębi wytryska woda zdrojowa, fontanną bijąca na dwa metry ponad poziom. Była więc w prawieku obok tego ujścia i rozlewiska Prawisły jakaś ostoja, ziemia twarda i gruba, na której począł tworzyć się osad piaszczysty. Ten to rdzeń począł w czasie narastać, grubieć, zatrzymywać za sobą i obok siebie wielkie masy piasków, zwalonych drzew, obrastać nizinami podwodnych „haków”. Gdy Wisła inną obrała sobie drogę ku morzu, Zatoka Pucka zapadła się pod morze, a na jej granicy zo-

stała i wydźwignęła się długa smuga dzisiejsza. Geologowie przewidują, iż podobny los zapadnięcia się pod wody morza czeka torfowiska karwińskie, drugie zapewne łożysko Prawiśły. Błota te mają się zapaść podobno, a na ich granicy ma powstać smuga karwińskiej mierzei. Rozewie, potężna głowica tych dwóch wysypisk wśród dwu zatok, puckiej i karwińskiej, utworzyłaby wtedy coś jak gdyby głowę bawołu z dwoma długimi rogami.

Wzdłuż helskiej przeszkody, która przegradza dwa morza, biegają wciąż dwa prądy morskie z bogacającą obadwa brzegi nowymi wciąż zasobami. Jeden z tych prądów, wywołany panującymi wiatrami zachodnimi, odbity od rozewskiego przylądka, mknie w odległości jednego kilometra od brzegu wzdłuż całej długości helskiego międzymorza, przy zakończeniu tego pasa ładu nachyla się i pędzi dalej poprzez Gdańską Zatokę do przeciwległej Mierzei Wiślanej, aż do Sambii, a stamtąd, skreć a na wschód.

Drugi prąd, przy wietrze północno-wschodnim i wschodnim, wdiera się do Zatoki Gdańskiej, mknie wzdłuż Mierzei Wiślanej i wraz z prądem Wisły, który wypada z paszczy Leniwki, uderza w Sopoty, tnie w wyniosłości między Orłowem i Gdynią, w kępę Oksywia, biegnie wzdłuż podwodnego wału zamykającego Pucką Zatokę między Rewą na lądzie i Kuźnicą na międzymorzu, sunie wzdłuż południowego brzegu helskiego aż do jego kończyny - i tu ginie. Można obserwować te dwa warty - jakby dwie rzeki w wodach morza - na samym właśnie cyplu półwyspu. Zbiegają się tam dwie podwodne ławice piaszczyste i z dwu stron sypią grzebień wspólny. Wart idący od strony Małego Morza jest mocniejszy, zawija bowiem podwodną ławicę w kierunku Rozewia tworząc kształt jakby czapki frygijskiej, w której zakręcie wir gwałtowny draży podobną głębokiej zatoki. Obadwa te gońce morskie niosą w kierunku Helu ogromne masy materiałów zniszczonych z wyniosłości Sambii, gór kolibskich, z Kamieńca, Oksywia, Rewy i z dalekiego Rozewia, które to wyniosłości morze wściekłą swoją paszczką „ujada” na korzyść umiłowanego swego wybrańca, Helu. Międzymorze wciąż narasta, nade wszystko od strony północnej, gdzie rozległe zielenice wskazują na ogromne przeszerzenie przyszłego ładu.

Na tej śródmorskiej caliznie, w wierzchołku przylądka, wśród chrustów i szuwarów czaiły się w zaraniu lat wyrzutki ładu i morza, zdziczali w wichrach i pianach, zdrętwiali na zimnie i upale odszczepieńcy ludzkiego rodu, kapry, piraci, rozbójnicy. Czciłi Trygława ze Szczecina oraz Swantewida z Rany, a uznawali twardą dłoń gdańskich książąt.

Najdawniejsze podania pisane wspominają, iż ci osiedleńcy, którzy na bojowisku morskim po prawdzie mieszkali, a osuch ziemski poczytywali jedynie za miejsce chwilowej przystani, w jesienne i zimowe noce wśród najsroźszych burz w najmniej bezpiecznych miejscach, ponad podwodnymi „hakami” palili wielkie stosy drzewa i tymi fałszywymi znakami zwabiali okręty zbłąkane w obszarach Wielkiego Morza. Gdy zaś statek zwiedziony kierował się ku ogniom i trafiał na płycizny, pod pozorem ratunku napadali go skrycie i rabowali do szczętu. *Insula Helae* nie miała u żeglarzy dobrej opinii.

Jedna z najdawniejszych duńskich opowieści kronikarskich podaje taką baśń:

Na początku XIII wieku Eryk IV, młodszy syn Waldemara II „Zdobywcy”, wojownika, który pokonał słowiańskie Pomorze, zdobył Rugię, Gdańsk, Prusy, Estonię, Dorpat, studiując nauki za granicą, jak twierdzi podanie - w Paryżu, poznał się i zaprzyjaźnił z Synobaldem Fiesco, magnatem genueńskim, znakomitym prawnikiem noszącym zaszczytne miano *pater et organum veritatis*, który z czasem pod imieniem Innocentego IV zasiadł na tronie papieskim. Na prośbę Eryka IV o wszczęcie śledztwa przeciwko dwu duńskim biskupom papież posłał

do Danii legata w osobie minority, nazwiskiem Sedensa, z darem składającym się ze szczątków Krzyża świętego, z czaszki świętej Barbary umieszczonej w srebrnej szkatule i wizerunkiem malowanym tej świętej. Legat, przybywszy do Danii, zastał tam srogie wojny między królem Erykiem i starszym jego bratem, Abelem ze Szlezewu. Nadto mór pustoszył tę krainę tak dalece, iż król Eryk schronił się na jedną z wysp odległych. Legat podążył za królem. Lecz straszna burza poczęła nosić jego statek w północnym morzu, a wreszcie wyrzuciła go na wybrzeże jakiejś ziemi, którą kronika nazywa *insula Helae*. Czatujący na tym miejscu rozbójnicy obdarli ze wszelkiego mienia rozbiteków, uwięzili legata i zrabowali dary papieża dla króla Eryka. Tak to cudne oblicze wielkiej męczennicy egipskiej, dziewicze lica świętej panny, Barbary, która przeniosła śmierć z ręki ojca ponad złamanie wiary świętości swego serca, zajaśniało w blasku płonących ognisk przed oczyma zbójów Północy. Głowa jej dostała się w ręce tych barbarzyńców. Nie wiedząc, co począć z nieznanymi im skarbami, ponieśli je księciu swemu Swątopelkowi, który gdańskie ziemie i pomorskie niże wydzierał z rąk polskich i z objęć krzyżackich. Swątopelk ocenił dobrze dary papieża. Zagarnął świętą głowę dziewicy Barbary i przeniósł ją do najbrońniejszego ze swych zamków, do Sartawic. Krzyżacy pod dowództwem Teodoryka von Bernheim, we czterech rycerzy i pięćdziesięciu żołnierza rzucają się na Sartawice i wyrąbawszy załogę, porywają tajemniczą szkatułę. Z wielką pieczołowitością przenoszą ją do Chełmna. Na spotkanie relikwii, jak stwierdzają krzyżackie kroniki, wyszło duchowieństwo i cały lud, aby z wielką czcią zanieść ją do najbliższego kościoła. Odtąd święta Barbara stała się patronką Wisły. Oblicze jej jaśnieje nad falami w wielu nadwiślańskich kościołach, a pracowity oryl ciągnąc ku Gdańskowi wypatruje oblicza patronki odwracającej pioruny i burze. Pomorski lew Swątopelk pięć razy z rzędu łamał przysięgi i deptał umowy. Pięć razy z rzędu podmawiał zdeptane ludy Prus, ogniem i mieczem przez krzyżackiego najeźdźcę tępione, do wiecznego wiarołomstwa i wiecznej walki z Zakonem. A każdorazowo jego wiarołomstwo i każda rzeź miała za hasło - zwrócenie mu syna Mestwina w zakład danego i zwrócenie głowy świętej Barbary.

[PRZEMÓWIENIE]

Czuję się bardzo w tej chwili szczęśliwym, że to dzieło, które mnie kosztowało tyle pracy i w którym chciałem znaleźć nową formę literacką, spotkało się z uznaniem Pana Ministra.

Niestety, dzieło to nie objęło całości Pomorza. Stan zdrowia nie pozwolił mi spojrzeć w życie ludu całego Pomorza i wciągnąć go do mojej powieści.

Liczę na to, że utwór ten zachęci młodą generację piszących do studiów nad tą częścią Polski i nad tymi częściami, które mi były niedostępne; mam nawet dane, że to nastąpi szybko i ogarnie ten cały kraj, tak sercu naszemu bliski.

Dziękuję jeszcze raz Panu Ministrowi za zaszczytne wyróżnienie, które *Wiatr od morza* spotkało.